

**PRZEMYSŁAW
BORKOWSKI**

ŚMIERÓ NIE UGIEKNIE

**CZASEM NAJŁATWIEJ UCIEC W KŁAMSTWO.
ZWŁASZCZA GDY NIE WIESZ, JAK WYGLĄDA PRAWDA.**



**ŚMIERĆ
NIE UCIEKNIĘ**

PRZEMYSŁAW
BORKOWSKI

ŚMIERĆ NIE UCIEKNIĘ



Copyright © Przemysław Borkowski, 2021
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk
Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska
Redakcja: Paulina Jeske-Choińska
Korekta: Agnieszka Czapczyk, Paulina Jeske-Choińska
Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński
Projekt okładki: © Pola i Daniel Rusiłowiczowie
Fotografie na okładce: © Oscar Keys / Unsplash
Zdjęcie autora: © Mikołaj Starzyński
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66981-01-0

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Gabie, na urodziny

ROZDZIAŁ 1

Telefon. To był dzwonek telefonu. Nie jej, ona miała ustawione *Porque te vas* Jeanette, piosenkę z filmu Carlosa Saury *Nakarmić kruki*. Filmu, który opisywał jej dzieciństwo.

A to był dzwonek jego telefonu. Melodyjka, która zawsze ją irytowała. Pozbawiony wokalu motyw z amerykańskiego przeboju z początku dwudziestego pierwszego wieku. Motyw, który był taki jak on: udający coś, czym tak naprawdę nie jest.

Dlaczego więc go nie odbierał? Dźwięk rozlegał się już chyba dosyć długo. Chyba, bo przed chwilą właśnie się obudziła. Co było o tyle dziwne, że siedziała na krześle. I to w niezbyt wygodnej pozycji.

Poruszyła się. Ciało miała zeszywniałe i obolałe. Ale nie tak, jak wtedy, gdy ją bił. Jakoś inaczej. Jakby zasnęła po pijaku na kanapie. Tyle że przecież nie leżała na kanapie.

Melodyjka zamilkła, a potem telefon rozdzwonił się znowu. Ktoś bardzo chciał, żeby odebrać. Rozejrzała się. Wszystko wydawało się w porządku. Jej mieszkanie, jadalnia połączona z salonem i kuchnią. Przez sięgające podłogi wielkie okna widać było zwalistą bryłę centrum handlowego Arkadia przy rondzie Radosława. Świeciło słońce. I to nie poranne, takie już przedpołudniowe. Poznała to po cieniach na podłodze. Siedziała na jednym z krzeseł przy stole. Dziwne. Jak mogła zasnąć na krześle w kuchni? Przecież nie brała narkotyków, nigdy. Woląla jakże polską smakową wódkę. Cytrynowkę albo

wiśniówkę. Popijaną tak, żeby on tego nie widział. W małych butelkach, które łatwo schować i które można kupić w każdym sklepie w tym kraju. No i niewymagającą popijania.

Ale nie czuła kaca, nawet lekkiego. Znała to uczucie bardzo dobrze, więc nie mogła się pomylić. Była otumaniona i półprzytomna, ale było to otumanienie innego rodzaju. Bez bólu głowy i nudności.

Chciała przetrzeć oczy. Już gdy podnosiła rękę z kolana, poczuła, że skóra na niej jest dziwnie napięta, jakby sztywna. Niemal pękła, gdy tylko poruszyły się mięśnie. Spojrzała na swoją dłoń. Była czymś pokryta, jakąś zaschniętą ciemną cieczą. Zbliżyła ją do nosa i powąchała. Zakrzepła krew. Kolejna rzecz, która przypominała jej dzieciństwo.

Czyli jednak ją pobił. Poruszyła mięśniami twarzy, próbując wyczuć, czy są na niej jakże znajome opuchlizny albo rozcięcie wargi. Nic. Zmarszczyła nos – nie bolał. Co prawda ostatnio starał się nie bić jej po twarzy – w końcu dość często musiała pokazywać ją publicznie – ale może nie dał rady tym razem się powstrzymać. Jeśli nie przesadzał za bardzo, ślady dawało się ukryć pod mocnym makijażem. Jej sceniczny image na to pozwalał. Ta świadomość sprawiała, że czasami sobie folgował.

Dziwne było to, że nic nie pamiętała. Zupełnie nic. Próbowwała przypomnieć sobie, co robili wczoraj wieczorem. Kompletna pustka. Jakby ktoś skasował nagranie, nie zapisał pliku. Skądś ta krew na jej rękach musiała się jednak wziąć. Może rana była gdzieś niżej, nie na twarzy. Spojrzała w dół, na swoje ciało.

Ubrana była wyjściowo, nie po domowemu. Ale bardziej do restauracji, nie na koncert. Nie był to jej kostium, strój służbowy, który wkładała, gdy grała rolę artystki, interesującej, nieszablonowej piosenkarki ocierającej się nieco o pop, lecz zachowującej wobec niego szlachetny dystans. Ubranie

wydawało się nieco zdefasonowane, podmięte, jakby miała je na sobie już odrobinę za długo, na przykład cały wczorajszy dzień, no i dzisiejszą noc.

Zaczęła poszukiwać ran i zadrapań. Żadnej przerwy, nieciągłości w skórze, przez którą mogłaby wylać się ze środka krew. Czarna, niezbyt przylegająca, przetykana srebrną nicią sukienka także wydawała się nieuszkodzona. Nie była naddarta, rozpruta, nienaturalnie ściągnięta w jedną stronę, a przecież to właśnie wierzchnie warstwy garderoby bywały zazwyczaj pierwszymi ofiarami, nawet gdy skrytemu pod nimi ciału udawało się jakoś wykpić.

Telefon znowu zadzwonił. Po raz który? Piąty? Dziesiąty? Rozejrzała się. Nie było go w tym pomieszczeniu. Dźwięk dochodził z gabinetu po drugiej stronie korytarza. Naprawdę nie miała ochoty tam iść. Tu było jej dobrze i to pomimo zeszywnienia i bólu karku. Tu było bezpiecznie. Ten stan, mimo swoich niedostatków, mógłby potrwać jeszcze trochę.

Lecz telefon znowu zamilkł i znowu się rozdzwonił. Było w jego dźwięku coś coraz bardziej rozpaczliwego, choć przecież melodyjka nie zmieniła się ani o nutę. Ciągłe udawała jazz i ciągle nim nie była. To tylko to monotonne, uparte powtarzanie dodawało jej trudnego do zignorowania dramatyizmu.

Zrozumiała, że ten, kto dzwoni, nie ma zamiaru przestać, na co do tej pory liczyła. Będzie dzwonił, wwiercał się w jej mózg niczym budzik, który sam z siebie nie zamilknie, trzeba go wyłączyć. Wstała, czując się jak astronauta stawiający pierwsze kroki na ziemi po długim okresie przebywania w stanie nieważkości, i niepewnym krokiem ruszyła przed siebie.

Weszła do gabinetu. Telefon leżał na podłodze, tuż za drzwiami. Podniosła go i spojrzała na wyświetlacz. To kobieta z wytwórni płytowej, tej, która wydała jej najnowszą płytę.

Zajmowała się promocją i marketingiem, poznały się kiedyś, choć kontaktowały się głównie mailowo.

– Tak? – powiedziała do słuchawki. Żeby odebrać połączenie, nie trzeba wcześniej odblokowywać telefonu, właśnie się o tym dowiedziała.

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza, jakby kobieta była zbyt zaskoczona tym, że w końcu jej się udało, by odpowiedzieć.

– Julia, to ty? Cholera jasna, gdzie wy jesteście?! – Usłyszała w końcu jej głos. Głos pełen napięcia i nieskrywanej paniki.

– Już jedziemy – odpowiedziała automatycznie, choć nie miała pojęcia, o co chodzi. Była to jedna z wielu rzeczy, których nauczył ją właściciel tego telefonu: lepsze uspokajające kłamstwo niż szokująca prawda. Oraz żeby nigdy nie przyznawać się do tego, że się zawaliło.

– Już jedziecie??? – To kłamstwo najwyraźniej nie pomogło. – Za piętnaście minut wchodźcie na antenę! Na żywo!!! W największym ogólnopolskim radiu! Wiesz, ile czasu to załatwiałam?!

Szlag. Coś jej się przypominało. Tydzień promocji jej nowej płyty. Wywiady, wizyty w rozgłośniach radiowych i studiach telewizyjnych. Próba wyjścia z niszy i przejścia do mainstreamu. Zainicjowana przez jej nowego wydawcę, który nie mógł, ale też nie czuł najmniejszej potrzeby, by określać się terminem „niezależny”. A to miało być zwieńczenie, ukoronowanie tych działań – trzy godziny poświęcone tylko jej w porze największej słuchalności. Jej piosenki, rozmowy z nią, konkurs dla słuchaczy. Było to nawet ważniejsze niż niedawna wizyta w programie telewizji śniadaniowej.

– Zaraz będziemy, jesteśmy już bardzo blisko.

Trudno powiedzieć, czemu brnęła w to dalej. Być może dlatego, że w tym konkretnym momencie było to najprostsze

rozwiązanie. O wiele prostsze niż wyjawienie prawdy, tym bardziej że nie do końca jeszcze wiedziała, jak ta prawda wygląda.

– Gdzie Janusz? – Głos w słuchawce był już nieco spokojniejszy. – Dlaczego nie odebrał?

– Prowadzi – odpowiedziała.

– Nie macie zestawu głośnomówiącego? Co tam w ogóle tak cicho? Na pewno jesteście w samochodzie? – Zaniepokojenie i nieufność.

– Tak, stoimy na światłach – odparła spokojnie. – Silnik się wyłączył. Wiesz, te nowoczesne systemy...

– OK. – Kobieta po drugiej stronie najwyraźniej postanowiła jej uwierzyć. – Tylko przyjedźcie jak najszybciej. Najwyżej opóźnimy trochę. Dobrze, że to nie telewizja i odpada robienie make-upu. Ale jesteś jakoś umalowana? – zaniepokoiła się znowu. – Wiesz, że puszczają też obraz na żywo w internecie?

– Tak, tak, jestem – uspokoiła ją. Tym razem nie skłamała. Była. Jeszcze z wczoraj.

– W porządku. Czekam na dole. Niech Janusz cię podwiezie pod same drzwi. Zagadam z ochroniarzami. Tylko pośpieszcie się, na Boga!

Rozłączyła się.

Co teraz?

I właśnie: gdzie jest Janusz? Nieodbieranie telefonu było do niego cholernie niepodobne. Był do niego niemal przyspawany. Zabierał go nawet do łóżka.

Dopiero teraz rozejrzała się po gabinecie. I już wiedziała. Wiedziała, gdzie on jest i dlaczego nie odbierał. Siedział przy biurku pod otwartym oknem. Głowę miał opartą o klawiaturę macbooka, jakby zasnął podczas swojej ulubionej rozrywki – oglądania stron porno. Wylewając przy okazji wino, którego wielka czerwona plama zalała biurko i klawiaturę komputera.

Jeszcze przez chwilę wierzyła w to wytłumaczenie. Wierzyła, bo było to w tym momencie najprostsze rozwiązanie.

ROZDZIAŁ 2

Ale to nie było wino, przecież to wiedziała. Czerwone wino z przewróconego niechcący kieliszka rozlewa się po prostu po blacie i nie opryskuje wszystkiego naokoło łącznie ze ścianą, ekranem komputera i roletami w oknie. Nie pozostawia też brunatnych śladów na leżącej obok statuetce Fryderyka przyznanej jej dwa lata temu za najlepszy album w kategorii pop alternatywny. No i nie pachnie w ten sposób. W sposób przywołujący dzieciństwo.

Wycofała się powoli do bezpiecznego świata za drzwiami do salonu. Miała chyba podświadomą nadzieję, że wróci w ten sposób do tamtego momentu raptem sprzed kilku minut, gdy nic jeszcze nie wiedziała. A więc to w końcu nadeszło, pomyślała. To, czego się bała od tylu lat i na co zawsze czekała, być może nawet bezwiednie tego pragnąc. Klątwa, przekleństwo, genetyczne obciążenie, wyrok losu, przed którym nie da się uciec. Niczym w antycznej tragedii, w której cokolwiek byś zrobił, jakiegokolwiek środki zaradcze byś podjął, nie zatrzymasz wyznaczonego przez bogów biegu rzeczy. Zabijesz ojca i prześpisz się z matką. A potem wyłupisz sobie oczy.

Usiadła z powrotem na krześle. Próbowwała myśleć racjonalnie. Nie było dobrze. Drugi raz jej się przecież nie upiecze, prawda? Tym razem to koniec. Nikt nie uwierzy w samoobronę, tym bardziej że uderzyła go w głowę, gdy

siedział przy komputerze, a jego wcześniejsze ekscesy zawsze dość skutecznie ukrywała. Nie miała historii przemocy domowej, żadnych zgłoszeń na policję, żadnych obdukcji ani założonej jemu niebieskiej karty, nic. Uznają to za zwyczajne morderstwo albo – co jeszcze gorsze – za efekt choroby psychicznej, takiej samej, jak ta jej matki.

Ile miała czasu, zanim to odkryją? Spojrzała na zegar na ścianie. Za piętnaście minut będzie wiadomo, że nie pojawią się w radiu. Ale wtedy jeszcze nikt niczego nie zacznie podejrzewać. Będą wściekli, nie zaniepokojeni. Znowu zaczną się telefony – do niej i do niego. Ale nikt raczej nie zawiadomi policji ani nie przyjdzie zobaczyć, co się stało. Czyli dziś jeszcze jest stosunkowo bezpieczna.

Problemy zaczną się jutro, gdy kolejne osoby w kolejnych sprawach będą próbowały się z nim skontaktować. I gdy potem zaczną dzwonić do siebie nawzajem, pytając się, czy ktoś wie, co jest grane. Wtedy już ktoś może przyjść. Zobaczyć, że nikt nie otwiera. Gdyby byli zwyczajną parą, zapewne potrwałoby to dłużej. Ale nie byli. Byli artystką i jej menadżerem w najgorętszym okresie tuż po wydaniu płyty. Szybko ktoś się zorientuje, że coś jest nie tak.

Jakie miała możliwości? Ukryć zwłoki? Bez szans. Z jej niecałymi pięćdziesięcioma kilogramami wagi? Jak i gdzie miałyby go zawieźć, takiego wielkiego chłopa, i przede wszystkim czym? Nie umiała prowadzić, nie miała prawa jazdy. Nawet ją do tego namawiał, zirytowany, że wiecznie musi robić za jej kierowcę, ale ona się bała. Zresztą nie namawiał jej zbyt mocno, w końcu ta jej komunikacyjna niesamodzielność była dla niego kolejnym narzędziem utrzymywania nad nią kontroli.

Więc co? Spojrzała na swoje ręce. Wciąż była na nich jego krew. Podeszła do zlewu w kuchni i umyła je płynem do

zmywania naczyń. Wbrew świadectwu Lady Makbet domyły się całkiem nieźle.

Ucieczka. Tylko ta jedna myśl przyszła jej do głowy. Za chwilę rozpęta się tu piekło. Wszystkie gazety, serwisy internetowe, telewizje i portale plotkarskie będą miały używanie. Na dzień lub dwa przebije nawet rozkręcającą się znowu pandemię. Zostanie w końcu pełnoprawną celebrytką, tak jak on tego chciał. Tylko z nieco innego powodu.

No i trafi do więzienia. Tym razem na pewno. O tym też nie można zapominać. I to nie na rok czy dwa, a na co najmniej kilka. Ma trzydzieści sześć lat, gdy wyjdzie, będzie już sporo po czterdziestce, a kto wie, może i po pięćdziesiątce. Będzie starą babą z najlepszym okresem życia za sobą.

Poczuła nagle, dopiero teraz, panikę. Ściskający gardło i serce, wypychający powietrze z płuc strach. Gdyby nie wyspa kuchenna oddzielająca kuchnię od jadalni i salonu, upadłaby na podłogę.

Chwyciła się jej kurczowo, spróbowała uspokoić oddech. Ucieczka. Znowu tylko ta jedna myśl. Choć może raczej nie myśl, bo myśl powinna być przecież choć trochę racjonalna, powinna być dziełem rozumu, a to było zwierzęce, instynktowne, niepowstrzymane. Uciec. Wyjść stąd natychmiast. Teraz, zaraz, zostawić za sobą to wszystko, zaczerpnąć powietrza. Kolejne najprostsze rozwiązanie, odsuwające w pewien sposób problem na później.

Ale zaraz, chwileczkę. Mimo wszystko nie tak szybko. Musi się przecież spakować. Poszła do sypialni i otworzyła drzwi do garderoby. Zdjęła z wyższej półki małą plastikową walizkę, taką, jaką zabiera się do kabiny samolotu. Położyła ją na łóżku i zaczęła wrzucać do środka ubrania. Działała jak automat, nie myśląc. I to było dobre, to też odsuwało problem.

Nagle zatrzymała się w pół ruchu. Z ręką trzymającą bluzkę zawieszoną tuż nad walizką. Gdzie miała uciec, jak? Wypadałoby mieć chociaż jakiś szcątkowy plan. Przecież nie wyjdzie z domu i nie pójdzie przed siebie. Ciągnąc za sobą walizeczkę na kółkach.

Taksówka. To było w zasadzie jedyne rozwiązanie. Później się będzie martwić, dokąd pojedzie. Teraz chodziło tylko o to, żeby stąd wyjść, zostawić to wszystko za sobą, to życie, którego od dawna już nie chciała, tego faceta z roztrzaskaną głową i to, co się tu wczoraj stało.

Wrzuciła bluzkę do środka, zamknęła walizkę i gorączkowo zaczęła szukać swojego telefonu. Znalazła go w końcu w salonie. Był wyciszony, podłączony do ładowarki. Sto procent baterii i kilkanaście nieodebranych połączeń od tej, jak jej tam... Dominiki. Wyszukała aplikację korporacji taksówkowej, lecz już po chwili ją zamknęła. Musiałaby tam wpisać cel podróży, a ona nie wiedziała, dokąd chce jechać. Chciała po prostu wsiąść i ruszyć przed siebie. I potem się zastanowić. Weszła więc w kontakty i odnalazła numer opisany jako „tanie taxi”. Korzystała z niego przed laty, gdy jeszcze nie było tych wszystkich uberów i gdy cena za kurs miała dla niej decydujące znaczenie. Karta SIM przechowała go niczym skamielinę z dawnych epok, automatycznie i bezrefleksyjnie kopiując do jej kolejnych, coraz droższych modeli telefonów.

Ciekawe, czy jeszcze w ogóle istnieją, pomyślała. Istnieli. Kobieta, która się odezwała po drugiej stronie, brzmiała jak sklepowa. Podała jej adres i uzyskała zapewnienie, że taksówka pojedzie za dziesięć minut. Wykorzystała ten czas, by umyć zęby i skorzystać z toalety. Spojrzała na zegar w komórce. Od połączenia minęły dopiero cztery. Nie mogła już usiedzieć, nie mogła wytrzymać w tym mieszkaniu. Chwyciła walizkę i ruszyła do wyjścia. Po raz ostatni odwróciła się i spojrzała na

miejsce, w którym spędziła poprzednie dwa lata. Jej wzrok padł na brązową butelkę stojącą na barku. Whisky Glenfarclas – destylowana i przelana do beczki w 1984 roku, roku jej urodzenia. To był jego prezent dla niej na ostatnie urodziny. Dla niej, choć w zasadzie kupił ją sam sobie, ona przecież nie lubiła whisky. Typowe, a jeśli dodać do tego, że pieniądze na ten prezent pochodziły z jej konta, to nawet bardzo. Nie zdążył jej spróbować, mieli się napić po premierze płyty. To, że wyciągnął ją z szafki i postawił na barku, świadczyło, że właśnie się do tego przymierzał. Wróciła po nią i schowała ją do walizki. Nie mogła jej przecież zostawić. To było w końcu całe jej życie.

ROZDZIAŁ 3

Zjechała windą i wyszła przed budynek. Słońce świeciło, jakby wciąż było lato. Przez chwilę wydało jej się, że to wszystko nieprawda, że tamto na górze wcale się nie wydarzyło. Postanowiła utrzymać w sobie to poczucie jak najdłużej, choćby na siłę.

Rozejrzała się po ulicy. Kilkanaście metrów od niej na lewo jakiś mężczyzna stał oparty plecami o samochód. Podeszła do niego, ciągnąc za sobą walizkę. Jej kółka stuknęły głośno o betonową kostkę chodnika.

– Pan z korporacji? – spytała.

Patrzył na nią przez chwilę, nie odpowiadając. Chyba ją poznał. Widocznie kampania promocyjna, którą zajmowała się przez ostatnie tygodnie, zaczynała przynosić rezultaty. Poczowała przyjemne zaskoczenie. Zawsze na to czekała. Na ten moment, gdy ludzie na ulicy zaczną rozpoznawać jej twarz.

Następna myśl oblała ją jednak kubłem zimnej wody. Teraz to chyba nie do końca dobrze.

– Pani Julia? – odezwał się wreszcie. – Ale mi się kurs trafił!
Uśmiechnęła się wymuszenie.

– Gdzie pana taksówka? – spytała.

Nachylił się i sięgnął po walizkę. Przez moment jego głowa znalazła się odrobinę zbyt blisko jej ciała. Poczowała w sumie przyjemny, tytoniowo-miętowy zapach jego oddechu. Jakby wypalił papierosa, a potem żuł gumę lub zjadł mentosa.

– Stoi pani przed nią – odpowiedział i ruchem głowy wskazał auto, o które przed chwilą się opierał. Potem obszedł je i otworzył bagażnik.

Dopiero teraz przyjrzała się samochodowi. Nie było na nim żadnych oznaczeń, napisów ani listwy na dachu z napisem „taxi”. Zauważył chyba jej zdziwienie, bo powiedział:

– Odkąd pojawiły się ubery, nie wszystkie taksówki są obrendowane. To mój prywatny samochód, czasem nim jeżdżę na kursy. Dlatego stałem na ulicy i czekałem na panią – wyjaśnił.

Włożył walizkę do bagażnika i zamknął klapę.

– Zapraszam – powiedział i otworzył jej drzwi.

Wsiadła do środka. Ulicą przeszła kobieta z psem na smyczy. Na brodzie miała ściągniętą z twarzy bawełnianą maskę. Zerknęła ciekawie do wnętrza kabiny. Czy i ona też ją poznała?

Kierowca wsiadł do samochodu. Spojrzał na nią we wstecznym lusterku.

– Miło wieść kogoś znanego – zagadnął. – Widziałem panią dwa dni temu w telewizji. A kiedyś wiozłem tego gościa od pogody, jak mu tam... tego z TVN-u.

– Wiem którego – odpowiedziała, żeby już uciąć ten temat. Cholera, ilu jeszcze ludzi ją widziało?

Sięgnęła do torebki i wygrzebała z niej maseczkę. Nałożyła ją na twarz. Ta głupia pandemia miała jednak, jak się okazuje, swoje dobre strony.

Zauważył to.

– Tu pani nie musi – powiedział. – Chyba, że pani chce. Moim zdaniem ten cały covid to jedna wielka ściema.

– Wolę tak, lepiej dmuchać na zimne.

– Jak pani uważa. – Odpalił silnik. – Jeśli pani chce, też mogę założyć.

– Nie trzeba. Tylko jedźmy już – ponagliła.

– Bardzo chętnie – odparł. – Problem w tym, że nie bardzo jeszcze wiem dokąd.

Dobre pytanie. Byle dalej stąd. Tego jednak nie mogła mu powiedzieć.

– Konstancin-Jeziorna – rzuciła. – Na miejscu pana pokieruję.

– OK. – Wrzucił pierwszy bieg i wyjechał na ulicę. – Mam szczęście – dodał. – Daleki kurs.

Ruszyli. Osunęła się niżej na siedzeniu. Poczowała ulgę, jakby sprawa została już załatwiona i rozwiązana. Zamknęła oczy.

Nagle znów je otworzyła. W samochodzie grało radio. Włączyło się wraz z odpaleniem silnika. I to dokładnie ta rozgłośnia, w której miała być za chwilę gościem. Leciwały właśnie wiadomości. Po nich i po reklamach miało być jej pierwsze wejście. Na pewno skomentują jakoś jej nieobecność. Będą musieli, w końcu trąbili pewnie o jej wizycie od rana. A wtedy on się zdziwi i zapyta o powód.

– Może pan to wyłączyć? – spytała, starając się, by zabrzmiało to neutralnie. – Radio. Chciałabym pobyc trochę w ciszy.

Spojrzał na nią w lusterku. Miał jasnoniebieskie oczy.

– Mam pani najnowszą płytę – powiedział. – Mogę włączyć.

– Dziękuję, ostatnio dość jej się nasłuchałam. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Jasne, wiem, o co chodzi... – Kiwnął ze zrozumieniem głową. – Ja, muszę pani powiedzieć, wciąż nie mam jej jeszcze dosyć. Odkąd ją kupiłem, słucham praktycznie na okrągło. Świetne kawałki, naprawdę.

A więc trafił jej się prawdziwy fan, no proszę. Ciekawe, czy słuchał jej już wcześniej, czy dał się złapać na lep akcji promocyjnej, którą ostatnio prowadzili? Ale nie miała ochoty go teraz o to pytać. Wolą, by już się zamknął.

– Dziękuję. Miło mi to słyszeć – rzuciła.

Nie była tego taka pewna. Tych świetnych kawałków. On to wszystko wymyślił. Człowiek, którego imienia wołała już nie wymieniać, nawet w myślach. Ten, który został tam na górze, w mieszkaniu. To on chciał z niej zrobić gwiazdę ogólnopolskiego formatu. Jej dobrze było w tej niszy, w której już się wygodnie wymościła i gdzie miała całkiem pokaźną rzeszę wiernych wielbicieli. Owszem, chciała być sławna, jak pewnie każdy, ale tylko robiąc to, co kocha i co czuje. On ją przekonał, a w zasadzie zmusił, by, jak się wyrażał, przeszła do wyższej kategorii wagowej. To była jego ambicja, nie jej. Chciał w ten sposób zrealizować swoje dawne marzenia. On też był kiedyś muzykiem, tyle że kiepskim. Miał nawet własną kapelę. Julia była dla niego zastępczym sposobem osiągnięcia sukcesu. Problem w tym, że to wciąż był jej sukces, nie jego. To o niej mówili, to nad jej kompozycjami się rozplýwali. On, mimo że pociągał za wszystkie sznurki, stał w cieniu. Nikt poza branżą nie wiedział nawet, kim on jest, nie znał jego nazwiska. Frustrowało go to i złościło. Pchał ją do przodu i jednocześnie zazdrościł powodzenia. Pewnie dlatego ją bił – żeby przekonać sam siebie, że jest ważniejszy, że jest górą. I żeby odegrać się na niej za to poczucie, którego nie potrafił się pozbyć – że jest nikim, wciąż nikim, mało istotnym dodatkiem do jej talentu. I że gdyby go wymieniła na kogoś innego – i jako partnera, i jako menadżera – nic by się nie stało.

Zrozumiała to wszystko dopiero teraz. Siedząc na tej nieco śmierdzącej tylnej kanapie taksówki. Jakby zobaczyła swoją sytuację w pełnym świetle. Oczywiście, wcześniej też to w jakiś sposób wiedziała, ale nie dopuszczała tego do świadomości. Albo może po prostu łudziła się, że mimo wszystko nie ma racji.

Nagle jakiś dźwięk wyrwał ją z zamyślenia. Dźwięk, którego nie powinno tu być. Zrozumiała, co to było. Radio wciąż grało. Właśnie zaczęły się reklamy.

– Może pan to wreszcie wyłączyć?! – krzyknęła. Nie zdołała ukryć histerycznego tonu w swoim głosie.

– OK, w porządku... – Uniósł do góry dłonie, puszczając na moment kierownicę. – Chciałem tylko poczekać, aż skończą się wiadomości.

Sięgnął do deski rozdzielczej i przekręcił gałkę. Znowu spojrzął na nią w lusterku. Nie podobało jej się to. Te jego niebieskie, wpatrujące się w nią oczy. Mogła oczywiście zrozumieć, że człowiek, który spotyka osobę znaną dotychczas tylko z mediów jest jej ciekawy, ale mógłby się w nią aż tak nie wgapić.

Przymknęła powieki. Miała ochotę naciągnąć swoją bawełnianą maskę na całą twarz. A potem położyć się na tej zalatującej stęchlizną kanapie i zasnąć, być może na zawsze. Lecz wtedy zrozumiała jeszcze jedną rzecz: ten facet siedzący na przednim siedzeniu był jej potrzebny. Nie wiedziała jeszcze, co zamierza zrobić, ale wiedziała jedno – nie zdoła tego zrobić sama. To, że słuchał jej płyt, że ją znał, to nawet dobrze. Może da się to wykorzystać.

ROZDZIAŁ 4

Gabriela Seredyńska, prokurator Prokuratury Okręgowej w Warszawie, odebrała telefon. Wysłuchiwała uważnie krótkiego opisu sprawy. Wyglądała dość banalnie. Zabójstwo z użyciem tępego narzędzia. Prawdopodobnym sprawcą była partnerka ofiary. Dużo śladów i mało wątpliwości.

– Dlaczego dzwonicie z tym do mnie? – zdziwiła się. – To sprawa dla prokuratury rejonowej, nie dla okręgowki.

Nie miała ochoty babrać się w czymś takim. Nawet średnio rozgarnięty prokurator tuż po aplikacji poradziłby sobie z tym z zamkniętymi oczami.

Wy tłumaczenie niestety ją przekonało. Co nie znaczy, że ucieszyło. Mieszkanie, w którym znaleziono zwłoki, należało do celebrytki. Może nie takiej z pierwszego rzędu ani nawet z drugiego, ale zawsze. Medialna gównoburza po podaniu tego do publicznej wiadomości była więcej niż pewna. Chcieli mieć kogoś, kto to ogarnie.

– Ale dlaczego ja? – spytała. – Dajcie to prokurator Walczak. Na pewno chętnie ogrzeje się w blasku fleszy.

– Polecenie z góry. – Usłyszała w słuchawce. – Prokurator Kostrzewska wyraźnie powiedziała, że ty masz się tym zająć. Sorry. – Westchnęła. Bycie ulubionym pracownikiem szefowej miało swoje dobre, ale jak widać również i złe strony. – Zresztą, sama rozumiesz... prokurator Walczak i media... rozwiązałyby nas następnego dnia.

No tak, temu też nie mogła nie przyznać racji. Jej koleżanka była suchą, kostyczną kobietą o niezmiennie odpychającym wyrazie twarzy. Wyglądała jak karykaturalne ucieleśnienie ludowego wyobrażenia o prokuratorze. Być może to również dzięki temu była tak świetna w tym, co robi. Podobno bali jej się nie tylko obrońcy oskarżanych przez nią osób, lecz nawet sędziowie. Ale na rzecznika prasowego niewątpliwie się nie nadawała. Co innego ona. Prokurator Gabriela Sereżyńska, gdy tylko chciała, potrafiła być nie tylko ujmująco sympatyczna, ale i wyglądać, jakby urwała się z amerykańskiego serialu o prawnikach. W tym konkretnym przypadku to raczej to przeważało, nie jej zawodowe umiejętności. Cóż, czasy były takie, że nawet wymiar sprawiedliwości musiał dbać o swój wizerunek.

– Dobra, to gdzie to jest? – odparła z rezygnacją.

– Ulica Inflancka na Muranowie.

– Już tam jadę.

Rozłączyła się i zakłęła w duchu. Czekąco ją mnóstwo nudnej, ani odrobinę nieekscytującej roboty, plus użeranie się z mediami. Pięknie. Naprawdę trudno zmobilizować się do takiego zadania. Włożyła płaszcz i wyszła ze swojego gabinetu.

Przypomniała sobie wydarzenia sprzed roku. Sprawę, przy której o mało nie zginęła. Powinno to wywołać w niej traumę, syndrom stresu pourazowego, nic takiego się jednak nie stało. Im więcej czasu upływało od tych dni, tym bardziej brakowało jej tamtych dawek adrenaliny. Czuła się jak żołnierz tęskniący za polem bitwy. A tu dawali jej coś takiego.

Dwadzieścia minut później była pod podanym jej adresem. Technicy już rozpoczęli pracę, ich samochód stał pod budynkiem. Mieszkanie znajdowało się na jednym z wyższych pięter nowego apartamentowca wzniesionego przy szerokiej, dwupasmowej ulicy. Tuż za nią biegły tory kolejowe, a za nimi

rozciągał się już Żoliborz – najpiękniejsza i najbardziej prestiżowa dzielnica Warszawy. Okolica była dość ładna, zielona i pełna nowoczesnej architektury. Nie było to może najlepsze, lecz niewątpliwie całkiem dobre miejsce do życia.

O tym wszystkim myślała prokurator Seredyńska, wjeżdżając windą na dziewiąte piętro, o tym właśnie, bo na pewno nie o czekającym ją śledztwie. Może sama rozejrzałyby się za jakimś mieszkaniem w tym rejonie? To, w którym teraz mieszkała – dwupokojowe i wynajmowane – coraz wyraźniej nie pasowało do jej obecnej pozycji, a dość dobra prokuratorska pensja pozwalała, by zastanawiać się nad kredytem i kupnem czegoś własnego.

Drzwi do mieszkania – zwykłe, w kolorze wenge, z numerem, za to bez nazwiska – były otwarte. Weszła do środka.

– Prokurator Gabriela Seredyńska, Prokuratura Okręgowa w Warszawie – przedstawiła się, pokazując legitymację.

Podszedł do niej mężczyzna z kilkudniowym ciemnosiwym zarostem, zбитy i zwarty, którego wygląd skojarzył jej się z amstafem.

– Podkomisarz Rajmund Nowaczyk, Komenda Rejonowa Policji Warszawa I – odwzajemnił się.

– Co my tu mamy? – spytała bez zbędnych wstępów.

– Denat, sztuk jeden – odpowiedział z dezynwolturą charakterystyczną dla ludzi muszących zbyt często przyglądać się zwłokom. – Tam, w gabinecie. – Wskazał za siebie. – Prawdopodobna przyczyna śmierci: uderzenie tępym narzędziem w głowę. Narzędzie zbrodni – wykonana z metalu statuetka, zdaje się, że jakaś nagroda – stoi na biurku obok. Brak śladów przemieszczania zwłok. Rozbryzgi krwawe widoczne na miejscu, jak i pozycja, w której je znaleziono,

świadczą, że ofiara zginęła, siedząc przy biurku. Cios zadany z góry z dużą siłą. Tak przynajmniej twierdzą technicy.

– Kiedy nastąpiła śmierć?

– Stopień stężenia pośmiertnego wskazuje na wieczór lub wczesną noc. – Osoba, która wypowiedziała te słowa, ubrana była w zakrywający całe ciało łącznie z włosami biały kombinezon, okulary i maskę i tylko po głosie można było poznać, że jest to mężczyzna. – To tyle na razie mogę powiedzieć.

Seredyńska zwróciła się w jego stronę.

– Coś jeszcze ciekawego? – spytała.

– Poza pomieszczeniem, gdzie znaleziono zwłoki? Na razie nic – odparł technik. – Żadnych śladów walki ani włamania, krwi też nie odkryliśmy. W sypialni otwarta garderoba, wyglądająca, jakby ktoś pakował się w pośpiechu. Mamy tylko jeden problem.

– Jaki?

– Zwłoki odkryła ukraińska sprzątaczką – przejął relacjonowanie wydarzeń policjant. – Była umówiona na dwunastą, miała klucze. Niestety, zanim znalazła trupa, zaczęła sprzątać. Zdążyła umyć łazienkę i podłogę w holu.

– Jest tu? – spytała Seredyńska.

– Nie, aresztowaliśmy ją – odparł policjant.

– Aresztowaliście? Za co?? – Myślała, że się przesłyszała.

Wzruszył ramionami.

– Na wszelki wypadek – wyjaśnił. – Nie miała przy sobie nawet paszportu. Tylko kartę stałego pobytu. Przestraszy się, ucieknie, a potem szukaj wiatru w polu.

Seredyńska poczuła, jak coś w niej się gotuje.

– Uważam takie postępowanie za absolutnie niedopuszczalne – powiedziała z lekka niewyraźnie. Zawsze,

gdy była wściekła, mówiła, nie do końca otwierając usta. – Nie mieliście ku temu żadnych podstaw prawnych.

Policjant po raz kolejny wzruszył ramionami.

– Powinna mi pani podziękować – stwierdził. – Nie zna ich pani.

Zmrużyła oczy.

– Kogo nie znam? Ludzi?

Popatrzył na nią z czymś w rodzaju lekceważącego rozbawienia.

– Tak, ludzi – odparł z półuśmiechem.

Minęła go, lekko i bynajmniej nie niechętnie trącając w ramię, i demonstracyjnie zwróciła się do technika:

– Mogę tam zajrzeć? – Wskazała na drzwi gabinetu.

– Tak, tylko proszę nie wchodzić do środka.

Podeszła do framugi. Ofiara siedziała przy biurku na obrotowym krześle z głową leżącą na klawiaturze otwartego laptopa. Grube, dość tłuste i porośnięte jasnymi włoskami ramiona zwisały w kierunku podłogi. Głowa odwrócona była w przeciwną stronę, więc doskonale widać było miejsce uderzenia. Sklejone krwią blond włosy i rana, której wolała się nie przyglądać zbyt dokładnie. Biurko, komputer, a nawet ściany wokół również pokryte były zakrzepłą krwią. Teraz zrozumiała, dlaczego technik twierdził, że uderzenie zadano z dużą siłą.

– Kim on jest? – spytała.

– Janusz Kozera, menadżer i partner właścicielki mieszkania. – Usłyszała za plecami głos policjanta.

– A ona?

– Julia Gierszewska, piosenkarka. Próbuje ją znaleźć. Sprzątaczką twierdzi, że z szafy zniknęły jej ubrania i walizka.

Julia Gierszewska... Kojarzyła chyba jej jedną czy dwie piosenki. Z tego, co pamiętała, były dość depresyjne.

– Sprawdźcie ten komputer – rzuciła. – Co na nim jest, historię przeglądania, co ofiara robiła na nim w momencie śmierci...

– Po co? – Ton głosu policjanta był w jakiś nieokreślony sposób bezczelny. – Sprawa jest jasna. Zabiła go i uciekła. Założę się, że na tej statuetce są jej odciski palców. Czego nam więcej trzeba?

Odwróciła się do niego powoli i spojrzała mu w oczy.

– Pełnego obrazu sytuacji – powiedziała. – Tego nam trzeba. Poza tym to ja tu ustaliam kierunek śledztwa. Jest pan policjantem już wystarczająco długo, bym nie musiała panu o tym przypominać.

ROZDZIAŁ 5

Telefon po raz kolejny zawibrował. Czują to nawet przez ściankę leżącej przy jej nodze torebki. Otworzyła oczy i w końcu po niego sięgnęła. Znów kilkanaście nieodebranych. Większość od tej kobiety z wydawnictwa. Jeden był jednak z numeru, który wybrała, dzwoniąc po taksówkę.

– Dzwonili od pana z korporacji – powiedziała. – Czterdzieści minut temu. O co chodzi?

Niebieskie oczy znów na nią spojrzały ze wstecznego lusterka.

– Chyba zapomniałem im wysłać potwierdzenie, że panią odebrałem – wyjaśnił po chwili. – Zaraz to zrobię.

Stali w korku na Czerniakowskiej. Przed nimi migąła wielka strzałka informująca o wyłączeniu jednego pasa ruchu.

– Nie ma pan taksometru. – Dopiero teraz zwróciła na to uwagę.

– Teraz nie trzeba – odparł. – Wszystko jest w aplikacji w komórce. – Uniósł do góry dość spory aparat.

Zamknęła z powrotem oczy. Gdy je ponownie otworzyła, mijali właśnie Wilanów. Jeszcze chwilę i trzeba będzie podjąć decyzję, co dalej.

Znów wibracja. SMS. Dotknęła ikonki na wyświetlaczu. Jej przyjaciółka, jeszcze z liceum, Ania:

„Co się dzieje? Wejdź na Pudelka”. I link na dole.

Weszła na stronę serwisu plotkarskiego. Znow to poczuła. Ukłucie dumy. Po raz pierwszy zwrócili na nią uwagę.

„Czy to kolejna akcja promocyjna?” – przeczytała. „Policja w mieszkaniu znanej piosenkarki, Julii Gierszewskiej. Julia tydzień temu wydała nową płytę, lecz dziś nie pojawiła się podczas audycji radiowej, której miała być gościem. O co chodzi? Miejmy nadzieję, że to tylko niezbyt mądry pomysł agencji reklamowej”.

Poczuła, jak oblewa ją zimny pot. To już? Tak szybko? Myślała, że będzie miała więcej czasu, zanim go znajdą. W ustach jej zaschło, nie mogła przełknąć śliny. Ręce zaczęły jej drżeć, potem przeniosło się to na całe ciało. Tak chyba właśnie wygląda atak paniki.

Musiał to zauważyć, bo spytał:

– Wszystko w porządku? Dobrze się pani czuje?

Spróbowała się opanować.

– Tak. Nie – odpowiedziała. – Czasami boję się jeździć samochodem – skłamała. – Miałam kiedyś wypadek, w dzieciństwie. Wysłał pan już to potwierdzenie do korporacji? – spytała.

– Tak.

– To niech pan więcej nie grzebie w komórce, dobrze? Proszę przez cały czas patrzeć na drogę.

– W porządku. – Uśmiechnął się. – Wiadomo, bezpieczeństwo przede wszystkim.

Telefon w jej dłoni znow zawibrował. Spojrzała na wyświetlacz. Dzwonił dziennikarz, który robił z nią wywiad parę dni temu. Po chwili odezwał się inny, z nim też się kiedyś zetknęła. Szlag by to trafił. Ile czasu minie, zanim te wszystkie dziennikarskie hieny dowiedzą się, co naprawdę zaszło? Nie miała złudzeń. W policji pewnie jest wielu takich, którzy chętnie sprzedadzą im tajemnice śledztwa. Już za chwilę jej

twarz będzie we wszystkich gazetach, we wszystkich serwisach, na wszystkich portalach plotkarskich. Prawdziwa sława. Przyćmi największe gwiazdy show-biznesu. Człowiek, którego imienia postanowiła już nie wspominać, byłby zachwycony. Tym bardziej, że i jego zdjęcie i nazwisko wreszcie pojawi się w mediach.

To będzie jak list gończy. Najskuteczniejszy, bo pokazywany wszędzie, gdzie tylko się da. Nie tylko w kraju, lecz pewnie też i za granicą. „Znana piosenkarka z Polski oskarżona o zamordowanie menadżera”. To „znana” jeszcze niedawno byłoby trochę na wyrost, teraz już zupełnie zasłużenie. Ależ to będzie smakowity news! Pewnie nawet w jakimś Ekwadorze nie oprą się, by go nie zamieścić.

Jej komórka wibrowała już niemal bez przerwy. Nawet nie patrzyła, kto dzwoni. Nagle uświadomiła sobie kolejną rzecz: telefon. Można dzięki niemu namierzyć, gdzie przebywa jego właściciel. Wszystkie seriale kryminalne, które oglądała, wałkowały ten aspekt do znudzenia. Triangulacja, tak to chyba się nazywa. Sprawdza się trzy najbliższe stacje przekaźnikowe, w których logował się dany numer, i na podstawie tego określa jego przybliżone położenie.

Szybko, drżącymi palcami wyłączyła komórkę. Miała ochotę wyrzucić ją przez okno, lecz powstrzymała się. Musiałaby się potem tłumaczyć temu kierowcy. I tak obserwował ją niemal bez przerwy.

Chyba przywołała go myślami, bo znowu spojrzął na nią w lusterku i spytał:

– Dojeżdżamy do Konstancina, gdzie teraz?

Spojrzała przez okno. Gdzieś tam, po lewej stronie, była Wisła. Mogłaby kazać tam się zawieźć, gdzieś do Ciszycy albo Kępy Oborskiej, i rzucić się w jej nurt. To też byłby news, może nawet lepszy niż poprzedni. Sprzedaż jej nowej płyty

wystrzeliłaby w kosmos. No i wieczyste miejsce w panteonie sław polskiej rozrywki gwarantowane. Nic tak nie buduje legendy, jak odpowiednio tragiczna śmierć. Może przebiłaby nawet Annę Jantar z tą jej banalną katastrofą lotniczą. Ona przecież nie zabiła dzień wcześniej męża.

– Halo, proszę pani! Gdzie mam jechać? – wyrwał ją z zamyślenia głos kierowcy.

– Do Zakopanego – odpowiedziała.

– Słucham? – Aż się odwrócił.

– Do Zakopanego – powtórzyła. – I proszę patrzeć na drogę. Ile będzie kosztował taki kurs?

Zobaczyła w lusterku wstecznym, jak zamrugał.

– Nie wiem, nie mam pojęcia – usłyszała. – Nigdy nie miałem podobnego zlecenia.

– Tak mniej więcej.

– Czy ja wiem... To z sześć godzin jazdy. I raczej nie dałbym rady wrócić tego samego dnia...

– Nocleg też panu opłacę, nie ma problemu.

Miała pieniądze. Człowiek, którego imienia postanowiła już nie wspominać, hołdował starym cinkciarskim nawykom. Zawsze miał w szufladzie sporą ilość gotówki, tym razem znalazła jej tam też wyjątkowo dużo i to pomimo tego, że przecież od dawna nie grali koncertów. Gdy się pakowała, zachowała na tyle przytomności umysłu, by wziąć ją ze sobą. Teraz ta forsa przyda się jak znalazł.

Widziała, że się wahał. Ta propozycja ewidentnie go zaskoczyła. Miał pewnie rodzinę, dzieci, inne plany. Niełatwo jest podjąć taką decyzję w kilka sekund.

Postanowiła mu to ułatwić.

– Możemy zrobić tak – zaczęła. – Zakończy pan oficjalnie kurs w Konstancinie i wyśle pan do korporacji zawiadomienie,

że wraca pan do domu. A resztę trasy rozliczymy prywatnie. Co pan na to?

Takiego załatwiania spraw też nauczyła się od swojego byłego już menadżera.

– Brzmi ciekawie... – odparł z nieco mniejszą już rezerwą.

– To ile? – spytała ponownie.

– Tysiąc – rzucił w przednią szybę.

– Dwa tysiące – przebiła go. – Może być?

Lepiej, żeby mu zależało bardziej niż mniej.

– Pewnie, że może! – roześmiał się. – O, rany! Fajnie się z panią negocjuje.

– Tysiąc złotych dam panu teraz, resztę na miejscu, OK?

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnął się szeroko. – A można spytać, co się stało? Ucieka pani przed kimś, czy co?

– Pokłóciłam się ze swoim menadżerem – odparła. Przynajmniej częściowo była to, zdaje się, prawda. – Muszę zniknąć na parę dni, przemyśleć wszystko. To całe zamieszanie ostatnio trochę mnie przytłacza.

– Jasne. – Pokiwał ze zrozumieniem głową. – Sława! Nam, zwykłym ludziom, wydaje się, że to tylko kawior i szampan, a tak naprawdę pewnie nie jest lekko, co?

– Dokładnie – przytaknęła skwapliwie. – Tylko niech pan wyłączy telefon. Jak pan już zakończy kurs oczywiście.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Będzie pewnie próbował mnie odnaleźć. Dotrze do pana przez korporację. Nie zna pan go, gotów nawet zawiadomić policję.

– OK, wyłączę – zgodził się. – Ale mi się trafiła przygoda! A to miał być taki zwyczajny dzień.

Tak, pomyślała. To faktycznie miał być zupełnie zwyczajny dzień.

– A nie woli pani do Sopotu? – ożywił się nagle. – Lepsza droga, no i pogoda nad morzem może być jeszcze całkiem fajna.

Pan taksówkarz chyba jednak nieco za bardzo się zaangażował.

– Nie, Zakopane – ucięła temat.

Jeśli miała gdzieś jechać, to właśnie tam.

ROZDZIAŁ 6

Kobieta, którą przyprowadzono do pokoju przesłuchań Komendy Rejonowej Policji, była zdaje się mniej więcej w jej wieku. Dość szczupła, bardzo zadbana, wyraźnie wystraszona, na pierwszy rzut oka nie wyglądała na sprzątaczkę. Seredyńska z zazdrością spojrzała na jej starannie wypielęgnowane paznokcie. Jej nigdy nie starczało czasu (a może po prostu chęci i determinacji), by zrobić sobie tak profesjonalny manicure. I to pomimo tego, że jej praca nie polegała przecież na zmywaniu podłóg i szorowaniu toalet.

Z paznokci przeniosła wzrok na nadgarstki. Dobrze chociaż, że nie założyli jej kajdanek, pomyślała z sarkazmem.

Kobieta usiadła na krześle. Zbolały wzrok wbiła w podłogę. Nie wyglądała na kogoś, kto liczy na sprawiedliwe potraktowanie.

– Pani aresztowanie to oczywiście nieporozumienie – zaczęła Seredyńska – za które serdecznie przepraszamy. Natychmiast po tym przesłuchaniu zostanie pani zwolniona.

Kobieta spojrzała na nią nierozumiejącym spojrzeniem. Ewidentnie nie tego się spodziewała.

– Jestem wolna? – spytała niepewnie.

– Tak – potwierdziła Seredyńska. – Podkomisarz Nowaczyk wykazał się daleko posuniętą nadgorliwością. Już się z nim na ten temat rozmówiłam.

Widać było, jak z kobiety schodzi powoli napięcie.

– Mówił, że mnie deportujecie – powiedziała.

Seredyńska znowu poczuła, jak coś się w niej gotuje.

– Nie ma o tym nawet mowy – uspokoiła ją. – Nie jest pani o nic podejrzana, jest pani tylko świadkiem.

– Przynajmniej nie chciał pieniędzy.

– Co pani ma na myśli?

– Wszyscy chcą. Kontrolerzy w metrze, policjanci na ulicy, nawet taksówkarze. Ukrainkę każdy chce naciągnąć.

Stwierdziła to bez żalu, jakby było to coś równie naturalnego jak to, że po deszczu robi się błoto.

Seredyńska postanowiła skupić się na przesłuchaniu. O naturze swoich rodaków pomyśli później.

– Jak się pani nazywa? – spytała.

– Oksana. Oksana Andruchowycz.

– Od jak dawna sprząta pani u Julii Gierszewskiej?

– Od mniej więcej dwóch lat. Odkąd wprowadziła się do tego mieszkania. Zatrudniła mnie, żebym posprzątała tam po remoncie, a potem już zostałam na stałe.

Mówiła po polsku płynnie, choć z wyraźnym akcentem.

– Jak często pani przychodzi?

– Normalnie, raz na tydzień.

– Jaki ma pani zakres obowiązków?

Nie było to może zbyt istotne pytanie, ale dobrze jest zacząć od czegoś bezpiecznego i prostego, żeby przesłuchiwany się nieco otworzył.

– Sprzątanie, pranie, czasem gotowanie. Ale to ostatnie rzadko.

– Dlaczego rzadko?

– Pani Julia lubiła, jak gotuję, prosiła mnie, żebym przygotowywała ukraińskie potrawy, pan wolał jadać na mieście albo coś zamawiać na wynos.

Czas było przejść do sedna.

– Może pani opisać, co się dziś wydarzyło?

Zobaczyła, jak twarz kobiety ponownie się ściąga.

– Nie można tu palić? – spytała. – Nie, nie można – sama sobie odpowiedziała. Jej ukraiński akcent nasilił się, jakby pod wpływem stresu wracała do swojego rodzinnego języka.

– Ale można pić wodę. – Seredyńska podsunęła jej jednorazowy kubek. – Spokojnie, niech pani opowie wszystko po kolei – zachęciła ją łagodnie.

– Dziękuję. – Kobieta wypięła duszkiem całą zawartość. Czy nawet wody jej tu nie dawali?

– O której pani przyszła do mieszkania Julii Gierszewskiej? – spytała.

– O dwunastej.

– Jak pani weszła do środka?

– Miałam klucze. Państwa miało nie być w domu.

– Ma pani klucze na stałe?

– Tak.

– Często się zdarzało, że sprzątała pani pod ich nieobecność?

– Dosyć często.

– Rozumiem, że drzwi do mieszkania były zamknięte?

– Tak. – Kobieta kiwnęła głową.

– Co pani zauważyła, gdy pani weszła do mieszkania?

– Nic. Wszystko było normalnie. Dopiero potem zobaczyłam, że drzwi do garderoby są otwarte, a w środku są porozrzucone ubrania.

– Nie zdziwiło to panią?

– Trochę. To było niepodobne do pani Julii, bo zawsze dbała o porządek.

– Co pani wtedy pomyślała?

– Nic. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Sprzątam w wielu domach, wiele rzeczy widziałam, nauczyłam się nad tym nie zastanawiać.

– Nie zauważyła pani denata?

Kobietę na to słowo jakby przeszedł dreszcz.

– Nie – odpowiedziała. – Drzwi do gabinetu były zamknięte.

– Nie zajrzała tam pani?

– Nie, pan tego nie lubił. Jak było zamknięte, nie wolno było wchodzić.

– Przecież miało go nie być.

– Z nim nigdy nie było nic wiadomo. Mogło go nie być, a mógł siedzieć w środku. Wolałam nie ryzykować.

– Czym nie ryzykować?

– Potrafił bardzo się złościć, krzyczeć. Raz mnie nawet uderzył.

– Uderzył panią? – Sereżyńska uniosła brwi. – I dalej pani tam przychodziła?

– Potem przeprosił. Dał duży napiwek. I prezent.

– Jaki prezent?

– Perfumy. Ale nie całe. Pani Julii.

– Ją też bił?

Kobieta nie odpowiedziała od razu.

– Nie przy mnie. Ale myślę, że tak.

– Dlaczego pani tak myśli?

– Widziałam ślady. Mojemu byłemu mężowi też się zdarzało.

Wiem, jak to jest i jak kobieta potem wygląda i się zachowuje.

ROZDZIAŁ 7

– Załatwione – powiedział. – Zakończyliśmy właśnie oficjalnie nasz kurs.

– Świetnie – odpowiedziała.

– Pojadę chyba teraz przez Górę Kalwarię, żeby dobić do es-siódemki, a potem przez Radom i Kielce do Krakowa. Co pani na to?

– Niech pan jedzie, jak pan uważa.

– A wie pani, że ja też pokłóciłem się ze swoją dziewczyną? Nieźle żeśmy się zgrali, że tak powiem.

– No proszę.

– Mi też przyda się taki reset. Może wtedy zatęskni do mnie, jak mnie przez parę dni nie będzie? Baby czasami nie wiedzą, co mają. To znaczy... – Spojrzał na nią w lusterku. – Nie wszystkie oczywiście. Niektóre.

Nie odpowiedziała. Naprawdę nie chciało jej się wysłuchiwać jego zwierzeń.

– A czemu właśnie akurat do Zakopanego? – spytał po chwili. Trafił jej się ten z gatunku rozmownych.

– Mam ochotę wjechać kolejką na Kasprowy Wierch – odpowiedziała pierwsze, co jej przyszło na myśl.

Pokiwał głową.

– Super! – powiedział z uznaniem. – To jest właśnie to, czego brakuje nam, zwykłym ludziom. Fantazja. Wsiąść w taksówkę

i pojechać w Tatry, żeby wjechać na szczyt góry. Zajebiecie. Od razu widać, że pani artystka.

Musi go jakoś spacyfikować, bo gotów przez sześć godzin tak ją zamęczać pytaniami. Oczywiście powinna to zrobić tak, żeby go do siebie nie zrazić.

– A teraz przepraszam, muszę się trochę zdrzemnąć – powiedziała. – Miałam naprawdę ciężką noc.

Nawet sobie nie wyobrażał, jak bardzo.

– Jasne, rozumiem. Już się zamykam.

Dostrzegła, że ma jeszcze ślady krwi pod paznokciami. Może o to chodziło Lady Makbet, kiedy nie mogła domyc rąk? Dziwna sprawa, miała wrażenie, jakby to nie były jej ręce i jakby to wszystko nie przydarzyło się jej. Była od tego zupełnie odcięta. Nie potrafiła się tym ani zmartwić, ani ucieszyć, ani poczuć zgrozy. Po prostu patrzyła.

Zamknęła oczy. Odgłosy silnika i ruch samochodu rzeczywiście sprawiły, że zaczęła przysypiać. Nie całkiem, trochę. Jakby jej psychicznie wyczerpany ostatnimi wydarzeniami organizm domagał się, by choć przez chwilę nic się nie działo, by choć przez chwilę nie musieć myśleć. Ale nie da się całkiem nie myśleć. Maszyna mózgu, choćby nieświadomie, wciąż się jednak kręci. Tak więc i do niej przypląnęły słowa i obrazy, na granicy jawy, podobne do halucynacji. Nie były to jednak wspomnienia wczorajszych zdarzeń, tu wciąż rozpościerała się niewytłumaczalna pustka. Przypomniało jej się tamto lato. Lato w Zakopanem. Jej ostatnie szczęśliwe wakacje. Tym szczęśliwsze, że tuż po nich rozegrała się ostateczna katastrofa. Tak pewnie musieli wspominać lipiec i sierpień 1939 roku ludzie, którzy przeżyli wojnę. Dni, które w innych okolicznościach byłyby po prostu zwykłe, może i przyjemne, ale nie jakieś nadzwyczajne, nabierają wtedy mitycznego wymiaru.

Może dlatego właśnie chciała tam teraz pojechać. Ta myśl pojawiła się przecież sama. Wypowiedziała tę nazwę – Zakopane – w zasadzie bezwiednie, automatycznie, gdy tylko taksówkarz zadał pytanie. Nie planowała tego wcześniej. Ale tak, to był dobry pomysł. Jedyny w zasadzie. Nigdy później, po tym lecie, tam nie była. I pewnie prędko znów tam nie pojedzie, może nawet nigdy. Niezależnie od tego, co się stanie, raczej nie będzie miała już okazji.

Tak, to będzie piękna klamra, jej życie zatoczy koło. Od katastrofy do katastrofy. Od tej pierwotnej, założycielskiej, do tej, która nastąpiła teraz, prawdopodobnie ostatecznej. A więc musi tam pojechać, wjechać na ten szczyt. Za wszelką cenę, choćby nie wiem co. Niczego nie była już pewna, lecz tego była. Potem niech się dzieje, co chce. Mogą ją zamknąć – w więzieniu albo zakładzie – mogą ją nawet rozstrzelać. Ale najpierw musi znowu zobaczyć ten widok. Tylko tego pragnęła.

Ciekawe, dlaczego aż tak bardzo jej na tym zależało? Może był w tym jakiś element myślenia magicznego. Jakby powrót do początków mógł coś zmienić, naprawić wadliwy mechanizm. Jakby dało się zacząć od nowa, wracając w miejsce, gdzie wszystko się popsuło.

Nagle znowu otworzyła oczy. Ciekawe, skąd się biorą takie myśli? Takie, które pojawiają się jakby znikąd, w czasie gdy nasz umysł zajęty jest zupełnie czymś innym.

– Wyłączył pan telefon? – spytała.

Odwrócił się w jej stronę profilem.

– Chciałem to zrobić, gdy dojedziemy do siódemki – odpowiedział. – Tu, na tych drogach, nie bardzo wiem, jak jechać. Przyda mi się GPS. Potem to już będzie proste.

– Niech pan to zrobi teraz – powiedziała. – Bardzo pana proszę.

Przez jego telefon też ją mogą odnaleźć. Pewnie zajęłoby im to trochę więcej czasu, ale w końcu na to wpadną. Korporacja – taksówkarz – ona. Proste.

– OK – powiedział. – Jak pani sobie życzy. Mogę spróbować pojechać według drogowskazów. Tylko żeby nie miała pani potem pretensji, jak gdzieś się pomylę.

– Spokojnie – odpowiedziała. – Nie będę.

– Dlaczego aż tak bardzo pani na tym zależy? – spytał.

– Mówiłam panu. Mój menadżer. Nie chcę, żeby mnie znalazł.

– Coś mi się zdaje, że powinna go pani pogonić. To chyba nie jest za zdrowy układ. Tym bardziej, że to też, zdaje się, pani facet, prawda?

– Skąd pan to wie?

Wzruszył ramionami.

– Gdzieś mi się to obilo w internecie. No tak, ten wywiad dla jednego z kobiecych czasopism. Prawie już o nim zapomniała. Ten, w którym opowiadali, jak wspaniale łączą życie zawodowe z prywatnym. Nie chciała go, lecz on jej nie słuchał. Wreszcie mógł zobaczyć swoje zdjęcie w gazecie, tylko to się dla niego liczyło. Nie powinna się była na to godzić. Teraz wszyscy, nawet ten taksówkarz, wiedzą o niej dzięki niemu wszystko. Zawsze dziwiły i śmieszyły ją takie teksty. Najpierw story o cudownej miłości, a za dwa, góra trzy lata drugie o traumatycznym rozstaniu. W jej przypadku nawet bardzo traumatycznym. Pewnie już zacierają ręce z radości na myśl, jak im wzrośnie dzięki temu sprzedaż.

– Ten temat jest już praktycznie zamknięty – odpowiedziała.

Długie spojrzenie tych jego niebieskich oczu we wstecznym lusterku.

– To dobrze – powiedział. – Jest pani piękna, zdolna i sławna, zasługuje pani na kogoś znacznie lepszego.

ROZDZIAŁ 8

– W końcu pani jednak tam weszła. Dlaczego? – spytała Seredyńska.

– Telefon dzwonił. Jego. Poznałam po dzwonku – odpowiedziała kobieta. – Bardzo długo dzwonił, bardzo. A on nigdy nie wychodził bez telefonu. Pomyślałam, że może nie słyszy. Zapukałam, ale nikt nie odpowiadał. Poza tym okno trzaskało. Jakby był przeciąg. No to weszłam w końcu.

– I co pani zobaczyła?

– No co zobaczyłam? Leżał. Z rozbitą głową. Wszystko było we krwi. O mało nie zemdlalam. – Głos jej się załamał.

– Coś się pani rzuciło w oczy? Oprócz tego oczywiście.

– Szuflada była wysunięta. Nie było pieniędzy.

– Pieniądzy?

– Zawsze tam były. Sporo. Już jak pierwszy raz tam przyszłam, to je zobaczyłam. Chyba specjalnie wtedy zostawił szufladę niedomkniętą. Sprawdzał pewnie, czy nie ukradnę. Polacy zawsze tak sprawdzają. Zostawiają pieniądze na widoku, a potem przeliczają, czy nic nie ubyło. Normalna sprawa.

– Jaka to mogła być suma?

– Nie wiem dokładnie. Parę tysięcy na pewno.

– Coś jeszcze zginęło?

– Nie, chyba nie.

– Dotykała pani czegoś?

– Nie. – Pokręciła głową. – Widać było od razu, że nie żyje. Przestraszyłam się. Wybiegłam, żeby zadzwonić na policję. Jeszcze się przewróciłam w korytarzu, bo podłoga była mokra.

– Czy Julia Gierszewska i Janusz Kozera kłócili się ostatnio? Widziała pani coś?

– Jak byłam tydzień temu, to się nie kłócili. A byli wtedy oboje.

– Jak się zachowywali?

– Pan był wesoły. Nawet żartował ze mną. Zaproponował mi ciastka, co im zostały z poprzedniego dnia. Czyli był w dobrym humorze, bo zazwyczaj ledwo mnie zauważał.

– A pani Julia?

– Normalnie. Ona zawsze była trochę smutna.

– Dobrze, na razie to wszystko. – Seredyńska wyłączyła nagrywanie. – Jest pani wolna. Gdzie pani mieszka?

– W Rembertowie.

– Proszę zostawić policji namiary do siebie. Być może jeszcze panią wezwiemy.

– Ale nie deportujecie mnie? – Kobieta po raz pierwszy na nią spojrzała.

– Na razie nie mamy do tego żadnych podstaw. Tylko proszę nigdzie nie wyjeżdżać.

Kobieta podniosła się z krzesła.

– A nie potrzebuje pani prokurator sprzątaczkę? – spytała jeszcze. – Dobrze sprzątam, dokładnie. I szybko. Biorę dwadzieścia złotych za godzinę.

Seredyńska spojrzała na nią z wahaniem. Może faktycznie przydałby jej się ktoś do sprząkania? Czas chyba wyzbyć się prowincjonalnych nawyków robienia wszystkiego samemu i zacząć czerpać korzyści ze swojego statusu.

– Na razie, póki jest pani świadkiem, nie za bardzo to byłoby wskazane – powiedziała. – Ale później, jak to się wszystko

skończy, kto wie?

– Szkoda. Straciłam dobrego klienta. Mam tylko nadzieję, że pani Julii nic się nie stało. To dobra kobieta. Tylko nieszczęśliwa.

Wyszła.

Zaraz po tym, mijając ją niemal w drzwiach, wkroczył do pokoju przesłuchań podkomisarz Nowaczyk. Oglądał zapewne to wszystko przez lustro weneckie. Usiadł bez pytania na krześle. No cóż, w końcu był tu u siebie.

– Uważam, że niepotrzebnie ją pani zwolniła – powiedział. – A co, jeśli to ona?

– Ona? – odpowiedziała zdziwiona.

– Wiedziała, że w mieszkaniu jest dużo pieniędzy, dała znać swoim i zrobili wjazd. A potem posprzątała, żeby pozacierać ślady.

Spojrzała na niego chłodno. To byłoby bardzo wygodne wytłumaczenie. Wszystkim bardzo na rękę.

– Znaleźliście Julię Gierszewską? – Nie skomentowała tego.

– Nie – odparł. – Nikt nie wie, gdzie może być.

– Próbowaliście namierzyć jej telefon?

– Oczywiście. Ostatni raz logował się w okolicy Konstancina niecałą godzinę temu. Potem cisza. Pewnie go wyłączyła. Ona albo oni.

– Jacy oni?

– Ci, co ją porwali. Koledzy tej ukraińskiej sprzątaczkii.

Już chciała coś mu powiedzieć, gdy zrozumiała, że nie mogą jednoznacznie wykluczyć takiej ewentualności. Mimo iż jego teoria na kilometr pachniała uprzedzeniami, nie była stuprocentowo nieprawdopodobna.

– Mam też bilingi. – Rzucił na stół przed nią plik kartek. – Jego i jej.

– Coś ciekawego? – Nachyliła się nad nimi.

– Nawet bardzo – powiedział. – Zaczniemy od niego. Wczoraj wieczorem mnóstwo połączeń. Sprawdziliśmy wszystkie – sprawy zawodowe. Jeden numer się powtarza. Należy do Dominiki Zawadzkiej. Zajmuje się marketingiem w wytwórni, która wydała ostatnią płytę Gierszewskiej. Skontaktowałem się z nią. Rozmowy dotyczyły dzisiejszej wizyty w rozgłośni radiowej, na której Gierszewska się w końcu nie pojawiła. Ostatnie połączenie miało miejsce dzisiaj, tuż przed dwunastą. Odebrała Julia Gierszewska.

– O, to ciekawe. – Seredyńska się ożywiła.

– Kozera nie mógł odebrać, bo według patologa od paru godzin już nie żył – dodał Nowaczyk, jakby nie było to oczywiste.

– I co powiedziała?

– Że już jadą, są w samochodzie.

– Rozumiem, że nie byli?

– Samochód wciąż stoi w garażu podziemnym. Według naszych techników nie jeżdżono nim od wczoraj. Telefon Kozery podczas połączenia logował się na obszarze, na którym znajduje się mieszkanie Gierszewskiej. Rozgłośnia radiowa jest na drugim końcu miasta.

– Czyli była w czasie tej rozmowy w domu.

– Lub w jego pobliżu. Ale raczej w domu, bo parę minut po tej rozmowie wykonała inne połączenie, tym razem ze swojego numeru. Zadzwoiła na numer korporacji taksówkarskiej i zamówiła kurs na adres swojego mieszkania.

– Gdzie pojechała?

– Gdy się dzwoni, nie trzeba tego podawać.

– Nie skontaktowaliście się z kierowcą? – zdziwiła się.

– Skontaktowaliśmy się – odparł. – Był pod budynkiem, w którym mieszka Gierszewska, za minutę dwunasta. Problem

w tym, że według niego Julia Gierszewska nigdy do jego taksówki nie wsiadła.

ROZDZIAŁ 9

– No i szlag by to trafił, zgubiłem się! – usłyszała głos z przedniego siedzenia. – Naprawdę nie możemy włączyć GPS-u?

– Nie ma pan mapy? – spytała.

– Przestałem wozić ze trzy lata temu. Jak zmieniłem samochód, to już jej do tego nie przełożyłem. Po co, jak wszystko jest w GPS-ie?

Wyjrzała za okno. Byli w jakimś lesie.

– Niech pan po prostu jedzie – powiedziała. – Każda droga dokądś prowadzi.

– Ale nie wszystkie do Zakopanego.

– Spokojnie, mamy czas.

Pomyślała, że to może nawet lepiej, że nie będą jechać po głównych. Policja na pewno już jej szuka. Pewnie już wiedzą, że zamówiła taksówkę. Dobrze w sumie, że ta nie była oznaczona.

Głupio zrobiła, że zadzwoniła do korporacji, dopiero teraz to zrozumiała. Powinna pójść i wziąć taksówkę z postoju. Nie pomyślała o tym. No cóż, po tym wszystkim, co się stało, trudno się trochę temu dziwić.

Przez moment zastanawiała się, czy nie spróbować naprawić tego błędu teraz. Zatrzymać się w jakiejś większej miejscowości po drodze, znaleźć w niej postój, a tego tu odesłać do domu, płacąc mu umówioną stawkę. Ale niestety nie wchodziło to już teraz w grę. Powiedziała mu przecież, dokąd

chce jechać. Jeśli policja go potem znajdzie, a znajdzie na pewno, pozna jej plany. A ich nie chciała i nie mogła zmienić.

Była więc na niego skazana. Musiała go trzymać przy sobie i pilnować. Popełniła dwa głupie błędy i już nie dało się tego odkręcić. Licząc z tym, co wydarzyło się u niej w mieszkaniu, nawet trzy. Zadziwiające, że jakaś decyzja, podjęta pod wpływem chwili, bez namysłu, decyzja, która w danym momencie nie wydaje się jakoś szczególnie istotna, może raz na zawsze zmienić tory naszego życia.

– Długo pan już jeździ taksówką? – spytała, żeby odwrócić jego uwagę od niewygodnych dla niej kwestii, o których mógłby pomyśleć, gdyby tylko się zastanowił.

– Bardzo niedługo. Dwa miesiące dopiero.

– O, to faktycznie krótko.

– Jestem ofiarą światowej pandemii – zaśmiał się gorzko. – Zostałem zwolniony z poprzedniej pracy i musiałem znaleźć coś innego. Miałem do wyboru to albo rozwożenie pizzy. Z czegoś trzeba żyć.

– A co pan wcześniej robił?

– Nie uwierzy pani. Pracowałem w branży eventowej. Koncerty, festiwale, imprezy dla firm. Jak wprowadzili lockdown, wszystko się skończyło, firmy popadały, sama pani wie.

Wiedziała aż nazbyt dobrze. Prawie sześć miesięcy siedziała w domu, nie mając nic do roboty.

– No to jesteśmy w zasadzie kolegami – zauważyła.

– Byłymi już niestety. Teraz moim kolegą jest Robert Kubica – zażartował.

Dopiero teraz mu się przyjrzała. Rzeczywiście nie wyglądał na taksówkarza. Był zdaje się dość młody. W jej wieku lub nawet młodszy. Wyraziste, niemal jaskrawoniebieskie oczy patrzyły spokojnie i uważnie. Szczupłe, ładnie wyrzeźbione

ramiona pewnie trzymały kierownicę. Pokryte były jasnymi, niemal białymi włoskami. Włosy na głowie były o odcień ciemniejsze. Ładnie wygolone na karku, jakby niedawno był u fryzjera.

– Jak pan ma na imię? – spytała.

– Marek – odpowiedział.

Chyba powinna spróbować się z nim zaprzyjaźnić. Jeśli chce go wykorzystać do swojej eskapady, powinien traktować ją jak kogoś więcej niż tylko zwykłą klientkę. Kto wie, co się stanie i o jakie rzeczy będzie musiała go jeszcze prosić. Dobrze by było, żeby miał powód, by lekceważyć ewentualne wątpliwości.

– Ładnie – rzuciła.

– A dziękuję – odparł.

Na razie tylko na tyle było ją stać.

* * *

Czekali na nią przed prokuraturą. Cholera wie, skąd w ogóle wiedzieli, jak wygląda i że to ona prowadzi tę sprawę. Obsiedli ją już, gdy wysiadała z auta.

Deszcz pytań, błyski fleszy i dyktafony podsuwane jej niemal pod same usta. W pierwszym odruchu miała ochotę uciec z powrotem do samochodu i włączyć blokadę drzwi. Opanowała się jednak.

Wyprostowała się i uniosła do góry dłoń. Zamilkli, czekając, co powie. Spodobało jej się to.

– Drodzy państwo – zaczęła – nie będziemy rozmawiać na parkingu. Przejdźmy może przed główne wejście.

Ruszyła pewnie przed siebie, poszli za nią. Karnie, jak dzieci za panią w przedszkolu. Gdyby tylko wiedzieli, jak kołysała się

pod nią ziemia i ile wysiłku wkładała w to, by się nie potknąć i nie przewrócić...

Stała na schodach przed wejściem, pilnując, by mieć za plecami czerwone, blaszane tabliczki z nazwą prokuratury i godłem państwowym. Uśmiechnęła się. Niezbyt szeroko, profesjonalnie.

– Proszę – powiedziała.

– Pani prokurator, co się wydarzyło w mieszkaniu Julii Gierszewskiej?

To samo pytanie wypowiedziane jednocześnie przez co najmniej dziesięć ust, choć za każdym razem z nieco inną intonacją i składnią.

– W chwili obecnej mogę powiedzieć tylko tyle, że doszło tam do przestępstwa – odpowiedziała.

– Czy Julia Gierszewska jest w nie zamieszana? – Tym razem odezwała się jedna osoba, krótko obcięta kobieta w okularach.

– To jej mieszkanie, więc siłą rzeczy jest.

– Czy to prawda, że chodzi o morderstwo?

Szybko oceniła, co może powiedzieć, a czego nie powinna. Uznała, że wymijająca odpowiedź w sytuacji, gdy wszyscy już prawdopodobnie wiedzą, co się stało, mogłaby tylko narazić prokuraturę na śmieszność.

– W mieszkaniu odkryto zwłoki mężczyzny – wyjaśniła. – Wszystko wskazuje na to, że jego śmierć nastąpiła w wyniku intencjonalnego działania innych osób.

– Czy chodzi o partnera Julii Gierszewskiej Janusza Kozereę? – zapytał ciemnowłosa mężczyzna z krótką wystylizowaną bródką.

– Nie mogę w tej chwili udzielać takich informacji.

– Czy mordercą jest Julia Gierszewska? – Najwyraźniej uznał jej odpowiedź za potwierdzenie.

– Julia Gierszewska nie jest na razie o nic oskarżona. Rozpatrujemy różne hipotezy przebiegu wydarzeń.

– Czy to prawda, że Julia Gierszewska zniknęła?

Znowu krótka ocena sytuacji. Gdy to potwierdzi, rozpęta się piekło. Z drugiej strony, jaki jest lepszy sposób na odnalezienie dysponującej znaną twarzą poszukiwanej niż upowszechnienie tej informacji we wszystkich środkach masowego przekazu w Polsce? A coś takiego właśnie wtedy się stanie.

– Tak, nie mamy z nią kontaktu i nie wiemy, gdzie aktualnie przebywa – powiedziała. – Wszystkie osoby posiadające jakiegokolwiek informacje na ten temat proszone są o skontaktowanie się z policją lub prokuraturą.

Niemal zobaczyła, jak twarze wszystkich redaktorów gazet, serwisów informacyjnych i portali rozciągają się w szerokich uśmiechach. Czegoś takiego jeszcze w tym kraju nie było. Znana piosenkarka podejrzewana o morderstwo i poszukiwana przez policję. Będzie o czym pisać przez całe tygodnie.

ROZDZIAŁ 10

– Całkiem nieźle sobie pani poradziła.

Prokurator okręgowa Barbara Kostrzewska zaprosiła ją do swojego gabinetu natychmiast, gdy tylko Seredyńska pojawiła się w budynku.

– Dziękuję.

– Ma pani zadatki na gwiazdę telewizji. Z taką prezencją i pewnością siebie...

Przypomniała sobie, jak niemal nie zemdląła, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, odgradzając ją od pozostałych na zewnątrz dziennikarzy.

– Nie wiem, co powiedzieć...

Prokurator Kostrzewska ironicznie uniosła lewą brew.

– Najlepiej nic. Na rytualne komplementy nie ma potrzeby odpowiadać. Nawet jeśli, jak w tym przypadku, nie są do końca pozbawione podstaw.

Znowu dała się nabrać. Ironia i sarkazm były ulubionymi zabawkami jej szefowej. Używanymi szczególnie chętnie w stosunku do tych, których lubiła i szanowała.

– No dobrze, to niech mi pani teraz powie, jak wygląda sytuacja.

Seredyńska usiadła na krześle.

– No cóż – zaczęła. – Na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się jasne. Mamy ofiarę, narzędzie zbrodni, prawdopodobnego sprawcę i wiarygodny motyw.

– Jaki?

– Przemoc domowa. Jest świadek, który twierdzi, że Janusz Kozera znęcał się nad Julią Gierszewską. Nie pierwszy to raz, gdy maltretowana kobieta zabija w końcu swojego oprawcę.

– To o co chodzi?

– O dowody. Na narzędziu zbrodni nie znaleziono odcisków palców Gierszewskiej. Świadek zaś to ukraińska sprzątaczką. Wszyscy jesteśmy oczywiście równi wobec prawa, lecz sama pani wie, że wiarygodność takiego świadka dość łatwo podważyć. Jeśli zajmie się tym zdolny adwokat, a należy sądzić, że przy tym szumie medialnym raczej nie zabraknie do tego chętnych, zostaniemy z niczym. Kluczowe mogą się tu okazać zeznania samej Gierszewskiej, niestety nie mamy do nich póki co dostępu, bo nasza główna podejrzana zniknęła.

Prokurator Kostrzewska kiwnęła głową.

– Tak, słyszałam. Trudno o tym nie usłyszeć. Mamy zdaje się polską wersję ucieczki O.J. Simpsona.

– Różnica jest taka, że samochód Simpsona śledziły policyjne helikoptery, a my nie mamy zielonego pojęcia, gdzie ona może być.

– Co w takim razie wiemy?

– Wiemy, że Julia Gierszewska była w swoim mieszkaniu lub w jego pobliżu około południa, czyli kilkanaście godzin po tym, jak doszło tam do zabójstwa. Potem zamówiła taksówkę na ten adres, lecz nigdy do niej nie wsiadła. Jej telefon ostatni raz logował się w Konstancinie. Kamera monitoringu zamontowana przy wejściu do apartamentowca, w którym znajduje się jej mieszkanie, zarejestrowała, jak wychodzi stamtąd, ciągnąc małą walizkę na kółkach. Sama. Portier również potwierdza, że ją widział. Potem ślad się urywa. Żadna inna korporacja taksówkarska nie zarejestrowała zlecenia na ten adres w tym samym czasie. Policja sprawdziła monitoring

na stacji metra Dworzec Gdański, która znajduje się w najbliższej okolicy. Żadna z kamer nie zarejestrowała jej wsiadającej do pociągu. Podobnie sprawa wygląda, jeśli chodzi o linie autobusowe i tramwajowe. Gierszewska nie ma własnego samochodu, a samochód Kozery został w garażu.

– Miała współnika? – spytała Kostrzewska.

– Tylko po co wtedy zamawiałaby wcześniej taksówkę? Z drugiej strony, gdyby chodziło na przykład o porwanie, to dlaczego wyszła sama? Parę rzeczy tu się mocno nie klei.

Prokurator Kostrzewska z namysłem pokiwała głową.

– Wstrzymajmy się wobec tego na razie z postawieniem jej jakichkolwiek zarzutów – powiedziała. – Oficjalnie jest po prostu poszukiwana.

– To chyba rzeczywiście najrozsądniejsze – zgodziła się Seredyńska. – Ale w tym momencie moja rola się chyba póki co kończy – zauważyła. – Poszukiwania to rola policji.

– I tak, i nie – rzuciła Kostrzewska. Spojrzała na nią znad swoich staromodnych okularów w złotej oprawce.

– To znaczy?

– Pani Gabrielo. – Jej szefowa najwyraźniej starała się ważyć słowa. – Wybrałam panią do tego śledztwa nie bez powodu. Najpoważniejszym jest ten, że pochodzi pani spoza Warszawy i nie ma pani żadnych związków z miejscowym środowiskiem prawniczym. To pani atut, choć być może również obciążenie.

Zabrzmiało to tak, jakby pukały do jej drzwi kłopoty.

– Co pani ma na myśli? – spytała ostrożnie.

– Wie pani, kim był ojciec Julii Gierszewskiej?

– Nie.

– Profesor Lucjan Gierszewski, wieloletni dziekan Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, autor wielu prac naukowych i podręczników, członek władz aktualnie

miłościwie nam panującej partii, za jej poprzednich rządów wiceminister sprawiedliwości.

Faktycznie przypominała sobie nazwisko Gierszewski na jednym z mniej istotnych podręczników.

– Co w związku z tym? – spytała.

– Profesor Gierszewski zginął w tragicznych okolicznościach. Nie słyszała pani o tym?

– Nie. – Pokręciła głową.

– Pewnie to nic dziwnego, mieszkała pani wtedy w innym mieście i chodziła do szkoły podstawowej. Tu, w Warszawie, w naszym środowisku, była to bardzo głośna sprawa.

– W dalszym ciągu, pani prokurator, nie rozumiem, co to ma do rzeczy – powiedziała, choć już przeczuwała, że wyjaśnienie nie za bardzo jej się spodoba.

– No cóż, i mówię to wyłącznie nieoficjalnie – zaznaczyła Kostrzewska – Julia była zamieszana w śmierć swojego ojca. Zostało to wyciszone i zatuszowane; właśnie zbliżały się wybory i taki skandal był bardzo nie na rękę wielu ważnym ludziom. Teraz ci sami ważni ludzie rządzą w Ministerstwie Sprawiedliwości. Muszę pani więcej tłumaczyć?

– W jaki sposób była zamieszana? – spytała Seredyńska.

– Nie wszystko wiem, moja pozycja wówczas była znacznie niższa niż obecnie, mogę tylko powiedzieć, że bardzo.

– Zabiła go?

– Oficjalnie był to wypadek. Julia trafiła potem na jakiś czas do zakładu psychiatrycznego. Gdy z niego wyszła, zajęła się muzyką.

– Dlaczego sprawę zatuszowano? – spytała. – Zabójstwo dokonane przez chorą psychicznie córkę to chyba odrobinę za mało.

– Wszystko wskazuje na to, że Julia Gierszewska miała dość dobry powód, by zrobić to, co zrobiła – odpowiedziała

wymijająco Kostrzewska.

– Molestowanie? Przemoc domowa?

– Proszę mnie nie pytać, naprawdę nie wiem. Lecz sama pani rozumie, że sprawa jest delikatna i że musi ją pani prowadzić ostrożnie. Tak, by sprawiedliwości stało się zadość, ale by jednocześnie nie pogрузić swojej – i mojej przy okazji – kariery.

– A jeśli tych dwóch rzeczy nie da się pogodzić?

– Cóż... – Prokurator Kostrzewska uciekła spojrzeniem gdzieś w bok. – Wtedy oczywiście sprawiedliwość przede wszystkim...

ROZDZIAŁ 11

Minęli kolejną niewielką miejscowość z niskimi, po mazowiecku biednymi domkami zbudowanymi wzdłuż szosy.

– Cholera – powiedział. – Powoli kończy nam się paliwo. Przydałaby się jakaś stacja.

– Jak bardzo powoli? – spytała.

– Słucham?

– Jak bardzo powoli nam się kończy?

Spojrzał na deskę rozdzielczą.

– Rezerwa świeci się już jakiś czas. Nie planowałem tak długiej trasy. Jeszcze ze czterdzieści kilometrów może przejedziemy.

– A gdzie jesteśmy?

– Diabli wiedzą. – Wzruszył ramionami. – Nie znam tych terenów. Ale widziałem drogowskaz na Warkę.

– To jedźmy tam. Jest tam stacja?

– Powinna być.

Przyglądała się mijanym okolicom, bo to pozwalało jej nie myśleć. Rachityczne laski, płaski teren. W jakiś niewytłumaczalny sposób czuć było tu bliskość wielkiej rzeki. Ciekawe, jak daleko stąd płynęła Wisła. I w którą dokładnie stronę? Dziwna sprawa, mimo że mieszkała całe życie w Warszawie, w ogóle nie znała jej najbliższego otoczenia. Wszystkie wakacje spędzała zawsze za granicą, a jeśli już w Polsce, to w Sopocie albo na Mazurach.

– Dlaczego pokłócił się pan z dziewczyną? – spytała nagle, jakby to pytanie wyskoczyło z niej samo. Ale to może i dobrze, w końcu powinna nawiązywać z tym człowiekiem nic porozumienia.

Nie odpowiedział od razu.

– Wie pani, jak to jest – odezwał się w końcu. – W każdym związku jednej osobie zależy bardziej, a drugiej mniej. Ta pierwsza jest zawsze na straconej pozycji. No więc jej zależy mniej.

Coś o tym wiedziała. Jej też zawsze zależało bardziej. Nawet gdy, obiektywnie rzecz biorąc, to ta druga strona miała ku temu więcej powodów. Tak jak ostatnio.

– Mieszkacie razem? – spytała.

– Nie – odparł. – Ona... – zawahał się – nie chce się zaangażować. Nie chce przyznać, że jesteśmy razem, przekroczyć tej granicy...

Przynajmniej nie wysysa cię jak pijawka, pomyślała.

– Niech pan da sobie z nią spokój – powiedziała. – Takie rzeczy trzeba kończyć i próbować zacząć z kimś innym od nowa.

– Tak sobie właśnie ostatnio pomyślałem – odpowiedział. – Takie rzeczy trzeba kończyć. I próbować zacząć od nowa z kimś innym.

Rzeczywiście przydałaby się stacja. Rano nic nie zjadła ani nawet nie napiła się wody. Była zbyt mocno zaaferowana... tamtym. Teraz poczuła się głodna. Życie domagało się uwagi. Świat się nie skończył, skoro burczało jej w brzuchu.

Wjechali wreszcie do jakiejś większej miejscowości. Minęli tabliczkę z napisem „Warka”. Miasto, którego nazwa jest jednocześnie marką piwa. Musi tu być wesoło, pomyślała.

Nie było. A przynajmniej nie na pierwszy rzut oka. Zrozumiała, dlaczego nie spędzała wakacji w Warce.

Krążyli chwilę po ulicach, aż w końcu znaleźli to, czego szukali. Duże, czerwone, dość brzydkie logo umieszczone na wysokim słupie obwieszczało z daleka, że pod nim znajduje się stacja jednej z zagranicznych sieci. Skręcili i wjechali na jej teren. Kierowca zatrzymał samochód przy jednym z dystrybutorów.

Spojrzała na deskę rozdzielczą. Zupełnie przypadkiem, po prostu jej mózg bezwiednie zareagował na ruch, gdy on wyciągał kluczyk ze stacyjki.

– Nie! – krzyknęła nagle.

Odwrócił się zdziwiony.

– Co: nie? – spytał zdezorientowany.

Niebieskie oczy patrzyły na nią uważnie. Miała wrażenie, że prześwietlają ją na wylot.

– Nie ta stacja – powiedziała. – Musimy jechać dalej.

– Dlaczego?

Nie mogła wyjawić mu prawdziwego powodu. Tego, że właśnie zbliżała się czternasta i że na stacjach benzynowych zazwyczaj z głośników słychać radio. A w niemal każdej rozgłośni o pełnej godzinie nadawany jest serwis informacyjny. Serwis, w którym dzisiaj główną sensacyjną wiadomością będzie zabójstwo jej menadżera oraz jej zniknięcie.

– Obiecałam sobie, że będę tankować tylko na polskich stacjach – powiedziała pierwsze, co przyszło jej do głowy.

– Słucham?

Było to tak głupie wytłumaczenie, że już niemal pogodziła się z tym, że ją przejrzał i że za chwilę zawiezie ją na najbliższy komisariat.

– Jestem patriotką. – Szła mimo to w zaparte. – Wspieram polską gospodarkę. To bardzo ważne zwłaszcza teraz, w dobie pandemii i kryzysu.

Przez moment przyglądał jej się w milczeniu.

– To bardzo się chwali – powiedział. – Ale benzyny jest już naprawdę bardzo mało. Proszę spojrzeć, już nawet nie pokazuje, ile jeszcze możemy przejechać.

Podążyła wzrokiem za gestem jego dłoni. Faktycznie tam, gdzie zazwyczaj wyświetlana była liczba kilometrów, które jeszcze zostały do wyczerpania paliwa, świeciły się tylko trzy poziome kreski.

– Poza tym to niezbyt duże miasto. Nie wiadomo, czy jest tu jeszcze jakaś stacja – dodał.

– Na pewno jest – odpowiedziała. – W każdym mieście jest Lotos albo Orlen. Niech pan poszuka.

Postarała się nadać swojemu głosowi ton, jakim mówią pewne swoich przekonań kretynki. Takie, z którymi niemożliwa jest żadna dyskusja.

– Jak pani chce – rzucił i odwrócił się w stronę kierownicy. – To w końcu pani wycieczka.

ROZDZIAŁ 12

Wróciła do swojego gabinetu. Opadła na krzesło. No ładnie. Niezły klops. Próbowała przypomnieć sobie raz jeszcze rozmowę ze swoją przełożoną, każde jej zdanie, każde słowo, każdą zmianę tonu i każdy mimowolny gest. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że prawdziwe intencje i motywy prokurator Kostrzewskiej były nieco inne niż te, o których jej powiedziała. Że powód, dla którego wybrała do prowadzenia tej sprawy właśnie ją – wciąż młodą, wciąż nieprzesadnie doświadczoną i wciąż niezbyt dobrze umocowaną w miejscowym środowisku prawniczym prokurator Sereżyńską – nie były dokładnie takie, jakie jej przedstawiła. Może chodziło właśnie o to, by wybrać kogoś, kto nie zdoła dojść do prawdy? Kogoś, kogo w razie czego nie będzie szkoda poświęcić? Była tu najmłodsza stażem, najmniej powiązana siecią wzajemnych przysług i zależności, nie stała za nią żadna rodzina, dynastia ani kancelaria, nikt, kogo reakcji trzeba by się potem obawiać. Jeśli kogoś mieli wyrzucić z sań wilkom na pożarcie, to właśnie ją. Do tej pory miała co prawda wrażenie, że szefowa ją lubi, i chyba rzeczywiście tak było, lecz, z drugiej strony, czy zawahałaby się złożyć ją w ofierze, gdyby to miało uratować jej własną karierę? Ktoś, kto zaszedł tak wysoko jak ona, musiał posiadać umiejętność radykalnych decyzji.

Lecz może nie miała racji, może niesłusznie przypisywała jej aż tak złe intencje?

Chwyliła telefon i zadzwoniła do podkomisarza Nowaczyka. Spytała o postępy i ze zniecierpliwieniem wysłuchiwała jego równie zniecierpliwionej odpowiedzi.

– Wszystko ma być na *cito* – niemal krzyknęła. – Sekcja zwłok, raport techników, wszystko! Ta sprawa ma absolutny priorytet.

Jakby pośpiech cokolwiek załatwiał. Jakby to w tym był problem.

– A, i nie zapomnijcie o zbadaniu tego komputera – dodała.

Co jeszcze mogła zrobić? Nic. Tylko czekać. Aż policja odnajdzie Julię Gierszewską, aż medialny list gończy, który przed chwilą wystawiła za nią na tej zaimprovizowanej konferencji prasowej, odniesie swój skutek.

Przypomniała sobie komisarza Aleksanderskiego, gburowatego, starszego policjanta, który traktował ją niemal jak córkę. Poznała go przy okazji swojej pierwszej dużej sprawy. Dlaczego wszystkich śledztw nie mogła prowadzić razem z nim? Bardzo dawno go już nie widziała. Poczowała wyrzuty sumienia. Powinna się z nim skontaktować, naprawdę sporo razem przeszli. Wielokrotnie o tym myślała, ale zawsze było coś ważnego do zrobienia, co powodowało, że odkładała to na później. Z ich wspólnej wyprawy na ryby, którą mu obiecała, nic oczywiście nie wyszło. Nie wiedziała nawet, czy wciąż pracuje w piątej komendzie na Bielanach, czy przeszedł już na emeryturę. Potwierdzała się po raz kolejny smutna prawda, że trudno utrzymywać kontakty z kimś, z kim nie łączą nas konkretne sprawy do załatwienia.

Teraz by jej się przydał. Potrzebowała kogoś, komu mogłaby ufać. No i może coś wiedział, w końcu powinien pamiętać tamte wydarzenia.

Po raz drugi podniosła komórkę i wybrała jego numer. Odebrał prawie natychmiast, po drugim sygnale. Jakby trzymał

aparatu w rękę i czekał na jej telefon.

– Cześć – powiedziała. – Co słychać?

– O, pani prokurator! – Usłyszała lekko schrypnięty głos starego tura. – Miło, że się pani w końcu odezwała.

Była w tym oczywiście ironia, ale bez pretensji czy uszczypliwości. Stary glina ją lubił; nie wyglądało na to, że coś się pod tym względem zmieniło.

– Spotkamy się? – spytała. – Może wyskoczymy coś razem zjeść?

– Czemu nie? – odparł. – Jedzenie to jedna z niewielu przyjemności, na które pozwalają mi lekarze. Ewentualnie i pod wieloma zastrzeżeniami, ale pozwalają. Kiedy?

– Dziś – rzuciła szybko. – Najlepiej teraz. Możesz za pół godziny?

– Masz sprawę? – Roześmiał się. – Czekałem na to. Wiedziałem, że prędzej czy później coś takiego się pojawi.

Znowu – żadnej złośliwości, żadnych wyrzutów, raczej rozbawienie wynikające z głębokiej znajomości ludzkiej natury.

– To jak? – spytała.

– Jasne. Ale ty stawiasz. Jestem na emeryturze i nie stać mnie na takie fanaberie.

* * *

– Ta może być? – spytał z lekką ironią w głosie.

– Tak. Ta jest idealna – odpowiedziała.

Minęła czternasta piętnaście, każda stacja byłaby teraz dobra.

Zajechali przed dystrybutor. Wysiadł i założył maseczkę, po chwili poczuła zapach benzyny wlewającej się do baku.

Spięła włosy gumką, włożyła ciemne okulary, a na głowę granatową bejsbolówkę z logo nowojorskich jankesów – pamiątkę po zeszłorocznym pobycie w Stanach. Przejrzała się w lusterku puderniczki. W tym stroju i z tą maseczką na twarzy przypominała bardziej członka elitarnego oddziału do zadań specjalnych niż piosenkarkę z aspiracjami do bycia gwiazdą popkultury. Nikt nie powinien jej rozpoznać. Chwała pandemii, pomyślała.

Wysiadła. Stacja była całkiem w porządku, jedna z tych większych. Z barem, w którym można była zjeść różne rzeczy na ciepło, co obwieszczały wielkie zdjęcia na ścianach. Poczwała, jak bardzo jest głodna.

Weszła do środka. Najpierw toaleta. Tego też potrzebowała, i to od dawna. Fizjologia nie przestaje działać nawet podczas apokalipsy.

Teraz pora na drugą z najważniejszych potrzeb – jedzenie. Wydaje nam się, że jesteśmy czymś w miarę stałym, skończonym, pewnym, a tymczasem wszystko przez nas cały czas przyływa – powietrze, materia, woda. Jesteśmy tylko punktem przeładunkowym dla atomów. I dla zdarzeń, które się wokół nas dzieją.

Dziwne myśli jak na kogoś, kto niedawno roztrzaskał czyjąś głowę, pomyślała. Po czymś takim nie przyjmują raczej do buddyjskiego klasztoru. „Dzień dobry, jestem morderczynią, chciałabym osiągnąć harmonię z istotą wszechrzeczy”. „Ma pani zamiar jeszcze kogoś zabić?” „Nie wiem, tamtego też nie planowałam. Szczerze mówiąc, nie pamiętam nawet, jak do tego doszło”. „Rozumiem. W takim razie odezwiemy się do pani”.

Odstała swoje w krótkiej kolejce do kasy, starając się mimo maseczki, okularów i czapki patrzeć przez cały czas w podłogę i wydawać się jeszcze mniejszą niż była, po czym zamówiła

latte i wegetariańskiego burgera z ciecierzycy. Próbowwała dojrzeć w oczach sprzedawczyni oznaki wskazujące na to, że ją rozpoznała, lecz nic takiego nie zauważyła. Kobieta miała na twarzy przyłbicę z pleksiglasu i zaszczyliła ją nie więcej niż jednym spojrzeniem. W sumie oddzielały ich od siebie trzy warstwy różnych materiałów ochronnych, więc prawdopodobnie nawet gdyby zjawiła się tu sama Marilyn Monroe, to gdyby tylko była w maseczce, kobieta mogłaby nie zwrócić na nią uwagi.

Czekając, aż jej zamówienie będzie gotowe, podeszła do stoiska z gazetami. Było z boku i mogła dzięki temu stać tyłem do reszty stacji. Omiotła wzrokiem bez specjalnego zainteresowania okładki czasopism wystawionych na stojaku. I wtedy to zobaczyła. Siebie. Swoje zdjęcie na pierwszej stronie magazynu dla kobiet.

Zupełnie o tym zapomniała. Tyle było tych rozmów i wywiadów ostatnio. Tamten człowiek coś zdaje się o tym wspominał. Że to w tym tygodniu. Zmasowane uderzenie medialne, tak o tym mówił. No to teraz będzie druga fala. Jeszcze większa i silniejsza, bo tym razem podlana krwią. Nieźle to piarowo rozegrali, nie ma co.

Dziwnie tak stać twarzą w twarz z samą sobą. Patrząc sobie w oczy. Przypomniała sobie tamtą sesję zdjęciową. Kiedy to było? W zeszłym miesiącu chyba. Duża, przemyślana hala niedaleko lotniska Okęcie. Stary, chudy fotograf z bokobrodami po obu stronach twarzy, podobno najlepszy w te klocki. I ona – podekscytowana, pełna energii, jak zawsze wtedy, gdy miała widownię. Nawet gdy ta widownia ograniczała się tylko do fotografa, jego asystenta i kilkorga ludzi z obsługi.

Jakże to było dawno, w jak innym świecie... Uśmiechnięta twarz, chyba nawet szczerze. Całkiem naturalnie to wyszło.

Tylko te oczy. Puste, jakby bez wyrazu. Ale tak miała zawsze, na wszystkich zdjęciach.

Ktoś do niej podszedł, stanął obok. Odruchowo wtuliła głowę w ramiona. Poczowała zimny pot i suchość w ustach. Teraz na pewno ją rozpoznają. Stała w końcu przed własnym listem gończym.

– Nie bierze pani? – Usłyszała. Kobięcy głos, raczej starszy. Ręka wyciągnęła się i chwyciła gazetę z jej zdjęciem na okładce. – W całej Warce tego szukałam, wszędzie już wykupili. A tu są i to nawet dwie. To co, bierze pani?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała, starając się zmienić barwę swego głosu. Dość dziwnie to zabrzmiało. Jakby grała w jakiejś kiepskiej komedii.

Kobieta najwyraźniej jednak nie zwróciła na to uwagi.

– To ja wezmę obie. Najwyżej siostrze dam. – Ręka wyciągnęła się ponownie. – Co za historia, słyszała pani? Coś takiego... I to nie wiadomo, czy to ona zabiła, czy ją porwali... Różnie o tym mówią. Muszę syna poprosić, żeby mi puścił te jej piosenki, bo do tej pory to ja o niej nie słyszałam, a to podobno jakaś sławna piosenkarka jest.

Czyli została w końcu sławną piosenkarką, super. Skoro nawet w Warce ją znają... Takie morderstwo to świetny chwyt marketingowy. Pewnie jej płyty będą się teraz sprzedawać jak świeże bułeczki.

– Popatrz pani – kontynuowała kobieta niezrażona jej brakiem reakcji – była sławna, piękna, młoda i bogata. I tak jej się porobiło... – dodała z nutką jednak pewnej satysfakcji w głosie. – Czyli, tak sobie myślę, że jednak nie mamy w życiu aż tak źle...

Od dalszego wysłuchiwanie prawd na temat własnego życia wybawił ją głos kasjerki obwieszczający, że jej zamówienie jest już gotowe do odbioru. Odwróciła się.

Kierowca stał niecałe dwa metry za nią w białej bawełnianej maseczce na twarzy. Trzymał w prawej ręce hot doga.

Stanęła jak wryta. Poczowała ucisk w gardle i w żołądku. Jak długo tu był? Ile z tego słyszał? Czy to znaczy, że już wie?

Trudno jednak wyczytać cokolwiek z wyrazu twarzy ukrytej za maską.

– Możemy już jechać – rzucił.

W tonie jego głosu też nie było nic niepokojącego.

– Tylko odbiorę zamówienie – odpowiedziała.

ROZDZIAŁ 13

Spotkali się w niewielkiej chińskiej restauracji niedaleko prokuratury. Czekał już na nią. Wstał, gdy tylko ją zobaczył. Chyba mu się przytyło i nieco się postarzał, choć może po prostu długo go nie widziała i zapomniała, że tak właśnie wygląda. Sprawiał wrażenie bardziej wypoczętego niż kiedyś, choć jednocześnie zagubił gdzieś dawną wewnętrzną siłę, która pozwalała zapomnieć, ile naprawdę ma lat. Jakby przejście na emeryturę przeprawiło go ostatecznie na drugą stronę rzeki starości.

Na jej widok jego twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. To także było inne. Kiedyś nie pozwalał sobie na tak jednoznaczne okazywanie uczuć. Ona też się ucieszyła. Przywitali się i uściskali serdecznie. Po ich dawnym szorstko-ironicznym stosunku służbowym, spod którego tylko czasami przebijała wzajemna sympatia, nie pozostał nawet ślad.

Usiedli. Po obowiązkowej turze rozmów o starych dobrych czasach i po zamówieniu potraw (ona wzięła domowe tofu, on kurczaka gong bao z orzechami ziemnymi), przeszła do rzeczy.

– Słyszałeś o sprawie Julii Gierszewskiej? – spytała.

– Kto nie słyszał? – odpowiedział.

– Prowadzę to – oznajmiła.

Kiwnął głową.

– O tym też słyszałem. Dobrze wypadłaś. Ładnie wyglądasz w telewizji.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się.

– Czemu nie skomentował tego rzecznik prasowy, tylko ty? – spytał.

– Dorwali mnie na parkingu, musiałam coś powiedzieć.

– Skąd wiedzieli, że ty się tym zajmujesz?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – odpowiedziała.

– Wystawili cię – Popatrzył na nią poważnie.

– Tak myślisz? – Uniosła brwi do góry.

– Na sto procent. Tak szybki przeciek w tak gorącym temacie... Moim zdaniem nie ma innej opcji.

– Po co mieliby to robić?

– Żebyś była twarzą tej sprawy. Przyda się, gdyby potrzebowali kozła ofiarnego.

– Gdyby kto potrzebował? – spytała.

– Nie wiem. – Tym razem to on wzruszył ramionami. – Twoja szefowa, jej szef, może ktoś z samego ministerstwa...

– Co jest w niej takiego, że muszą tak się zabezpieczać? – spytała.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo akurat kelner przyniósł napoje. Zieloną herbatę z prażonym ryżem dla niej i małe piwo dla niego.

Uniósł szklankę do ust. Opróżnił całą niemal od razu. Zostawił tylko dla przyzwoitości trochę na dnie.

– Cóż – powiedział. – Zdążyłem trochę poszperać, popytać starych znajomych, bo przypuszczałem, że będzie cię to interesować, ale nie wszystko jeszcze wiem.

– Spoko, nie dałam ci zbyt wiele czasu – odparła. W końcu zadzwoniła do niego pół godziny temu.

Popatrzył na nią z filuternym błyskiem w oku.

– Zająłem się tym, gdy tylko zobaczyłem cię w telewizji – powiedział. – Coś czułem, że będzie ci potrzebna pomoc.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Dobrze mieć przyjaciół.

– To czego się dowiedziałeś?

Podniósł szklanke i wypił piwo do końca.

– Wiesz, co to jest czernina? – spytał.

– Czernina?

– Tak.

– Zupa z kaczej krwi – odpowiedziała.

– Z kaczej, gęziej lub świńskiej. Potrawa regionalna, popularna zwłaszcza na terenie Wielkopolski i Kujaw. Gotowana z dodatkiem octu i suszonych owoców, podawana z kluskami – wyjaśnił. – Bardzo smaczna, swoją drogą – dodał. – Moja babcia taką gotowała.

– Nawet mi nie mów. – Aż się wzdrygnęła. – Ale co to ma do rzeczy?

Odstawił szklanke z wyraźnym żalem.

– No więc gdy znaleziono ojca Gierszewskiej – zaczął – w kuchni na gazie stał garnek z zupą. Nikt nie zwrócił na to w pierwszej chwili uwagi, wokoło było naprawdę mnóstwo śladów do zbadania, a to był w końcu tylko garnek z zupą gotowaną zapewne na niedzielny obiad. Ktoś jedynie wyłączył gaz, żeby nie wykypiała. Pachniała ładnie, owocowo, a wśród techników i policjantów większość pochodziła z Warszawy, więc z niczym im się ten zapach nie skojarzył.

– Nie mów, że... – Poczula zimny dreszcz.

– Wiesz, jak to jest... Szukamy rzeczy, które spodziewamy się znaleźć, a to było naprawdę... niespodziewane.

– Jezus Maria...

– Dopiero w czasie sekcji patolog odkrył, że ciało ofiary jest prawie całkowicie pozbawione krwi. Nie zgadzało się to z obrazem miejsca zbrodni, gdzie śladów krwi nie było aż tak znowu wiele. Technicy wrócili do zapieczętowanego

mieszkania i wtedy dopiero zwrócili uwagę na ten garnek. Zdążyła już się na nim pojawić pleśń...

– Cholera jasna...

– Technicy dokładnie zbadali naczynia kuchenne. Talerze były już pozmywane, ale jak wiesz, krew zostawia bardzo trwałe ślady. Na dwóch głębokich talerzach do zupy je odnaleziono...

– Na dwóch? – Poczula, jak robi jej się niedobrze.

– Rodzina składała się z trzech osób: ojca, matki i córki.

– To znaczy, że matka i córka...

– Zjadły obiad z tatusia – dokończył za nią.

Akurat kelner przyniósł potrawy. Spojrzała na nie z niechęcią.

Jemu to jednak nie przeszkadzało. Wziął w rękę widelec, odsuwając jednocześnie na bezpieczną odległość pałeczki, i zaczął jeść.

– Co tam się w ogóle stało? – spytała, starając się nie patrzeć na kawałki mięsa na jego talerzu.

– Oprócz tego, że ojciec rodziny został zaszlachtowany nożem? – spytał z pewnym rodzajem rozbawienia. – Nikt tego dokładnie nie wie. Julię znaleziono, jak siedziała przy stole w stanie kompletnej katatonii. Nie było z nią żadnego kontaktu. Gdy doszła do siebie, nic nie pamiętała. Matka zachowywała się, jakby nic się nie stało. Zupełne wyparcie. Lekarz stwierdził potem głęboki epizod psychotyczny.

– To ona zabiła, matka?

Całe szczęście przełknął, zanim odpowiedział.

– Nie. Przyjęto, że Julia, ale dowody nie były jednoznaczne.

– Dlaczego?

– Na nożu znaleziono jej odciski palców. Ale na metalowym świeczniku, którym zadano ostateczny, śmiertelny cios, również odciski palców matki.

– Czemu w takim razie uznano, że to Julia zabiła?

– Bo kiedy weszli tam policjanci, Julia trzymała ten świecznik na kolanach. Poza tym tak było wygodniej. Julia była niepełnoletnia. Przyjęto, że w momencie popełnienia przestępstwa była też niepoczytalna. Skoro była nieletnia i niepoczytalna, to w zasadzie załatwiało sprawę. Zbliżały się wybory, Lucjan Gierszewski był wiceministrem sprawiedliwości, sama rozumiesz. Uznano, że to najprostszy sposób, by szybko zakończyć śledztwo i proces. Tak przynajmniej twierdzą ci, których pytałem.

– To dlaczego to wciąż tak gorący temat? – spytała.

– Minister sprawiedliwości był wtedy ten sam, co teraz – odpowiedział. – I to on podobno kazał ukręcić łeb sprawie. Poza tym sytuacja nieco się skomplikowała. Julia Gierszewska już nie jest jakąś tam nastolatką. Jej nazwisko gwarantuje nagłośnienie tematu we wszystkich mediach. Gównu jest więc może i to samo, ale wentylator, w który może wpaść, już znacznie większy.

– I to jedyny powód?

– Jedyny, jaki znam.

– Co się stało potem z Julią i z jej matką?

– Julia trafiła na jakiś czas do szpitala psychiatrycznego. Potem z niego wyszła i słuch o niej zaginął. Wypłynęła już jako piosenkarka. Matka, z tego, co wiem, jest w tym szpitalu do dziś. Nie jesz? – spytał, patrząc na jej nietknięty talerz.

Spojrzała z niechęcią w dół. Wyciągnęła pałeczki.

– Nie lubię, jak jest za gorące – odpowiedziała.

Dobrze przynajmniej, że zamówiła wegetariańskie danie.

ROZDZIAŁ 15

Klinika Psychiatryczna przy ulicy Sobieskiego w Warszawie. Kiedy ostatni raz tu była, zareagowała na to dwudniową depresją. Trudno w takim miejscu pozbyć się myśli, jakie czasami ma się, chodząc skrajem przepaści – że to, co jest tam, po drugiej stronie, jednocześnie przeraża nas i pociąga, i że nie tyle boimy się nieostrożnego kroku, który mógłby nas zrzucić w tę otchłań, co tego, że sami chcielibyśmy ten krok wykonać.

Poza wszystkim było to też bardzo smutne miejsce. Niedoinwestowane, błagające o remont, wyglądające bardziej jak muzeum niż jak działający szpital. Jakże różne i coraz bardziej odstające od szpitali dla „normalnie” chorych pacjentów, już w większości odnowionych i lśniących świeżą farbą. Jakby również państwo i społeczeństwo bały się podświadomie, że jeśli tylko przestaną odwracać wzrok od ziejącej z tych murów czeluści, także nabiorą ochoty, by w nią wskoczyć.

I może bały się niebezpiecznie. Każdy naród musi przynajmniej raz w ciągu swojej historii zwariować, a prokurator Sereżyńska miała ostatnio nieodparte wrażenie, że ten moment w dziejach Polski nieuchronnie się zbliża. I że gdyby można było leczyć i badać całe zbiorowości, tak jak się to robi z pojedynczymi ludźmi, zapewne u większości z nich, jeśli nie u wszystkich, dałoby się zdiagnozować głębokie traumy, psychozy, kompleksy i syndromy stresu pourazowego. Czasami

te wszystkie problemy nawarstwiają się i kumulują w taki sposób, że normalne życie społeczne przestaje być możliwe. Cały naród, tak jak teraz, zaczyna przypominać wtedy dysfunkcyjną, toksyczną rodzinę, której członkowie ranią się zamiast wspierać i nienawidzą zamiast kochać.

Kobieta, która siedziała przed nią na krześle – pięćdziesięciokilkuletnia, dość drobna i milcząca – była zadbana tak, jak może być zadbany ktoś, kto od kilkunastu lat przebywa w szpitalu psychiatrycznym. Jej gęsto już przetykane siwizną jasnobrązowe włosy upięte były w niedbały kok, za duże jakby w porównaniu z wychudłą twarzą zielone oczy w ładnej, ciemnej oprawie brwi wyraziście odznaczały się od bladej cery i to pomimo braku jakiegokolwiek makijażu. Była ładna, a kiedyś musiała być naprawdę piękna.

– Dzień dobry – przywitała się. – Prokurator Gabriela Seredyńska, Prokuratura Okręgowa w Warszawie – przedstawiła się. – Dostałam zgodę od pani lekarza prowadzącego na rozmowę z panią. Czy pani również wyraża na nią zgodę?

Kobieta popatrzyła na nią zaskakująco przytomnym wzrokiem.

– Skoro jest pani prokuratorem, to chyba nie mam wyjścia – zauważyła.

– Sprawa dotyczy pani córki, więc zgodnie z prawem ma pani możliwość odmowy składania zeznań.

– Julii? – Przez jej twarz przemknął wyraz zaniepokojenia. – Coś się stało?

Matka Julii Gierszewskiej była zdaje się ostatnią osobą w Polsce, która tego nie wiedziała.

– Pani córka jest zamieszana w zabójstwo – zaczęła ostrożnie. – Nie wiemy jeszcze dokładnie, w jaki sposób. Ofiarą jest jej menadżer i partner życiowy Janusz Kozera. Do

zabójstwa doszło w jej mieszkaniu, dlatego to ona póki co jest najbardziej prawdopodobną podejrzaną.

Twarz kobiety ściągnęła się.

– Jezus Maria – wyszeptała. – A co z nią? Nic jej się nie stało?

– Tego również nie wiemy – odparła Seredyńska. – Pani córka zniknęła, nie możemy się z nią skontaktować i nie wiemy, gdzie jest.

– Ale nic jej się nie stało? – powtórzyła kobieta, jakby nie do końca zrozumiała, co przed chwilą usłyszała.

– Najprawdopodobniej nie. – Prokurator postanowiła ją nieco uspokoić. – W każdym razie nie mamy na ten temat żadnych informacji.

– To dobrze – odpowiedziała kobieta. – To gdzie teraz jest?

– Właśnie to próbujemy ustalić. Chcemy ją przesłuchać, żeby wyjaśnić jej rolę w tym zdarzeniu. I upewnić się, że nic jej nie grozi.

– Coś jej grozi? – Znowu niepokój.

– Nie możemy tego wykluczyć. Dlatego tak ważne jest, żeby nam pani pomogła. Pomogła ją znaleźć.

– Nie wiem, gdzie jest – odparła kobieta. – Nie odwiedza mnie tu. Nikt mnie tu już nie odwiedza.

Wypowiedziane to było bez smutku, jak zwykle stwierdzenie faktu. I może właśnie przez to zabrzmiało dość wstrząsająco.

– Pani Julito – zwróciła się do niej po imieniu, próbując wzbudzić jej zaufanie. – Zdaję sobie sprawę, że nie posiada pani takich informacji, ale może zna pani miejsce, do którego pani córka mogłaby się udać w takiej sytuacji? Miejsce, o którym nikt inny oprócz niej nie wie. Miejsce, w którym mogłaby się ukryć i w którym czuła się zawsze bezpiecznie.

– Nie sądzę, by moja córka czuła się gdzieś bezpiecznie – odpowiedziała kobieta. Znowu nad wyraz trzeźwo.

– Dlaczego tak pani sądzi?

– Poczucie bezpieczeństwa buduje się w dzieciństwie. Tak twierdzą lekarze. Nie daliśmy jej chyba na to szans.

Seredyńska pomyślała o własnym dzieciństwie. Szybko stłumiła jednak tę myśl. Nie czas było teraz na takie refleksje.

– Rozumiem – powiedziała. – Muszę jednak powtórzyć pytanie: czy zna pani takie miejsce, do którego mogłaby się udać pani córka? Proszę się dobrze zastanowić. Tu może chodzić o jej bezpieczeństwo.

Kobieta pokręciła wolno głową.

– Nie, nie ma takiego miejsca.

– Dom babci, domek letniskowy, do którego jeździliście, gdy była mała, wasze stare mieszkanie?

– Nie ma takiego miejsca – powtórzyła.

– Nic pani nie przychodzi do głowy?

– Na pewno nie jest to żadne z miejsc, gdzie jeździła z nami.

– A inne? Gdzie jeździłaby sama?

– Julia nie jeździła nigdzie sama. Ojciec jej nie pozwalał.

– Żadnych kolonii, obozów sportowych, rodziny, do której jeździłaby na wakacje?

– Nie.

– A czy pani córka ma kogoś, do kogo mogłaby się zwrócić w takiej sytuacji o pomoc? Nie wiem, przyjaciela z dzieciństwa, kuzyna, dawnego nauczyciela?

– Julia zawsze była zamkniętym dzieckiem, nie miała przyjaciół. Przynajmniej wtedy, gdy mieszkała jeszcze ze mną. Zawsze miała swój świat, nikogo tam nie wpuszczała. Nawet mnie.

Rozmowa z matką poszukiwanej jak dotąd nie przynosiła żadnych efektów. Nie dawała żadnych punktów zaczepienia. Seredyńska powinna już w zasadzie przejść do pytań o śmierć ojca Julii Gierszewskiej, ale wolała to jeszcze trochę odwlec. Bała się, że również tam natrafi na taki sam mur.

– Julia, Julita, macie bardzo podobne imiona – zauważyła. – Wydaje się, że powinniście mieć ze sobą bardzo dobry kontakt.

– To był pomysł męża, nie mój – odpowiedziała kobieta i dało się w tym wyczuć wyraźną niechęć.

Nareszcie coś, pomyślała Seredyńska. Nie wiadomo jeszcze co, ale niewątpliwie coś.

– Mąż miał z nią lepszy kontakt? – spytała.

Lekkie skrzywienie ust. I dłuższa chwila milczenia.

– Tak, można tak powiedzieć.

– Byli ze sobą blisko? – drążyła.

– Od pewnego momentu.

– Od jakiego?

– Od kiedy zaczęłam się starzeć. Przynajmniej w jego mniemaniu.

– Co pani ma na myśli?

– Mężczyźni często wymieniają żony na młodsze – odparła bezbarwnym tonem. – Mój mąż wymienił mnie na córkę.

ROZDZIAŁ 16

– Mogłaby pani wyjaśnić, co konkretnie ma na myśli? – drażzyła Seredyńska. – To może być bardzo ważne.

– Niech pani spyta lekarzy – odparła ze znużeniem kobieta. – Wałkujemy ten temat, odkąd tu jestem.

– Obowiązuje ich tajemnica. Musi to pani powiedzieć mi. Powtórzyć to, co im mówiła.

Zero reakcji. Wzrok kobiety utkwiał nieruchomo wbity w ścianę. Jakby zobaczyła tam coś, lecz nie było to nic specjalnie ciekawego. Seredyńska nie zamierzała jednak rezygnować.

– Pani Julito – odezwała się wolno i dobitnie. – Próbuję pomóc pani córce. Nie wiemy, czy nie grozi jej jakieś niebezpieczeństwo. Wszystko, co pomoże nam zrozumieć jej zachowanie i motywację, może być istotne.

– Chcecie ją złapać – odpowiedziała kobieta. – Bo uciekła, prawda? Zabiła go i uciekła. I ja mam wam w tym pomóc? Jestem jej matką.

– Niech mi pani pomoże ją zrozumieć – odparła Seredyńska.
– W końcu ją znajdziemy. Prędzej czy później. I oskarżymy o zabójstwo. Ja będę pisała akt oskarżenia. I to ode mnie będzie zależała kwalifikacja czynu. Różnice w zasądzonych karach mogą być bardzo duże. Dlatego chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiła i czy były jakieś okoliczności łagodzące.

Kobieta jeszcze przez chwilę milczała. Seredyńska czekała cierpliwie. Nic więcej nie było do powiedzenia. Albo przyjmie i uzna jej argumentację, albo nie.

– On na początku był cudowny – zaczęła w końcu. – Mówił, że mnie kocha, i chyba rzeczywiście tak było. Miał wcześniej żonę, ale zostawił ją dla mnie. Była jego równolatką, a ja byłem prawie dwadzieścia lat młodsza. Myślałam o niej z pogardą, że to stara baba, która zatruwa mu życie. A miłość to przecież miłość. Nie można jej się opierać. Kiedy zaszłam w ciążę, był wniebowzięty. Od początku mówił, że wolałby córkę, bo będzie tak piękna, jak jej matka. Wtedy wydawało mi się to urocze, rozpływałam się ze szczęścia, gdy to słyszałam. To on nalegał, żeby nazwać ją Julia. Że niby to będzie taka druga ja, trochę tylko inna. Odbierałam to jako wyraz jego miłości do mnie. Jestem tak idealna, tak mnie uwielbia, że chciałby, żeby nasza córka była moją jak najwierniejszą kopią. Dopóki była dzieckiem – ciągnęła Gierszewska – wszystko było w miarę normalnie. Szalał za nią, ale w końcu wielu ojców szaleje za swoimi córkami. To, że stała się dla niego ważniejsza ode mnie, również mnie specjalnie nie niepokoiło. Ja w końcu zachowywałam się tak samo. Dla mnie też Julia była ważniejsza od niego. Matki prawie zawsze tak mają. Była naszym oczkiem w głowie. Wszystko kręciło się wokół niej. Odsunęliśmy się od siebie, przestaliśmy z sobą sypiać. Ale to także przecież częsta przypadłość związków, w których pojawia się dziecko. Nie narzekałam, bo było mi to w jakiś sposób na rękę. Byłam zmęczona, skoncentrowana na czym innym. Przytyłam po ciąży, zaniedbałam się i też nie miałam na to specjalnie ochoty. Dopiero gdy Julia zrobiła się starsza, zaczęłam dostrzegać inne niepokojące symptomy. Zauważyłam, że mój mąż coraz częściej zaczyna stawiać mnie w opozycji do ich dwójki, że w tym trójkącie jestem coraz bardziej na pozycji outsidera. Oni

trzymali sztamę, oni świetnie się rozumieli, ja byłam może wciąż koniecznym, ale coraz mniej pożądanym elementem.

Matka Julii zawiesiła się, jakby powróciły do niej wspomnienia.

– I nie działało się to w sposób naturalny – podjęła opowieść po dłuższej chwili. – On do tego doprowadzał, świadomie tak to kreował. Wszystko było moją winą, uczył i zachęcał naszą córkę, by też tak myślała. Stałam się pariasem we własnej rodzinie. Chłopcem do bicia. Bardziej służącą, pogardzaną i lekceważoną, niż żoną i matką. Ale wie pani, jak to jest – ciągle miałam w pamięci te czasy, kiedy był dla mnie tak cudowny. Kiedy byłam jego księżniczką, królową, gdy nosił mnie na rękach i czcił niemal jak boginię. Tęskniłam za tym, pragnęłam, by znowu tak było, podświadomie to siebie obwiniałam o to, że się zmienił. Myślałam, że może robię coś źle i że jeśli tylko będę wystarczająco się starać, te czasy kiedyś wrócą. Zamiast od niego odejść, starałam się mu dogadzać, czytać w jego myślach, być zawsze na jego skinienie. I łapać te rzadkie momenty, gdy odzywał się do mnie jak do człowieka. Ale było już tylko gorzej. Krytykował mnie, wyśmiewał przy naszej córce. W końcu mnie uderzył. Raz, drugi, trzeci. Robił to zawsze przy niej, komentując za każdym razem, jakby to była jakaś lekcja. Jakby uczył ją na moim przykładzie, jak nie należy postępować. Jakby to ona była jego partnerką, nie ja.

– Był pedofilem? – domyśliła się Seredyńska.

– Nie, to nie do końca o to chodziło – zaprzeczyła Gierszewska. – Widać było, że ciężko jej o tym wszystkim mówić. – Nie interesowały go dzieci. Jego fetyszem była młodość, dopiero później to zrozumiałam. Chciał ją sobie wychować, stworzyć sobie idealną partnerkę. Połączenie żony i córki, dwa w jednym. Póki więc miała dziesięć, dwanaście lat, była bezpieczna. Przynajmniej w fizycznym sensie. Dopiero

później przeszedłby do drugiego etapu. Gdy stałaby się już kobietą. Młodą, nastoletnią, ale kobietą. Potem uświadomiłam sobie, że tak samo było w jego pierwszym małżeństwie. Nie zakończył go z powodu żony, ale z powodu córki. Miała osiemnaście lat, gdy wyjechała na studia do Gdańska. Rozumie to pani? Gdy mieszka się w Warszawie i ma się ojca, który jest profesorem prawa na uniwersytecie, nie wyjeżdża się studiować do innego miasta. Uciekła od niego, zerwała mu się ze smyczy. I jakoś wtedy właśnie zainteresował się mną. Ciekawe, prawda?

ROZDZIAŁ 17

Wpatrywała się w kark człowieka siedzącego na fotelu kierowcy. Od dłuższego już czasu nie odzywał się, ona zresztą też. Jechali w milczeniu, mijając kolejne lasy, pola i miejscowości. Droga była wąska, więc nie pędzili zbyt szybko.

Znowu ogarnął ją niepokój. Tamto jedno zdanie wypowiedziane przez niego od niechcienia, zapewne z półśmiechem, którego jednak nie widziała, obudziło znów wątpliwości. A jeśli on coś wie? Albo chociaż się domyśla? Tylko po co by wtedy wciąż z nią jechał? Jak gdyby nigdy nic. Może czeka na odpowiedni moment? Szuka komisariatu albo patrolu policji przy drodze? Ale nie, w jednym z miasteczek, przez które przejeżdżali, minęli komendę policji z zaparkowanym przed nią radiowozem, a on nawet nie zwolnił.

Więc może martwi się bezpodstawnie. Jest przewrażliwiona, ale w końcu trudno się dziwić. Jeszcze parę godzin temu stała na progu pokoju i patrzyła na trupa człowieka, z którym spędziła ostatnie trzy lata życia. I którego zapewne sama zabiła. Roztrzaskała mu głowę ciężką, wykonaną z brązu statuetką. Najważniejszą polską nagrodą muzyczną. Naprawdę, można być przewrażliwionym po czymś takim.

Dziwna sprawa, miała wrażenie, jakby to wydarzyło się całe lata temu. I połączyło się w jedno z tamtym, wcześniejszym. Niczym pierwsza i druga wojna światowa. Rozdzielone iluzorycznym okresem spokoju.

Dlaczego znów to jej się przydarzyło? Była przeklęta czy po prostu popełniała wciąż te same błędy? A może szukała podświadomie tego samego wzoru? Tego, który tak dobrze poznała w najważniejszym dla siebie okresie życia. Wtedy, gdy człowiek robi, czuje i doświadcza wszystkiego po raz pierwszy, jakby wgrywano mu program operacyjny. Taki, który bardzo trudno potem zaktualizować.

To dlatego związała się z tamtym człowiekiem? Tym, którego imienia na razie lepiej jest nie wspominać? Wszyscy się dziwili, jak może być z kimś takim. Starszym od niej sporo, niezbyt atrakcyjnym i w dodatku nieprzesadnie miłym w obyciu. Żaden z jej znajomych go nie lubił. Wiedziała o tym, mimo że nie mówili jej tego wprost.

Ona zresztą też go nie lubiła. Kochała go, albo przynajmniej tak jej się wydawało, ale nie lubiła go na pewno. Dlaczego więc to właśnie jego wybrała? Dlaczego odrzuciła wcześniej tylu całkiem sensownych facetów? Nie brakowało jej przecież powodzenia. Nie była może piękną, ale miała ciekawą urodę, którą potrafiła podkreślać. I niebanalną, przyciągającą mężczyzn osobowość, pod którym to eufemizmem, niczym pryszczki pod makijażem, kryły się jej problemy psychiczne.

Może więc chodziło właśnie o to. Że próbowała odegrać na żywo tamtą scenę z początków swojego życia, mając nadzieję, że tym razem nie skończy się aż tak tragicznie. Że tym razem jej się uda. Byłby to więc rodzaj rytuału naprawczego albo terapii z rodzaju ustawień hellingerowskich, tyle że przeprowadzanych w prawdziwym życiu. I zakończonych totalną klęską.

Albo może sukcesem, bo przecież udało jej się powtórzyć wszystko aż nadto dokładnie.

Dziwne było też to, że potrafiła o tym myśleć tak chłodno. Zaledwie kilka godzin od tamtego widoku, który wciąż jeszcze

tkwił pod jej powiekami. Chyba to wszystko ciągle jeszcze do niej nie dotarło. Tak jak zresztą tamto, sprzed lat. Wtedy też przez wiele dni, a nawet tygodni i miesięcy miała wrażenie, że to nie przytrafiło się jej. Nawet teraz czasami miała co do tego wątpliwości, prawdopodobnie dlatego, że zbyt dużo czasu upłynęło już od tamtych wydarzeń i jej wspomnienia wytarły się niczym taśma magnetyczna na starej kasecie.

Od tyłu już lat starała się o tym nie myśleć. I udawało jej się to bardzo dobrze. Nie myśleć, nie pamiętać, żyć, jakby to nigdy się nie wydarzyło. Zapomnieć i iść dalej. To przecież właśnie zalecają te wszystkie facebookowe mądrości: „Nie oglądaj się za siebie”, „Zostaw za sobą przeszłość”. Co innego zresztą można zrobić, gdy u początków egzystencji doświadczyło się czegoś takiego? Czegoś, po czym w zasadzie należałoby umrzeć. Albo przynajmniej spędzić resztę życia w strachu i zadziwieniu, że tak właśnie wygląda świat.

Lecz przecież chce się mimo wszystko żyć. Pchać ten wózek do przodu i to nie wolno, lecz szybko, by uciec od tamtego. Rzucić się na łeb na szyję w przyszłość. Pisać, tworzyć, zachłysnąć się narkotykiem sceny, zatracić w rytmie tras i koncertów, dać się uśpić i utulić podziwem fanów, zahipnotyzować powtarzanymi przez nich na występach refrenami swoich własnych piosenek, grzać się w blasku ich wpatrzonych w siebie oczu. Ale ta noga okulawiona w młodości wciąż boli, mimo że nauczyliśmy się o tym nie pamiętać. Mimo iż potrafimy, kosztem ogromnego, stałego napięcia wszystkich mięśni, chodzić tak, by nie było tego widać. I póki idziemy po prostym, wszystko wydaje się w porządku. Nikt, kto patrzy z boku, nie domyśli się zerwanych ścięgien, naderwanych mięśni, zrośniętych nieprawidłowo kości. Ale gdy tylko pojawi się jakaś przeszkoda: rów, przez który trzeba przeskoczyć, góra, na którą trzeba się wspiąć, może zabraknąć nam sprawności.

Runiemy w dół, tam gdzie inni spokojnie dadzą radę. Tak jak ona teraz.

Spróbowała zajrzeć w tamtą ciemność, przebić się przez blokadę wzniesionego przez lata z takim trudem muru niepamięci, ale nie dała rady. Jej ciało zastrajkowało przeciw temu, zaparło się niczym kot pazurami o dywan, zalewając ją zimnym potem, skręcając żołądek w węzeł pulsującego bólu, rozpędzając serce do panicznego galopu. Zrezygnowała.

– Coś nie tak? – Usłyszała głos kierowcy.

Ich spojrzenia spotkały się znowu w odbiciu wstecznego lusterka.

– Nie, w porządku – odparła.

– Przecież widzę – powiedział. – Źle się pani czuje?

Odgarnęła mokry kosmyk włosów ze spoconego czoła.

– Może trochę – odpowiedziała. – Ten hamburger chyba nie za bardzo się przyjął – skłamała.

– Zatrzymać się? – spytał. – Świeże powietrze dobrze pani zrobi.

– To chyba nie najgłupszy pomysł.

Jechali jeszcze przez chwilę, szukając odpowiedniego miejsca, w końcu zjechali na pobocze tam, gdzie piaszczysta polna droga dochodziła do asfaltu.

Wysiadła. Stanęła tyłem do samochodu i wciągnęła głęboko wilgotne powietrze. Usłyszała, jak drzwi od strony kierowcy otwierają się, a potem zamykają. On też wysiadł.

– Przejdę się trochę – powiedziała.

Ruszyła przed siebie. Przeszła kilkanaście metrów, może dwadzieścia, i stanęła na środku pola. Miała przed sobą szeroką i płaską mazowiecką przestrzeń, gdzie tylko gdzieś na horyzoncie majaczył zamglony zarys rachitycznego lasku. Nie widziała drogi ani samochodu, bo stała do nich plecami. Nad

sobą miała jedynie zachmurzone niebo. Poczowała się, jakby była sama, sama we wszechświecie. Chciałaby, żeby tak było.

Wraz z lekkim podmuchem wiatru doszedł do niej zapach papierosowego dymu. Odwróciła się. Jej kierowca stał oparty plecami o karoserię i palił. Zupełnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy go zobaczyła. Uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech.

Jeszcze chwila, a go polubi.

ROZDZIAŁ 18

To był już chyba ten moment. Moment, żeby przejść do sedna.

– Pani Julito – zaczęła – może mi pani powiedzieć, co się właściwie wtedy stało? Wtedy, gdy zginął pani mąż.

– Wszystko jest w aktach sprawy – odparła kobieta. – Na pewno ma pani do nich dostęp.

– Wolałabym usłyszeć to od pani.

– To było tak dawno – odpowiedziała znudzonym głosem. – Nie pamiętam, co wtedy powiedziałam.

Symptomatyczne sformułowanie, pomyślała Seredyńska. „Nie pamiętam, co wtedy powiedziałam”.

– Ale na pewno pamięta pani, co się wtedy wydarzyło – powiedziała z lekkim naciskiem.

Kobieta spojrzała na nią z ukosa.

– Chce pani, żebym pomogła pani oskarżyć moją córkę o drugie morderstwo? – spytała z ironią. – Wskazała podobieństwa z tamtym pierwszym sprzed lat? Fajnie by było, co? Nic z tego.

– Chciałabym wiedzieć, co zaszło wtedy naprawdę – odpowiedziała. – Bo to może mieć istotny wpływ na prowadzoną przeze mnie sprawę. I pomóc odpowiedzieć na parę istotnych pytań. Na przykład, czy to pani córka zabiła swojego partnera, czy zrobił to ktoś inny. I czy nie została

przypadkiem porwana, bo taką ewentualność też bierzemy pod uwagę.

Kobieta spojrzała na nią z wyraźnym niepokojem. Po chwili jednak się opanowała.

– Pani prokurator – powiedziała. – Byłam wystarczająco długo żoną profesora prawa, by zdawać sobie sprawę, że im mniej teraz pani powiem, tym lepiej dla niej.

– Prawda by ją obciążała?

– Przez te kilkanaście lat nauczyłam się jeszcze jednego. – Kobieta uśmiechnęła się cierpko. – Wam, prokuratorom i adwokatom, nie chodzi o prawdę. Jedni chcą dopaść zwierzynę, a drudzy do tego nie dopuścić. I ci, i ci chcą po prostu wygrać. To rodzaj sportu. A prawdę zawsze można odpowiednio zinterpretować.

– Nie oskarżę pani córki, jeśli będę wiedziała, że nic nie zrobiła.

– Jeśli będzie pani wiedziała na sto procent, to być może nie. Ale jeśli będzie pani miała do wyboru dwa możliwe wytłumaczenia, to które pani wybierze? To, które zakończy polowanie, czy to, które pozwoli je kontynuować? Wybierze pani to drugie, bo tak panią wyszkolono. Nawet jeśli będzie mniej prawdopodobne. I przekona pani samą siebie, że miała rację. Ludzie potrafią kłamać, wierząc, że mówią prawdę. Tego z kolei nauczyłam się tutaj.

– Pani Julito. – Seredyńska nachyliła się w jej stronę. – Ktoś jednak zabił pani męża i zrobiła to konkretna osoba. I pani wie kto. Tu nie trzeba niczego interpretować.

– Pani Gabrielo – odpowiedziała kobieta. – Z mojego punktu widzenia mój mąż zabił się sam. Wszystko, co się wtedy stało, było tylko i wyłącznie jego winą.

* * *

– Skończyła pani? – Lekarz w dyżurce podsunął jej papiery do podpisania.

– Tak, skończyłam – odpowiedziała.

– Warto było przyjeżdżać? – spytał.

– Jeszcze nie wiem – odparła.

– W razie czego zapraszamy ponownie. Nasza pacjentka nigdzie się nie wybiera.

Był młody i patrzył na nią z wyraźnym zainteresowaniem. Postanowiła to wykorzystać.

– Wasza pacjentka nie wydaje się specjalnie chora – powiedziała. – Rozmawiała ze mną w sposób, który świadczy o daleko posuniętej przytomności umysłu. Mam wręcz wrażenie, że próbowała mnie zwodzić.

Lekarz wzruszył ramionami.

– Przytomność umysłu jeszcze o niczym nie świadczy. Nie wszyscy pacjenci patrzą tępo w ścianę. Ale ma pani rację, nie jest chora.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– To dlaczego wciąż tu przebywa? – spytała.

– Jest zdrowa, dopóki jest u nas – odpowiedział. – Wszelkie próby czy nawet same sugestie dotyczące jej zwolnienia skutkują natychmiast gwałtownym pogorszeniem jest stanu. Nauczyła się tu żyć, odnalazła spokój i stabilność psychiczną, ale nie jest w stanie zachować jej poza murami tego szpitala. Mamy tu kilku takich pacjentów. Nawet gdy ich wypisujemy, i tak za jakiś czas wracają.

– To znaczy, że będzie tu do końca życia?

– Najprawdopodobniej. Traktujemy ją trochę jak członka personelu. Potrafi pomóc innym pacjentom, jest bardzo

empatyczna.

– Pan ją prowadzi? – spytała. Rozmawiała z lekarzem prowadzącym przez telefon i wiedziała, jak się nazywa, lecz nie znała nazwiska swojego rozmówcy.

– Nie, ale znam przypadek. – Uśmiechnął się. – Jeśli ma pani jakieś pytania, spróbuję na nie odpowiedzieć.

– Mówiła coś o zabójstwie, o które była oskarżona? – spytała najnaturalniej w świecie.

Popatrzył na nią z powagą.

– Wie pani przecież, że obowiązuje nas tajemnica lekarska.

– Wiem. – Odwzajemniła się promiennym uśmiechem. – Pytam nieoficjalnie, poza protokołem. – Spojrzała mu w oczy. Zawsze zadziwiała ją, jak mężczyźni silnie reagują na takie proste w sumie zagrywki. – A z tajemnicy lekarskiej zawsze można zwolnić decyzją sądu – dodała. – Tylko chciałabym wiedzieć, czy warto o to występować.

– To nieoficjalnie pani powiem, że w tym przypadku nie warto – powiedział. – Z tego, co wiem, pani Gierszewska nie chciała o tym mówić nawet w czasie terapii. Trochę to utrudniło jej proces leczenia. To w końcu centralny problem, jeśli o nią chodzi.

– Nic nie powiedziała, naprawdę? – zdziwiła się.

– Nic – potwierdził. – Co było o tyle niezwykle, że generalnie bardzo dobrze współpracowała. Opowiadała o swoim dzieciństwie, o małżeństwie, relacjach z mężem, o życiu seksualnym... Ale jeśli chodzi o tamto wydarzenie, kompletna blokada.

– Jak pan myśli, czym to mogło być spowodowane? – spytała.

– Być może tym, że również posiadała tę wiedzę.

– Jaką?

Uśmiechnął się.

– O tym, że lekarza da się zwolnić z tajemnicy.

ROZDZIAŁ 19

– Możemy jechać – powiedziała.

Kierowca zaciągnął się ostatni raz i rzucił niedopałek na wyjeżdżony, piaszczysty pas pobocza. Omiotła spojrzeniem jego sylwetkę. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że jest w sumie dość przystojny. Nie jakoś strasznie, ale wystarczająco. Szczupły, w miarę wysoki, z ładnie odznaczającymi się pod cienką bluzą umięśnionymi ramionami. Wąskie biodra opięte jasnoniebieskimi džinsami też nie wyglądały najgorzej.

Dostrzegł jej wzrok i uśmiechnął się kącikiem ust.

– Pani też mi się podoba – powiedział.

Był to żart i nie żart jednocześnie. Dokładnie tak, jak powinno być.

Poczuła, jak krew uderza jej do twarzy. Bojąc się, że się zaraz zaczerwieni, minęła go szybko i wsiadła do samochodu.

Nie spiesząc się, obszedł powoli auto od przodu i usiadł za kierownicą. Znowu poczuła tamten zapach – dym tytoniowy i mięta. Nawet dosyć przyjemny.

– I jak, lepiej już pani? – spytał.

– Tak, znacznie lepiej, dziękuję – odpowiedziała.

– Może chce pani aviomarin? Mam zdaje się gdzieś w schowku.

– Nie, nie trzeba. Już w porządku.

Ruszyli. Przez długi czas jechali w milczeniu. W końcu znowu się odezwał:

– Nie chodziło tylko o hamburgera, prawda? – spytał.

– Słucham? – Zaskoczyło ją to pytanie.

– Obserwuję panią od samego początku – powiedział. – Coś panią gryzie.

– Pokłóciłam się ze swoim menadżerem, już panu mówiłam.

– Próbowwała go zbyć.

– Nie chodzi o to. A przynajmniej nie wyłącznie o to. Jest pani w kiepskiej formie psychicznej. I to od dawna.

– Skąd z pana nagle taki psycholog? – Zachnęła się.

– Swój rozpozna swego – powiedział. – Też przez to przechodziłem.

– Przez co pan przechodził?

– Depresja. Myśli samobójcze. Leki. Terapia. Cały zestaw.

– Nie biorę żadnych leków.

– Alkohol? Też od niego zaczynałem. Na dłuższą metę nie działa. Już pani pewnie o tym wie.

Cholera. Szlag by go trafił. Tylko tego jej brakowało.

– Nie zapłacałam panu za psychoanalizę, tylko za kurs – odezwała się ostro.

– Spokojnie, nie mam nic złego na myśli – odparł. – Rozumiem panią.

– Nic pan nie rozumie.

– Zapewne. Nie da się nigdy tak naprawdę zrozumieć drugiego człowieka. To podobno jeden z najbardziej traumatycznych aspektów ludzkiej egzystencji. To, że niemożliwa jest prawdziwa bliskość, nie ma żadnego porozumienia dusz. Nie da się połączyć prawdziwie z innym człowiekiem. Na tym najgłębszym poziomie zawsze jesteśmy samotni. Nawet szczęśliwie zakochani są sami. Doświadczają tylko w tym samym czasie podobnej iluzji.

Popatrzyła na niego z zadziwieniem. Ale też i z pewnym podziwem. No, no, kto by się spodziewał...

– Straszny z pana filozof jak na taksówkarza. – Próbowała jeszcze się bronić. Niezbyt ładnie, bo przypominając mu jego miejsce w szeregu.

– Taksówkarzem jestem od niedawna – odpowiedział spokojnie, jakby tego nie zauważył. – Mówiłem pani. Skończyłem studia, nawet w pewnym momencie myślałem o doktoracie. Zresztą, czy taksówkarz nie może być filozofem? Sokrates przecież nie skończył żadnej uczelni. Żył po prostu i myślał. Jak my wszyscy. A teraz ma swoją ulicę w Warszawie. Wiem, bo jest tam warsztat samochodowy, do którego czasem jeżdżę – zażartował na końcu.

Miał rację. Zrobiło jej się głupio. W sumie ona też nie była nikim szczególnym. Zwykłą kobietą, która pisała piosenki, bo nic innego nie potrafiła. I która dopiero od niedawna liznęła czegoś w rodzaju popularności. To celebryckie lekceważenie ludzi wykonujących zwyczajne zawody nie za bardzo jej pasowało.

– To co, powie mi pani, co się dzieje? – spytał. – Za dwa tysiące złotych mogę nieco rozszerzyć zakres swoich usług i zabawić się w spowiednika. Chyba że woli pani przez resztę drogi gapić się w okno.

Wyrzała przez szybę. Widoki uznała za niespecjalnie pasjonujące. Ta część Polski nie była przesadnie spektakularna krajobrazowo. W sumie czemu nie, pomyślała. Nie mogła mu, to oczywiste, powiedzieć wszystkiego, ale może warto by było z kimś wreszcie porozmawiać.

– Nie wiem, od czego zacząć – powiedziała. – Tylko niech pan nie mówi, że od początku.

Kiwnął głową z udawaną powagą.

– W porządku, nie powiem.

– A pan, od czego by zaczął opowieść o sobie?

– Nie wiem, może od znaku zodiaku?

– Uważa pan, że to ma znaczenie?

– Uważam, że nie bardzo, ale większość ludzi sądzi inaczej. Poza tym to proste pytanie, na które łatwo odpowiedzieć. Ja na przykład jestem spod znaku lwa.

Ona również nie wierzyła w takie rzeczy, jednak nie mogła nie dostrzec, że jego odpowiedź sprawiła, iż spojrzała na niego odrobinę przychylniej. Jakby ten lew przez samo skojarzenie z silnym i dumnym zwierzęciem dodawał mu punktów.

– Ja jestem spod ryb – odparła.

– O, ryby! – powiedział. – Bardzo ciekawy znak.

– Dlaczego?

– Ryby pływają pod powierzchnią. Widzą to, czego inni nie widzą. To znak ludzi mających dobry kontakt z podświadomością: wizjonerów, jasnowidzów, artystów...

– Czyli jednak pan w to wierzy... – zauważyła.

– Miałem kiedyś taką dziewczynę. Horoskopy, tarot, numerologia... Coś tam jeszcze pamiętam. Jak mi pani poda swoją datę urodzenia, mogę obliczyć liczbę drogi pani życia.

– Nie trzeba, już ją znam – odpowiedziała. – Siódemka do Zakopanego. Jeśli do niej w końcu dojedziemy oczywiście.

– Punkt dla pani. – Roześmiał się. – Siódemka! Bardzo silne wibracje. Najbardziej zagadkowa ze wszystkich liczb. Szuka odpowiedzi na najistotniejsze pytania: o naturę człowieka, świata, sens życia... Właśnie po to jedzie pani do Zakopanego?

– Mniej więcej – odparła.

Dobrze jej się z nim rozmawiało. Był dowcipny, lekko prowadził konwersację, nawet gdy zaczynał od poważnych tematów. Już ta krótka wymiana zdań sprawiła, że zauważalnie poprawił jej się humor.

Chyba faktycznie lepsze to było od gapienia się w okno.

ROZDZIAŁ 20

– A pan, czego w życiu szuka? – spytała.

– Miłości – odpowiedział.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu – potwierdził. – No i oczywiście lepszej pracy.

Chociaż dziś akurat na nią nie narzekam.

– I jak panu idą te poszukiwania?

– Na razie tak sobie. W obu tych przypadkach.

– Ma pan przecież dziewczynę.

– To już raczej zamknięty temat. Nie pasowaliśmy do siebie.

W sumie właśnie teraz to sobie uświadomiłem. – Rzucił jej krótkie spojrzenie w lusterku.

Dojechali do skrzyżowania ze znakiem stop. Musieli się zatrzymać, by przepuścić samochód jadący z prawej strony.

– Także gdyby mogła mi pani pomóc, byłbym wdzięczny. Mówię o pracy oczywiście.

Zabrzmiało to świadomie dwuznacznie, jakby próbował z nią flirtować. Zrobiło jej się przyjemnie. Nie, żeby była zainteresowana, ale w sumie dawno czegoś takiego nie doświadczała. Przez ostatnie trzy lata, odkąd związała się z tamtym człowiekiem, nigdzie w zasadzie się bez niego nie ruszała. Ponieważ pracowali razem, nie miała nawet takiej odskoczni. A on skutecznie i czasami dość obcesowo tłumił w zarodku wszelkie próby zbliżenia się do niej innych mężczyzn.

– A tamta depresja, co to było? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– W sumie nic takiego. Po prostu skumulowało się kilka rzeczy. Wiosenny lockdown, utrata pracy, parę osobistych problemów. Zresztą chyba zawsze miałem skłonności do takich stanów. Tak to jest z ludźmi nieco zbyt wrażliwymi. Nie wiem, czy zna pani to porównanie: depresja jest jak padający śnieg. Czasami tylko lekko prószy, tak że w zasadzie tego nie zauważasz. Czasami napada do kolan, wtedy jest ciężko, ale mimo wszystko jednak jakoś idziesz. A czasami nawali go tyle, że nie jesteś w stanie otworzyć drzwi i wyjść z domu. No więc wtedy właśnie napadało go odrobinę za dużo.

Pomyślała o sobie. Ile śniegu napadało u niej? Na razie tego nie czuła, jakby szła po zamrożonej górnej warstwie, ale nie miała przecież wątpliwości, że zaspą, która odłożyła się podczas całego jej życia, była naprawdę głęboka, i że gdy wreszcie złodowaciała skorupa pęknie, wpadnie w nią aż po czubek głowy. I że być może stanie się to już niedługo, prawdopodobnie wtedy, gdy dotrze do niej, ale tak naprawdę, nie na poziomie racjonalnej wiedzy, co zrobiła i jakie są tego konsekwencje.

– A u pani, jak to wyglądało? – spytał.

– Ja nigdy dotąd nie miałam depresji – odpowiedziała. Trochę to dziwne, biorąc pod uwagę to, co jej się dotąd przydarzyło, ale chyba rzeczywiście tak było.

– Proszę się nie obawiać. – Uśmiechnął się do niej w lusterku. – Nie sprzedam pani historii tabloidom. Wszystko, co padnie w taksówce do Zakopanego, zostanie w taksówce do Zakopanego – zażartował.

– Nie obawiam się – odparła. Ilość niestworzonych historii, jaka w najbliższych dniach i tygodniach pojawi się na jej temat w prasie i na portalach internetowych, będzie zapewne ogromna. Jeden tekst więcej lub mniej nikomu nie robi

różnicy. Zresztą, pomyślała nagle, może nawet dobrze by było, gdyby choć jeden z nich opowiedział wszystko z jej perspektywy.

– Więc o co chodzi? Niech pani mówi. Mamy czas, a droga nie jest specjalnie ciekawa. Chyba nie chce pani, żebym zasnął za kółkiem?

– Nie, nie chcę – odpowiedziała z uśmiechem. Skądinąd gdyby zginęła w wypadku samochodowym, rozwiązałyby to parę jej problemów.

– To jak? – spytał. – Skąd u pani ta niedepresja?

Spojrzała w okno. Na to pytanie próbowała odpowiedzieć przez całe swoje dotychczasowe życie. Robiła to w tekstach swoich piosenek, w dialogach toczonych sama ze sobą, w pamiętniku, który pisała jako nastolatka.

– Ze strachu – odpowiedziała niemal bez zastanowienia.

– Czego się pani boi?

– Schematów.

– Schematów? – Usłyszała zdziwienie w jego głosie. – Jakich schematów?

– Tych, które się powtarzają. Mimo że robimy wszystko, by do tego nie dopuścić – odpowiedziała. – Oraz że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Nie skomentował od razu.

– Stare dobre problemy z rodzicami? – spytał w końcu.

– Mniej więcej.

– Z ojcem czy z matką?

– I z ojcem, i z matką.

– No to widzę kumulacja.

– I to jaka.

– A coś więcej?

Westchnęła.

– Nie wiem, czy chciałabym się w to teraz zagłębiać – odparła.

– Jak nie teraz, to kiedy? – powiedział. – Jutro już nie będzie okazji. Dowiozę panią do Zakopanego, zainkasuję forszę i spadam. I będzie pani musiała szukać innego powiernika. Nie wiadomo, czy trafi się taki przystojny jak ja – dorzucił żartobliwie.

Uśmiechnęła się kącikiem ust.

– To w pewnym sensie idealna sytuacja – kontynuował. – Spotkaliśmy się przypadkiem i prawdopodobnie nigdy więcej na siebie nie trafimy. Wszystko, co mi tu pani powie, wpadnie jak kamień w studnię. Nie będzie się mnie musiała pani wstydzić ani bać się, że kiedyś to przeciwko pani wykorzystam, bo po prostu nigdy więcej mnie pani nie zobaczy. Absolutna tajemnica spowiedzi. Ten samochód to w zasadzie taki ruchomy konfesjonał.

– Pan też mi się wypowiada? – spytała.

– Czemu nie? Ale od razu zaznaczam, że nie będzie to zbyt pasjonująca spowiedź. Jestem prostym facetem i mam proste problemy. Żadnych przykrych zdarzeń w dzieciństwie, żadnych narkotyków w młodości. Jedyna moja trauma jest taka, że nie miałem dotąd specjalnie szczęścia do kobiet.

Znowu spojrzął na nią w lusterku, jakby sprawdzał, jak na to zareaguje. A zareagowała dobrze. Na razie u niej punktował.

ROZDZIAŁ 21

Już wychodząc ze szpitala, wybrała numer do podkomisarza Nowaczyka. Za pierwszym razem nie odebrał, za drugim też. Dopiero gdy ignorując włączającą się pocztę głosową, zadzwoniła po raz trzeci, usłyszała w słuchawce jego pełne niechęci „halo?”.

– Za pół godziny w moim gabinecie – powiedziała. – I niech pan weźmie wszystko, co pan do tej pory ma.

Rozłączyła się, zanim zdążył odpowiedzieć.

Przyjechał po godzinie. Wściekły.

– Z całym szacunkiem, pani prokurator, ale mam co robić. Nie można było tego załatwić przez telefon? – Lekko świszczął, gdy mówił. Jakby irytacja kierowała mu strumień wydychanego powietrza na zęby.

– Nie – odpowiedziała krótko. – Musimy porozmawiać. Ustalić wersje śledcze. Niech pan siada.

Usiadł. Lecz nawet to zrobił z niechęcią i ociąganiem.

– Co tu ustalać? – powiedział. – Jak dla mnie wszystko jest jasne.

– Co mianowicie?

– To mianowicie, że mamy zabójcę, narzędzie zbrodni i motyw. Który zresztą sama pani prokurator ustaliła – wyświszczał z udawaną czołobitnością. – Jedna wersja śledcza. Teraz tylko wystarczy odnaleźć i aresztować podejrzaną. Ale to już jakby nie nasza działka.

– A wątpliwości? – spytała.

– Jakie wątpliwości?

– Chociażby takie, że nie wiemy, jak Julia Gierszewska oddaliła się z miejsca zbrodni.

– Moim zdaniem to żadna wątpliwość, tylko niezbyt istotna luka w obrazie sytuacji. To, że tego nie wiemy, nie znaczy, że ma to jakiegokolwiek znaczenie. Mogła oddalić się na dziesiątki sposobów: mogła pójść pieszo i wziąć taksówkę z jakiegoś postoju, mogła odjechać miejskim rowerem, mogła wynająć elektryczną hulajnogę...

– Niech pan w takim razie to sprawdzi – powiedziała.

– Po co? – spytał, patrząc jej beczelnie w oczy.

– Nie lubię luk w obrazie sytuacji – odpowiedziała. – Za to bardzo lubią je adwokaci. A należy przypuszczać, że Julia Gierszewska będzie miała najlepszych. Nie chcielibyśmy chyba, by oskarżenie wywaliło się na tak niezbyt istotnym, jak pan mówi, szczególe, bo obrońcom uda się zasiać wątpliwość w składzie sędziowskim, którą ten rozstrzygnie na korzyść oskarżonej, prawda?

Nie odpowiedział.

– Proszę więc ustalić, jak podejrzana oddaliła się z miejsca, gdzie po raz ostatni zarejestrowała ją kamera monitoringu. Na stacjach rowerów miejskich są kamery; żeby wynająć elektryczną hulajnogę, trzeba mieć konto w aplikacji. W obu tych przypadkach system rejestruje także miejsce, gdzie kończy się korzystanie z usługi. To mogłoby nam bardzo pomóc. Proszę też sprawdzić korporacje taksówkarskie, wypytać, czy na którymś z pobliskich postojów nie wsiadała kobieta podobna do Julii Gierszewskiej. I jeszcze jedno – coś sobie przypomniała – czy przed jej domem jest strefa płatnego parkowania?

Mieszkała już jakiś czas w Warszawie, lecz ciągle jeszcze nie we wszystkim się orientowała.

– Tak – odpowiedział z rezygnacją w głosie.

– Niech pan sprawdzi wszystkie samochody, które parkowały tam między dziesiątą a dwunastą w południe. Proszę ustalić, czy ich kierowcy mieli wiarygodny powód, by tam przebywać, i czy któryś z nich nie miał jakichś związków z Julią Gierszewską. Nie muszę chyba dodawać, że to wszystko ma absolutny priorytet.

– Nie musi pani. – Już nawet nie było w tym sarkazmu.

– Mamy już coś, jeśli chodzi o sekcję zwłok ofiary? – spytała. Kiwnął głową.

– Wstępnie i nieoficjalnie – powiedział. – Dość spore stężenie alkoholu we krwi, pęknięcie kości czaszki i masywny krwotok wewnętrzny jako przyczyna zgonu. Ślady biologiczne należące do Julii Gierszewskiej, ale to w końcu nie dziwota, skoro mieszkali razem i byli parą. Nic w każdym razie, co by świadczyło, że stoczyli wcześniej jakąś walkę.

– A ten laptop?

– Nic jeszcze nie przyszło.

– Niech pan ich pośpieszy.

– Oczywiście.

– A co z poszukiwaniami? Wypłynęło coś? – spytała.

Pokręcił głową.

– Z tego, co wiem, nie – odparł. – Telefon się nie logował, żadna z kart kredytowych Gierszewskiej nie została użyta. Nie mamy też sygnałów, by gdzieś ją widziano. Ale teraz, gdy wszyscy chodzą w maseczkach, nie liczyłbym na to specjalnie...

To prawda. Mimo że zdjęcie Gierszewskiej było teraz prawdopodobnie najbardziej znanym wizerunkiem w kraju, mogła w tej chwili iść główną ulicą w Warszawie i nikt by na nią nie zwrócił uwagi.

– To wszystko? – spytał.

Nie odpowiedziała. Jakaś myśl tłukła jej się pod czaszką. Próbowała ją skonkretyzować.

– Co się tam stało, jak pan sądzi? – spytała.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– To chyba w miarę jasne – odpowiedział.

– Nie, nie w mieszkaniu. – Machnęła ręką ze zniecierpliwieniem. – Na dole, gdy już wyszła. Zamówiła taksówkę, ale do niej nie wsiadła. Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Może zorientowała się, że łatwo dzięki temu dowiedzielibyśmy się, gdzie pojedzie.

– Może...

Wiedziała już, co chodziło jej po głowie. Było to coś, co powiedziała matce Gierszewskiej, by ją skłonić do mówienia. Coś, w co wtedy sama nie wierzyła, ale co teraz z jakiegoś powodu nie dawało jej spokoju.

– A jeśli została porwana? – spytała nagle.

Zobaczyła, jak jego brwi powoli unoszą się do góry. Chyba już ostatecznie uznał ją za idiotkę.

– Porwana? – Aż dziw, że w jednym słowie można było zmieścić tyle niezbyt pochlebnych względem rozmówcy emocji.

– Przez kogo? I dlaczego?

– Nie wiem – przyznała.

– Ale jak pani sobie to wyobraża? – ciągnął z pewnym rodzajem mściwej satysfakcji. – Najpierw zabiła swojego partnera, a potem zeszła i ktoś ją porwał z ulicy? Czy też może najpierw ktoś jego zabił, potem ona zamówiła taksówkę, zeszła sama na dół i dopiero wtedy ją porwał?

– Ma pan rację, to bez sensu. – Wycofała się.

– Nie, nie, dlaczego? – Nie zamierzał odpuszczać. – Zróbmy z tego drugą wersję śledczą! Ma pani jeszcze jakieś pomysły?

– Przypominam, że to pan pierwszy wspomniał o porwaniu. Przez ukraińską sprzątaczkę. – Postanowiła mu się odgryźć.

– Wtedy to jeszcze mogło mieć jakiś sens. – Wydął usta. – Nie wiedzieliśmy wówczas nawet połowy tego, co teraz.

– Dobrze, zostawmy to – przerwała tę bezsensowną dyskusję. – Niech pan po prostu skupi się na tym, co panu poleciłam. I informuje mnie na bieżąco o wynikach.

ROZDZIAŁ 22

– Słyszał pan o kompleksie Edypa? – spytała.

– Chyba każdy o nim słyszał – odparł.

Wjechali właśnie na przedmieścia jakiegoś większego miasta, lecz nie zwróciła uwagi, jaka nazwa widniała na tabliczce przy drodze.

– Żeńskim odpowiednikiem tego jest kompleks Elektry – wyjaśniła. – Dziewczynki w pewnym wieku odczuwają silną fascynację erotyczną ojcem i jednocześnie zaczynają darzyć niechęcią matkę, którą uważają za rywalkę. W normalnej sytuacji ten stan mija samoistnie, dziewczynka zaczyna rozumieć, że nie może konkurować z matką, i przenosi swoje zainteresowanie na rówieśników. Każda dziewczynka to przechodzi, tak jak każdy chłopiec przechodzi okres fascynacji matką.

– Mniej więcej wiem, o co chodzi – powiedział. – Stąd wzięła się pewna uroczą anglosaska obelga. I jedna z kategorii w serwisach porno.

Uśmiechnęła się półgębkiem.

– Być może – odpowiedziała. Nie była specjalną znawczynią tych tematów. Człowiek, który został w jej mieszkaniu w Warszawie, mógłby zapewne powiedzieć o tym znacznie więcej. Gdyby dało się go o to spytać. – W każdym razie – ciągnęła – tak dzieje się w normalnych rodzinach. Takich, gdzie między ojcem a matką jest w miarę zdrowa relacja, gdzie ojciec

obdarzając miłością córkę, nie pozwala jej myśleć, że mogłaby zająć miejsce matki.

– U pani było inaczej? – domyślił się.

– Mój ojciec robił wszystko, by wzmocnić we mnie to przeświadczenie.

Słowa te zawisły w powietrzu jak kamień. Raczej nie takiego wyznania spodziewał się jej rozmówca. Pewnie czekał na jedną z opowieści w rodzaju „byłam wrażliwa, lecz nikt mnie nie rozumiał”. A tu takie coś. No cóż, chciał, to ma.

– Grubo – odezwał się wreszcie.

– To było moje pierwsze zwycięstwo – powiedziała z sarkazmem. – Wygrałam z własną matką. Taki sukces trudno potem przebić.

Niemal usłyszała, jak przełknął ślinę.

– Nie wiem, co powiedzieć...

– Jeśli pan chce, możemy zmienić temat.

Chrząknął.

– Sam panią do tej rozmowy namawiałem – powiedział. – Głupio byłoby teraz się wycofywać – stwierdził. – Była z tym pani u psychologa?

– Spędziłam jakiś czas na oddziale psychiatrycznym. Więc tak, można powiedzieć, że byłam z tym u psychologa.

Była ciekawa, jak zareaguje. Słowa „oddział psychiatryczny” działały zwykle na ludzi niczym tabliczka z napisem „dżuma”. Raczej nie opowiadała więc o tym epizodzie ze swojego życia na prawo i lewo. Jeśli już jednak to robiła, lubiła patrzeć z pewną masochistyczną satysfakcją, co się wówczas dzieje z jej rozmówcami. Wtedy gdy konsternacja i odruchowa chęć ucieczki walczyły na ich twarzach z próbami udawania, także przed samymi sobą, że wszystko jest w porządku i że to w zasadzie nic takiego.

– Współczuję. Naprawdę – powiedział tylko. Zabrzmiało to naturalnie i szczerze.

Zrobiło jej się nawet go żal. Musiał czuć się wyjątkowo niezręcznie. Chciał zagadać, nawiązać bliższy kontakt, pokazać, jaki jest empatyczny, ale nie wiedział, w co się pakuje.

– I jak, udało się to pani... przezwyciężyć? – spytał po dłuższej chwili milczenia.

– W pewnym sensie.

– Jak teraz układają się pani relacje z ojcem?

– Nie kontaktujemy się ze sobą.

Dwa pytania i dwie odpowiedzi. Obie jednocześnie prawdziwe i nieprawdziwe.

– A matka? – spytał. – Udało wam się dojść do porozumienia?

– Nie mamy zbyt dobrego kontaktu. Za wiele rzeczy się wydarzyło, by to mogło być realne.

– Rozumiem.

Akurat, pomyślała. Gównu rozumiesz.

– I co, nie boi się pan jechać z wariatką? – spytała prowokacyjnie. Czuła chyba podświadomie lekki niedosyt po tej jego nieco zbyt spokojnej reakcji.

Spojrzał na nią w lusterku.

– A pani? – powiedział.

– Co, ja?

– Nie boi się pani? Może jestem większym psycholem od pani? Nie zna mnie pani, nie wie, kim jestem.

– Jest pan taksówkarzem.

– Skąd pani wie? Samochód jest nieoznakowany, nie ma w nim taksometru.

– Mówił pan, że wszystko jest w aplikacji w komórce.

– Ale nie pokazałem jej pani. Uwierzyła mi pani na słowo.

– To niech pan ją teraz pokaże.

– Musiałbym włączyć telefon. Chce tego pani?

Zamilkła. Spojrzała w jego oczy odbite w lusterku. Patrzył na nią uważnie, intensywnie, nie mrugając powiekami.

– Nie, nie trzeba – odpowiedziała. – Wierzę panu.

Lecz wbrew własnym słowom poczuła lekkie ukłucie niepokoju. Znowu. I znów miała wrażenie, że ten człowiek wie więcej, niż się wydaje. I niż powinien.

A potem się uśmiechnął. Szeroko, ciepło, uspokajająco. W sposób budzący zaufanie.

– Wszyscy jesteśmy w jakiś sposób nienormalni – powiedział. – Proszę się nie przejmować. I nie, nie boję się jechać z wariatką. Wręcz panią polubiłem. Stała się pani bardziej ludzka przez to, co pani powiedziała. Do tej pory znałem panią tylko z mediów i z pani płyt. Miałem panią za kogoś w rodzaju półboga. A okazała się pani zwyczajnym człowiekiem. I muszę przyznać, że tylko dodało to pani uroku.

Jego oczy znów wpatrzone były w drogę.

– I proszę się nie bać – dodał. – Nie pozwolę zrobić pani krzywdy. Jest pani pod moją opieką. Przynajmniej dopóki jedzie pani moją taksówką.

ROZDZIAŁ 23

Tym razem to podkomisarz Rajmund Nowaczyk zadzwonił pierwszy. Było to tak niespodziewane i tak do niego niepodobne, że już na sam widok jego nazwiska na wyświetlaczu telefonu poczuła wyrzut adrenaliny do krwi.

– Słucham? – odezwała się, bardzo się pilnując, by w jej głosie nie słychać było nadmiernej ekscytacji.

– Mam parę rzeczy, o które pani prosiła – wyburczał do słuchawki.

Właśnie odebrała naleśniki na słodko w barze mieszczącym się na terenie prokuratury, lecz w tej sytuacji jedzenie musiało poczekać.

– Niech pan mówi – odparła.

– Jak to tak, przez telefon? – zapytał z sarkazmem. – Nie woli pani, żebym rzucił wszystko i przybiegł do pani gabinetu?

Czyli jednak nie mógł się obyć bez choć odrobiny złośliwości.

– Tym razem panu daruję – odparła. – Co pan ma?

Niemal poczuła jego zawód, gdy nie odwzajemniła mu się pięknym za nadobne.

– No dobrze – powiedział. – Po pierwsze, korporacje taksówkarskie. Z tego, co udało mi się ustalić, z żadnego z trzech postojów, które znajdują się w pobliżu domu Gierszewskiej, nie brał taksówki w interesującym nas przedziale czasowym nikt, kto byłby do niej podobny. Oczywiście wiadomo, teraz są maseczki i tak dalej, więc to

podobieństwo trudno ustalić, lecz z drugiej strony niewiele osób w dzisiejszych czasach wsiada do taksówki bezpośrednio na postoju, więc taksówkarze dość dobrze ich zapamiętują. Można więc przyjąć, że Julia Gierszewska nie skorzystała z tej formy transportu.

– Rozumiem – odpowiedziała.

Trochę tu było za głośno, a ona nie chciała uronić żadnego słowa. Wstała od stolika i wyszła na korytarz.

– Dalej – kontynuował – rower miejski i hulajnogi. Tu też nic. Gierszewska ma konta w systemie Veturilo i w jednej z firm wypożyczających elektryczne hulajnogi, lecz z żadnej z nich nie skorzystała już od bardzo dawna. Sprawdziłem też elektryczne skutery, a nawet samochody, tam z kolei nigdy nie założyła konta. Pomyślałem też, że może użyła konta Janusza Kozery, w końcu ona sama nie miała prawa jazdy, więc trudno by jej było zarejestrować się w którejś z firm wypożyczających samochody, ale też nie. Kozera miał zdaje się wywalone na takie rzeczy, bo nie znaleźliśmy jego konta w żadnym z podobnych systemów.

– W porządku – przerwała mu z pewnym zniecierpliwieniem – to coś pan w końcu znalazł czy nie?

Podkomisarz Nowaczyk nieco zbyt długo i zbyt szczegółowo, jak na jej gust, relacjonował wszystkie rzeczy, których nie udało mu ustalić.

– Tak, pani prokurator, coś tam w końcu znalazłem. – Zdaje się, że znowu udało jej się go zjeżyć.

Zamilkł, jakby chciał jej przypomnieć, że to jej powinno bardziej zależeć na poznaniu wyników jego dochodzenia.

– Dobrze, przepraszam – odparła ugodowo. – Niech pan mówi. – Pomyślała o stygnących naleśnikach.

– Na koniec sprawdziłem parkometry na ulicy przed domem Gierszewskiej – zapomniał dodać, że zgodnie z jej sugestią – i na

ulicy na tyłach tego budynku. Biletów w interesujących nas godzinach nie wystawiono zbyt wiele, zapewne większość parkujących tam aut ma miesięczne abonamenty wydawane mieszkańcom. Poza tym wszystkie wieżowce w okolicy mają podziemne garaże. Ustaliłem nazwiska osób, na które zarejestrowane są pozostałe samochody, i przepuściłem je przez policyjną bazę danych. Jeden z właścicieli był już wcześniej notowany.

– Za co?

– Zostało na niego złożone doniesienie. Niecałe pół roku temu. Jakaś kobieta oskarżyła go o nękanie.

Poczuła mrowienie w czubku głowy. Jakby dostrzegła w trawie odcisk łapy zwierzęcia, które tropi.

– Miało to jakiś dalszy ciąg? – spytała.

– Został przesłuchany, do niczego się nie przyznał. Sprawa została skierowana do prokuratury. Na razie tyle.

– Mhm, ciekawe – skomentowała.

– Poszedłem za ciosem i sprawdziłem bilety wystawione w poprzednich dniach. Samochód o tej rejestracji parkował na tej ulicy regularnie w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

– Może pracuje gdzieś w pobliżu? – spytała.

– Może. Trudno to ustalić, bo jego właściciela nie ma pod adresem, który podał podczas przesłuchania, a jego telefon jest wyłączony. Ostatni raz logował się dzisiaj w okolicach Konstancina.

Zamknęła oczy. Stygnące naleśniki przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– A co z tą kobietą, która złożyła zawiadomienie? – spytała. – Kontaktował się pan z nią?

– Dzwoniłem do niej, nie odbiera. Ale jej telefon loguje się na obszarze obejmującym miejsce, które podała jako adres swojego zamieszkania.

– Jest w domu, ale nie odbiera... Jedziemy tam – zdecydowała szybko.

– Jak to: jedziemy? – spytał.

– Pan i ja – odpowiedziała. – Proszę po mnie zajechać do prokuratury.

– To raczej nie jest przyjęte... – zaczął.

– Gdzie ona mieszka? – przerwała mu.

– Na Ursynowie.

– Będzie pan miał po drodze – skwitowała i zakończyła połączenie.

Zanim przyjedzie, minie pewnie co najmniej dwadzieścia minut. Bardzo dobrze. Zdąży akurat zjeść naleśniki.

Wróciła do barku. Stolik, przy którym siedziała, był pusty, talerza z jej naleśnikami nie było. Ktoś najwyraźniej uznał, że już skończyła, i go sprzątnął. Szlag by to trafił. Nie zdąży już zamówić i zjeść nowej porcji. Podeszła zrezygnowana do lady i kupiła sok pomarańczowy i obeschniętą już o tej porze dnia drożdżówkę. Po namyśle dołożyła też pączka. I tak ostatnio znowu schudła, nie musiała więc raczej dbać o linię.

Przynajmniej nakruszy Nowaczykowi w samochodzie.

ROZDZIAŁ 24

Zmarudził nieco, zdążyła więc wszystko zjeść i wypić na chodniku przed prokuraturą. Zanim wsiadła, strzepnęła jeszcze odruchowo okruszki z żakietu, z jej perfidnego planu nic wobec tego nie wyszło. I tak by zresztą prawdopodobnie niczego nie zauważył. Auto podinspektora był jednym z brudniejszych i bardziej zagraconych miejsc, w jakich się kiedykolwiek znalazła. Na podłodze między jej nogami wały się opakowania po hamburgerach i puste papierowe kubeczki po kawie. Otwarta samochodowa popielniczka pełna była petów. Nie sądziła, że ktoś jeszcze w dzisiejszych czasach jej używa. Za coś takiego powinien być specjalny paragraf w kodeksie karnym.

Widząc jej wzrok i wyraz twarzy, uśmiechnął się do niej szeroko i powiedział:

– Witamy na pokładzie!

Ruszyli. Smród petów sprawił, że zrobiło jej się niedobrze. Opuściła szybę w oknie.

– Co pani robi? – skomentował z udawanym oburzeniem. – Mam tu unikalny mikroklimat!

– I endemiczne gatunki bakterii – odpowiedziała. – Ale nawet one muszą oddychać.

– Mówiłem, że to nie najlepszy pomysł, by pani ze mną jechała. – W jego głosie dało się słyszeć utajoną satysfakcję.

– Spokojnie, dam radę – odparła. – Jeździłam komunikacją miejską w lato.

Dojechali w końcu na miejsce. Z ulgą wysiadła z tego świniobusa.

Stanęli przed czteropiętrowym budynkiem zatopionym w drzewach i zieleni. Pierwszy raz znalazła się w tej dzielnicy i zaskoczyło ją, że było tu w sumie dość przytulnie. Zawsze wydawało jej się, że Ursynów zabudowany jest wielkimi, brzydkimi blokami, otoczonymi pozbawioną roślinności pustką niczym w serialu *Alternatywy 4*, tu tymczasem było w miarę ładnie. No ale cóż, tamten serial nakręcono pewnie z czterdzieści lat temu, od tego czasu drzewa zdążyły urosnąć.

– Czwarte piętro – powiedział Nowaczyk, wskazując na pierwszą z trzech klatek schodowych. – Bez windy – dodał i sapnął, jakby już samo wspomnienie o tym go zmęczyło.

Podeszli do drzwi. Policjant wcisnął przycisk domofonu. Nikt się nie odezwał. Spróbował jeszcze raz. Gdy i tym razem nie było odpowiedzi, nacisnął przycisk obok. Po chwili rozległ się głos mężczyzny:

– Słucham?

– Dzień dobry, policja. Podkomisarz Rajmund Nowaczyk. Próbujemy dostać się do pana sąsiadki spod dwunastki, ale nie otwiera. Mógłby nas pan wpuścić?

Ciche brzęczenie oznajmiło, że drzwi zostały odblokowane. Nowaczyk pociągnął za klamkę.

– Za każdym razem, gdy będzie pani chciała gdzieś wejść, niech pani mówi, że jest z policji. Nikt nigdy o nic nie pyta i nie żąda okazania legitymacji – powiedział.

Weszli. Blok był czysty i dobrze utrzymany. Na parapetach okien na półpiętrach stały doniczki z kwiatami, w jednym wisiała nawet firanka. Po kilku minutach byli na górze.

Podkomisarz sapał tym razem z zupełnie zrozumiałego powodu.

Podeszli do drzwi z numerem dwanaście. Nowaczyk zadzwonił. Potem zapukał, a potem znowu zadzwonił. Bez skutku.

Zamiast tych drzwi otworzyły się inne, po drugiej stronie korytarza. Wyjrzała zza nich głowa otoczona wianuszkami siwych, zmierzwionych włosów. Był to zdaje się mężczyzna, który ich wpuścił.

– Coś się stało? – spytał.

Nowaczyk odwrócił się w jego stronę.

– Kiedy ostatnio widział pan Magdę Kuczyńską? – zapytał.

– Tę dziewczynę, co tam mieszka? Bo ja wiem, z tydzień temu.

– Słyszał pan od tego czasu coś podejrzanego?

– Tu, proszę pana, zawsze coś słychać. Jak ci pode mną się kłóca, to po całym bloku się niesie. A jak się dymają, to u mnie aż szklanki dźwięczą. Może to o nich panu chodzi? Skargi już ze trzy razy składałem.

– Z takimi rzeczami to do dzielnicowego, my w innej sprawie – odparł podkomisarz. – Czy coś było słychać z tego mieszkania?

– Podniósł głos, jakby mówił do głuchego.

– A z tego to nie. – Mężczyzna pokręcił głową. – Czasami tylko muzykę. Ale ładną, spokojną, nie jakieś szatanizmy.

– Przychodził tu ktoś może do tej pani? – pytał dalej Nowaczyk. – Widział pan tu kogoś?

– Kiedyś przychodził taki jeden, ale ostatnio już nie. Pogoniła go. Jak go wyrzucała, to jeszcze na korytarzu na nią krzyczał. Ale to raz tylko było, dlatego skargi nie składałem.

– Dawno to było?

– A bo ja wiem? Już jakiś czas temu.

– Dobrze, dziękujemy panu bardzo. Teraz proszę zamknąć drzwi, a my będziemy kontynuować czynności – zakończył rozmowę podkomisarz.

– Ale ja mam klucze jakby co – powiedział mężczyzna. – To moje mieszkanie. To znaczy córki. Wynajmujemy je tylko.

Nowaczyk i Seredyńska spojrzeli po sobie.

– Niech pan najpierw zadzwoni na jej komórkę – zwróciła się do podkomisarza. – Może tylko wyszła do sklepu.

Policjant mruknął coś i wyciągnął aparat. Po chwili zza zamkniętych drzwi rozległ się stłumiony, ale wyraźny dzwonek telefonu.

– Wygląda na to, że dobrze, że z panem przyjechałam – skomentowała Seredyńska. – I tak pewnie by mnie pan musiał wezwać.

Poczuła się dziwnie, ambiwalentnie. Z jednej strony wyraźne podekscytowanie, a z drugiej przygnębienie. Jakby to, co spodziewała się tam znaleźć, cieszyło ją, choć nie powinno.

– Niech pan idzie po te klucze – rzucił Nowaczyk.

– Ale co się stało? – dopytywał się mężczyzna. – Bo to kuzynka żony jest. Dość daleka, ale zawsze. Mieliliśmy mieć na nią oko.

– Proszę po prostu przynieść te klucze.

Mężczyzna zniknął za swoimi drzwiami. Z wnętrza mieszkania dała się słyszeć rozmowa. Za chwilę będą mieli na głowie także jego żonę.

– Myśli pan o tym samym co ja? – spytała podkomisarza.

– O niczym nie myślę – odparł. – W takich momentach to bardzo pomaga.

W odróżnieniu od niej był tylko przygnębiony.

Po chwili mężczyzna wrócił. Zza jego pleców wyglądała kobieta mniej więcej w tym samym wieku. Nowaczyk odebrał od niego klucze.

– A teraz proszę wrócić do siebie i zamknąć mieszkanie – powiedział stanowczo. – I nie podglądać przez wizjer.

– I tak będą to robić – skomentowała, gdy już zniknęli.

Nowaczyk podszedł do drzwi z numerem dwanaście i włożył klucz do dolnego zamka. Przekręcił go dwa razy i nacisnął klamkę. Drzwi ciągle były zamknięte. Na górze był jeszcze jeden zamek. Policjant odnalazł pasujący do niego klucz, wsunął go do otworu i zaczął kręcić. Po chwili jednak cofnął rękę.

Klucz dalej kręcił się sam.

Drzwi otworzyły się. Stała za nimi młoda kobieta. Była wyraźnie przestraszona.

– Co się tu dzieje? – spytała. – Kim państwo są?

ROZDZIAŁ 25

Ubrana była w białą koszulę i ciemną spódnicę, jakby przed chwilą wyszła z biura. Tylko na nogach zamiast szpilek miała zwykłe domowe kapcie.

– Podkomisarz Rajmund Nowaczyk – przedstawił się towarzysz Seredyńskiej. Jeśli był zaskoczony, to trzeba przyznać, że nie dał tego po sobie poznać. – Dzwoniliśmy do pani, lecz nikt nie otwierał.

Kobieta uniosła dłoń do czoła i potarła je palcami.

– Przepraszam – powiedziała. – Prowadziłam webinar na Zoomie, mogłam nie słyszeć.

– Co pani prowadziła?

– Szkolenie przez internet – wyjaśniła. – Wideokonferencję.

Na jej szyi wisiały zsunięte z uszu duże czerwone słuchawki.

– Możemy przez chwilę porozmawiać? – włączyła się Seredyńska.

– Tak, oczywiście. – Kobieta odsunęła się, żeby ich przepuścić. – Właśnie skończyłam. Inaczej bym was nie usłyszała.

Weszli do środka. Mieszkanie było małe, dwupokojowe. W większym pokoju pod oknem stał stolik, zdaje się, że przyniesiony z kuchni, na którym na podwyższeniu zbudowanym z książek stał otwarty laptop.

– Policja? – spytała kobieta. – O co chodzi?

– Jakiś czas temu złożyła pani zawiadomienie w sprawie nękania – wyjaśniła Seredyńska.

– A, to. Myślałam, że już dawno położyliście na tym lachę – odpowiedziała kobieta.

– Pojawiły się pewne nowe okoliczności.

– Jakie?

– Do tego jeszcze dojdziemy. – Podkomisarz przejął pałeczkę.

– Na razie chcielibyśmy, by pani jeszcze raz opowiedziała nam, co wtedy zaszło.

– Możliwie ze szczegółami – dodała Seredyńska. – Przepraszam, nie przedstawiłam się jeszcze: prokurator Gabriela Seredyńska, Prokuratura Okręgowa w Warszawie.

Kobieta spojrzała na nią i uniosła brwi.

– O, nieźle! Sama pani prokurator! Czuję się zaszczycona... – powiedziała. – Nie wiedziałam, że chodzicie po domach i sprawdzacie takie rzeczy... Cofam wszystko, co mówiłam znajomym o polskim wymiarze sprawiedliwości. To, że jesteście opieszali i macie w dupie obywateli.

Podkomisarz chrząknął, Seredyńska tylko się uśmiechnęła.

– Możemy usiąść? – spytała.

– Tak, tak, oczywiście. – Wskazała im stojącą pod ścianą granatową sofę z Ikei. – Przepraszam, jestem tym wszystkim nieco oszołomiona. Może kawy, herbaty?

– Dziękujemy, nie trzeba – odpowiedziała Seredyńska.

Kobieta okręciła obrotowe krzesło stojące przy stoliku z komputerem i też usiadła. Wyglądała na speszoną.

– To co chcieliby państwo wiedzieć? – spytała.

– Niecałe pół roku temu złożyła pani zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Jako osobę, która się go dopuściła, wskazała pani Marka Ziembę. Chodziło o czyn z artykułu 190a kodeksu karnego, czyli uporczywe nękanie. Mogłaby pani wyjaśnić, co się dokładnie zdarzyło? – spytała Seredyńska.

– No cóż – kobieta wcisnęła dłonie między złożone nogi – ten człowiek po prostu nie potrafił zrozumieć, że nie jestem nim zainteresowana.

– Jak to się przejawiało?

– Wydzwaniał, wysyłał dziesiątki wiadomości, SMS-ów i na Messengerze, komentował w dwuznaczny sposób moje wpisy na Facebooku i Instagramie, zaczepiał mnie, uparczywie próbował się umówić, oferował pomoc przy każdej najmniejszej okazji, mimo iż wyraźnie mówiłam, że jej nie potrzebuję... – wyliczała.

– Czy był agresywny? – spytał podkomisarz.

– Nie, raczej nie. Był namolny. Osaczał mnie swoim zainteresowaniem. Wystawał przed blokiem. W pewnym momencie bałam się wyjść z domu, bo wiedziałam, że tam będzie.

– Pani sąsiad twierdzi, że przychodził tu do pani jakiś mężczyzna i że w pewnym momencie go pani, jak się wyraził, „pogoniła”. Chodziło o niego? – spytała Seredyńska.

– Tak, to był on.

– Wpuszczała go pani do swojego domu? Byliście w jakiegoś rodzaju związku?

– Nie, w żadnym razie. – Pokręciła energicznie głową. – Pracowaliśmy razem. Za każdym razem wymyślał jakiś pretekst związany z pracą, a to, że musi coś obgadać, a to, że wpadł na jakiś pomysł... Na początku go wpuszczałam, bo co miałam zrobić? Ale to działo się zbyt często. Poza tym zaczął się zachowywać, jakbyśmy rzeczywiście byli parą.

– Molestował panią?

– To może za duże słowo. Chodzi raczej o sposób, w jaki zaczął o mnie mówić. Jakbym była jego dziewczyną. Uznałam wtedy, że trzeba to przerwać i wyjaśnić sytuację.

– Jak na to zareagował?

– Źle. Chyba naprawdę myślał, że coś między nami jest. Ale ja mu nigdy nie dałam najmniejszych powodów, by tak sądził. Po prostu byłam uprzejma. Może za bardzo. Gdybym wcześniej raz czy dwa potraktowała go z buta, może nie ubzdurałby sobie, że coś do niego czuję. W każdym razie skończyło się to niezłą awanturą.

– Wtedy poszła pani na policję?

– Nie, później. Sądziłam, że załatwiłam sprawę. Ale on potraktował to jako sprzeczkę kochanków. Przyszedł z kwiatami, a kiedy znowu go pogoniłam, zaczął wystawać przed blokiem i pytać, dlaczego się na niego gniewam. Dopiero wtedy stwierdziłam, że nie mam innego wyjścia.

– Czy czuła się pani przez niego zagrożona? – spytał Nowaczyk.

– Nie. Czułam się zmęczona, miałam stany depresyjne, czasami bałam się, że to ja mu w końcu coś zrobię. Fantazjowałam, że coś na niego zrzucę albo obleję go wrzątkiem z balkonu... – Wzdrygnęła się aż na to wspomnienie.

– Czy po pani zgłoszeniu na policję sytuacja się zmieniła?

– Tak, muszę przyznać, że tak – przytaknęła skwapliwie. – Odkąd wezwaliście go na przesłuchanie w zasadzie. Chyba się przestraszył albo w końcu zrozumiał, że go nie chcę. W każdym razie odczepił się.

– Całkowicie?

– Całkowicie. Zresztą akurat dobrze się złożyło, bo wkrótce potem przestaliśmy razem pracować. To było tuż przed pierwszą falą pandemii. Pracowaliśmy w firmie eventowej. Gdy wprowadzono lockdown, nasza branża straciła z dnia na dzień wszystkie zlecenia. Ja zostałam, bo miałam stałą umowę o pracę. Poza tym była wtedy kupa roboty z odwoływaniem i przekładaniem imprez, więc ktoś to musiał robić. On był na umowie czasowej, która nie została mu przedłużona. Ja zresztą

potem też poszłam na bezpłatny urlop, bo już nie było z czego płacić pracownikom. Te szkolenia, które teraz prowadzę, to próba ratowania się w ciężkich czasach. Kolega mi załatwił, pracuje dla jednej z korporacji i nie musi się martwić o etat.

– Czy od tamtego czasu Marek Ziemba kontaktował się z panią w jakikolwiek sposób?

– Nie, nigdy. Usunęłam go ze znajomych na Facebooku, nie wiem nawet, co się u niego dzieje. Szczerze mówiąc, bardzo mi z tym dobrze.

– A czy nie zauważyła pani w ostatnim czasie jakichś innych niepokojących zdarzeń? Nikt pani nie obserwował, nie śledził, nie zdarzyło się nic, co by odbiegało od normy?

Zastanowiła się.

– Nie, chyba nie. Zresztą ja teraz naprawdę rzadko wychodzę. Pracuję z domu, nawet ze znajomymi umawiam się na Skype...

– Rozumiem. – Seredyńska spojrzała na podkomisarza. Dostrzegł jej wzrok i kiwnął potakująco głową. – Chyba nie mamy już więcej pytań. Dziękujemy pani bardzo za poświęcony nam czas.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała kobieta. – Przynajmniej przez chwilę zrobiło się ciekawie. Jak człowiek siedzi od paru miesięcy w domu, nawet awaria pralki potrafi być pasjonującym zdarzeniem. A tak w zasadzie to co się stało? Ziemba znów coś nawywijał?

– Niestety, chyba nie możemy tego ujawnić – odparła Seredyńska. – Dobro śledztwa i tak dalej... Zresztą wszystko wskazuje na to, że trop związany z panią okazał się niezbyt rozwojowy.

Wstała.

– Przykro mi, że państwa zawiodłam – odpowiedziała kobieta i również się podniosła. – W razie czego zapraszam

ponownie. W najbliższym czasie raczej się nigdzie nie wybieram, więc łatwo mnie będzie znaleźć – dodała cierpko.

Podkomisarz Nowaczyk też wstał. Ruszyli w kierunku drzwi.

– W zasadzie to jedna dość nietypowa rzecz faktycznie mi się ostatnio przytrafiła – rzuciła nagle, gdy byli już w niewielkim przedpokoju. – Tylko nie wiem, czy warto o tym wspominać, bo to naprawdę błahostka.

– Nigdy nie wiadomo, co okaże się ważne – odparła Seredyńska, zatrzymując się w pół kroku. – Proszę mówić.

– Jakies dwa tygodnie temu ktoś oznaczył mnie w poście na Facebooku. Osoba, której nie znam i której chyba nigdy nie spotkałam. To był dość dziwny post: byłam jedyną oznaczoną osobą, a kiedy weszłam na profil tego człowieka, okazało się, że nie ma w ogóle żadnych znajomych, żadnych innych wpisów, zdjęć, nic. Jakby był botem albo założył konto przed chwilą. A następnego dnia ani wpisu, ani konta już nie było. Nie zwróciłam na to uwagi, bo pomyślałam, że to po prostu jakiś wirus w ten sposób próbuje się rozsyłać, albo to może rodzaj reklamy, ale skoro pytacie o takie rzeczy...

– Pamięta pani, co to był za post?

– Piosenka. Udostępniona z YouTube'a.

Jest takie powiedzenie: „zastrzyc uszami”. Seredyńska poczuła, że nie jest ono wyłącznie metaforyczne. Naprawdę miała wrażenie, że jej małżowiny uszne naprężają się i przesuwiają do przodu.

– Jaka to była piosenka? – spytała.

– Nie pamiętam w tej chwili tytułu – odpowiedziała kobieta – ale chodziło o utwór tej młodej piosenkarki, która wydała niedawno płytę. Ostatnio było o niej dość głośno z tego powodu... Julii... – Próbowała sobie przypomnieć.

– Gierszewskiej? – podpowiedział jej podkomisarz.

– Właśnie, Gierszewskiej – przytaknęła.

– Był do tego jakiś komentarz? – spytała Seredyńska.

– Nie, nic. I to też było dziwne. Tylko ta piosenka i moje nazwisko.

– O czym była, pamięta pani?

– O tym, że trzeba zostawić za sobą przeszłość. Ale teledysk kończył się wypadkiem samochodowym. Myśli pani, że to on mógł go zamieścić? – Jej oczy rozszerzyły się nagle.

– Nie wiem – odparła Seredyńska. – Ale skoro konta już nie ma, trudno to będzie raczej ustalić. Rozumiem, że nie zaglądała dziś pani do serwisów informacyjnych? – dodała po chwili już z ręką na klawisze.

– Przestałam to robić jakiś czas temu. – Kobieta machnęła ręką. – Ciągle piszą tylko, ile osób się zaraziło, a ile umarło... Miałam już tego serdecznie dosyć.

– Dziś niech pani wyjątkowo tam zajrzy – rzuciła na odchodnym Seredyńska i otworzyła drzwi.

ROZDZIAŁ 26

– No dobrze, to teraz pan – powiedziała. – Pora na pana spowiedź.

Wzruszył ramionami.

– Jak już mówiłem, nie będzie to specjalnie interesująca opowieść.

– Mimo wszystko nalegam. Obiecał pan.

– OK, nie wymiguję się. Od czego mam zacząć?

– Skąd pan pochodzi?

– Z okolic Warszawy.

– Rodzice?

– Ojciec miał gospodarstwo rolne, matka nauczycielka.

– Miał?

– Umarł na zawał kilka lat temu.

– Współczuję.

– Nie ma czego. Nie byliśmy zbyt mocno związani.

– Czemu?

– Był alkoholikiem. Dość wcześnie w związku z tym wybyłem z domu.

– Bił pana?

– Nie. Matki zresztą też nie. Trzeba mu przyznać, że potrafił ten swój nałóg trzymać w ryzach. W dość specyficzny zresztą sposób.

– Jaki?

– Nie pił przez cały czas. Wpadał w ciągi. Potrafił przez pół roku nie wziąć alkoholu do ust, a potem pić trzy tygodnie bez przerwy. Wiedział o tym i umiał to w pewien sposób ucywilizować. W piwnicy naszego domu urządził sobie rodzaj samodzielnego mieszkania. Pokój z łazienką i kuchenką elektryczną. Bez okna. Zawsze stały tam trzy pięciolitrowe baniaki bimbru. Na wszelki wypadek. Kupował go od znajomego, gdy był trzeźwy, żeby potem po pijaku nie chodzić po mieście i nie robić widowiska. Gdy przychodziła jego pora, po prostu schodził do piwnicy, zamykał się na klucz i zaczynał pić. Nie wychodził, dopóki nie przestał. Wiedzieliśmy, co w tej sytuacji robić, mieliśmy to przećwiczone: ja przejmowałem zarządzanie gospodarstwem, matka sprawy domowe, wszystko działało jak w zegarku. Jakby ktoś przestawił zwrotnicę. Zdawaliśmy sobie sprawę, że ojciec przez dwa-trzy tygodnie nie będzie dostępny w żadnej sprawie, nawet najważniejszej, jakby wyjechał. Matka tylko donosiła mu jedzenie i stawiała przy drzwiach, ale niespecjalnie dużo, bo nie potrzebował wiele. Dzieciom nie wolno było wtedy schodzić do piwnicy, żeby niczego broń Boże nie podpatrzyły ani nie usłyszały, bo ojciec jechał naprawdę po całości. Rzygał, srał pod siebie, krzyczał, wył, co tylko pani może sobie wyobrazić. A kiedy już się nasycił tym upodleniem, gdy uznał, że ma dość, po prostu przestawał, sprzątał, mył się, przebierał w czyste ciuchy, które miał tam naszykowane, i wychodził. I znowu było jak gdyby nigdy nic.

– Niesamowite – skomentowała. – W pewien sposób imponujące.

– Co w tym jest imponującego? – spytał.

– Jakiś rodzaj odpowiedzialności. Wiedział, że jest alkoholikiem, ale starał się jak najmniej obciążać tym rodzinę. Chronić ją przed swoim nałogiem.

– Myśli pani, że mu się udawało?

– A nie?

– To może fajnie wygląda, gdy się o tym opowiada. Jest w jakimś sensie komiczne, nawet pociągające. Mógłby to opisać Hrabal w jednym ze swoich opowiadań. Albo Charles Bukowski. Ale rzeczywistość nie wyglądała wcale tak zabawnie. Najfajniej w sumie było zaraz potem, gdy ojciec przestawał pić. Przez jakiś czas był idealnym mężem i tatą. Czułym, kochającym, uważnym. Zabierał nas na wycieczki rowerowe, kupował prezenty, mamie przynosił kwiaty, cieszył się odzyskanym normalnym życiem i rodziną. Mieliśmy swój miesiąc miodowy. Ale to dość szybko mu przechodziło. Powoli zaczynał zamykać się w sobie, zapadać jakby. Stawał się milczący, opryskliwy, skupiony tylko na sobie i ewentualnie na pracy. Męczyliśmy go i irytowaliśmy, widać było, że ma już ochotę uciec. Atmosfera w domu gęstniała, stawała się nie do zniesienia. Pod koniec tego okresu modliliśmy się już, żeby zaczął wreszcie chlać. By w końcu zszedł do tej swojej nory w piwnicy i przestał nas już przygniatać. Ale gdy to nareszcie się działo, nie czuliśmy wcale ulgi. No może przez pierwsze dwa, trzy dni. Potem świadomość tego, że on tam jest, że pije na umór, że przeistacza się w jakieś zwierzę, w Minotaura ukrytego w swoim labiryncie, że nie wiadomo, czy właśnie w tej chwili nie dławi się własnymi rzygami albo nie umiera w kałuży moczu na zawał, była jeszcze gorsza. Udawaliśmy na górze, że żyjemy normalnie, ale nie było w tym nic normalnego. Pamiętam, jak nasłuchiwałem w nocy, czy nie słychać, jak krzyczy w pijackim szale. Nie było słychać, wytłumił tę swoją jaskinię bardzo skutecznie. Ale mi wydawało się, że go słyszę. Właśnie dlatego stamtąd uciekłem, nie dawałem rady tak żyć.

– Tak właśnie umarł? Tam, w piwnicy?

– No właśnie nie. – Pokręcił głową. – Umarł w czasie jednego z miesięcy miodowych, już wtedy nie mieszkałem w domu.

Przestał chlać i zaczął być kochającym mężem, jak zwykle. Wymyślił sobie, że zabierze swoją żonę nad morze. Zawsze w tych okresach miał niezwykłą energię, kipiał wprost pomysłami. Pojechali do Stegny, nad Zatoką Gdańską, bo jest od nas najbliżej. I tam, na plaży, w pięknym słońcu, w ciepły jesienny dzień przewrócił się i umarł. Tylko narobił mamie kłopotu.

– Przykre – powiedziała. – Jak pan na to zareagował?

– Na początku nijak – odpowiedział. – Przyjechałem na pogrzeb i byłem zły na mamę, że tak rozpacza. Że płacze, jakby było za czym. W końcu uwolniła się przecież od niego wreszcie; potwór, który ją terroryzował, zdechł. Ale w końcu zrozumiałem, dlaczego to robi.

– Kochała go?

– Pewnie w jakiś sposób tak, ale nie sądzę, żeby to tylko o to chodziło. Płakała, bo straciła nagle sens życia, coś, co je organizowało przez kilkanaście ostatnich lat, odkąd zaczął tak pić. Płakała tak naprawdę ze strachu, bo nie wiedziała, co ma teraz robić. Ja już miałem własne życie, kulawe, ale zawsze. Ona nie znała niczego innego.

– Pan nie płakał?

– Nie. Czuję coś w rodzaju obojętnej satysfakcji. Jakby sprawiedliwości wreszcie stało się zadość. Dopiero potem mnie to trzepnęło.

– W jakim sensie?

– Zrozumiałem, że nie jestem już nieśmiertelny. Gdy umiera jedno z twoich rodziców, dochodzi do ciebie nagle, że w sztafecie pokoleń jesteś następny w kolejce. Że teraz to ty stoisz od brzegu. Najbliżej przepaści. Dziwnie na to zareagowałem, jakbym próbował to jeszcze przyspieszyć. Zacząłem palić, mimo że do tej pory tego nie robiłem. Ojciec jarał jak smok i pewnie to też między innymi go zabiło.

Spróbowałem też chlać tak jak on, chociaż wcześniej nienawidziłem, jak to robił. Nakupiłem sobie wódki i zamknąłem się na weekend w mieszkaniu. Ale całe szczęście nie dałem rady. Piłem dwa dni bez przerwy, ale trzeciego byłem już tak wycieńczony i rozbity, że sobie odpuściłem. Wylałem resztę alkoholu do zlewu i nigdy więcej tego nie powtórzyłem. Nie udało mi się stać się takim jak mój ojciec. Okazałem się wyrodnym synem.

ROZDZIAŁ 27

Wjechali znowu do jakiejś, raczej niewielkiej, miejscowości.

– Nie wiem, czy to odpowiedni komentarz w tej sytuacji – powiedziała – ale pana historia wcale nie była taka nieciekawa. Niepotrzebnie się pan przejmował.

– Cieszę się, że pani nie zanudziłem.

– Gdzie jesteśmy? – spytała.

– Zbliżamy się do Ostrowca Świętokrzyskiego – odpowiedział.

Nie żeby ją to jakoś nadmiernie interesowało. Nigdzie jej się w końcu nie spieszyło. Poza tym dobrze jej się tak jechało. W tej pędzącej po drogach kapsule odciętej blaszanymi ścianami od świata. Czowała się, jakby była tu poza czasem i poza normalnym życiem. Jakby podróżowała na Marsa i miała już nigdy nie wrócić.

Coś jednak jeszcze poczuła. Charakterystyczny i dobrze jej znany niepokój. Ten, któremu można zaradzić tylko w jeden sposób. Ta jego opowieść o alkoholowym upodleniu paradoksalnie wzbudziła w niej chęć, żeby się napić. W sumie aż dziw, że dopiero teraz. Po tym, co zaszło, miała naprawdę dobry pretekst. Nie zwykła marnować podobnych okazji. To w końcu był jej standardowy sposób na radzenie sobie z wszelkimi stresującymi sytuacjami.

– Mógłby się pan gdzieś zatrzymać? – spytała.

– Znowu? – zdziwił się.

– Muszę sobie coś kupić.

Miała co prawda butelkę tej trzydziestosześcioletniej whisky, ale po pierwsze, schowała ją do walizki, a po drugie, miała ochotę na swoją starą przyjaciółkę cytrynowkę. Taką w dwustumililitrowej buteleczce. Zgrabnej i poręcznej, jakby specjalnie stworzonej dla kobiecej dłoni.

– Może być tu – powiedziała, widząc, że zbliżają się do jakiejś stacji.

– Stacja paliw Oktagon? – spytał z powątpiewaniem. – Jest pani pewna? Nie wygląda to najlepiej. Może poszukamy czegoś porządniejszego?

– Ta w zupełności wystarczy – odpowiedziała.

Bez słowa już wrzucił kierunkowskaz i zjechał z drogi. Zatrzymał się za dystrybutorami, pod wielkim czerwonym napisem „kebab”.

– „Prawdopodobnie najlepszy kebab w Polsce” – przeczytał. – Kurczę, mamy naprawdę szczęście... – dorzucił kpiącym głosem.

– Niech pan poczeka w samochodzie – powiedziała. – Szybko to załatwię.

Wysiadła. W ostatniej chwili przypomniała sobie o założeniu maseczki na twarz. Weszła do środka.

Znalazła się w małym, wyłożonym kremowymi płytkami korytarzyku. Przed nią były drzwi do toalety. Takiej, do której raczej nie chciałyby wchodzić. Po prawej stronie było wejście do sklepu przy stacji, po lewej do lokalu serwującego kebab. Siedziało w nim przy kwadratowych stolikach kilku mężczyzn. Nic nie jedli, za to pili piwo.

Skierowała się w prawą stronę.

Stacja rzeczywiście nie należała do przesadnie dobrze zaopatrzonych. Asortyment, który oferowała, był dość ubogi. Głównie oleje, smary i inne rzeczy potrzebne do samochodu.

Ale to, co ją interesowało, było, a jakże. W końcu znajdowali się w Polsce.

Podeszła do lady. Smutny, niedogolony facet w granatowym kombinezonie popatrzył na nią wzrokiem wyrażającym całą beznadzieję swej egzystencji. Jego twarz osłaniała przezroczysta pleksiglasowa przyłbica. Tuż za nim na prostych białych półkach stały alkohole. Żadnego wina raczej nie dało się tam znaleźć, za to piwo i wódkę jak najbardziej.

– Poproszę ćwiartkę cytrynowki – powiedziała.

Sięgnął za siebie i postawił na blacie butelkę.

– Tankowała pani? – spytał.

– Nie – odparła. – Albo dwie – zmieniła zdanie.

Ponownie sięgnął za siebie.

– Dwadzieścia pięć złotych – powiedział.

Wyjęła z torebki rulon banknotów, który zabrała z mieszkania. Zdjęła z niego gumkę i wyciągnęła sto złotych. Popatrzył na nią dziwnie.

– Może chce pani przy okazji kupić całą stację? – spytał. – Chętnie sprzedam.

– Nie, dziękuję – odparła. – Wystarczy mi cytrynowka.

– Szkoda. Mają znowu zamknąć gastronomię, słyszała pani? Cholerna pandemia... Będę mógł sprzedawać kebaby tylko na wynos. Tylko kto tu przyjdzie, jak nie będzie się można piwa napić?

Nie odpowiedziała. Schowała buteleczki do torebki i wyszła. Jej kierowcy nie było w aucie.

Zajrzała przez szybę do baru. Stał przy ladzie i rozmawiał ze sprzedawczynią. Cholera. Miała nadzieję, że nie o pewnej piosenkarce, która dziś zamordowała swojego menadżera. Poczula zimny pot. Nie pomyślała o tym. O tym, że wyjdzie i że będzie taki wrywny do ludzi. Mogła sobie darować tę cytrynowkę...

Po chwili pojawił się w drzwiach. Trzymał w ręku kanapkę zawiniętą w papier. Zatrzymał się i ugryzł kawałek.

– Faktycznie nie taki zły – skomentował. – Nie wiem, czy najlepszy w Polsce, ale prawdopodobnie najlepszy w tej miejscinie.

Przyjrzała się uważnie jego twarzy. Nie wyglądał na specjalnie wstrząśniętego.

– Podobno znowu mają wejść jakieś obostrzenia związane z pandemią – zagadnęła. – Sprzedawca mi powiedział. A pan dowiedział się czegoś ciekawego?

Przełknął.

– Niespecjalnie. Spytałem kelnerkę, czy wie, co to jest oktagon. Odpowiedziała, że chyba coś związanego z benzyną. Wy tłumaczyłem jej, że to coś związane z benzyną to oktan, a oktagon to ośmiokątna figura geometryczna. Bardzo się zdziwiła.

Ugryzł następny kęs. Ruszyli w stronę samochodu.

– Koło mnie była kiedyś apteka o nazwie Medea – powiedziała. – Medea, jak wiadomo, otruła swoje dzieci. Jest to niby w jakiś sposób związane z farmacją, ale nie wiem, czy o taki rodzaj skojarzeń chodziło właścicielom.

Zaśmiał się.

– Dlaczego je otruła? – spytał.

– Jej mąż, Jazon, zdradził ją z młodszą – wyjaśniła. – W ten sposób się na nim zemściła.

– Powinna otruć jego, nie dzieci – powiedział. – Albo walnąć go mocno czymś ciężkim w łeb.

Stanęła jak wryta.

– Dlaczego walnąć? – spytała zmrożona.

Odwrócił się do niej.

– Tak się przecież mówi, nie?

Uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ 28

Usiadła na swoim miejscu i sięgnęła do torebki. Poczekała, aż samochód ruszy, by jego kierowca nie usłyszał charakterystycznego dźwięku odkręcania nakrętki. Zanim podniosła butelkę do ust, sprawdziła, czy nie patrzy na nią w lusterku. Stare nawyki z poprzedniego życia. W sumie nie miała najmniejszych powodów, by się przed nim z tym ukrywać. Był w końcu tylko taksówkarzem, któremu zapłaciła, by dowiózł ją do celu.

Pierwsza porcja alkoholu rozlała się po jej ciele ciepłą, uspokajającą falą. Wypiła szybko drugi łyk, oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy. Poczwała w ustach chemiczny smak najtańszego spirytusu, syropu glukozowo-fruktozowego i wszystkich tych sztucznych barwników i dodatków aromatycznych, które dodają do takiego gówna. Bardzo przyjemny w sumie. To też było wspomnienie z jej dzieciństwa. No, może nie z dzieciństwa, z wczesnej młodości. Na czymś takim uczyła się pić.

Wszystko od niej odpłynęło. Jak dobrze. Pociągnęła kolejny łyk, tym razem nawet nie otwierając oczu. Powinna była zrobić to już dawno. Uchlać się, jak ojciec jej kierowcy. Do spodu, do końca, do zatracenia. Być może nawet już tam, w mieszkaniu. Połknąć do tego jeszcze jakieś tabletki i wyłączyć światło raz na zawsze. I nigdzie nie uciekać.

To byłoby chyba najlepsze w sumie rozwiązanie. No ale już jest na to za późno. Nie robi przecież tego teraz, w taksówce, przy tym człowieku. Byłoby to w pewien sposób nieuprzejme. Oraz niezręczne.

Przypomniała sobie jego słowa. Nie te ostatnie o walnięciu w łeb. Przecież faktycznie tak się czasem mówi. Skąd miał wiedzieć, że dla niej to coś więcej niż zwykłe powiedzenie? Te wcześniejsze, o rodzicach i dzieciach.

Czy i ona próbowała być jak svoja matka? Często o tym tak właśnie myślała. Czy i ona próbowała powtórzyć jej drogę? Podświadomie, a jakże; wszystko, co najważniejsze, dzieje się przecież podświadomie, jakoś tak się utarło. Ale „próbować” nie znaczy przecież to samo co „być”. Między tymi dwoma słowami jest zasadnicza różnica. Może więc wcale nie była jak ona, może była tylko niewolnicą wdrukowanych w dzieciństwo i młodości schematów zachowań? Tej odwiecznej i bardzo przydatnej z punktu widzenia ewolucji tendencji, by naśladować swoich rodziców. Tendencji, która w jej przypadku okazała się katastrofalna.

Ale może nie była to ostateczna klątwa? Może tak jak ten człowiek siedzący z przodu mogłaby się od niej wyzwolić? Stać się wyrodną córką, jabłkiem, które daleko pada od jabłoni. To kolejna rzecz, na którą było już za późno. Niektóre sprawy są nieodwracalne. Ta droga jest zbyt stroma, by z niej zawrócić.

No i gdyby tak było, to przecież tylko gorzej. Oznaczałoby to, że miała swoją szansę, ale ją zaprzepaściła. Nie była przeklęta, lecz po prostu nie dość silna. Jeszcze jeden powód, by ostatecznie wyłączyć światło.

Podniosła butelkę do ust i przechyliła ją po raz trzeci. Tylko to jedno ją w życiu nigdy nie zawiodło. To i jedzenie na wynos, dodała w myślach z wisielczym humorem. Bo sama siebie zawiodła wielokrotnie. Chociażby ostatnio, gdy zgodziła się na

pomysły swojego byłego już (była nieco wstawiona, więc roześmiała się bezgłośnie) menadżera. Na tę ostatnią płytę, która wbrew temu, co głosiły różne media, z jej perspektywy nie była sukcesem, ale porażką. Gniotem, który zamienił jej charakterystyczny styl w obsypaną brokatem wydmuszkę pozbawioną treści. Jak mogła dać się aż tak zdominować?

Muzyka była przecież zawsze jej jedyną linią obrony, ostatnim szańcem w walce ze światem. A i tam pozwoliła wdrzeć się nieprzyjacielowi. Był to co prawda nieprzyjaciel podstępny, udający sprzymierzeńca, choć być może to tylko ona chciała go takim widzieć. Gdy o tym teraz myślała, dochodziła do wniosku, że ten koń trojański nawet specjalnie się nie maskował.

To było przecież od początku jego celem. Od dnia, w którym się poznali. Chciał przejąć jej muzykę, jej talent i oczywiście jej pieniądze, choć one akurat nie były w tym wszystkim najważniejsze. Był pasożytem, który stopniowo opanowuje swojego żywiciela, jak ten grzyb, który atakuje mrówki i czyni z nich zombie. Ona też stała się przy nim takim zombie, niewolnikiem swojego pana-czarownika, robiącym wszystko, co tylko jej każe.

Chciał jej zabrać wszystko, wszystko. Głównie dlatego, że sam nie miał nic. Był istotą utkaną z własnych wyobrażeń o sobie. Żywił się więc nią, pożerał kawałek po kawałku. Zapewniał puste miejsce w sobie tym, co wydarł jej. Bardzo przypominał jej własnego ojca. Pewnie zresztą dlatego tak do niego przyłgnęła. Jej ojciec też był pusty w środku, choć on przynajmniej reprezentował sobą coś w sensie zawodowym. Lecz nie miał uczuć, nie było w nim życia. Te rzeczy musiał pobierać z innych. Najpierw z jej matki, którą wysłał niemal na wiór z wszelkiej radości i energii, które miała, zanim go poznała, potem z niej.

W jeszcze jednym ci dwaj mężczyźni byli do siebie podobni: obaj się nią zadławili. Obaj przekroczyli w pewnym momencie granicę, nawet o tym nie wiedząc. Byli zbyt pewni swojego panowania nad nią. Nie przypuszczali, że zbyt mocno dociskana sprężyna wystrzeli im w końcu prosto w twarz.

Dopiła butelkę do końca. Potem otworzyła drugą.

ROZDZIAŁ 29

Wracali w milczeniu. Gdy zatrzymali się na światłach, podkomisarz Nowaczyk wyciągnął z paczki papierosa i włożył go sobie do ust. Potem zerknął na nią – dostrzegła to kątem oka – i wyjął go z powrotem.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – rzuciła w jego stronę. – Bardziej już śmierdzieć tutaj nie będzie.

Może przynajmniej świeży dym przykryje zapach tych skwaśniałych petów w popielniczce, pomyślała.

Zapalił papierosa i kurtuazyjnie uchylił okno.

– Wie pan co? Ja też poproszę – powiedziała.

Nigdy w życiu nie paliła w samochodzie. Żał byłoby nie wykorzystać takiej wspaniałej okazji.

Spojrzał na nią zdziwiony i podał jej paczkę. Światła się zmieniły, ruszyli.

– Zapalniczka jest w środku – powiedział.

Wymięte opakowanie pokryte było niemal w całości zdjęciem przedstawiającym straszne skutki palenia. Trudno było nawet dostrzec, jaka to marka. Wyjęła jedną z fajek, podpaliła i zaciągnęła się. Nikotynowy młot uderzył ją niemal od razu. Dawno tego nie robiła, ostatni raz chyba z Aleksanderskim.

Odsunęła szybę ze swojej strony i wydmuchała dym w stronę szpary. Palenie w aucie miało coś w sobie, musiała to przyznać.

– Nie wiedziałem, że jest pani pasjonatką tego sportu. –
Usłyszała.

– Wszystkiego w życiu należy spróbować – odparła. –
Z wyjątkiem gówna.

Omam się nie zachłysnął dymem. Odkasznął i powiedział:

– Zaczynam zmieniać o pani zdanie, pani prokurator.

– A jakie było wcześniej? – spytała.

– Że jest pani sztywną dziunią, przekonaną o własnej
wyższości.

– Proszę się jeszcze wstrzymać z tą zmianą oceny –
odpowiedziała. – To może być prawda.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Większość rzeczy, które pani myśli o mnie, też zapewne
jest prawdą – powiedział.

Zaciągnęła się ponownie. Zrobiło jej się niedobrze. To byłoby
chyba tyle, jeśli chodzi o palenie w samochodzie. Dołożyła
kolejnego kiepa do ich bogatej kolekcji w popielniczce.

– A co pan myśli z kolei o naszej niedawnej wizycie? –
spytała. – Też pan już widział oczyma duszy trupa w kałuży
krwi?

– Tak jak zapewne pani – odpowiedział. – Nie wiem – dodał
po chwili. – Wydaje mi się, że coś tam jest mimo wszystko na
rzeczy. Ta piosenka... To mi wygląda na wiadomość.

– Sądzi pan, że chciał się pochwalić? Kobięcie, która
wcześniej nim wzgardziła?

– Tak. Że nie jest taki ostatni, skoro zrobił coś takiego. Albo
postraszyć, że ją też coś takiego mogło spotkać.

– Czyli przyjmujemy jednak wersję z porwaniem?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co przyjmujemy. To, czym dysponujemy, to na
razie ledwie cienie poszlak.

– Ale jakoś to się wszystko zazębia – powiedziała. – Jego samochód przed domem Gierszewskiej, logowanie obu telefonów w Konstancinie, oskarżenie o nękanie, teraz ta piosenka... Brzmi to spójnie.

– Na zdrowy rozum, tak – potwierdził. – Na postawienie zarzutów to jeszcze trochę za mało, ale możemy go przesłuchać w charakterze świadka.

– Tylko trzeba go najpierw znaleźć – zauważyła.

– Roześlę wici – powiedział. – Ściągnę bilingi, sprawdzę, do kogo dzwonił i esemesował, zanim wyłączył komórkę, czy nie zapłacił gdzieś kartą. Mamy numer rejestracyjny jego samochodu, możemy sprawdzić, czy nie nagrał się na kamerach przy wjazdach lub zjazdach z autostrad, wyślemy go też do patrolów drogówek w całym kraju... Prędzej czy później powinno coś wypłynąć. Zaraz się tym zajmę. – Sięgnął po telefon.

– Prędzej czy później... – Pokręciła głową. – Sam pan wie, ile to może potrwać, a ja mam wrażenie, że powinniśmy się spieszyć.

– Dlaczego pani tak myśli?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Mam takie przeczucie. Tam zaszło coś dziwnego i to coś się jeszcze nie skończyło. – Pożałowała, że zgasiła papierosa. – Bo tu z kolei nic się nie zazębia. Nie układa się w żadną spójną opowieść. Jest mnóstwo pytań, ale odpowiedzi na nie, przynajmniej te, których możemy teraz udzielić, są ze sobą sprzeczne. Co tam robił Marek Ziemba? Jeśli Gierszewska odjechała z nim, to czy odjechała dobrowolnie, czy pod przymusem? Jeśli dobrowolnie, bo na przykład byli w zмовie, to dlaczego wcześniej wezwała taksówkę? Jeśli pod przymusem, to kto zabił Kozereę – ona czy Ziemba? No i ostatnie: gdzie i po co jadą?

– Nic teraz nie wymyślimy – odpowiedział. – Musimy poczekać na wyniki dochodzenia.

– Poczekać, poczekać... – przedrzeźniła go bezwiednie. – A co, jeśli Gierszewska jest w niebezpieczeństwie?

Albo on, pomyślała nagle.

Ta myśl uderzyła ją mocniej niż ostatni nikotynowy kop. Z rozmowy z matką Gierszewskiej mogło wynikać, że to raczej Julia stała za zabójstwem swojego ojca. Jeśli jeszcze do tego zabiła Kozere, mogło to oznaczać, że ma już na koncie dwa morderstwa. Z kolei Marek Ziemia w opowieści Magdy Kuczyńskiej nie jawił się jako specjalnie groźny typ. Może więc to on był bardziej zagrożony?

Jakkolwiek było, powinni ich znaleźć, i to w miarę szybko.

ROZDZIAŁ 30

Musiała przysnąć rozgrzana alkoholem i ukołyszana ruchem auta. Coś jej się śniło, coś, co było przyjemne, uspokajające i błogie. Zapamiętała z tego tylko widok z góry, z jakiegoś szczytu; widok daleki, słoneczny, dokładny, pozwalający dostrzec najdrobniejsze szczegóły nawet odległych miast, pól i lasów.

Jej psychoterapeuta byłby zadowolony z takiego snu. Byłby zadowolony, gdyby zatrzymała się w tym momencie opisu i nie powiedziała mu, co dostrzegła na końcu, w najdalszej dolinie. Było to równie jasne, dokładne i szczegółowe, co cała reszta. Lecz bynajmniej nie uspokajające ani nie błogie.

To właśnie przez to się obudziła. I natychmiast zapomniała, co to było. Niemal widziała, jak to coś rozmywa się, ucieka i ulatuje z jej pamięci, jak znika za zasłoną z mroku, za którą nie da się już mimo największych wysiłków sięgnąć.

Co to było? Jeszcze przez chwilę nie otwierała oczu, próbując to sobie przypomnieć, próbując wrócić na tamtą stronę snu. Na próżno. Wiedziała tylko, że było to coś, co wydarzyło się naprawdę. Nie jakaś wizja czy mara senna. Nic, co można by zbyć i zlekceważyć lub odegnąć rytualnym zaklęciem „sen mara, Bóg wiara”. Było to jak wgląd w przeszłość, w zatrzymaną i odgrywaną wciąż na nowo chwilę. Jakby na starej kamerze odnalazła dawno temu nagrany film. I jakby ten film skasował się wraz z jego odtworzeniem.

Tym bardziej denerwujące było to, że nie mogła sobie tego przypomnieć. Jakby jej mózg odmówił dostępu, opatrzył to dziwne wspomnienie klauzulą najwyższej poufności. „Ściśle tajne, specjalnego przeznaczenia”. Fuck!

Jeszcze przez chwilę balansowała na granicy snu i jawy, lecz w końcu poddała się i otworzyła oczy. Było już ciemno. Może jeszcze nie całkowicie, nad drzewami prześwitywało wciąż granatowe niebo. Jechali przez las. Jego dwie czarne ściany wznosiły się po obu stronach oświetlonej reflektorami drogi. I było jeszcze coś. Hamowali.

– Fuck! – Usłyszała głos z przodu. Spojrzała na kierowcę. Jego sylwetka oświetlona była tylko blaskiem bijącym z deski rozdzielczej. Lecz jeszcze jedno źródło światła przykuło jej uwagę. Daleko z przodu, na drodze zobaczyła błyszczące białe paski. I ruszające się świecące kółko.

Podciągnęła się na kanapie i wyteżyła wzrok, próbując rozpoznać, co to jest. Utrudniały to trochę ruszające się wycieraczki i padający deszcz. Dopiero gdy błyszczące paski przybliżyły się na tyle, by mogła dostrzec, że umieszczone są na żółtym tle, zrozumiała.

– Fuck! – powtórzył kierowca. Zdaje się, że już po raz trzeci.
– Ale sobie wybrali miejsce! Prosta droga przez las... Niech ich szlag!

– Przekroczył pan prędkość? – spytała.

– Pewnie przekroczyłem – odpowiedział. – Jak się jedzie przez taki teren, to się nie patrzy na licznik.

Postać w kamizelce odblaskowej zbliżała się coraz bardziej. Można już było dojrzeć stojący na końcu leśnej drogi radiowóz.

– To tylko drogówka – powiedział. – Zwyczajna kontrola. Niech pani zachowa spokój. I proszę założyć maskę.

Naciągnęła zsunięty wcześniej materiał na usta i nos. Zjechali na pobocze i zatrzymali się tuż przed policyjnym

samochodem. Postać w odblaskowej kamizelce i białej czapce podeszła do nich wolnym krokiem. Kierowca odsunął szybę. Policjant był młody, młodszy od niej. Jego zmoczony mundur lśnił i błyszczał od wilgoci; miało się wrażenie, że unosi się wokół niego lekka mgiełka.

– Dobry wieczór, panie kierowco. Zna pan powód zatrzymania?

Całe szczęście nawet nie spojrzał do tyłu.

– Tak mi się wydaje – odparł jej towarzysz.

– Poproszę dowód osobisty i prawo jazdy.

Kierowca sięgnął do kieszeni i wyciągnął portfel. Wyjął z niego dwie plastikowe karty i podał przez okno.

– Proszę pozostać w aucie na czas kontroli – rzucił policjant i odszedł w stronę radiowozu. Miał jasny, czysty głos, jakby specjalnie obniżony dla dodania sobie powagi.

Kierowca zasunął szybę z powrotem.

– Szlag by to trafił – powiedział.

– Coś nie tak? – spytała.

– Nie, wszystko w porządku. To zwykła kontrola – odpowiedział.

Zabrzmiało to tak, jakby sam siebie uspokajał.

Kabina radiowozu oświetlona była od środka. Widzieli przez mokrą szybę sylwetki obu policjantów siedzących w aucie. Jeden z nich nachylony był do przodu, jakby coś spisywał albo sprawdzał.

– Czegoś się pan obawia? – spytała. – O co chodzi?

Jego wyczuwalne wyraźnie zdenerwowanie udzieliło jej się w dwójnasób. Poczowała, że pocą jej się dłonie.

– Nie, nic ważnego. – Machnął lekceważąco ręką. – Po prostu powiedziałam w centrali, że źle się czuję i dlatego wracam do domu. Kiedy dostaną mandat, dowiedzą się, że to nieprawda, i mogę mieć kłopoty.

– Dlaczego mają dostać mandat? Mówił pan, że to pana samochód.

Nie odpowiedział.

Nagle to sobie uświadomiła. Dopiero teraz. Centrala, korporacja taksówkarska. Zamówiła przecież kurs ze swojego telefonu, na adres swojego mieszkania. Policja na pewno wie o tym i zna numer rejestracyjny samochodu, który po nią przyjechał.

Drzwi radiowozu otworzyły się. Policjant wysiadł. W tym samym momencie otworzyły się też drzwi z drugiej strony. Jej kierowca zeszywniał, wyczuła to jakimś szóstym zmysłem.

Z policyjnego auta wysiadła druga postać. Była to kobieta. W światłach własnych reflektorów wyraźnie widzieli jej drobną sylwetkę i jasne włosy spięte pod czapką w kucyk.

– Co się dzieje? – spytała z niepokojem, patrząc to na nich, to na niego.

– Nie wiem – odpowiedział. – Zazwyczaj nie podchodzą razem.

Policjanci byli już przy ich samochodzie. Kobieta położyła dłoń na kolbie pistoletu. Wisiał w kaburze przy jej boku, nieproporcjonalnie wielki w stosunku do jej szczupłych bioder.

– Cholera! – Usłyszała z przedniego siedzenia.

Policjant nie trzymał w ręku zabranych wcześniej dokumentów, to też zauważyła.

Mężczyzna za kierownicą zsunął powoli szybę. Policjant podszedł do drzwi kierowcy, a policjantka zatrzymała się z boku, po drugiej stronie, w nieco większej odległości.

– Uwaga! – rzucił nagle kierowca.

Silnik ich samochodu zawył, koła zabuksowały, żwir i kamienie zagrzechotały o nadkola i podwozie. Auto wystrzeliło do przodu jak z procy, zarzucając tyłem w kierunku policjantki. Kobieta odskoczyła, ale chyba oberwała lekko

zderzakiem, bo dało się słyszeć głucho uderzenie. Zimne powietrze i deszcz wpadły do środka zagarniane przez otwarte okno. Samochód złapał przyczepność na asfalcie, zarzuciło nim raz jeszcze i ruszył przed siebie.

ROZDZIAŁ 31

Obejrzała się akurat, by dostrzec, jak policjant wyciąga pistolet, stojąc na rozstawionych nogach. Drobną policjantką podnosiła się z ziemi, chyba nic poważnego jej się nie stało. Ujrzała dwa rozbłyski wydobywające się z lufy, jakby ktoś dwa razy zaświecił latarką. Huk wystrzałów niemal do niej nie dotarł, stłumiony przez łoskot wpadającego przez okno powietrza.

Zobaczyła jeszcze, jak policjant podchodzi do swojej koleżanki i pomaga jej wstać, a potem ruszają razem w stronę radiowozu.

Minęli zakręt i straciła ich z oczu. Kierowca wreszcie zasunął szybę. Odwróciła się. Jego tułów pochylony był do przodu, obie dłonie zaciśnięte były na kierownicy.

- Co pan robi?? – krzyknęła przerażona.
- Chciałaby pani, żeby nas zgarnęli?
- Nie – odpowiedziała po chwili.
- Tak myślałem.

Pędzili na złamanie karku, drzewa migały po obu stronach oświetlone światłami reflektorów niczym gwiazdy w filmach science fiction. Wchodzili w kolejne zakręty na granicy poślizgu, wjeżdżając na przeciwległy pas drogi.

- Zabije nas pan – powiedziała.
- Mamy przewagę – odpowiedział. – Nie możemy jej stracić.

Obejrzała się ponownie. Zobaczyła błysk światła przesuwający się po ścianie lasu. Samochód, który ich gonił, był za poprzednim zakrętem.

– Doganiają nas – powiedziała.

Kierowca wcisnął nagle hamulec. Rzuciło ją do przodu. Poczula, że koła tracą przyczepność, włączył się ABS. Samochód zwolnił, po czym skręcił gwałtownie w prawo. O podwozie znów zagrzechotał żwir. Wjechali na jakąś leśną drogę.

Światła zgasły, jechali teraz zupełnie po ciemku. Jej kierowca niemal przykleił twarz do szyby. W końcu stanęli.

Spojrzała do tyłu. Zobaczyła białe światła omiatające drogę i drugie, niebieskie, oświetlające drzewa w regularnych rozbłyskach. Usłyszała policyjną syrenę. Jej dźwięk przybliżał się, stawał się coraz wyższy. Dopiero teraz dostrzegła radiowóz. Minął ich z pełną prędkością i pojechał dalej. Trwało to nie dłużej niż sekundę.

– Zgubiliśmy ich – powiedziała.

Jej towarzysz oparł się plecami o fotel i odetchnął głęboko.

– Kurde – powiedział. – Jak na filmach.

Potem zaczął się śmiać. Poczekała, aż przestanie.

– Zostawił im pan swój dowód i prawo jazdy – zauważyła.

– I tak wiedzą, kim jestem – powiedział. – Inaczej nie chcieliby mnie zgarnąć. Oba te dokumenty nie za bardzo są więc mi już potrzebne.

– Poszukują pana? – Próbowała jeszcze udawać, że nie wie, o co chodzi.

Odwrócił się do niej.

– Mnie, panią, co za różnica? Teraz już tkwimy w tym razem.

Światło wciąż było zgaszone, nie widziała jego twarzy.

– Skąd... co pan wie? – spytała cicho.

– Wystarczająco dużo, by rozumieć, że nie ma pani ochoty rozmawiać z policją.

– I... i zdecydował się pan mi pomóc?

– Zawsze byłem rycerski w stosunku do kobiet – odparł. – Nic na to nie poradzę.

Odwrócił się z powrotem w stronę kierownicy.

Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. On wiedział. Musiał coś usłyszeć na którejś stacji. Tak jak się obawiała. A mimo to nie wydał jej, nie odwiózł na najbliższy komisariat, a teraz uciekł przed policją, narażając się na zarzuty karne. Współdział, pomoc w ucieczce, napad na funkcjonariusza... Sporo tego. Jej było już wszystko jedno, ale on naprawdę dużo ryzykował.

– Dziękuję – powiedziała.

– Nie ma sprawy – odparł lekko. – A teraz musimy się stąd zmywać. Pewnie już się kapnęli, że się im zerwaliśmy, i wezwali posiłki. Zaraz zrobi się tu gorąco.

Powiedział to tak, jakby świetnie się bawił.

* * *

Zanim zajechali przed prokuraturę, zrobiło się ciemno. Dzień powoli zbliżał się do końca. Dziś już się pewnie nic nie wydarzy, pomyślała. Trzeba poczekać do jutra.

Zatrzymali się przed wejściem, odpięła pasy.

– Dzięki – powiedziała, odwracając głowę w stronę podkomisarza. – Będziemy w kontakcie.

Uśmiechnął się zdawkowo.

Nie był nawet taki zły. Chyba nawiązała się między nimi jakaś nić zawodowego porozumienia. Do przyjaźni czy nawet zwykłej sympatii było jeszcze raczej daleko, ale zawsze to już coś.

– Podrzucić panią prokurator jutro gdzieś czy znajdzie sobie pani innego szofera? – spytał z ironią, choć bez złośliwości.

– Na wszelki wypadek niech pan będzie pod telefonem – odpowiedziała z powagą. – Wstaję rano – dorzuciła jeszcze, chwytając za klamkę.

– Nie ma sprawy. – Kiwnął głową. – Postaram się dołożyć jeszcze parę petów do popielniczki.

– Koniecznie – odparła i otworzyła drzwi.

Zadzwoił telefon. Jego, nie jej. Dzwonek z rodzaju tych, które są już ustawione w aparacie, gdy wyjmuje się go z pudełka. Pomyślała, że to pewnie telefon służbowy, choć Nowaczyk nie wyglądał na człowieka, który ściąga sobie ulubione melodyjki nawet na swoją prywatną komórkę. Dlatego nie wysiadła.

– Tak? – spytał. Nie miał zestawu głośnomówiącego, pewnie też nie chciało mu się go ustawiać.

Przez chwilę słuchał w milczeniu. Strzępki zdań, które do niej docierały, spowodowały, że w jednej chwili przestała być zmęczona.

Rozłączył się. Spojrzał na nią.

– Zatrzymał go patrol drogowki – powiedział. – Uciekł, potrącając policjantkę.

– Była z nim Gierszewska? – spytała. Poczula, że nagle zaschło jej w gardle.

– Była z nim jakaś kobieta. Siedziała z tyłu i miała maseczkę. Nie są w stanie powiedzieć, jak wyglądała.

– Gdzie to było?

– Niedaleko Opatowa.

– Niech zorganizują blokadę, niech ściągną tam wszystkie siły!

– Już to zrobili.

ROZDZIAŁ 32

Włączył silnik, zapalił światła i zawrócił na wąskiej, leśnej drodze. Musiał to zrobić na kilka razy, by nie wjechać w drzewa lub krzaki. Miała wrażenie, że tracą cenny czas.

– Mógł pan wyjechać tyłem. – Usłyszała w swoim głosie histeryczny ton.

– Nic bym wtedy nie widział – odpowiedział. – Jeszcze tego by brakowało, żebyśmy tu się gdzieś zakopali.

Dojechali w końcu do asfaltowej szosy. Kierowca rozejrzał się na obie strony.

– Pojedziemy w lewo – powiedział. – W kierunku, z którego przyjechaliśmy. Może to ich trochę zmyli.

Wyjechali na drogę z piskiem opon. Poczula, jak kierowca wciska gaz do oporu. Narastający pęd wgniótł ją w kanapę auta.

– Zorganizują blokadę – powiedział. – Ale trochę im to zajmie. Musimy do tego czasu zniknąć.

Skręcił w pierwszą boczną drogę, do której dojechali; potem w kolejną i jeszcze jedną. Zrozumiała, że kluczą, próbując zmylić pościg.

– Znają nasz numer rejestracyjny – powiedziała. – W końcu i tak nas zatrzymają.

– Po co te negatywne myśli? – rzucił. – Coś się wymyśli.

Znowu ten lekki, niemal wesoły ton. Nie uspokajało jej to, wręcz przeciwnie.

Jechali przez jakieś ciemne wsie, coraz węższymi drogami. W jednej z nich musieli schować się za budynkiem sklepu, gdy z daleka usłyszeli pulsujący dźwięk policyjnej syreny.

– To bardzo miło z ich strony, że sygnalizują swoje pojawienie się z wyprzedzeniem, nie uważa pani? – zażartował.
– Ale i tak musimy pozbyć się tego samochodu. Cała policja w Polsce ma już jego namiary. To jakby podróżować z wielkim napisem „złap mnie” na karoserii.

– Czym w takim razie będziemy jechać? – spytała. – Ukradniemy inny?

Roześmiał się.

– Podoba mi się pani sposób rozumowania, ale nie – odpowiedział. – Po pierwsze, nie bardzo umiem to zrobić, a po drugie, skradzione auta też figurują w policyjnych bazach danych.

– To jak?

– Mówiłem: coś się wymyśli.

Rozglądał się na boki, jakby czegoś wypatrywał. Co to mogło być? Szukał salonu samochodowego? Postoju dorożek? Wypożyczalni rowerów? Tu, na takiej wsi?

W końcu zjechał na pobocze. Za rowem oddzielającym jezdnię od pola, na pokrytym trawą kawałku ziemi, stały rzędem cztery samochody zaparkowane przodem do drogi. Za ich szybami widać było białe kartki.

– Kupimy – powiedział. – Ile ma pani jeszcze pieniędzy?

Wyjęła z torebki zwitek banknotów, zdjęła z niego gumkę i przeliczyła.

– Jeszcze ponad cztery tysiące – powiedziała. – Ale dwa tysiące z tego jest dla pana. Za mało.

– Pani mi da te pieniądze. Zobaczymy, co da się zrobić.

Wysiadł.

– I niech pani póki co się stąd nie rusza – rzucił jeszcze, nim zamknął drzwi.

Zobaczyła, jak daje susa przez rów i idzie w kierunku domu stojącego nieco dalej. Paliły się w nim światła, więc ktoś był w środku. Usłyszała ujadanie psa, potem zobaczyła, jak zwierzę podbiega do płotu. Jej towarzysz przezornie nie otwierał furtki. Po chwili z okna domu wyjrzała męska głowa.

Nie miała szans zrozumieć ani nawet usłyszeć rozmowy. Zdaje się, że jej uczestnicy doszli jednak do porozumienia, głowa bowiem zniknęła, a po chwili drzwi domu się otworzyły i pojawił się w nich mężczyzna. Podeszedł do kierowcy, uściśnął mu dłoń, a potem obaj ruszyli w stronę ich samochodu. Przez chwilę oglądali go wspólnie, co i raz wymieniając dość ospale jakieś uwagi, po czym po raz drugi uściśnęli sobie dłonie i ruszyli z powrotem w stronę domu. Za kilkanaście minut, podczas których w zgaszonym samochodzie robiło się coraz chłodniej, wyszli znowu. Jej towarzysz podeszedł do ich auta.

– Przesiadamy się – powiedział.

Posłusznie wysiadła z samochodu i poczekała, aż zabierze jej rzeczy z bagażnika. Podeszli do czerwonego renault stojącego najdalej po lewo. Wsiedli do niego. Kierowca zdarł kartkę z wewnętrznej strony przedniej szyby.

– Jak się pani podoba nasza nowa bryka? – spytał wesoło.

Samochód był mniejszy od tego, którym przyjechali. Pachniał zimnem i wilgocią.

– Jak pan to zrobił? – spytała.

– Zamieniłem się – odpowiedział. – Ściśle rzecz biorąc, kupiłem ten, zostawiając swój w rozliczeniu. I dopłacając dwa tysiące.

– Zgodził się? I to tak szybko, od razu? – zdziwiła się.

– Mój samochód był więcej wart niż ten – odpowiedział. – I on o tym wiedział. Sprowadzają te auta z Zachodu – wyjaśnił. –

Większość z nich ma cofnięte liczniki albo jest po wypadkach. Mój nie był co prawda nowy, ale w całkiem dobrym stanie, wszystkie papiery ma w porządku. Zarobił na tym.

– Nie podejrzewał, że coś jest tu nie tak? Przychodzi pan do niego prawie w nocy, chce zamienić lepszy samochód na gorszy i jeszcze dopłaca... Z daleka to pachnie czymś dziwnym.

– Podejrzewał i właśnie dlatego się zgodził. Wiedział, że tylko dzięki temu może zrobić tak dobry interes. Tacy goście często działają na granicy prawa, kalkulują ryzyko. Poza tym większość ludzi nie jest w stanie oprzeć się wizji niezasłużonego zysku, nawet jeśli przypuszczają, że mogą mieć przez to kłopoty. Są na ten temat stosowne badania.

W to akurat wierzyła. Człowiek, z którym spędziła ostatnie lata życia, był właśnie taki.

– No dobrze – nie mogła tego wszystkiego mimo wszystko ogarnąć – ale jeśli ten facet pójdzie jutro zarejestrować swój nowy nabytek, to policja się o tym dowie i dojdzie przez niego z powrotem do nas.

– Przede wszystkim nie wiadomo, czy jutro – odpowiedział spokojnie. – Żeby to zrobić, musi pojechać do powiatowego miasta, a prawdopodobnie ma już na jutro jakieś plany, więc pewnie nie będzie miał czasu. Jutro jest piątek, potem jest weekend, więc moim zdaniem robi to najwcześniej w poniedziałek. A poza tym wcale nie wiadomo, czy w ogóle to robi. Nie musi. Równie dobrze może sprzedać samochód bez rejestracji, a wtedy robi to dopiero następny właściciel. Stawiałbym raczej na to. W najgorszym więc razie policja dowie się o wszystkim za trzy dni, a w najlepszym – za parę tygodni lub nawet miesięcy. A wtedy nic nie będzie nas to już obchodziło.

ROZDZIAŁ 33

– Opatów? – spytała. – Co oni robią pod Opatowem?

– To bardzo ładne miasto – odpowiedział. – Z pięknie zachowanym starym miastem i murami obronnymi.

Siedziała wciąż w samochodzie Nowaczyka wpatrzona w rozłożony między nią a nim samochodowy atlas Polski. Nawet już nie czuła smrodu popielniczki. Widocznie się przyzwyczała.

– Gdzie mogą jechać? – ciągnęła, ignorując jego żart. Powiodła palcem po mapie od Warszawy do Opatowa i dalej przedłużając tę linię. – Na Słowację? Chcą uciec za granicę?

– Albo na Ukrainę – odpowiedział. – Z Opatowa do Rzeszowa, a potem w Bieszczady. Może chcą przejść przez zieloną granicę?

– Z Warszawy jest prostsza droga – zauważyła.

– Ale ta omija główne szlaki. Na nich byłoby bardziej na widoku.

– A jeśli jednak na Słowację? – spytała. – Tam nie ma kontroli granicznej.

– Trzeba mieć zaświadczenie o negatywnym wyniku testu na covid.

– Jeśli zaplanowali to wcześniej, mogą je mieć. Na wszelki wypadek złożę do sądu wnioski o europejski nakaz aresztowania. Dla niej i dla niego. Gierszewska mieszkała wcześniej za granicą. Zdaje się, że w Holandii. Dlaczego nie pojechała tam?

– Bo wiedziała, że tam jej będziemy szukać – odpowiedział. – Poza tym do niemieckiej granicy jedzie się autostradą, a na niej są bramki i kamery.

– Albo to nie ona ustala trasę, tylko on – powiedziała. – Czy ten policjant nie zauważył czegoś dziwnego w jej wyglądzie? Może była związana albo nieprzytomna?

– Z tego, co mi powiedziano, ledwo zarejestrował jej istnienie.

– Niech go jeszcze raz o to wypytają. I tę policjantkę – poleciała. – Może rzuciło im się w oczy coś podejrzanego. Jak ona w ogóle się czuje? Nic jej nie jest?

– Nic poważnego. Stłuczenia i uraz nadgarstka.

– To dobrze – odparła mechanicznie. Wpatrywała się tępo w mapę, w czarny punkt z napisem „Opatów”, jakby mogła tam znaleźć jakieś odpowiedzi. Jej mózg przestawał powoli działać. Mgła mózgowa, tak to się chyba nazywało. Jeden z objawów zarażenia COVID-19. Choć w jej przypadku raczej zwykłe zmęczenie. Taką miała przynajmniej nadzieję. Odegnęła od siebie te myśli.

Musiał chyba zauważyć, że się zawiesiła, bo powiedział:

– Pani prokurator, nic nie wymyślimy, marznąc w tym samochodzie. Blokady są rozstawione, trwa obława, dajmy im pracować. Niech pani jedzie do domu, odpocznie, wyśpi się dobrze. To był naprawdę długi dzień.

Zabrzmiało to jak na niego wyjątkowo łagodnie. I rzeczywiście nieco zmarzła.

– Chyba ma pan rację – odparła. – Ale gdyby coś się pojawiło, niech pan do mnie dzwoni, o każdej porze.

– Proszę się nie obawiać, nie odmówię sobie przyjemności obudzenia pani w środku nocy.

Wróciła do swojego mieszkania, zamknęła za sobą drzwi. Przebrała się w dres i owinęła kocem. Na razie nie miała siły, by

zrobić cokolwiek innego. Szczerze mówiąc, nie wiedziała nawet, co to by mogło być. Jeść jej się nie chciało, na herbatę było już za późno, a czytać pewnie nie byłaby w stanie. Jakiś czas temu przestała też kończyć dzień kieliszkiem wina, bo stwierdziła, że wchodzi jej to w niebezpieczny nawyk, więc alkohol również odpadał. W końcu włączyła YouTube'a w telewizorze i poszukała piosenek Julii Gierszewskiej. Nigdy tak naprawdę do tej pory żadnej uważnie nie wysłuchała.

Tak jak zapamiętała, były dość depresyjne. Ale było w nich coś. W nich i w twarzy ich wykonawczyni. Twarzy ściągniętej jakby, wewnętrznie smutnej, niezbyt może ładnej, ale magnetycznie przyciągającej. Twarzy niestworzonej do uśmiechu, wpatrzonych w głąb siebie, z ciemnymi oczami wyglądającymi jak przejścia do innego świata. Ta twarz wyrażała aż nazbyt wiele, a jednocześnie nie wyrażała nic. Jakby zapieczętowana była zaklęciem niezbyt dokładnie chroniącym jakąś tajemnicę. I nie, myliła się jednak, była ładna, może nawet piękna. Pięknem nieoczywistym, wynikającym z bolesnej samoświadomości własnych braków, jakże różnym od bezrefleksyjnej, pustej i zadowolonej z siebie urody większości celebrytek. Przypominała w tym trochę Marilyn Monroe i była w podobny sposób zmysłowa. W jakiś niechętny samej sobie sposób.

Wsłuchiwała się w słowa i w melodie tych piosenek coraz bardziej nimi zafascynowana i zauroczona. Z ich tekstów, nawet tych opisujących dość banalne sytuacje, wyzierało coś w rodzaju egzystencjalnej, pogodzonej ze swoją nieuniknionością rozpaczy. Pomyślała nagle, że to mogłyby być jej piosenki. Że gdyby umiała pisać, pisałaby właśnie tak. I że człowiek, w tych nielicznych chwilach, gdy potrafi patrzeć i myśleć całkowicie jasno, bez tych wszystkich filtrów i samooszukiwań, zawsze spogląda w otchłań.

Ale może był to tylko kolejny efekt jej zmęczenia.

ROZDZIAŁ 34

Jechali przez mrok w odmierzającym czas rytmie zmiany świateł na długie, gdy nikt nie jechał z naprzeciwka, i krótkie, kiedy w oddali pojawiały się reflektory innego samochodu. Czerwone renault, gdy tylko się rozgrzało, zaczęło śmierdzieć charakterystycznym smrodem powstałym z wymieszania zapachu starej tapicerki oraz wanilii, który z kolei wydobywał się z zawieszki w kształcie drzewka dyndającej u wstecznego lusterka. Dochodziła do tego pojawiająca się co jakiś czas woń przedostających się do kabiny spalin. Tak, zdecydowanie ten samochód był w gorszym stanie niż ten, którym dotąd jechali.

Wstrząsnął nią dreszcz, mimo że było już ciepło. Przypomniała sobie o wypitej ledwie do połowy buteleczce cytrynówki, którą zapomniała zabrać z tamtego auta. Teraz by się przydała. Zimno, które czuła, pochodziło z wewnątrz i od wewnątrz trzeba było z nim walczyć.

Chyba czytał w jej myślach, bo powiedział nagle:

– A! Zapomniałem powiedzieć, dostaliśmy prezent!

– Prezent? – zdziwiła się.

– Gratis, można powiedzieć, mały bonus. Miły dodatek do podpisanej umowy. Chyba gość ma nadzieję, że zostaniemy jego stałymi klientami. – Zaśmiał się.

– Co to takiego?

– A to.

Podniósł do góry rękę. Trzymał w niej butelkę po taniej wódce. Kolor płynu w jej wnętrzu świadczył jednak o tym, że napełniona była czymś innym.

– Bimber – obwieścił tryumfalnie. – Samogon, księżycówka. Jakiś jego specjalny przepis podobno. Dodaje do tego colę, kawę rozpuszczalną i cukier. Ma pani ochotę?

Miała. I to bardzo. Czarna ciecz w butelce lśniła niczym noc dookoła.

– No nie wiem – rzuciła obojętnie. – Z kawą rozpuszczalną? – dodała z powątpiewaniem.

– Bardzo to zachwalał. Wszystkim podobno smakuje,

– Ma pan jakiś kubeczek? – spytała. Wciąż z tym samym udawanym brakiem zainteresowania.

– Niestety – odparł. – Ale może pani pociągnąć z gwinta. Alkohol i tak wszystko dezynfekuje. Poza tym covid, jak słyszałem, nie wchłania się przez żołądek.

– No to może spróbuję odrobinę.

Poczuła dreszcz podniecenia przechodzący wzdłuż kręgosłupa. Zupełnie inny niż ten przed chwilą. Była chyba alkoholiczką albo przynajmniej dobrze rokującą kandydatką. Kolejna rzecz, która w obecnej sytuacji nie miała już żadnego znaczenia.

Wzięła od niego butelkę, odkręciła i powąchała. Faktycznie pachniało kawą. I to taką ze słoiczka, jeszcze niezalaną wodą. Nigdy nie cierpiała kawy rozpuszczalnej, lecz ten zapach był nawet dość przyjemny. Być może dlatego, że połączony z wyraźną, ostrą wonią mocnego alkoholu.

Przyłożyła szyjkę do ust i ostrożnie przechyliła. Nie było to w sumie aż takie złe. Nie za bardzo słodkie i lekko gorzkie dzięki kawie. I o wiele mocniejsze niż cytrynówka ze stacji. Na pewno ponad czterdzieści procent.

Palące ciepło spłynęło jej do żołądka. Jakby napiła się płynnego ognia. Szybko pociągnęła drugi łyk. Teraz przynajmniej nie musiała się z tym kryć. Sam jej to zaproponował.

– I jak? – spytał.

– Mocne – odpowiedziała. – I słodkie.

– Czyli dobre – skwitował. – Lubię takie ulepki.

– Dlaczego pan to zrobił? – spytała nagle.

– Dawał, to wziąłem. – Wzruszył ramionami.

– Nie to. – Machnęła w powietrzu butelką. Odrobina bimbru wyleciała z szyjki i ochlapała jej dłoń. – Dlaczego pan uciekł tym policjantom?

– Mówiłem: jestem...

– Tak, tak, jest pan rycerski wobec kobiet – przerwała mu ze zniecierpliwieniem. Alkohol zaczynał powoli krążyć z jej żyłach, wyostrając reakcje. – Proszę nie obracać tego w żart. O mało nie rozjechał pan tej kobiety. Za to są poważne zarzuty. Może pan pójść do więzienia na wiele lat. To trochę za dużo, by tłumaczyć to szarmanckością i dobrym wychowaniem.

Nie odpowiedział od razu. Patrzył na drogę przed sobą, jakby nie usłyszał pytania. Miała ochotę znów się napić, lecz dźwięk przelewającego się płynu w butelce byłby w tym momencie odrobinę nie na miejscu.

W końcu odpowiedział:

– Jeszcze niedawno chciałem popełnić samobójstwo – odparł poważnie. – Myślałem o tym zupełnie na serio. Wszystko mi się posypało: życie osobiste, praca. Jeszcze ta cała pieprzona pandemia... Teraz przynajmniej coś się dzieje. Mam jakiś powód do życia.

Wreszcie mogła przechylić butelkę i wlać do gardła spory haust czarnej cieczy.

– Jaki? – spytała. – Jaki jest ten powód?

– Pani – odpowiedział po prostu.

– Ja? – zdziwiła się.

Chyba jeszcze nigdy nie była niczym powodem do życia. Nawet dla własnej matki. Już nie wspominając o ojcu.

Długo myślała, jak na to zareagować, w końcu spytała tylko:

– Jak to?

– Czytałem o tym kiedyś u Milana Kundery. W książce *Niezdolność lekkość bytu*. Nie pamiętam dokładnie tego cytatu, więc mogę coś przekręcić, ale sens tego był mniej więcej taki: najniebezpieczniejszymi kobietami nie są te, które masz ochotę przelecieć, lecz te, którymi masz ochotę się zaopiekować. No więc właśnie coś takiego odczuwam wobec pani.

Zamrugła powiekami. Była już lekko otępiała, więc nie mogła się zdecydować, czy się wzruszyć, czy roześmiać.

– Musimy znaleźć jakiś nocleg – powiedział nagle, jakby chciał uciąć ten temat. – Nie dojedziemy dziś już raczej do Zakopanego.

ROZDZIAŁ 35

Zasnęła. Śniły jej się dziwne rzeczy. Jakiś dom, duży i drewniany, pod którym rozciągały się żłobione w skale i w ziemi długie, poplątane korytarze. W tych korytarzach coś mieszkało. Coś, co wychodziło w nocy i przychodziło do jej małego pokoiku na poddaszu. Nie bała się tego, raczej była ciekawa.

Gdy się obudziła, samochód stał. Prawdopodobnie to właśnie wybudziło ją ze snu. Brak ruchu, kołysania i dźwięku silnika, do których przywykła.

Otworzyła oczy. Stali przed jakimś budynkiem. Jej kierowcy nie było w aucie. Poczula nagły niepokój, który ostatecznie przywrócił ją do rzeczywistości. A co, jeśli ją zostawił? Uciekł, tak jak powinien to już zrobić dawno. Gdy tylko się zorientował, że coś jest z nią nie tak. Albo postanowił jednak ją wydać. Przemyślał sprawę, gdy spała, i doszedł do wniosku – rozsądnego w końcu i w zasadzie jedyne słusznego w tej sytuacji – że nie ma zamiaru ryzykować więzienia dla laski, która może i faktycznie mu się podoba, ale z którą nic go nie łączy i którą zna zaledwie od kilkunastu godzin. I która jest morderczynią.

Wtedy jednak go zobaczyła. Wyszedł z budynku i podszedł do samochodu. Poczula ulgę, ale też coś więcej. Jakiś rodzaj ciepła na widok tego człowieka, wdzięczności, że jest przy niej i że jej nie opuścił.

Otworzył drzwi od jej strony.

– Tu śpimy – powiedział.

Założyła maseczkę i wysiadła z samochodu.

Dom, przed którym stali, też był drewniany, jak w jej śnie, tyle że o wiele niższy. Parterowy, ze spadzistym dachem pokrytym czerwoną dachówką, otoczony drewnianym płotem. Szeroka brama była już otwarta, na jej lewym skrzydle wisiała tabliczka z napisem: „Sery zagrodowe. Agroturystyka”.

– Co to za miejsce? – spytała.

– Takie, które zechce nas przyjąć bez zadawania niepotrzebnych pytań – odpowiedział.

Wyjął jej walizkę z bagażnika. Ruszyli w stronę budynku.

Z bliska okazał się nie całkiem drewniany. Z desek zbudowany był tylko dość spory, oszklony ganek i poddasze, reszta świeciła w ciemności białymi, tanimi pustakami. Idąc przez błotniste podwórko, minęli inny budynek, niższy i dłuższy, chyba gospodarczy.

Na ganku przywitał ich mężczyzna. Miał koło sześćdziesięciu lat, był krępy, tłustawy, ubrany w brązowy sweter bez wzorów i granatowe, przybrudzone dżinsy. Jego twarz porastał twardy, kilkudniowy, siwy zarost.

– Wjedźcie do stodoły – powiedział bez zbędnych powitań. – Żeby nie było widać z drogi samochodu. A potem zamknijcie bramę, to spuszczę psa.

Wewnątrz oszklonego ganku były drewniane schody wiodące na poddasze. Weszli po nich. Ich stopnie były tak wyślizgane, że bała się, iż któryś pęknie. Wszystko skrzypiało – schody i podłoga na górze. I drzwi, które ich gospodarz otworzył przed nimi.

– Łazienka jest tam. – Wskazał drugie drzwi na końcu krótkiego, ciasnego korytarzyka. – Rano będzie śniadanie. Na dole, w kuchni. Jajecznicza albo twarożek, albo owsianka na

mleku. Jakby mnie tu nie było, zajrzyjcie do obory. Przyjdę i wam zrobię.

Odwrócił się i odszedł. Przez chwilę jeszcze skrzypiały schody pod jego stopami. Raczej nie dałoby się wejść tu na górę niepostrzeżenie.

Pokój był dość spory i cały drewniany. Drewniana podłoga, drewniana boazeria na ścianach, drewniane, sosnowe łóżko i meble. Tylko biała koronkowa firanka i niebieska pościel z kory nie rosły kiedyś w lesie.

– A pan gdzie śpi? – spytała.

– Tu – odpowiedział krótko. – Nie ma tu innego pokoju. Ale proszę się nie obawiać – dodał szybko – nie będę się do pani dobierał. Poza wszystkim padam już na pysk. Na wszelki wypadek możemy położyć między nami miecz.

Zabrzmiało to jak żart, lecz ewidentnie go nie zrozumiała. Może przez to, że była nie do końca przytomna.

– Jaki miecz? – spytała.

– To z *Tristana i Izoldy* – wyjaśnił jakby lekko zawstydzony. – Nagi miecz leżący pomiędzy nimi, gdy spali, świadczył, że do niczego między nimi nie doszło.

– Z tego, co pamiętam, do czasu – skomentowała.

– W każdym razie pójdę teraz przestawić samochód i zamknąć bramę. A pani może się w tym czasie umyć i przebrać.

Wyszedł. Usiadła na łóżku. Było dość chłodno, lecz z rozkręconego chyba niedawno kaloryfera pod oknem zaczynało już dochodzić przyjemne ciepło. Jeszcze raz rozejrzała się po ich wspólnej, jak się właśnie okazało, sypialni. Dostrzegła pajęczynę wiszącą w rogu otworu okiennego i drugą oplatającą zapalony, drewniany jak wszystko inne kinkiet. Wyglądało więc na to, że dzisiejszą noc spędzi z mężczyzną. I to takim, który czytał *Tristana i Izoldę*. No, no, kto by pomyślał.

Ten dzień naprawdę obfituje w wydarzenia. Nie da się narzekać na nudę. Od morderstwa do kurestwa, pomyślała z sarkazmem. A nie, sorry, zapowiedział przecież, że z tego drugiego nici. No cóż, trudno, jutro też jest dzień. Być może ostatni w jej życiu, warto więc go zapełnić czymś spektakularnym. Ściągnęła buty, pocierając stopą o stopę. Potem przewróciła się na pościel. O żadnym myciu czy przebieraniu nie mogło być nawet mowy.

ROZDZIAŁ 36

Obudził ją trzask. Otworzyła gwałtownie oczy, z przerażeniem wsłuchując się w ciemność. Obok siebie usłyszała spokojny, choć głośny oddech mężczyzny. Była przykryta i miała ściągniętą bluzkę i spodnie. Tylko spodnie na szczęście.

Uniosła się na łokciu. Może jej się to tylko śniło? Ale nie, trzask był bardzo głośny i realistyczny, takie dźwięki nie śnią się raczej i nie ma ich w żadnych sennikach.

Ciemność była niewiarygodna, taka, jakiej nie ma się szans doświadczyć w mieście. Przez zasłonięte tylko firanką okno nie wpadała ani odrobina światła, nawet nie była w stanie dokładnie określić, gdzie ono było. Niesamowite, metafizyczne uczucie. Jakby połknął ją wielki wieloryb.

Nagle znowu trzasnęło. W pobliżu, w tym pokoju, ale nie wiedziała gdzie. Serce stanęło jej na chwilę, jakby kopnął ją prąd. Ale tym razem był to już dźwięk w jakimś sensie oswojony, oczekiwany, w dodatku kojarzący się z czymś, co znała.

Drewno. W ten sposób trzeszczy drewno. Ktoś tu był oprócz nich? To podłoga tak trzeszczała? Może ten dziwny facet z dołu? Tylko po co miałyby tu przychodzić?

Wstrzymała oddech, próbując namierzyć czającego się w mroku intruza. Oprzytomniała natychmiast, nie czuła już ani senności, ani wypitego przed snem alkoholu. Jej myśli przyspieszyły niczym ruszające ze świateł ferrari.

Potem dźwięk się powtórzył. Tym razem cichszy i bardziej przeciągły. A ona zrozumiała, co to było. To skrzypiał dom, nie człowiek. Rozszerzające się pod wpływem płynącego z kaloryfera ciepła deski. „Kurwa!”, szepnęła bezgłośnie i opadła na pościel.

Lecz wtedy poczuła jeszcze coś. Straszliwie chciało jej się sikać. Dopadło ją to nagle, właśnie w tym momencie. I było przemożne, domagające się reakcji tak szybko, jak tylko się da.

Odrzuciła kołdrę i usiadła na łóżku. Bose stopy dotknęły zimnej podłogi. Nie miała jednak czasu, żeby szukać butów. Wstała i wyciągając przed siebie ręce, ruszyła w stronę drzwi. Tylko gdzie one były? Nic nie widziała, a gdy się kładła, była tak zmęczona i pijana, że nie zapamiętała rozkładu pomieszczenia. I nie pomyślała, że warto przed snem pójść do łazienki.

Trafiła na drewnianą ścianę. Ruszyła wzdłuż niej, po omacku szukając klamki lub chociaż włącznika światła. W końcu trafiła na to pierwsze. Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Trudno w to uwierzyć, ale było tu jeszcze ciemniej. Jej pęcherz domagał się już natychmiastowego opróżnienia. Ścisnęła uda, starając się powstrzymać nadciągającą nieuchronnie powódź.

Znów ruszyła wzdłuż ściany, była w coraz większej panice. Za chwilę zsiada się Bogu ducha winnemu człowiekowi na podłogę w jego domu. Może nie było to gorsze od zabójstwa, które niedawno popełniła, ale w pewnym sensie... było! Ale spokojnie, gdzieś tu powinna być łazienka, gdzieś na końcu tego korytarza, musi tylko jeszcze trochę wytrzymać...

Jest! Są drzwi! Dlaczego zamknięte?? Kto zamyka łazienkę, jeśli nikogo w niej nie ma?? A nie ma, bo światło się nie świeci. Zaczęła szarpać klamkę, potem macać dłońmi w górę i w dół skrzydła, próbując znaleźć jakiś zamek, jakieś coś, co mogłaby otworzyć, głupio byłoby przecież polec tak blisko celu. Znalazła

zasuwkę. Zasuwka od zewnątrz? Nie było jednak czasu się nad tym zastanawiać. Szarpnęła ją w lewo, odsunęła na bok, otworzyła drzwi i wbiegła do środka.

Nie znalazła się jednak w środku, znalazła się na zewnątrz. W jej twarz uderzył wiatr i krople lekkiej mżawki. Była na jakimś balkonie czy tarasie... Szlag by to trafił! Drzwi do łazienki były pewnie na drugim końcu korytarza. Musi tam teraz wrócić...

Nie, nie może wrócić, nie da już rady. To był dokładnie ten moment, nie wytrzyma ani sekundy dłużej. Ściągnęła majtki i kucnęła na środku tarasu. Tu też były deski, ale może ta mżawka do rana wszystko zmyje. Matko jedyna, co za ulga... Zastygła jak w transie, napawając się tą niedającą się z niczym porównać przyjemnością wynikającą z zaspokojenia nadmiernie długo wstrzymywanych potrzeb najbardziej podstawowej natury. Dopiero teraz zamglonym lekko wzrokiem rozejrzała się dokoła. Na zewnątrz było trochę jaśniej niż w środku. Nie było co prawda żadnych lamp, nie świecił księżyc ani nawet gwiazdy, ale jakiś poblask dalekich miast odbity od chmur docierał nawet tutaj. Mogła dostrzec odcinającą się od nieba górną krawędź lasu, zarys obory po drugiej stronie podwórka i stojącą na ścieżce ludzką sylwetkę wgapiającą się najwyraźniej w jej goły, wypięty tyłek.

Podciągnęła szybko majtki, o mało się przy tym nie przewracając. W bardzo dobrym momencie to zrobiła, bo właśnie oświetlił ją snop światła włączonej latarki.

– U siebie też tak paniusia załatwia potrzeby? – Usłyszała chropawy, zjadliwy męski głos. – Może i my tu na wsi żyjemy, ale łazienki już mamy.

Wstyd niemal ją sparaliżował, nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Czowała się strasznie, jak w tych wszystkich snach, gdzie stoi się nago pośród tłumu obcych ludzi albo siedzi na

muszli klozetowej na środku własnej klasy w szkole. A to działa się naprawdę, to jej się nie śniło.

Światło latarki, wyjątkowo chyba mocnej, raziło ją w oczy. Zasłoniła je więc dłonią, choć tak naprawdę miała ochotę ukryć pod nią całą twarz. W końcu jej odpuścił. Wyłączył latarkę i poszedł.

Była już cała mokra od siąpiącego deszczu. Czas było wracać do łóżka. Jutro rano, gdy tylko się obudzi, zapadnie się z upokorzenia pod ziemię.

Wróciła do drzwi i weszła do środka. Znowu ta ciemność. Teraz nawet jeszcze chyba gęstsza. Znów zaczęła macać po ścianach w poszukiwaniu włącznika. Nic. Była bardzo zmęczona, nie chciało jej się dłużej szukać. Ruszyła wzdłuż ściany. Drzwi do ich pokoju były, jak pamiętała, po prawej.

Nagle, bardzo nie w porę, pomyślała o duchach. I o człowieku, którego zostawiła przy biurku w swoim mieszkaniu. Że właśnie on jest teraz duchem. I że miałyby doskonały powód, żeby ją nawiedzić. A skoro już o tym pomyślała, nie dało się o tym zapomnieć. Jej zmęczony, otumaniony ciągle jeszcze alkoholem, skołowany niedawno doznany poniżeniem umysł nie był w stanie się przed tą myślą obronić. Poczwała, jak wszystkie włosy unoszą jej się na ciele. Jak jej organy wewnętrzne – serce, żołądek i jelita – cierpną, jakby ktoś polał je octem. Niemal widziała przed sobą wyłaniającą się z mroku jego zakrwawioną twarz. Miała ochotę krzyczeć, rozpłakać się; miała ochotę uciec, choćby na tamten taras, choćby do tamtego faceta w brudnym swetrze i ze świńską szczeciną na twarzy.

Ostatkiem sił, z trudem powstrzymując panikę, szła wciąż przed siebie. Nagle poczuła coś. Poczwała przed sobą czyjąś obecność. Próbowwała przekonać samą siebie, że to tylko omamy, że to tylko strach zmaterializował się w jej głowie

w nieistniejącą realnie postać. Mówili jej o takich rzeczach, gdy była w tamtym szpitalu. Tak działa świadomość, czy też podświadomość, potrafi tworzyć byty z samej siebie. Ale ta obecność była tak silna, tak namacalna, niemal słyszała oddech, niemal czuła ciepło bijące z tego czegoś przed nią...

– Julia? – Usłyszała nagle. I to na pewno nie była halucynacja.

Poznała ten głos. Rzuciła się przed siebie, padając ze szlochem w ramiona swojego kierowcy.

– Już dobrze, dobrze. – Objął ją i pogładził po mokrych włosach. – Gdzie byłaś?

– Poszłam siku – odpowiedziała tonem, który przywrócił ją do dzieciństwa.

– W łazience padał deszcz? – spytał z łagodną kpina w głosie.

– Pomyliłam drzwi – odparła płacząco.

Zaprowadził ją do pokoju, położył do łóżka i przykrył kołdrą. Nie wiedziała, jak mógł tak dobrze poruszać się w tej ciemności. Potem położył się obok i objął ją ramieniem. Zasnęła szybko, dobrze i mocno.

ROZDZIAŁ 37

Obudziła się i od razu sięgnęła po telefon. Wybrała numer podkomisarza Nowaczyka.

– I co? – spytała bez wstępów.

– Nic – odparł. Odgłosy w tle świadczyły, że w odróżnieniu od niej był już w pracy.

– Kompletnie nic? – Pytanie było bez sensu, bo skoro nic, to przecież wiadomo, że kompletnie.

– Kamień w wodę – odpowiedział. – Żadna blokada ich nawet nie widziała, żadne bramki nie zarejestrowały, ich telefony też się nie logowały.

– Szlag by to trafił.

– Pewnie gdzieś się przyczaili – powiedział. – Pogoda jest wciąż taka, że da się spać nawet w samochodzie. Wystarczy, że wjechali do jakiegoś lasu. Ale muszą się w końcu ruszyć, cierpliwości.

Mruknęła coś w odpowiedzi, wygrzebując przy okazji resztki ropy z kącika oka.

– Wyspała się pani przynajmniej? – spytał.

– Może być – odparła bez przekonania.

Choć była potwornie zmęczona, nie mogła wczoraj zasnąć. Myślała wciąż o Gierszewskiej. Pod koniec, już na granicy snu, wyobrażała sobie nawet, że jest nią. Potem śniło jej się, że morduje swojego/jej ojca. Miała ochotę splunąć, by pozbyć się tego wspomnienia.

– Mają dziś przyjść wyniki analizy komputera Kozery – powiedział. – Siedzę właśnie na mailu i czekam.

– Zaraz otworzę pocztę – odpowiedziała. – Albo nie. – Potarła dłonią czoło. – Ogarnę się szybko i przyjadę do pana. Przeanalizujemy je razem.

– Jeśli będzie co analizować – powiedział.

Wstała i poszła do łazienki. Spojrzała z niechęcią na zestaw kosmetyków do makijażu stojący na półce nad umywalką. Lubiła się malować, ale nie w takich chwilach, gdy musiała to robić szybko i poniekąd na odwal. Zawsze zazdrościła wtedy mężczyznom. Ci szmaciarze nie muszą się teraz nawet golić co rano. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Ani tym bardziej równości płci.

Rozpoczęła więc swój poranny rytuał. Najpierw podkład, korektor, cienie do powiek, mascara, na końcu bronzer na policzki, potem róż i rozświetlacz. Najgorsze było to, że nie potrafiła tego uprościć. Nie potrafiła, tak jak niektóre kobiety, maznać sobie kreski nad okiem, przypudrować nos i uznać, że to wystarczy. Chciałaby tak, ale nie mogła. Była perfekcjonistką. Albo może był to po prostu łagodny przypadek natręctwa czynnościowego.

Skończyła wreszcie, wypila kawę z mlekiem, ubrała się i wyszła. Śniadanie zje już w prokuraturze. Albo obiad. Albo coś innego. I tak nie była głodna.

* * *

Gdy się obudziła, już jej nie obejmował. Nie było go nawet w pokoju. Obróciła się na wznak i spojrzała na sufit. Nawet żyrandol był tu drewniany. Oczywiście nie cały, miał kulisty klosz z białego, mlecznego szkła, ale reszta była sosnowa.

Przetarła dłonią oczy. Miała lekkiego kaca, nic straszego. Takiego, który powinien przejść po jajecznicy i po kawie z mlekiem. I po którym do wieczora nie powinno zostać nawet śladu. Tak, że gdy znowu będzie miała wtedy ochotę się napić, nie znajdzie żadnych przeciwwskazań.

Rozejrzała się. Pokój wydawał się mniejszy niż wczoraj. Albo większy. W każdym razie inny. Wyglądał trochę jak dekoracja do filmu, jakby był nie do końca prawdziwy. Zagrała kiedyś małą rolę w jednym z seriali – był to kolejny świetny pomysł jej menadżera, który miał wywindować ją na szczyty popularności – i wyglądało to tam dość podobnie. Jak duży domek dla lalek, w którym nikt żywy nie mieszka.

Dobrze, że nie wypalił ten jego pomysł z „Playboyem”. Wygadał się o tym przypadkiem jakiś czas temu. Prowadził już rozmowy na temat jej udziału w rozbieranej sesji dla tego pisma, niestety w ich trakcie polska edycja magazynu zakończyła dość nagle działalność. Podobno niespodziewanie także dla swoich własnych pracowników. No cóż, trochę szkoda. Mogła być ostatnią polską playmate. Krótkotrwałą boginią onanistów. Raczej tych podstarzałych, bo ci młodszy szukają już wrażeń w internecie. Niestety, przepadło. I z perspektywy tego, co się potem stało, i tego, co się jeszcze może stać, być może nawet nieco tego żałowała.

Przeciągnęła się lekko w pościeli. I wtedy przypomniała sobie to wszystko, co działo się w nocy. Przez krótką chwilę próbowała wmówić sobie, że jej się to tylko śniło, lecz przecież wiedziała, że to nieprawda. Ogromna gula wstydu podeszła jej do gardła, wypełniając usta cierpkim absmakiem.

Drzwi otworzyły się i wszedł przez nie jej kierowca. Podciągnęła machinalnie kołdrę pod szyję.

– Cześć – powiedział. – Obudziłaś się?

No tak, w nocy przeszli zdaje się na „ty”. To znaczy on przeszedł. Mówił do niej po imieniu, głaskał po włosach, przytulił. Nie chodziło o to, że było to złe albo nieprzyjemne, problem polegał na tym, że działo się to w nocy, w ciemności, w jakiejś innej, półrealnej rzeczywistości. I że nie bardzo wiedziała, jak to się ma do ich obecnych stosunków.

Usiadł na łóżku przy jej nogach. Położył dłoń w miejscu, gdzie po kołdrę było jej kolano. Przestrzeń osobista została naruszona. Nieco ją to spięło.

– Idziesz na śniadanie? – spytał. – Owsianka i twarożek są już gotowe, jajecznica będzie, jak przyjdiesz. Wszystko świeże i pachnące. Bardzo fajnie to wygląda.

Kłopot był też taki, że nie pamiętała, jak on ma na imię. To znaczy wydawało jej się, że Marek, tak jej się chyba przedstawił, kiedy go o to spytała. Ale nie była tego pewna. Zawsze miała problem z zapamiętywaniem imion, a wczoraj na dodatek za dużo się działo.

– Nie, dziękuję, nie jestem głodna – odpowiedziała, choć jajecznica z wiejskich jaj to było dokładnie to, czego teraz potrzebowała. Ale był tam ten facet. Ten, który przydybał ją w nocy. Nie mogła do niego zejść.

– Nie wygłupiaj się – powiedział. – Czeka nas nie wiadomo jak długa droga i nie wiadomo, czym się będziemy w jej trakcie żywić. Pewnie hot dogami ze stacji albo kefirem z bułką z przydrożnych sklepów. To może być nasz jedyny porządny, ciepły posiłek dzisiaj. Chodź!

– Nie, naprawdę... – zaczęła.

– Bez marudzenia – przerwał jej. – Wstawaj!

Chwycił dłonią kołdrę i odrzucił ją na bok. Nie zdążyła jej przytrzymać. Leżała teraz przed nim niemal naga, w samych majtkach i biustonoszu. Omiótł ją spojrzeniem bez specjalnego skrępowania, za to z wyraźną satysfakcją.

– Sorry, że cię wczoraj rozebrałem – powiedział. – Ale sam spałem kilka razy w ubraniu, więc wiem, że nie jest to zbyt wygodne. No i nie chciałem, żebyś pomyślała ciuchy. A teraz ubieraj się i chodź.

Wstał z łóżka i podał jej starannie rozwieszzone na krześle spodnie i bluzkę. Potem usiadł i obserwował, jak je zakłada. Czowała się, jakby robiła przed nim striptiz, choć przecież było dokładnie na odwrót.

ROZDZIAŁ 38

Nowaczyk zadzwonił, gdy była już w samochodzie. Było co analizować. zaproponował, by spotkali się nie u niego, lecz w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym Policji, gdzie umówił ich z policyjnym informatykiem, który przeprowadził badanie komputera Kozery. W ten sposób będą mogli zadawać mu pytania i od razu uzyskiwać na nie odpowiedzi, gdyby mieli jakieś wątpliwości.

Wrzuciła kierunkowskaz i skręciła w stronę Alei Ujazdowskich. Po półgodzinie była na miejscu.

Zaparkowała tuż przed budynkiem, który wyglądał bardziej jak muzeum lub ministerstwo, a nie miejsce, gdzie bada się ślady pozostawione przez morderców na miejscach zbrodni. Zresztą Urząd Prezesa Rady Ministrów był niedaleko, w następnym budynku, i nie różnił się jakoś specjalnie od tego stylem architektury.

Wysiadła z samochodu i rzuciła okiem na rozciągający się po drugiej stronie Alei Ogród Botaniczny. Było to naprawdę dość zabawne, że policyjni specjaliści badający rozbryzgi krwawe, ślady spermy i tory lotów pocisków pracowali w takim miejscu i mieli taki widok z okien.

Podkomisarz Nowaczyk czekał już na nią na chodniku przed gmachem. Weszli razem do środka, nie wymieniając jednak po drodze ani słowa. Nawet się nie przywitali, jakby oboje uznali, że natura ich wzajemnych stricte zawodowych relacji zwalnia

ich z obowiązku przestrzegania konwencjonalnych zasad dobrego wychowania.

Człowiek, z którym się spotkali, nie wyglądał na typowego nerda. Bardziej na chłopskiego syna wysłanego wysiłkiem całej rodziny do miasta do szkół. Był dość krępy, choć szczupły, miał mocne, szczeciniaste, jasne włosy i okrągłą, dużą twarz zaopatrzoną w nieproporcjonalnie małe oczy, nos i usta. Ewidentnie też nie lubił się zbyt dużo odzywać, w czym akurat dość dobrze zgrywał się ze swoimi gośćmi.

Zaprowadził ich do swojego komputera i usiadł na stojącym przed nim dużym, wygodnym gamingowym fotelu, który zarówno swoim designem, jak i kolorystyką wyraźnie wskazywał, że nie został zakupiony z funduszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Stanęli za nim.

– Komputer mieli wspólny – zaczął również bez zbędnych wstępów. – Używali go oboje. Są na nim konta zarówno Kozery, jak i Gierszewskiej, oba chronione hasłami. Hasło Gierszewskiej jest banalne – jej imię i rok urodzenia, Kozera postarał się o wiele bardziej, co samo w sobie już świadczy, że miał więcej do ukrycia i że nie chciał, by jego partnerka się o tym dowiedziała.

– Jakie to hasło? – spytała, choć nie miało to znaczenia dla sprawy. Po prostu była ciekawa.

– Roccasiffredi24 – powiedział. – Imię i nazwisko jednego z aktorów porno plus długość jego penisa – wyjaśnił mężczyzna.

– Już go lubię. – Nowaczyk się zaśmiał. – Szkoda, że zginął.

– Długość... Skąd ją znał? – zdziwiła się Seredyńska.

– Z Wikipedii – wyjaśnił ich gospodarz. – Nie takie rzeczy tam są.

– Świat poszedł ostro do przodu od czasów Encyklopedii Britannica – skomentował podkomisarz.

– Czy to znaczy, że Kozera był gejem? – spytała.

– Strony, na które wchodził, o tym bynajmniej nie świadczą – odpowiedział informatyk, wpatrując się wciąż w duży monitor swojego komputera. – To raczej zapewne wyraz pewnej fascynacji. Tego, że chciałby być taki jak on.

– Każdy by chciał być jak Rocco – westchnął teatralnie Nowaczyk.

Spojrzała na niego. Uśmiechnął się kącikiem ust, zadowolony ze swojej małej, dziecinnej prowokacji.

– Jakie to strony? – spytała.

– Serwisy porno. Głównie te największe i powszechnie znane.

– Jakież ciekawe parafilie? – spytał podkomisarz. Wyglądał, jakby świetnie się bawił.

– Wybierał głównie filmy z kategorii „nastolatki”, „Azjatki”, „ebony”, czyli czarnoskóre, co jakiś czas „bondage”.

– Co to takiego? – spytała.

– Wiązanie. Zazwyczaj połączone z jakimś rodzajem przemocy. Ale to serwisy popularne, mainstreamowe można powiedzieć, więc nic specjalnie drastycznego. W rejony darknetu się nie zapuszczał. No i pomimo tego hasła zawsze czyścił historię przeglądania.

– Świntuszek – rzucił Nowaczyk. – Ale to w sumie banał. A co u niej?

– Jeszcze nudniej. Sklepy internetowe, serwisy muzyczne, media społecznościowe... Nic ciekawego.

– To po co tu w ogóle jesteśmy? – spytała Sereżyńska. Fajnie się rozmawia o cudzych zbrodniach, ale na razie traciła tu tylko czas.

– Z dwóch powodów – wyjaśnił informatyk, nie odrywając wzroku wciąż od ekranu. – Pierwszy jest taki, że ich komputer został przejęty.

– Przejęty? – spytała. – Zhakowany?

– Można tak to określić. Ktoś przejął nad nim kontrolę za pomocą protokołu DNS. Taki atak jest praktycznie niewykrywalny przez standardowe programy antywirusowe i umożliwia pełen dostęp do zawartości komputera, do wszelkich plików, haseł, kont itp.

– Wiadomo, kto to zrobił? – spytał Nowaczyk.

– Próbowałem namierzyć adres IP komputera, z którego to wyszło, ale trop się urwał. Ktoś, kto to zrobił, znał się na rzeczy.

– Oba konta zostały zhakowane? – spytała Seredyńska.

– Tak, oba – przytaknął informatyk.

– Jaka była... – szukała właściwego słowa – aktywność włamywacza?

– Bardzo ciekawa. Nie interesowały go konta bankowe ani tego typu rzeczy.

– To co w takim razie?

– Skrzynki pocztowe, Messenger, komunikatory. Głównie Kozery. Wyglądało to tak, jakby ktoś czegoś tam szukał.

– Może więc stała za tym sama Gierszewska? – podsunął Nowaczyk. – Zleciła to komuś, bo podejrzewała, że Kozera ją zdradzał albo okradał...

– Niekoniecznie. Na jej koncie także dokonano znaczących interwencji.

ROZDZIAŁ 39

Zeszli na dół. Dość długi, sosnowy stół rozstawiony był w pomieszczeniu, w którego rogu znajdowała się stara, biała, kafłowa kuchnia. Oprócz niej tu także wszystko było drewniane. Nie mogła oprzeć się myśli, jak szybko by to się paliło.

Na nieprzykrytym żadnym obrusem blacie stały już niektóre potrawy: twarożek z rzodkiewką w glinianej misce, smalec ze skwarkami w słoiczku, ogórki kiszzone, pokrojone pomidory z cebulką i wiejski chleb z chrupiącą skórką. Do tego cała deska najróżniejszych serów, zapewne miejscowej produkcji.

Gospodarza nie było. Usiedli. Przez ten długi stół czuła się trochę jak na weselu, na które nie dojechali goście. Na twarzy miała maskę. Jej towarzysz nawet jej nie założył.

– Będiesz tak jeść? – spytał. – Przez szmatkę?

– Nie chcę, żeby mnie rozpoznał – odpowiedziała. – Jak już wszystko przyniesie i pójdzie, to zdejmę.

– Myślisz, że dochodzi tu internet? – zażartował.

– Internet dochodzi teraz wszędzie – odpowiedziała.

Był to powód, ale nie jedyny. Drugi był taki, że najzwyczajniej w świecie się wstydziła. Człowiek, który tu zaraz wejdzie, widział ją w dość krępującej sytuacji. A ten kawałek materiału na jej twarzy był jakimś rodzajem ukrycia.

Gospodarz musiał ich usłyszeć, bo pojawił się w drzwiach.

– Owsianka czy jajecznica? – spytał. – Jajecznica może być sama, z cebulą, albo z cebulą i z boczkiem. Jaja wiejskie od kur od sąsiada. A owsianka, jak to owsianka. Miodu mogę do niej przynieść.

Już od samego wymieniania poczuła, jak bardzo jest głodna. Zamówili zgodnie jajecznicę z cebulą i boczkiem.

Gospodarz zniknął za drzwiami, a jej towarzysz zabrał się do jedzenia. Nie żałował sobie twarożku ani chleba ze smalcem. Patrzyła na to z zazdrością, niemal czuła, jak soki trawienne bezproduktywnie ściekają jej po pustych ściankach żołądka, lecz wolała poczekać, by nie odkrywać twarzy, zanim wróci właściciel. Miała nadzieję, że po przyniesieniu jajecznicy zostawi ich samych.

W końcu się pojawił i postawił przed nimi dwa dymiące talerze. Zapach podsmażonej cebuli i wędzonego boczku zaatakował jej nozdrza.

Zamiast jednak wyjść, mężczyzna usiadł przy końcu stołu.

– Jakbyście chcieli owsianki, to stoi na piecu. Już wcześniej zrobiłem – powiedział.

Najwyraźniej postanowił im towarzyszyć. Poczuła na sobie jego wzrok. Wzrok człowieka, który w nocy widział jej goły, wypięty tyłek.

– Pani się nie boi – powiedział – i zdejmie tę szmatkę. Tu nie ma żadnego koronawirusa. Gnojówka go przepędziła.

Uśmiechnął się, pokazując dziurę po zębie.

Wgapiął się w nią bezwstydnie, tylko w nią. Zrozumiała, że nie ma zamiaru sobie pójść, że został tu właśnie po to, żeby na nią patrzeć. Przez chwilę rozważała pomysł wkładania sobie jedzenia pod maseczkę, ale w końcu zdjęła ją i zaczęła jeść. Uśmiechnął się znowu, tym razem półgębkiem.

– Kiedyś miałem całkiem niezły dochód z tego pokoju na górze – powiedział. – Przyjeżdżali tu różni, z Warszawy i z Kielc.

Ładnie tu mam, niedaleko jest rzeka, można wędkować, na rowerach jeździć. Mleko świeże prosto od krowy i sery. Ale zamknęli wszystko, złodzieje, przez tę całą pandemię i musiałem zawiesić interes na kołku. Teraz niby znowu można gości przyjmować, ale te obostrzenia są takie, że głowa mała. Wszystko im dezynfekować, w każdym pomieszczeniu dystrybutor środka odkażającego, z tysiąc złotych bym musiał na to wydać. To ja już wolę po cichu, że niby rodzina przyjechała. Tym bardziej, że nie wiadomo, czy za chwilę znowu nie każą zamykać. Jakoś sobie trzeba radzić, nie?

Słuchała go nieuważnie, całkowicie pochłonięta jedzeniem. Jajecznica była genialna, nigdy sama nie zdołała tak dobrej usmażyć. Nałożyła sobie pomidorów, dużo, niemal pół talerza, świadoma, że potas w nich zawarty zwalcza skutki picia alkoholu. Poza tym były dobre, jeszcze pełne smaku, nie takie jak już wkrótce będą, zimą.

Gospodarz wziął ze stołu kromkę chleba, oderwał z niej kawałek i włożył sobie do ust.

– Skąd jedziecie? – spytał z pełnymi ustami.

– Z Warszawy – odpowiedziała.

– A dokąd?

Spojrzała szybko na swojego towarzysza.

– Do Rzeszowa – odpowiedział. – A potem w Bieszczady.

– Tędy? – zdziwił się.

– Mieliśmy kilka rzeczy do załatwienia po drodze – odparł wymijająco kierowca.

– Rozumiem. – Mężczyzna pokiwał głową. – Ale ten wasz samochód to nie ma warszawskiej rejestracji... – Wbił w nich uważnie wzrok.

Kierowca odłożył widelec na stół i odwzajemnił spojrzenie.

– Ano nie ma – odparł.

– Tylko tu naszą, świętokrzyską. I ma na szybie ślady po przyklejonej kartce, jakby był wzięty z komisum...

Oczy mężczyzny zrobiły się małe i jakby cofnęły w głąb czaszki.

– A kara z sanepidu za złamanie obostrzeń związanych z pandemią to trzydzieści tysięcy złotych – odparł dobitnie kierowca.

Mężczyzna znowu pokiwał głową.

– O, i to też zrozumiałem – powiedział. – Dobra – klepnął się dłońmi po udach – pójdę zobaczyć, co u krów. Ta robota nigdy się nie kończy – dodał.

Wyszedł.

Odprawdzili go wzrokiem.

– Skończyłaś? – spytał jej towarzysz.

– Tak. – Odsunęła od siebie talerz.

– To spadamy. Pójdę na chwilę do samochodu, a ty idź na górę i się ogarnij. Lepiej nie siedzieć tu zbyt długo.

ROZDZIAŁ 40

– I to jest ten drugi powód? – domyśliła się Seredyńska.

– Tak – przytaknął informatyk.

– Jakiego rodzaju to były interwencje? – spytał podkomisarz.

– Zacznijmy może od początku – powiedział informatyk. – Trochę czasu mi zajęło, żeby to wszystko rozgryźć.

– Słuchamy – ponagliła go Seredyńska.

– Kozera jako menadżer Gierszewskiej zajmował się między innymi zgłaszaniem jej utworów do ZAiKS-u – rozpoczął. – To instytucja zajmująca się ochroną praw twórców, ściąganiem tantiem za wykonywanie ich utworów z różnych stacji radiowych i telewizyjnych i przelewaniem ich następnie na ich konto. W obecnych pandemicznych czasach, gdy wszelkie koncerty są zakazane, to dla artystów szczególnie istotne, bo stanowi często jedyne źródło ich dochodu. Kozera, mówiąc krótko, rznął Gierszewską na tych tantiemach.

– W jaki sposób? – spytała.

– Dopisywał siebie jako współautora jej utworów – wyjaśnił mężczyzna. – W plikach na koncie Gierszewskiej widnieje ona jako jedyna autorka zarówno słów, jak i muzyki. W tych samych plikach na koncie Kozery jest on już współautorem zarówno jednego, jak i drugiego. I w tej formie właśnie było to zgłaszane. Chodzi między innymi o piosenki z najnowszej płyty, która była dość mocno promowana, a utwory z niej były grane dość często

we wszystkich stacjach radiowych. W grę wchodzi więc stosunkowo spore kwoty.

– Nie zorientowała się? – spytał Nowaczyk. – Jak to możliwe?

– Możliwe. Utwory można zgłaszać tradycyjnie, zanosząc wypełnione druki do siedziby ZAiKS-u na ulicy Hipotecznej, albo online przez ich stronę. Kozera miał hasło do konta Gierszewskiej i robił wszystko za nią. Nie zajmowała się tym, więc nie miała świadomości, co się dzieje. Prawdopodobnie wcześniej okradał ją tradycyjnie, na honorariach z koncertów, ale teraz, gdy ich nie ma, postanowił to sobie odbić w ten sposób.

– Spryčiuła – podsumował Nowaczyk.

– Rozumiem, że Gierszewska w końcu się o tym dowiedziała? – domyśliła się Sereżyńska.

– Och, zepsuła mi pani puentę! – żartobliwie obruszył się informatyk. – Całe szczęście nie całkiem, bo istotne jest, jak się o tym dowiedziała.

– Jak?

– Ktoś wysłał fałszywego maila udającego wiadomość z ZAiKS-u i ją o tym poinformował. Nie muszę chyba dodawać, że była to ta sama osoba, która wcześniej przejęła ich komputer.

Podkomisarz gwizdnął.

– Niezłe – powiedział. – Ktoś sprowokował konflikt między nimi.

– Myśli pan, że to był bezpośredni motyw? – spytała. – Że to dlatego go zabiła? Bo ją rznął na kasie?

– Nie. Mogła już wcześniej domyślać się w ten czy inny sposób, że ją okrada – odpowiedział. – To w końcu dość popularny stereotyp dotyczący menadżerów. Nie sądzę więc, żeby to był powód.

– To w takim razie co?

– To, że przekroczył niewidzialną linię, z której istnienia nawet nie zdawał sobie sprawy. Zrobił coś, na co musiała zareagować, żeby pozostać sobą i zachować do siebie resztki szacunku. Okradł ją nie tyle z jej pieniędzy, co z jej twórczości. Z czegoś, co było najistotniejsze w jej życiu. Zaatakował samą istotę jej jestestwa. Na wszystko mogła się godzić, na bicie, wykorzystywanie, oszustwa, ale na to nie – podsumował Nowaczyk.

Zobaczyła, jak głowa informatyka kiwa się w potakującym geście.

– Przekonuje mnie to. – Usłyszała. – Należało się sukinsynowi.

– Niestety, prawo autorskie nie przewiduje kary śmierci – zauważył cierpko podkomisarz.

– O której przyszedł ten fałszywy mail? – spytała Seredyńska.

– Został wysłany wieczorem, dzień przed ujawnieniem zwłok – odpowiedział informatyk. – Ale kiedy został odczytany, tego nie jestem w stanie określić. Jeśli Gierszewska odebrała go na komórce za pomocą aplikacji, zachowała się na niej data ściągnięcia go do pamięci wewnętrznej. Ale żeby to ustalić, potrzebny jest jej aparat.

– Czyli nie można wykluczyć korelacji czasowej przeczytania tego maila i ataku na Kozerę? – spytała.

– Według patologa jego śmierć nastąpiła późnym wieczorem lub w nocy, więc nie – odparł Nowaczyk.

– Pozostaje pytanie, kto go wysłał...

– Mamy chyba dobrego kandydata – zauważył podkomisarz.

– Wiadomo, czym Marek Ziemia zajmował się w swojej pracy? – zwróciła się do niego.

– Nie, ale mogę to zaraz sprawdzić – odpowiedział i sięgnął po telefon. – Pod warunkiem, że ta laska w kapciach nie ma

znowu słuchawek na uszach – mruknął i odszedł na bok.

Nie miała. Po chwili wrócił.

– Obsługiwał elektroniczny system sprzedaży biletów na koncerty – powiedział. – I stronę, przez którą można było to robić.

– Czyli znał się na rzeczy – stwierdził informatyk. – Kolega z branży. Mógł to zrobić.

– Wystawię nakaz przeszukania mieszkania Ziembry – zdecydowała Seredyńska. – Sprawdzimy jego komputer. Jeśli to on, powinny zostać na nim jakieś ślady tych działań, prawda? – zwróciła się do informatyka.

– Jak najbardziej – odparł.

– Jaka to kwalifikacja? – spytał Nowaczyk. – Podżeganie do zabójstwa?

Zastanowiła się.

– Trudno byłoby udowodnić, że mógł liczyć się z tym, że ona go w konsekwencji zabije – odparła. – Nawet zamiar ewentualny moim zdaniem nie wchodzi w grę. Całe szczęście mamy ciągle czynną napaść na funkcjonariusza. W zasadzie dobrze, że potrafił tę policjantkę – podsumowała.

ROZDZIAŁ 41

Wróciła na górę. Poczwała nagle, jak bardzo jest brudna. Spędziła wczoraj cały dzień w samochodzie, a potem jeszcze noc w tej samej bieliźnie. Niech się dzieje, co chce, ale nie wyjedzie stąd bez prysznic.

Otworzyła walizkę, wyjęła kosmetyczkę i poszła do łazienki.

Zamknęła drzwi, rozebrała się i weszła do wanny. Ciepła woda była tu podgrzewana przez mały gazowy piecyk wiszący na ścianie, więc miała przez chwilę problem, by ustawić właściwą temperaturę. Gdy to się w końcu udało, oblała się strumieniem gorącej wody.

Było to przyjemne, nawet bardzo. Każdy prysznic ma w sobie coś z ablucji, ze świętego obrzędu zmywającego grzechy i przygotowującego nas do nowego. Zwłaszcza taki jak ten: wyczekiwany i przynoszący ulgę.

Po drugiej stronie łazienki, nad umywalką, było lustro w plastikowej ramie. Spojrzała w nie i zobaczyła swoją postać. Nastrój prysł. Zdecydowanie lepiej wyglądała w ubraniu. Zbyt małe piersi, obwisły, wypukły brzuch, twarz bez makijażu i mokre, przylepione do twarzy włosy sprawiały, że wyglądała jak mała, biedna dziewczynka, rzucona nie wiadomo gdzie i po co, z daleka od domu, którego nigdy tak naprawdę nie miała.

Co sprawiło, że znalazła się w tym miejscu? Jej całe dotychczasowe życie legło w gruzach i nie było do niego powrotu. Przyszłości w zasadzie nie było. Bo jaka może ją

czekać przyszłość po tym, co zrobiła? Więzienie dla kobiet? Spanie w kilkusobowej celi, załatwianie się na widoku i wspólne prysznice, gdzie każda współosadzona będzie mogła do woli napatrzeć się na jej coraz bardziej starzejące się i zwiędłe ciało? I żadnych koncertów, nigdy więcej tego, co tak naprawdę trzymało ją do tej pory przy życiu, powodowało, że mimo wszystko miała jakąś wartość.

Poczuła się nagle straszliwie samotna. Ale nie tak, jak może się czuć samotny człowiek, który nie ma swojej pary, singiel, stara panna czy jak by to nazwać. Poczuła się sama w sensie metafizycznym, egzystencjalnym. Opuszczona przez wszystko: Boga, sens istnienia, jakiegokolwiek powody do życia. Jakby stała tu naga nie w wannie, a na środku pustego kosmosu.

Rozplakałaby się pewnie, gdyby nie to, że zrobiło jej się nagle zimno. Namydliła się więc szybko, splukała jeszcze raz i wytarła ręcznikiem, który całe szczęście też zabrała z domu, bo tu nie było żadnego. Skóra ożywiona tarciami zaróżowiła się i wysłała do mózgu sygnały pobudzające optymizm. Życie nie jest jednak aż takie złe, dopóki można zjeść jajecznicę i wziąć prysznic.

Umyła jeszcze zęby, potem owinęła się ręcznikiem, zabrała brudne ciuchy i wyszła. Wróciła do pokoju i wyjęła z walizki rzeczy na zmianę. Tylko bieliznę, bo spodnie i bluzkę po zastanowieniu postanowiła założyć te same. W końcu nie wiadomo, jak będą wyglądały jej następne dni, lepiej więc oszczędzać czyste ubrania.

Usłyszała, jak za jej plecami otwierają się drzwi. Nie odwróciła się, niezadowolona, że jej kierowca znowu przydybie ją w takiej niezręcznej sytuacji. Trochę za bardzo pozwoliła mu się do siebie zbliżyć. Wczoraj co prawda majaczyła coś o seksie, ale była w końcu pijana. Potem w zasadzie wykorzystał chwilę jej słabości, moment, w którym była zagubiona i przerażona,

ale dziś warto by wrócić do wcześniejszego poziomu relacji między nimi. Takiego, gdy między innymi on czeka za drzwiami, dopóki ona się nie ubierze.

Odwróciła się więc, by mu to powiedzieć. I zamarła. To nie był kierowca. W pokoju stał ich gospodarz z obleśnym półuśmiechem na ustach.

– Pani się nie wstydzi – powiedział. – Wczoraj już i tak widziałem wszystko, co najważniejsze.

Zatkało ją kompletnie. Była tak oszołomiona i zaskoczona, że nawet nie była w stanie powiedzieć mu, żeby wypierdalał.

Postąpił dwa kroki do przodu. Patrzył się na nią w sposób, od którego robiło jej się niedobrze.

– Co pan tu robi? – zdołała wreszcie wydusić z siebie. – Proszę stąd natychmiast wyjść!

– Po co te nerwy – odpowiedział. – Dogadamy się przecież.

Cofnęła się niemal pod ścianę.

– Jeśli ma pan jakąś sprawę, proszę porozmawiać o tym z moim towarzyszem – powiedziała, starając się, by ton jej głosu był spokojny i stanowczy. – A teraz proszę stąd wyjść.

– Tę sprawę mam akurat do pani – powiedział i znowu zbliżył się o krok.

– O co panu chodzi? – Jej głos lekko zadrżał.

– Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? – spytał. – Pokazywali cię w wiadomościach. Już wczoraj tak mi się wydawało, a dziś przyjrzałem się dokładniej.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparła, lecz nawet ona usłyszała, jak bardzo niewiarygodnie to zabrzmiało.

– Wy tam, w Warszawie, myślicie, że nas tu na wsi tak łatwo oszukać – powiedział, przechylając głowę na bok. – To ty. Przed chwilą jeszcze sprawdziłem w internecie. Julia Gierszewska, poszukiwana przez policję za zabójstwo menadżera. A ten frajer pewnie ci pomagał. Razem go załatwiliście. I teraz

uciekacie. A uciekajcie sobie, nic mi do tego. Jak się dogadamy, będziecie mogli uciekać dalej.

– Czego pan chce? – spytała. – Pieniędzy?

– Pieniędzy? – powtórzył. – Czemu nie? Pewnie tam żeście sporą sumkę przytulili. Po coś go żeście w końcu zabili, prawda? A u mnie się nie przelewa. Całe życie haruję jak wół, tak że nawet wy tam, w mieście, sobie tego nie wyobrażacie, i co? I gównu z tego mam. Więc tak, chcę pieneędzy. Pieniędzy i tego.
– Wskazał paluchem na jej ręcznik.

ROZDZIAŁ 42

Postąpił znów krok do przodu. Oparła się o deski boazerii.

– Zaraz tu wróci mój towarzysz. – W jej głosie pojawił się histeryczny ton. – Proszę się odsunąć, bo będzie pan miał z nim do czynienia. O pieniądzach możemy porozmawiać, ale dopiero, gdy pan stąd wyjdzie.

– Nie wróci – odparł i znów się uśmiechnął. – Jest w tej chwili bardzo mocno zajęty. Zdążymy. – Wyciągnął łapę w kierunku ręcznika.

Wcisnęła się niemal plecami w ścianę.

– Nie zbliżaj się! – krzyknęła, rozglądając gorączkowo się za czymś, czym mogłaby się obronić. Miała jednak tylko ten ręcznik. I własne ręce.

– Mam zadzwonić na policję? – spytał z obleśnym uśmiechem. – Mogę to zrobić, nie ma sprawy. Ile teraz dają za morderstwo, co? Ze dwadzieścia lat pewnie. A mi to długo nie zajmie. Mam już swoje lata i już dawno tego nie robiłem. A wy tam przecież ciągle dajecie na prawo i lewo, to ci szkodzi? A potem was puszcze i będziesz mogła o wszystkim zapomnieć. Chyba się oplaca, nie?

Widać było, że coraz bardziej nakręca się tym, co mówi. Już niemal ciekła mu ślina z ust. Gęba robiła mu się coraz bardziej czerwona, a pod włosami na czole pojawiły się kropelki potu.

Jego palce, na których dostrzegła zadarte skórki i linie brudu pod nieobciętymi paznokciami, już prawie dotykały ręcznika.

– Marek!! – krzyknęła ze wszystkich sił. Nagle zupełnie pewna tego imienia.

– Mówiłem przecież, że nie przyjdzie – wychrypiął mężczyzna. – Zadbałem o to, żeby nam nie przeszkadzał. To przecież nasza pierwsza randka, prawda?

Mówiąc to, wstrzymał jednak rękę. Tak jakby przekroczenie tej ostatniej granicy nie było dla niego wcale takie łatwe. Lecz to chwilowe zawahanie w końcu minie, była tego pewna.

Sparaliżował ją strach i obrzydzenie. I jeszcze coś – wspomnienia. Coś, co próbowała wyprzeć, zapomnieć o tym, ale co nagle ze skumulowaną siłą wróciło.

Na ścianie tuż obok dostrzegła nagle drewniany kinkiet. Rzuciła się w jego stronę, próbując zerwać go ze ściany i uczynić z niego swoją broń. Nie było to jednak takie łatwe. Nim oderwała go z haka, mężczyzna zareagował. Chwycił ją jedną ręką od tyłu w pól, a drugą złapał za jej przedramię. Uścisk miał mocny, jakby włożyła rękę w imadło, nie miała szans się wyrwać. Poczowała wilgotny smród jego oddechu i kropelki śliny na karku. Dostała mdłości, gdyby tylko zdołała się odwrócić, mogłaby na niego zwymiotować, ale i na to nie miała szans. Poczowała, jak jego dłoń wędruje w górę po jej brzuchu, próbując dostać się do piersi.

– Mam okres! – skłamała.

– Gównu mnie to odchodzi – wysyczał jej do ucha.

Nóż, nóż! Gdyby tylko miała nóż!

Nagle kropelki śliny zmieniły się w cały jej potok. Poczowała na karku już nie wilgoć, ale spływającą w dół jej pleców ciecz. Potem uścisk jego rąk zelżał, a później całkiem zniknął. Usłyszała, jak coś za nią wali się głucho na podłogę.

Odwróciła się. Mężczyzna leżał na plecach, trzymając się obiema rękami za gardło. Spomiędzy jego palców buchała krew.

Jego wciąż jeszcze żywe oczy wpatrywały się w sufit, a usta otwierały się i zamykały bezgłośnie.

Tuż za nim stał jej kierowca. Trzymał w dłoni zakrwawiony, przerdzewiały sierp.

– Zamknął mnie w stodole – wydyszał. – Skurwysyn...

Była cała we krwi. Świeżej, cieplej, pachnącej żelazem krwi.

Wpatrywali się jak zahipnotyzowani w leżące u ich stóp ciało, obserwując, jak z jego oczu w szybkim tempie uchodzi życie. W końcu wszystko znieruchomiało. Nie było wątpliwości, że człowiek na podłodze nie żyje.

Kierowca wytarł drewnianą rączkę sierpa w koszulę i włożył go w dłoń trupa.

– Samobójstwo – powiedział. – Wśród starszych, samotnych mężczyzn to nic specjalnie dziwnego. Posprzątam w kuchni, umyjemy naczynia, pościelimy łóżko, zatrzemy twoje ślady – wskazał na krwawe odciski jej stóp na podłodze – i nikt się nawet nie zorientuje, że tu byliśmy.

Nie słuchała go. Nachyliła się nad ciałem i wyjęła z jego dłoni sierp. Potem zaczęła dźgać z całej siły jego ostrym końcem w zwłoki. Raz za razem, zapamiętała. W korpus, twarz, ręce i podbrzusze.

– No i samobójstwo chuj strzelił – skomentował kierowca.

Gdy ochłonęła, rzuciła sierp na podłogę. Potem wróciła do łazienki.

Krew, znowu krew. Znowu zmywała ją z siebie. Patrzyła, jak czerwona woda spływa między jej stopami do brudnego odpływu wanny. Wyglądało to, jakby naprawdę miała okres. Albo jakby myła się po utracie dziewictwa.

Znowu zaatakowały ją wspomnienia. Krótkie przebłyski, obrazy przelatujące przez jej otępiały mózg. Znowu powtórzyła schemat. Odezwało się fatum. Była przeklęta, niosła śmierć. Była pułapką, w którą łapali się tacy jak tamten. Coś ich do niej

ciągnęło, może dlatego, że wydawała się łatwą ofiarą. Ten typ mężczyzn – zakompleksionych, wewnętrznie niepewnych siebie, tylko udających silnych – widział w niej prezent od losu, niespodziewaną okazję do spełnienia fantazji o sile, męskości i dominacji. Ale ona była zatruta. Była potrawą nadzianą gwoździami. Łapy, które po nią wyciągali, łamały się z trzaskiem. Nawet gdy, tak jak teraz, sama nic nie robiła.

Czuła się temu winna, mimo że im się to przecież należało. Nie byli dobrymi ludźmi, nie spotykało ich niezawinione nieszczęście. Ale czuła brzemień ich śmierci, ugiwała się pod nim, wgniatało ją ono w ziemię. I naprawdę myślała czasem, że lepiej by było, gdyby któryś z nich ją zabił.

Wyszła z wanny, wytarła się, ubrała i zeszła na dół. Kierowca czekał przy samochodzie. Wsiedli i nie mówiąc do siebie ani słowa, wyjechali przez bramę. Obejrzała się jeszcze za siebie.

Faktycznie ładnie się paliło.

ROZDZIAŁ 43

To było małe mieszkanie. W zasadzie kawalerka, choć z jej części wydzielono za pomocą drewnianej ścianki mały, drugi pokój, w którym mieściło się zaledwie łóżko. Do tego kuchnia bez okna i łazienka z ciasną, plastikową kabiną prysznicową, na której widać było nigdy nieczyszczone zacieki od twardej, warszawskiej wody.

Podeszła do okna. Za drzwiami na balkon, na którym zmieściłby się z trudem jeden człowiek, dostrzegła duże drzewo, chyba lipę, a z boku długą nitkę ulicy z dwoma pasami ruchu w każdą stronę. Zobaczyła kobietę około dwudziestu lat, ubraną jakby szła na dyskotekę, prowadzącą wózek dziecięcy i wpatrzoną cały czas w ekran telefonu komórkowego. Jeśli czasami żałowała, że nie ma dzieci, to takie obrazki jak ten skutecznie ją z tego żalu leczyły.

– I co? – spytała, odwracając się do Nowaczyka.

– Nic ciekawego – odpowiedział podkomisarz. – Komputera nie ma. Musiał go zabrać ze sobą. Zbierzemy odciski palców i zabezpieczymy ślady biologiczne, a potem porównamy je z tymi z mieszkania Gierszewskiej. Może wyjdzie coś ciekawego?

W mieszkaniu Marka Ziembę nie było prawie mebli ani w ogóle nic osobistego. Żadnych obrazków, zdjęć, bibelotów, plakatów na ścianie, niczego, co nie byłoby absolutnie niezbędne. Z dwoma małymi wyjątkami: na półce nad łóżkiem

stało kilka zakurzonych, metalowych figurek postaci z *Władcy Pierścieni*, a na ścianie w jego nogach wisiało wydrukowane z internetu i oprawione w srebrną ramkę zdjęcie Julii Gierszewskiej.

– Sprawdzić nigdy nie zaszkodzi – powiedziała, patrząc na zdjęcie.

Przeszła się jeszcze raz po pomieszczeniach. Smutne schronienie człowieka prowadzącego smutne życie. Czy gdyby ktoś wszedł do jej mieszkania, miałby podobne wrażenie? Miała nadzieję, że nie.

Zajrzała ponad plecami technika do szafy w przedpokoju. Wisiały w niej najzwyczajniejsze ubrania. Dżinsy w różnych odcieniach błękitu, cienkie swetry i koszule – niektóre w kratkę, inne niebieskie lub czarne. Żadnego garnituru. Tak ubiera się ktoś, kto chodzi do pracy w małej firmie i nigdy nie pracował w korporacji.

Gdyby miała ocenić, jakim Marek Ziemia był człowiekiem, jakie miał pasje, co lubił, jak spędzał wolny czas, to nic, absolutnie nic w tym mieszkaniu by jej w tym nie pomogło.

– Sprawdźcie jego bilingi – powiedziała. – Może dzwonił do Gierszewskiej albo do Kozery, albo do kogoś z ich znajomych?

Nikt jej nie odpowiedział. Nic dziwnego, w końcu było to przecież dość oczywiste.

Nagle przyszło jej coś do głowy.

– Jest tu jakaś torba? – spytała technika.

– Potrzebuje pani torbę? – zdziwił się.

– Nie – odparła zniecierpliwiona. – Czy znaleźliście w tym mieszkaniu jakąś torbę, walizkę lub coś podobnego?

Technik zastanowił się.

– Nie – odpowiedział.

– W każdym mieszkaniu jest jakaś torba – powiedziała. – Jeśli jej nie ma, to znaczy, że ktoś się w nią spakował i ją

wyniósł.

Podkomisarz Nowaczyk popatrzył na nią uważnie. Zrozumiał, o co jej chodzi.

– To się zaczyna układać w logiczną całość – powiedział.

– Na to wygląda – odpowiedziała. – Zaplanował to. Wywołał między nimi konflikt i był przygotowany na to, że razem wyjadą.

– Pytanie, czy był przygotowany również na zabójstwo Kozery? – spytał Nowaczyk.

Podeszła znowu do okna. Kobieta z wózkiem już zniknęła. Zamiast niej pojawił się mężczyzna z psem na długiej smyczy. Pies, zdaje się, że bokser, kucał na trawniku w charakterystycznej pozie i nawet stąd było widać, po co to robi. Gdy już skończył, mężczyzna szarpnął lekko za smycz i odszedł spokojnym krokiem, ani przez chwilę nie rozważając możliwości posprzątania po swoim czworonogu. W Seredyńskiej coś aż zagotowało się na ten widok. Przez chwilę miała wielką ochotę, by wykorzystując całą moc swojego prokuratorskiego urzędu, nakazać Nowaczykowi ściganie tego karygodnego wykroczenia, zamiast tego jednak odwróciła się i powiedziała:

– Teoretycznie można by sobie coś podobnego wyobrazić. Jeśli Ziemba jest rzeczywiście takim specem od komputerów, mógł w jakiś sposób dotrzeć do materiałów dotyczących śmierci ojca Gierszewskiej i spróbować odtworzyć sytuację, w jakiej się wtedy znalazła, licząc, że podobnie zareaguje. Tylko czy nie jest to trochę zbyt naciągana hipoteza?

Podkomisarz wzruszył ramionami.

– Być może. Zazwyczaj prawdziwsze są prostsze wyjaśnienia. Ale nie zawsze.

– Czy jest jakikolwiek sposób, żeby to sprawdzić? – spytała.

– Nie wiem – odpowiedział. – Muszę spytać tego magika z CLK, czy można odtworzyć operacje dokonywane z danego komputera, nie posiadając samego urządzenia. Ale nie sądzę. Skoro atak na komputer Kozery był tak dobrze zakamuflowany, to w tym przypadku Ziemia posłużył się prawdopodobnie tą samą metodą. Jeśli to zrobił, oczywiście.

– Mamy więc dwa możliwe scenariusze – powiedziała bardziej do siebie niż do niego. – Pierwszy jest taki, że wywołał konflikt między nimi, a zabójstwo było tego nieprzewidzianym skutkiem. Drugi, że chciał do niego doprowadzić. Pomyślmy, co może przemawiać za każdym z nich.

– Drugi wydaje mi się mimo wszystko mało prawdopodobny – odparł Nowaczyk. – Nawet znając historię Gierszewskiej, nie mógł mieć pewności, że zareaguje w ten sposób. Że zabije Kozere. Poza tym w sumie po co było mu to potrzebne? Jeśli chciał się w jakiś sposób do niej zbliżyć, to skłócenie jej z Kozere zupełnie do tego wystarczyło. Mógłby się wtedy pojawić jako pocieszyciel. Może dlatego właśnie czekał przed jej domem?

– Ze spakowaną walizką w bagażniku? – spytała z powątpiewaniem. – Poza tym skąd mógł wiedzieć, że ona w ogóle wyjdzie i że będzie chciała z nim rozmawiać? Moim zdaniem Kozera musiał zginąć i Gierszewska musiała go zabić. Bo tylko wtedy jego plan miał jakiejkolwiek szanse powodzenia.

– Jeśli był w ogóle jakiś plan – zauważył.

ROZDZIAŁ 44

– Muszę zmienić ubranie – powiedział. – To jest całe we krwi.

Siedziała otępiała na tylnej kanapie samochodu, ledwo zrozumiała, co mówi. Miała wrażenie, że krew, o której wspomniał, jest ciągle na niej. Mimo że przecież zmyła ją z siebie, a ręcznik, którym była owinięta, został w płonącym domu.

Nie zareagowała więc i nie odpowiedziała. Patrzyła tylko w tył jego głowy. Był teraz mordercą, tak jak ona.

– Nie pomyślałem o tym – mówił dalej. – Cholera! Mogłem to zrobić od razu i wrzucić je w ogień. Byłby kłopot z głowy. Następnym razem – zaśmiał się krótko – będę o takich rzeczach pamiętał.

Był dziwnie wesoły i podekscytowany. Jakby ukradł jabłka z sadu sąsiada, a nie zabił człowieka. Dostrzegła to nawet mimo własnego oszołomienia.

– Nie podziękujesz mi? – spytał, odwracając głowę. – Uratowałem ci tyłek. I to dosłownie.

– Dziękuję – odpowiedziała odruchowo. – Ale nie musiałeś go zabijać.

– Ty też nie musiałaś zabijać tego swojego menadżera – odpowiedział. – Ale to zrobiłaś. Jesteśmy teraz tacy sami – ty i ja. Łączy nas braterstwo krwi. – Znów się roześmiał.

Minęła ich straż pożarna jadąca na sygnale.

– Szybko przyjechali. – Pokręcił głową z niezadowoleniem. – Mam nadzieję, że wszystko zdąży się tam dobrze wypalić. Powinno – dodał po chwili. – Drewno błyskawicznie się zajmuje.

Nie nadążała za tym, co się działo, naprawdę. Jeszcze trzy dni temu jej życie było może i chujowe, ale za to stabilne. Uwierało ją, męczyło, wysysało z niej siły i przyprawiało o depresję, ale było na swój sposób wygodne i bezpieczne. Tęskniła za tym.

– Musimy gdzieś się zatrzymać i je kupić – powiedziała.

– Co kupić? – Nie zrozumiał.

– Ubranie – odpowiedziała. – I ja to muszę zrobić, bo ty raczej nie powinieneś wychodzić w tym stanie. Jaki nosisz rozmiar?

– Nie musimy nic kupować – odparł. – Mam ubranie w bagażniku.

Teraz to ona nie rozumiała.

– Skąd je masz? – spytała.

– Jak to skąd? Po prostu mam.

– Wozisz ubranie w bagażniku? Po co? – zdziwiła się.

– Na wszelki wypadek.

– Na jaki wypadek?

Był taksówkarzem, codziennie nocował w domu. Po co mu było ubranie na zmianę?

– Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy – odparł wymijająco.

Nie zauważyła, by miał jakąś torbę czy walizkę, nie widziała, by ją przekładał do nowego auta ani wyjmował przed ich noclegiem. Ale też nie bardzo zwracała na takie rzeczy uwagę, zajęta swoimi sprawami.

– Co się może wydarzyć podczas jeżdżenia taksówką po mieście? – spytała.

– Nie wiem, awaria, wymiana koła, można się oblać kawą... Kiedyś je spakowałem i teraz wożę. Naprawdę nie masz innych zmartwień?

W jego głosie pojawiła się irytacja.

Może faktycznie miał rację. I rzeczywiście: przed chwilą uratował jej tyłek. Przybył w nad wyraz odpowiednim momencie. Nie zniosłaby tego, co mogłoby się wtedy stać. Nie po raz kolejny, nie po tym wszystkim, co się kiedyś wydarzyło. Posklejane kawałki rozsypałyby się na nowo. I tak ledwo już trzymały się razem. Wsunęła palce pod włosy nad karkiem. Miała wrażenie, jakby wciąż była tam ta lepka ciecz. Jakby się całkiem nie domyśla, jakby coś zostało. Potarła skórę głowy. Była sucha. Wyjęła dłoń i powąchała palce.

Poczuła ją. Krew. Ten sam metaliczny zapach. Taki jak wtedy, taki jak wczoraj, taki jak przed godziną. Skąpana we krwi. To mógłby być tytuł jej autobiografii. Być może napisze ją w więzieniu. Na pewno sprzedawałaby się rewelacyjnie. Skoro byle prezenter z telewizji wydaje opowieść o swoim miałym życiu i ludzie to kupują, to historia jej, piosenkarki, która nieomal dotarła na szczyt, po to, by w tym samym momencie pogrążyć się w odmętach zbrodni, byłaby absolutnym bestsellerem.

Ciekawe, tak w ogóle, jak sprzedaje się jej najnowsza płyta. Czy już dotarła na pierwsze miejsce listy TOP10 w Empiku, czy jeszcze nie? Całkiem niezłą kampanię wymyśliła. O wiele lepszą niż ta, którą prowadził jej menadżer. Koszt: dwa trupy, w tym jeden jego własny. To dużo czy mało? Warto będzie za jakiś czas przyznać się do tego pieczonego amatora gwałtów, żeby podtrzymać zainteresowanie mediów i znowu nakręcić sprzedaż.

Takimi to cynicznymi myślami zabawiała się, by zagłuszyć nimi to, co tak naprawdę zalewało ją od środka: przerażenie.

Czuła się jak szczur zagoniony w róg klatki, miała ochotę wrócić i zabić tamtego skurwysyna jeszcze raz. Spojrzała ponownie na tył głowy swojego towarzysza podróży. Nawet milcząc, wydawał się rozochocony i podniecony. Świetnie się bawił, dlaczego? A gdyby tak zarzucić mu teraz od tyłu na szyję pasek od torebki i ścisnąć? A potem okręcić, tak by mimo zagłówka odciąć dopływ tlenu do mózgu? Właśnie teraz, gdy prowadzi, gdy wyjechał na lepszą drogę i przyspieszył. Nie zdołałby pewnie utrzymać panowania nad kierownicą. Walnęliby z pełną prędkością w jedno z tych drzew na poboczu. Albo w samochód jadący z naprzeciwka. I byłoby po wszystkim, raz na zawsze.

Naprawdę miała na to ochotę. Właśnie tak zginąć, razem z nim. Nie wiedziała dlaczego, w końcu jej pomagał, był dla niej dobry, a przed chwilą wyrwał ją z łap tamtego oblecha. Ale właśnie na to miała ochotę. Jakby to wszystko było przez niego, jakby to wszystko była jego wina.

Chwyciła pasek torebki i delikatnie, starając się nie robić hałasu, odpięła z zaczepów dwa srebrne karabińczyki. Wzięła w dłonie oba jego wolne już końce i rozciągnęła. Nie był zbyt długi, ale powinien wystarczyć. Jedna decyzja, jeden szybki ruch i będzie po wszystkim. Karuzela zatrzyma się, koło życia przestanie wirować. Odtworzy schemat po raz ostatni, wyzwoli się z tego zaklętego kręgu, osiągnie nirwanę. Poczwała znowu zapach zaschniętej krwi spod swoich włosów, a może jej się tylko wydawało? Teraz i ona była radośnie podniecona. Jakby ta krwawa kąpiel, ten mitraistyczny chrzest, który niedawno odbyła, wydobył na powierzchnię jej prawdziwe ja. No już, pomyślała, zrób to. Rachu-ciachu i po strachu. To tylko męczyzna, taki sam jak oni wszyscy. Jak jej ojciec, jak jej menadżer, jak ten wiejski krowojebca. Zabierze go z sobą do

grobu, jako ofiarę przebłagalną dla podziemnych bóstw. Bardzo jej się ten pomysł podobał, bardzo.

– Tu zjadę – powiedział. – I gdzieś się przebiorę.

Wrzucił kierunkowskaz i skręcił w boczną drogę. Samochód zwolnił, jechał teraz najwyżej dwadzieścia na godzinę. Odpowiednia chwila minęła, przepadło.

Poczuła ulgę, ale też i zawód. Zdziwiająca uczucie, jakby obudziła się ze snu. Oparła się plecami o siedzenie i przypięła pasek z powrotem do torebki. To znowu wraca, pomyślała.

ROZDZIAŁ 45

Zadzwoił telefon. Nowaczyk sięgnął do kieszeni.

– Tak? – odebrał, odchodząc nieco na bok.

Nie wsłuchiwała się w te wszystkie „mhm” i „aha”, zajęta próbą odnalezienia w ciasnym mieszkaniu jakiejś wskazówki, którą przeoczyli technicy. Dopiero gdy podszedł do niej, podniosła na niego wzrok.

– Coś ciekawego? – spytała.

– Nie wiem – odpowiedział. – Poprosiłem, żeby informowano mnie o wszystkich dziwnych zdarzeniach w promieniu stu kilometrów od miejsca, w którym ostatnio widziano samochód Ziemby i Gierszewskiej. Dostałem właśnie zgłoszenie, że coś takiego miało miejsce.

– Co?

– Strażacy otrzymali wezwanie do pożaru – wyjaśnił. – Paliło się gospodarstwo agroturystyczne na skraju wsi. Po ugaszeniu domu odkryli w środku spalone zwłoki. Od razu było widać, że denat nie zginął od ognia czy czadu. Miał prawie odciętą głowę od tułowia. Sąsiad, który zadzwonił na 112, twierdzi, że widział, jak tuż przed pojawieniem się płomieni przez bramę wyjechał samochód nienależący do nikogo miejscowego.

– Jest już tam policja? – spytała.

– Właśnie tam jadą. Ale to nie musi być w ogóle z tym związane...

– Pokaż mi to na mapie – zaaferowana przeszła z nim bezwiednie na ty.

Otworzył nawigację z komórce.

– Cholera, na tym gównie nic nie widać. – Zirytowała się. – Ma ktoś normalną mapę? Albo chociaż tablet? – spytała głośno. – Może tu coś jest?

– U informatyka? Nie sędzę, żeby miał cokolwiek wydrukowanego na papierze – wyraził swój sceptycyzm Nowaczyk.

– To idź do sąsiadów i coś załatw! – rzuciła ostro. – Na pewno ktoś tu ma jakiś atlas czy coś w tym stylu.

Uniósł do góry brwi, zdziwiony jej nagłym wybuchem, ale nie skomentował. Widocznie żona nauczyła go, czemu czasem kobiety reagują nieco zbyt nerwowo.

Po kilku minutach wrócił.

– Atlas samochodowy – powiedział, pokazując składaną mapę zamkniętą w skóropodobnej niewielkiej teczce. – Nie ma na nim jeszcze autostrad, ale nie sędzę, by Ziemia z nich korzystał.

Rozłożyli ją na blacie w kuchni. Była powycierana na zgięciach, a od wschodu Polska graniczyła na niej jeszcze z ZSRR.

– Potrącili policjantkę gdzieś tu. – Postawił na mapie szklaną solniczkę. – A dzisiejsze zgłoszenie jest stąd. – Przyłożył palec do papieru.

Nachyliła się nad zadrukowaną powierzchnią, jakby z bliska mogła dostrzec poruszający się po niej maleńki samochodzik. Linia poprowadzona między tymi dwoma punktami zbaczała trochę w prawo, lecz wciąż biegła na południe.

– Wiadomo coś o tym aucie, które widział sąsiad? – spytała.

– Był za daleko, by dostrzec numery rejestracyjne – odparł.

– A kolor?

- Czerwony lub granatowy.
- Lub? – Spojrzała na niego zdziwiona.
- Tak powiedział. – Wzruszył ramionami.
- A Ziemba jeździ jakim?
- Butelkowa zieleń – odpowiedział.

Ktoś, kto nie odróżnia czerwonego od granatowego, równie dobrze mógł go pomylić z zielonym, pomyślała. Albo zmienili jakimś cudem samochód.

- Co pan sądzi? – spytała podkomisarza. Uznała, że mimo wszystko lepiej będzie, gdy pozostaną przy nieco mniej zażyłych formach komunikacji.

- Nie mam pojęcia. – Skrzywił się. – Na dwoje babka wróżyła.

- Jedziemy tam – zdecydowała.
- Nie woli pani poczekać, co tam znajdą? – zdziwił się.
- Jedziemy – powtórzyła stanowczo.

* * *

Zjechał na pobocze przy małym zagajniku. Sądząc po ilości leżących wokoło zużytych chusteczek higienicznych, nie byli pierwszymi, którzy zatrzymali się w tym miejscu. Wysiadł i podszedł do bagażnika. Poczula powiew wiatru na włosach, gdy otworzył klapę. Z ciekawości zerknęła w tylne lustro. Potem przesunęła się na siedzeniu, by lepiej widzieć. Zdjął ubranie, widziała jego nagi tors. Nie był może misterem fitness, ale wyglądał całkiem nieźle. Mięśnie na ramionach były wyraźnie widoczne. Klatka piersiowa ładna, nieprzesadnie rozbudowana, ale zgrabna i gładko wygolona. Brzuch szczupły, tylko lekko wypukły. Ciekawe, jaki ma tyłek, pomyślała. Tego, niestety, nie było widać.

Nagle poczuła straszną ochotę, by wysiąść i dotknąć tego ciała. Ciała, które jeszcze przed chwilą chciała zniszczyć, rozerwać pogiętymi blachami samochodu i zmiażdżyć wbijającą się w mostek kolumną kierownicy. Jakże inne było to ciało od tego, które musiała znosić przez ostatnie trzy lata. Niemal czuła wydobywający się z niego subtelny zapach piżma.

Być może to przez tamto poprzednie podniecenie nie zdołała się powstrzymać. Nie myśląc nawet, otworzyła drzwi. Podeszła do niego. Właśnie zdjął spodnie. Stał w samych tylko majtkach i skarpetkach, trzymając stopy na przydeptanych sportowych butach. Zdziwił się i jakby przestraszył, gdy położyła mu dłoń na piersi i zaczęła wodzić nią po jego skórze. Nie odezwał się, ale usłyszała, jak przełknął ślinę. Wydawał się onieśmielony i zagubiony jak dziecko. Ujęło ją to jakoś, że ktoś może być bardziej nieporadny w tych sprawach jak ona. Ściągnęła bluzkę, by i on mógł sobie popatrzeć. Potem przyciągnęła jego głowę do swojej.

– Ktoś może tędy przejeżdżać – wychrypiał przez zaciśnięte gardło.

– Zrobimy mu w takim razie dzień – odpowiedziała.

W odróżnieniu od niej naprawdę pachniał krwią.

ROZDZIAŁ 46

Dojechali na miejsce po nieco ponad dwóch godzinach. Zauważyła, że od ostatniej ich wspólnej przejażdżki posprzątał nieco w swoim syfowozie. U lusterka dyndała choinka zapachowa. Nie palił też w czasie drogi.

Pożar został już ugaszony, choć wóz Ochotniczej Straży Pożarnej wciąż jeszcze stał na podwórku. Były też policyjne radiowozy i bus techników. Cały cyrk, do którego właśnie dołączyły dwie mały.

Podeszli, człapiąc w czarnym błocie, powstałym z sadzy i wody ze strażackiego węża, do mężczyzny w garniturze. Jak słusznie założyła Sereżyńska, był to miejscowy prokurator. Przywitali się i wyjaśnili, o co chodzi. W powietrzu unosił się kwaśny zapach mokrej spalenizny.

– Ciało znaleziono na poddaszu – wyjaśnił mężczyzna. – Wczoraj w nocy padał deszcz, więc pożar nie był szczególnie intensywny. Poza tym remiza jest w tej samej wsi, więc wóz dojechał w miarę szybko.

– Znaleźliście coś ciekawego? – spytała.

– W środku niestety wszystko jest wypalone – odpowiedział.

– O odciskach palców i tym podobnych rzeczach możemy zapomnieć. Jeśli były jakieś ślady na podwórku, to też zostały zniszczone. – Wskazał na rozjeżdżone smoliste grzędawisko. – Ale sprawdzamy teraz budynki gospodarcze, tam ogień nie dotarł.

– Narzędzie zbrodni? – spytała.

– Niedaleko ciała leżał sierp. Według techników pasuje do charakterystyki obrażeń. Takich rzeczy raczej nie trzyma się w domu, dlatego liczymy, że coś znajdziemy w tych oborach. Ktoś musiał go stamtąd przynieść.

– Możemy się tu trochę rozejrzeć?

– Oczywiście, czujcie się jak u siebie.

Podeszli do wypalonego budynku. Jego dach zapadł się, ukazując zwęglone belki więźby, ale ściany, mimo że poczerniały i odymione, nie zdążyły się spalić. Zajrzeli do wnętrza – było zalane wodą i kompletnie zdewastowane przez pożar i akcję gaśniczą. Raczej nie mieli tu czego szukać. Miejscowy prokurator miał rację: jeśli były tu jakieś dowody, zostały zapewne zniszczone.

Ruszyli więc w stronę kolejnego budynku. Była to zdaje się obora. Świadczyły o tym dobiegające ze środka porykiwania wciąż jeszcze wystraszonych krów. W czasie pożaru musiał tam być istny armagedon. Seredyńska wyobraziła sobie przerażone, wielkie oczy zwierząt, ich ciała obijające się o boksy, potykające się o własne nogi i przewracające cielęta, i ogarnęła ją nieadekwatna nieco do sytuacji fala współczucia. Dziwna sprawa, nie obejmowała ona znalezionych w pobliskim domu zwłok.

Weszli do środka przez duże podwójne wrota. Przywitały ich zwrócone w ich stronę, zaniepokojone pyski i ciepła woń obornika. Zwierząt nie było wiele, mniej niż dziesięć sztuk. Panował półmrok z wyjątkiem miejsca na końcu budynku oświetlonego reflektorami na statywach.

Poszli w tę stronę. Odprowadzały ich czujne spojrzenia lśniących, okolonych długimi rzęsami oczu. Patrząc na nie, można było zrozumieć, dlaczego Homer nazywał boginię Herę krowiooką i dlaczego był to dla niego komplement.

Na miejscu pracowali dwaj technicy w białych kombinezonach, był też prokurator, który zdążył tymczasem tu podejść.

– A tu jak? – spytała Seredyńska.

Mężczyzna odwrócił się w ich stronę.

– Chyba znaleźli ślady krwi – powiedział. – Ale nie podniecałbym się zbyt. To obora, krew więc równie dobrze może być zwierzęca. Albo ktoś zaciął się w palec podczas jakichś prac.

– Prosiłabym o szybką analizę – powiedziała. – Chcielibyśmy porównać materiał genetyczny z tymi znalezionymi w innych miejscach.

– Macie jakieś sprawy, w które zamieszane są krowy? – zażartował mężczyzna.

– Jeśli oczywiście krew okaże się ludzka – odparła chłodno.

– Jasna sprawa – zmitygował się prokurator, widząc, że mimo młodego wyglądu koleżanka po fachu nie jest skłonna do takich zabaw. – Nadam tej sprawie priorytet.

– Kim jest ofiara? – spytał Nowaczyk.

– Drobnym rolnik, prowadził ekologiczną wytwórnię sera i gospodarstwo agroturystyczne.

– Coś zginęło?

– Na pierwszy rzut oka raczej nie – odparł prokurator. – Samochód wciąż stoi zaparkowany przed domem. Też się spalił. Ciągnik i maszyny rolnicze również są na swoich miejscach. W oborze wszystkie boksy zajęte, więc krów też nikt nie ukradł. W domu strażacy znaleźli spalony telewizor i stary komputer. Nie sądzę także, by miał jakąś większą ilość gotówki, miejscowa policja twierdzi, że nie był specjalnie bogaty.

– Rodzina? – dopytywał się dalej podkomisarz. – Ktoś miałby jakiś motyw? Może miał konflikt z którymś z sąsiadów?

– Żona zmarła na raka parę lat temu – wyjaśnił prokurator. – Dzieci dorosłe, mieszkają gdzie indziej. W okolicy podobno nie był specjalnie lubiany. A konflikt był, a jakże. Z bratem. Ich gospodarstwa graniczą przez miedzę. Kłócili się o ziemię po rodzicach. Parę razy się nawet pobili. Normalnie, jak to na wsi. Co ciekawe, to właśnie brat zawiadomił o pożarze.

– No proszę – zdziwiła się Seredyńska. – I to on widział ten samochód wyjeżdżający z posesji? Powiedziano nam, że to jakiś sąsiad.

– Sąsiadami, jak już mówiłem, też są – odpowiedział prokurator.

– Czyli żadnego samochodu mogło na dobrą sprawę nie być? – skomentował Nowaczyk.

– No cóż. – Prokurator uniósł brwi. – Za wcześnie oczywiście na takie wnioski, ale sierp jako narzędzie zbrodni i podpalenie po wszystkim pasuje do motywu rodzinnej zemsty. Na ciele denata stwierdzono też wiele ran kłutych, co by świadczyło o osobistym stosunku sprawcy do ofiary. W tych stronach ludzie są zawzięci, potrafią zabić za mniejsze przewinienie niż niesprawiedliwy ich zdaniem podział spadku. Zwłaszcza w takich zapomnianych przez Boga wioskach.

Podkomisarz pokiwał ze zrozumieniem głową. Spojrzał na Seredyńską. Zdaje się, że przyjechali na darmo.

– Jak się nazywał? – spytała dla porządku. Będzie musiała coś wpisać w papierach po powrocie do Warszawy.

– Brat? – spytał prokurator.

– Ofiara – odparła, starając się ukryć zniecierpliwienie. Naprawdę ktoś taki był prokuratorem w Kielcach?

– Brat Antoni, ofiara Stanisław – odpowiedział, zaglądając do notatek. – Ziemia – dodał po chwili. – Stanisław Ziemia.

ROZDZIAŁ 47

Siedziała teraz z przodu, obok niego. Nie byli jeszcze parą, bez przesady. Ale po tym, co zaszło, głupio byłoby udawać, że wciąż jest tylko jej kierowcą. Ktoś, kogo czuło się tam w środku, nie jest już tak do końca obcym człowiekiem, nawet jeśli nie musi być od razu kimś bliskim.

Marek. Musi zacząć przyzwyczajać się, by tak o nim myśleć. Będzie to, przynajmniej na początku, wymagało pewnego samozaparcia. Może z czasem nauczy się nawet tak do niego mówić. Jeśli oczywiście zdąży aż tak się przestawić, zanim ich złapią.

Od tamtej pory milczał. Ten jej Marek. Nawet był ciekawa, co sobie teraz myśli. Ale go o to nie spyta, o nie. Żeby sobie czegoś nie wyobraził. Tekst: „o czym myślisz?” jest już trochę nazbyt poufały. Sugerujący jakąś intymną relację. Tak zwraca się kobieta do swojego mężczyzny. A on był wciąż mężczyzną co najwyżej obok niej.

Nagle położył jej dłoń na kolanie. Spięła się cała w pierwszym odruchu, ale nie zareagowała. Spojrzała na niego, on też odwrócił ku niej swoją twarz i uśmiechnął się. Odwzajemniła ten uśmiech. Krzywo, bo krzywo, ale zawsze. Potem rozluźniła mięśnie. W sumie nie wiadomo, ile im czasu jeszcze zostało. Do złapania, albo do czegoś więcej. Chyba nie warto być za bardzo zasadniczym. To dobry moment, by się puścić poręczy. Cokolwiek by zrobiła, nie będzie to przecież

miało żadnych konsekwencji. Nie będzie musiała z nim być ani z nim zrywać. Nie będzie mu musiała tłumaczyć, że jednak nic z tego, i proponować w zamian przyjaźni. Albo żebrać o miłość, gdy on tak robi. Po prostu któregoś dnia, którejś godziny, i to raczej wcześniej niż później, ich znajomość skończy się nagle i nieodwołalnie. Więc po co te wszystkie skrupuły i wątpliwości?

Naraz, nie wiadomo skąd, jej umysł przeszła myśl i to dotycząca zupełnie czegoś innego.

– Kurwa mać! – powiedziała.

Cofnął rękę.

– Co się stało? – spytał.

Przez chwilę miała nadzieję, że się myli, ale jej umysł coraz wyraźniej i dobitniej przekonywał ją, że jednak to prawda.

– Pieniądze... – powiedziała.

– Jakie pieniądze?

– Te, które miałam – odparła. – Włożyłam je pod materac w tamtym domu. I zapomniałam zabrać po tym wszystkim.

Została teraz pewnie po nich już tylko kupka popiołu.

Nie zareagował od razu. Pewnie też miał nadzieję, że uda mu się jakoś zanegować ten oczywisty fakt, że właśnie zostali bez grosza przy duszy.

– Po co je tam włożyłaś, na miłość boską?! – spytał w końcu.

– Nie wiem. Żeby ich nikt nie ukradł. Nie wiem... – odparła płaczliwie.

– Szlag by to trafił! – rzucił w przednią szybę. Spojrzał na deskę rozdzielczą.

– Kończy nam się benzyna – powiedział ponuro. – Bak nie był przesadnie napełniony.

– A ty masz coś? – spytała z nadzieją.

– W gotówce? – Pokręcił głową. – Jakieś marne grosze. Gdybyś mi dała tego tysiąka, którego obiecałaś na początku, to

bym miał.

Faktycznie miała mu zapłacić tysiąc z góry, ale zupełnie o tym zapomniała, a on jej o tym nie przypomniał.

– Może zapłacimy kartą? – poddała pomysł. – Raz to chyba nie zaszkodzi?

– Raz może nie – wzruszył ramionami – ale potem będziemy musieli nią zapłacić kolejny raz i jeszcze kolejny. Będą wiedzieli, gdzie jesteśmy i w którą stronę jedziemy. Potrzebujemy gotówki.

– To co zrobimy?

Zastanowił się.

– Możemy zaryzykować i jednorazowo wypłacić z bankomatu maksymalną kwotę. Dowiedzą się, gdzie byliśmy, ale tylko ten jeden raz. Nie mamy chyba innego wyjścia – powiedział. – Z tym, że ja niewiele mam na koncie. Ta cała pandemia mocno przetrzepała jego stan.

– Ja chyba coś mam – odpowiedziała.

Nie była tego pewna. Finansami zajmował się jej menadżer. Wszystkie tantiemy i honoraria z występów spływały na jego firmowe konto. Przelewał jej coś, ale nigdy nie interesowała się, kiedy i co. Także i pod tym względem dała mu się całkowicie zdominować. Ważne było, że gdy chciała za coś zapłacić, nigdy nie było z tym problemu.

– Dobrze – powiedział. – Wjedziemy do najbliższego miasta i znajdziemy jakiś bankomat.

Jak się okazało, nie musieli nigdzie wjeżdżać. Znaleźli bankomat przy drodze, tuż obok dużego sklepu spożywczego. Należał do jednego ze spółdzielczych banków.

– Tu stanę – powiedział. – Nie chcę, żeby było widać nasz samochód w kamerze monitoringu.

Założyła czapkę z daszkiem i maseczkę. Wysiadła. Miała do przejścia kilkadziesiąt metrów. Parking zastawiony był autami

klientów. Niektórzy właśnie wypakowywali zakupy do bagażników. Szła między nimi na uginających się nogach, pewna, że wszyscy ją widzą i rozpoznają. Gdy jeden z mężczyzn sięgnął po telefon, ledwo powstrzymała się, by nie zacząć uciekać. W końcu jednak dotarła na miejsce.

Wyjęła kartę i włożyła ją do bankomatu. PIN, jaki jest PIN? Oczywiście, że go pamiętała, ale teraz jak na złość dostała jakiegoś zaćmienia umysłu. Gdy przejechał koło niej wózek z zakupami, skuliła się i wcisnęła głowę w ramiona, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Nigdy już więcej nie zabije człowieka i nie będzie ukrywać się przed policją, to zdecydowanie nie na jej nerwy.

W końcu przypomniała sobie odpowiednią kombinację cyfr i wystukała ją na klawiaturze. Bankomat zaczął przetwarzać informacje. Matko, ile to trwa... Czy w tych zapadłych miejscinach nawet bankomaty wolniej chodzą? W końcu mogła wpisać kwotę – maksymalnie dwa tysiące złotych, ale mogła to zrobić dwa razy z rzędu. Tyle powinno im na jakiś czas wystarczyć. Wcisnęła „akceptuj”.

Znowu to cholerne mielenie. Ktoś stanął za jej plecami, też chcąc wypłacić pieniądze. Miała ochotę walnąć w ten głupi ekran, żeby to wszystko przyspieszyć.

Wreszcie! Pojawił się komunikat. Przeczytała go i przez chwilę nie mogła uwierzyć. „Brak wystarczających środków na koncie”. Bankomat powoli wypluł jej kartę.

Wsunęła ją jeszcze raz i wpisała mniejszą kwotę. Znowu to samo. Niewiarygodne. Co się stało?! Nigdy nie miała z takimi rzeczami problemu. Spróbowała jeszcze raz. Tym razem tylko pięćset złotych. Czekwała z napięciem na wynik. Ktoś znowu podszedł. Obejrzała się. Stały za nią już dwie osoby.

– Wypłaca pani czy nie? Ludzie tu się spieszą. – Usłyszała za sobą męski głos.

– Chwileczkę! – warknęła. Była już naprawdę zdenerwowana. Znowu odmowa. Kurwa mać! Tym razem wpisała tylko trzysta złotych, tyle, żeby choć wystarczyło na benzynę i coś do jedzenia. Kolejna odmowa.

– Halo! Paniusiu! Nie mamy całego dnia! – Głos stłumiony maseczką wszedł na wyższe tony. – Jak ktoś nie ma pieniędzy na koncie, niech idzie do Providenta!

Zabrała kartę i zrezygnowana odeszła na bok. Za chwilę spróbuje jeszcze raz. Sto złotych, może chociaż tyle da się wypłacić.

Mężczyzna podszedł do bankomatu. Był gruby i miał zaczesane do tyłu, tłuste od niemycia włosy.

– Jak będę wychodził ze sklepu, pozwolę pani odprowadzić wózek – rzucił w jej stronę kpiącym głosem. – Dwa złote to zawsze coś...

Coś się w niej zagotowało. Nagle i do tego bardzo mocno. Bez ostrzeżenia.

Mężczyzna wstukał PIN i po chwili sięgnął po pieniądze. Trzysta złotych. Dokładnie tyle, ile chciała przed chwilą podjąć.

Zamachał jej banknotami przed nosem.

– A może chcesz zarobić więcej? – powiedział z oblesnym wyrazem twarzy, widocznym nawet mimo maseczki. – Taka ślicznotka jak ty nie powinna mieć problemów z pieniędzmi. Chętnie zapłacę...

Nie powinien był tego mówić. Za blisko było od tego, co wydarzyło się dziś rano. Od tamtych łap wędrujących po jej ciele i od tego śmierdzącego oddechu owiewającego jej mokre plecy.

– W porządku – powiedziała. – Gdzie masz samochód?

Zamrugał oczami. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Chciał sobie tylko pogadać. Poczuć przyjemny ucisk w kroku,

gdy zobaczy jej bezradność i przerażenie. Pomyśleć po raz kolejny, że wszystkie kobiety to kurwy i że jest od nich lepszy.

– Co jest? – spytała kpiąco. – Rura ci zmiękła? Już ci nie staje, staruszku? No chodź!

Wyjęła osłupiałemu dziadowi sto złotych z dłoni, odwróciła się i ruszyła przed siebie.

– To gdzie masz to swoje ferrari? – rzuciła za siebie.

Poszedł za nią. Ciekawe, co sobie wtedy pomyślał? Że to się dzieje naprawdę? Że mu się nagle trafiło? Że po raz pierwszy w życiu zrealizują się jego mokre fantazje?

– Tam – powiedział ściśniętym nagle i niepewnym głosem, pokazując prawą stronę parkingu. Minęli ich samochód. Zobaczyła zdziwiony wzrok swojego towarzysza podróży.

Podeszli do srebrnej skody ze ściętym tyłem. No tak, pomyślała. Wszystko się zgadza. Auto było idealnie dopasowane do tego typu.

– Otwórz – zakomenderowała.

Posłusznie otworzył drzwi.

– Co to za syf? – spytała, wskazując rzeczy leżące na tylnej kanapie. – Posprzątaj to.

Schylił się i włożył tułów do środka, chcąc spełnić jej polecenie. Wtedy z całej siły kopnęła w drzwi. Potem jeszcze raz i jeszcze. Gdy przewrócił się i osunął z jękiem na asfalt, dołożyła mu jeszcze kop między nogi. Wzięła pozostałe banknoty, które ciągle jeszcze trzymał w dłoni, i pobiegła do ich samochodu.

– Jedziemy! – krzyknęła, wskakując na tylną kanapę. – Mam pieniądze.

ROZDZIAŁ 48

Śmiała się jak wariatka, nawet nie zdjęła maseczki. Czuła się świetnie, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Wciąż trzymała trzysta złotych w ugiętej w łokciu ręce, jakby to było trofeum wojenne, skalp zdjęty z pokonanego wroga.

– Zapnij pasy – powiedział, wrzucając kierunkowskaz. Ich auto wyjechało z parkingu i włączyło się do ruchu.

– Walić to! – odpowiedziała wesoło. Miała ochotę opuścić szybę i krzyczeć do ludzi, których mijali.

– Samochód piszczy – zauważył. – Nie przestanie, dopóki tego nie zrobisz.

Dopiero teraz dotarł do jej świadomości monotony, powtarzający się sygnał dźwiękowy, wydobywający się z głośników.

OK, ten argument był w stanie ją przekonać. Sięgnęła za siebie i po chwili wpięła klamrę pasu w zatrzask. Nie zmniejszyło to jednak ani trochę jej dobrego samopoczucia.

– Patrz! – Wyciągnęła w jego stronę dłoń z banknotami i zamachała mu przed nosem. Czuła euforię, większą chyba nawet niż wtedy, gdy dostała swoje pierwsze honorarium za koncert.

– Widzę – odparł, zerkając z ukosa. – Nie na długo nam to starczy.

– Ale zatankujemy! – powiedziała. – To najważniejsze.

– A potem?

– Potem się zobaczy – odpowiedziała beztrąsko.

– Co się stało? – spytał.

– Karta nie działała. Nie wiem dlaczego. – Wciąż wpatrywała się z satysfakcją w trzymaną w rękę gotówkę. Po raz pierwszy w życiu coś ukradła. Tamten rulon zabrany z biurka w jej mieszkaniu się nie liczył, bo to były w zasadzie jej pieniądze. – Ale skroiłam jakiegoś frajera – dodała z dumą.

– Widziałem – skomentował. Raczej beznamiętnym tonem.

Trochę ją to ubodło. Mógłby okazać więcej entuzjazmu.

– Karta jest do twojego konta? – spytał po chwili.

– Tak – odparła. – Chyba.

– Chyba?

Kilka miesięcy temu podpisywała jakieś papiery, a potem dostała nową kartę. Chodziło podobno o jakieś kwestie podatkowe. Uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, co było w tej umowie.

– Nie wiem – odpowiedziała.

– Jeśli konto było w jakiś sposób związane z twoim byłym, bank mógł je zablokować po jego śmierci – powiedział. – Albo zrobiła to prokuratura. Chyba jest takie prawo. Nawet jeśli konto należy do ciebie

Wzruszyła ramionami.

– Jak widać, nie jest mi ono do niczego potrzebne. – Położyła pieniądze na półce nad schowkiem. – Jak będzie trzeba, zrobię to jeszcze raz.

– Chcesz napadać na ludzi? – Spojrzał na nią zdziwiony.

– A co, mam się zatrudnić na kasie w sklepie i poczekać na wypłatę? – spytała kpiącym głosem. – Jesteśmy mordercami – powiedziała. – Ja i ty. Ściga nas policja. To chyba już wszystko jedno, co nie?

Tym razem to ona położyła mu dłoń na kolanie. A potem przesunęła w górę, na udo. Coś się w niej odblokowało, tak.

Tam, na parkingu. Czuła się wolna. W jakiś straceńczy, niedbający o konsekwencje sposób. I było to bardzo przyjemne.

– Na razie musimy zatankować – powiedział. – Lepiej, żebyśmy nie stanęli gdzieś na środku drogi.

Zjechał na stację. Nosiła wdzięczną nazwę Stanpol i składała się z dwóch dystrybutorów i murowanego budynku wielkości dużej budy dla psa.

Weszła do środka, zostawiając swojego towarzysza przy samochodzie. Wewnątrz nie było automatu do kawy, ale na półkach stały gazowane napoje i leżały batony oraz chipsy. Wzięła butelkę coli, dwa snickersy i dwie paczki kukurydzianych chrupek o smaku sera. Położyła to wszystko na ladzie przed chudym mężczyzną o nieprzytomnych oczach i maseczce zsuniętej prawie na samą szyję. Nawet tu zamontowana była pleksiglasowa osłona oddzielająca sprzedawcę od wirusów tego świata.

– Plus paliwo z tamtego samochodu. – Wskazała głową za siebie.

Na półce za sprzedawcą stały alkohole. Tanie wino, piwo i wódka. Nic, czego cena przekraczałaby trzydzieści złotych.

– I pół litra cytrynowki – dodała.

Zgarnęła to, co kupiła, i ruszyła w stronę drzwi. Przez okno zobaczyła, że jej towarzysz siedzi już za kierownicą. Nagle dostrzegła kamerę monitoringu. Była nawet tu, na takiej głównianej stacji. Jej szklane oko skierowane było w stronę kasy.

Stanęła przed nią, wpatrując się w wypukły czarny obiektyw. Potem włożyła wódkę i colę pod pachę i uwolnioną dłonią ściągnęła maseczkę na brodę. A potem wyciągnęła w stronę kamery środkowy palec.

– Nazywam się Julia Gierszewska – powiedziała do tych, którzy to będą kiedyś oglądać. – Wczoraj zabiłam swojego menadżera. Należało mu się.

W dupie miała to, czy ten model zapisuje dźwięk, czy tylko sam obraz. Po prostu miała ochotę to powiedzieć.

ROZDZIAŁ 49

Wpatrywali się w ekran komputera, na którym odtwarzano zapis z kamery monitoringu przy bankomacie. Nie wrócili do Warszawy, urządzili sobie tymczasową kwaterę na komisariacie policji w pobliskim miasteczku.

– To ona? – spytała, patrząc na kobiecą postać w maseczce i czapce bejsbolówce z daszkiem nisko zsuniętym na oczy.

– Na to wygląda – odparł.

– A ten facet, z którym rozmawia?

– Znaleźliśmy go – odpowiedział policjant w mundurze. – Wypłacił pieniądze tuż po jej nieudanej próbie podjęcia swoich. Twierdzi, że dał jej sto złotych, bo go o to poprosiła.

– Odniosłam raczej wrażenie, jakby to ona mu je zabrała – zauważyła.

– Gość średnio współpracuje – odparł policjant. – Niezbyt chce mówić.

– Idą razem. Wiadomo, dokąd i po co?

– Do jego samochodu. Niestety, stał zaparkowany za toyotą land cruiser, więc nie bardzo widać, co się tam dzieje. Facet twierdzi, że nic.

– Poznał ją?

– Nie. Jak mu powiedzieliśmy, kim jest i co zrobiła, przestraszył się jeszcze bardziej i wtedy już w ogóle nie chciał rozmawiać.

– Dlaczego nie udało jej się podjąć pieniędzy? – spytała Nowaczyka.

– Bo nic nie było na koncie – odpowiedział. – Kozera miał do niego pełnomocnictwo i parę dni wcześniej wypłacił wszystko. Jego finanse były w bardzo kiepskim stanie. Miał długi, zalegał z płaceniem podatków ze swojej firmy.

– Szkoda – skomentowała. – Więcej już nie użyje tej karty. Nie będzie zostawiać śladów. A w każdym razie nie takie. A on, Ziemba, jest tu gdzieś?

– Gdzieś poza kadrem – odparł policjant. – Musiał czekać poza obszarem objętym polem widzenia kamer monitoringu. Nie ma go na żadnym nagraniu.

– Dobrze, dziękujemy panu. To na razie tyle – zwróciła się do niego, wypraszając go w ten sposób z jego własnego gabinetu. Wyszedł.

– Wiesz już coś o tym drugim Ziembie? – spytała Nowaczyka. Kiwnął głową.

– Właśnie dostałem potwierdzenie – powiedział.

– I kto to był? – spytała.

Popatrzył na nią.

– Jego ojciec – odpowiedział.

– Marka Ziembę?? – Można się było domyślić, że są ze sobą w jakiś sposób spokrewnieni, lecz ta informacja wstrząsnęła nią mimo wszystko. – Zabili jego ojca?!

Znowu kiwnął głową.

– Założyli z Gierszewską klub ojcobójców – rzucił ironicznie.

– Czekał – przypomniała coś sobie. – Ten prokurator mówił, że stary miał dwoje dzieci. Jedno z nich to Marek Ziemba. A drugie?

– Córnica. Mieszka w Kielcach.

– Musimy z nią porozmawiać – postanowiła.

* * *

Kobieta, która przywitała ich w drzwiach swojego mieszkania, nie sprawiała wrażenia specjalnie przygnębionej śmiercią własnego ojca. Seredyńska zastanawiała się nawet, czy ta informacja w ogóle do niej dotarła, lecz już pierwsze zdania ich wspólnej rozmowy przekonały ją, że nie będzie musiała odgrywać niewdzięcznej roli posłańca złej wiadomości. Po pierwsze dlatego, że kobieta już ją знаła, a po drugie dlatego, że wcale nie uważała jej za złą.

– Czyli wreszcie to zrobił... – skomentowała, gdy dowiedziała się o roli w tym wszystkim swojego brata.

– Pani brat mówił o tym wcześniej? – spytała Seredyńska.

– O, wielokrotnie! – odpowiedziała kobieta. – Już jako dziecko obiecywał, że go zabije.

– Dlaczego?

– Nienawidził go. Ja my wszyscy. Ale on najbardziej.

– Dlaczego najbardziej?

Kobieta zamilkła, potem spojrzała w okno.

– Kurwa mać – powiedziała. – Przepraszam. Udało mi się o tym zapomnieć, ale to wszystko teraz wróciło. Mogę się czegoś napić?

– Tak, oczywiście – odparła Seredyńska.

Po chwili kobieta wróciła ze szklanką przezroczystego płynu i raczej nie była to woda. Wypiła szybko spory łyk, a resztę odstawiła na szklany stolik między nimi.

– Przepraszam – powtórzyła.

– Proszę się nie przejmować, rozumiemy pani emocje. Niech się pani nie spieszy.

Kobieta miała niecałe czterdzieści lat i długie, falujące, piękne włosy w kolorze ciemnego złota opadające na ramiona.

Luźne ubrania, które nosiła, miały zapewne maskować nieco jej tuszę. Seredyńska pomyślała, że chętnie zabrałaby jej parę kilo. Jej spodnie w rozmiarze trzydzieści cztery ostatnio znowu zaczęły na niej wisieć. Niedługo będzie musiała ubierać się w Smyku.

– Dlaczego pani brat tak nienawidził waszego ojca? – powtórzyła pytanie.

– Z powodu matki – odparła kobieta. – Ojciec ją bił, a Marek próbował jej bronić. I sam oczywiście też obrywał.

– Panią też bił?

– Nie, mnie nie. – Pokręciła głową. – No, może czasami. Byłam tą dobrą, a Marek był tym złym. Wstyd powiedzieć, ale wygodnie mi było w tej roli. Miałam przynajmniej spokój. To, że mnie czasem obmacywał, też nie było specjalnie wygórowaną ceną.

– Molestował panią? – spytała Seredyńska.

– Był alkoholikiem – powiedziała, jakby to było zupełnie naturalne wyjaśnienie. – Wpadał w ciągi. Jak już pił, to w sumie nie było tak źle, bo zajmował się generalnie tylko tym. Najgorzej było tuż przed. Nosiło go wtedy, był nerwowy, wściekał się o byle co i wyzywał na matce. I na Marku. O wszystko miał wtedy do niego pretensje: że za słabo się uczy, że jest za delikatny, że jest maminsynkiem. Potem przechodził do naszej matki. Że to wszystko jej wina. Wiadomo było, że prędzej czy później jej przyłoży. Kiedy to się działo, schodziłam do piwnicy po alkohol. Zawsze tam był na wszelki wypadek. Szłam z tym do ojca, przymilałam się. Wiedziałam, że tylko ja jestem w stanie go powstrzymać. Roztkliwiał się wtedy, jaką ma cudowną córeczkę. Że tylko ja go kocham i rozumiem. Lepkie ręce mu się robiły, jak już się napił, ale jeszcze nie był całkiem pijany. Nic specjalnie drastycznego, po prostu kładł je niby przypadkiem nie do końca tam, gdzie powinien. Godziłam się na to, taka była

moja rola w tej rodzinie. Poświęcałam się, żeby mama i brat mogli odetchnąć. A gdy już wlał w siebie odpowiednio dużo, tracił mną zainteresowanie, złąził do piwnicy i pił tam tydzień albo dwa. A my mieliśmy wakacje.

ROZDZIAŁ 50

– Przykro mi – powiedziała Seredyńska. – Bardzo pani współczuję.

Kobieta machnęła ręką.

– Poradziłam sobie z tym – odparła. – Nie zawsze takie rzeczy wpływają na resztę naszego życia.

Jej puste oczy i w pewnym sensie też jej nadwaga mówiły jednak co innego.

Seredyńska uświadomiła sobie nagle, że wcale jej nie współczuje. Wręcz przeciwnie, odczuwa w stosunku do niej jakiś rodzaj instynktownej pogardy, jaki często odczuwamy wobec słabszych i nieszczęśliwych. Pomyślała, że ta pogarda jest zapewne mechanizmem obronnym, mającym uchronić nas przed świadomością, że cierpienie, na które patrzymy, nie jest wcale czymś, co nigdy nam się nie przytrafi, że czai się być może tuż za rogiem.

Odegnęła od siebie jednak te myśli. W tym momencie nie były jej do niczego potrzebne.

– Wróćmy do pani brata – spytała. – Kiedy zaczął mówić, że zabije pani ojca?

– Jeszcze jak był dzieckiem. Krzyczał: „Zabiję cię kiedyś, zobaczysz!”. Ojciec śmiał się wtedy i mówił: „Spróbuj już teraz, jeśli masz jaja”. I dawał mu nóż. Raz czy dwa Marek spróbował. A potem dostawał szczególnie mocno.

– A kiedy ostatni raz to powiedział?

– Na pogrzebie matki.

– Pani ojciec miał z jej śmiercią coś wspólnego?

– Nie bezpośrednio. Mama umarła na raka. Ale to życie w wiecznym stresie, w ciągłej zgryzocie, w braku szacunku do siebie na pewno się do tego przyczyniło. W organizmie odkładają się takie rzeczy. W pewnym momencie postanawia po prostu popełnić samobójstwo.

Seredyńska pokiwała głową. To raczej nie była teoria naukowa, ale brzmiała dość sensownie.

– Pani brat był mocno związany z matką? – spytała.

– Bardzo – potwierdziła kobieta. – Ale – zamilkła na chwilę, jakby szukała odpowiedniego sformułowania – to też nie był do końca zdrowy układ.

– W jakim sensie?

– Marek był dla matki jak gdyby zastępczym partnerem. Zwierzała mu się, szukała u niego obrony przed ojcem, wykorzystywała go czasem w rozgrywkach przeciwko niemu. Dziecko nie powinno być stawiane w takiej roli. Zamiast go chronić, sprawiała, że czuł się w obowiązku, by chronić ją. Więc gdy umarła, pomyślał pewnie, że to jego wina. Że nie dał rady jej obronić.

– Powiedział to pani?

– Nie, oczywiście że nie. – Pokręciła głową. – Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co się dzieje w naszej rodzinie, nigdy – podkreśliła. – Ten temat był zawsze absolutnym tabu.

– Wie pani, że pani brat był oskarżony o nękanie? Jego koleżanka z pracy złożyła na niego doniesienie do prokuratury w tej sprawie.

Kobieta po raz pierwszy spojrzała na Seredyńską z uwagą.

– Nie miałam pojęcia – powiedziała. – O co chodziło?

– Chciał za wszelką cenę zbliżyć się do kobiety, która nie miała na to ochoty. Osaczał ją swoim zainteresowaniem i chęcią

niesienia pomocy. Nie rozumiał i nie dostrzegał sygnałów odmowy.

Kobieta uśmiechnęła się ze smutnym zrozumieniem.

– Próbował odtworzyć swoją relację z matką – powiedziała. – Chciał znowu mieć kogoś, kogo będzie bronił i dla kogo będzie się poświęcał. Sporo o takich rzeczach czytałam, znam te mechanizmy.

– Słyszała pani o Julii Gierszewskiej? – spytała Seredyńska.

– Tej piosenkarce, która zabiła menadżera?

– Tak. Wszystko wskazuje, że pani brat jest teraz z nią.

Oczy kobiety rozszerzyły się ze zdumienia.

– Marek?? – spytała z niedowierzaniem. – Co on z nią robi?

– Pomaga jej w ucieczce. Być może jest też zamieszany w samo zabójstwo – wyjaśniła. – Czy pani brat wspominał coś o niej?

Kobieta była naprawdę zszokowana.

– Nie – odpowiedziała. – Nic takiego nie pamiętam. Ale wie pani, nie kontaktujemy się zbyt często. Ostatni raz widziałam go chyba właśnie na pogrzebie. To wszystko, co się stało... Nie jesteśmy w każdym razie ze sobą zbyt blisko. Staramy się żyć własnym życiem. Każdy kontakt budzi wspomnienia, rozumie pani...

– Rozumiem, oczywiście. Ale pani musi też zrozumieć, że pani brat jest w dużym niebezpieczeństwie. Jest podejrzewany o wiele poważnych przestępstw. Jednym z nich jest naruszenie nietykalności cielesnej funkcjonariusza. Tu nie chodzi tylko o ewentualny wyrok, ale też o to, co może się stać podczas następnej przypadkowej konfrontacji. Jeśli więc ma pani jakiegokolwiek informacje, które mogłyby pomóc nam go zatrzymać w bezpieczny dla niego sposób, proszę je teraz wyjawic.

Kobieta zamyśliła się na moment.

– Przykro mi, nic nie przychodzi mi do głowy – odparła. – Marek był zawsze bardzo skryty. Zresztą trudno się temu dziwić. Poza tym rodzice dość skutecznie skłócili nas ze sobą, próbując przeciągnąć na swoją stronę. Nie, naprawdę nic nie wiem...

Podkomisarz Nowaczyk milczał przez cały czas, przysłuchując się tylko ich rozmowie. W końcu jednak się odezwał:

– Pani brat wrócił do rodzinnego domu, w okolice, które dobrze zna. Może jest gdzieś w pobliżu inne miejsce, które zna i do którego mógłby pojechać?

Kobieta zastanowiła się.

– Chyba znam takie miejsce – powiedziała.

ROZDZIAŁ 51

Jechał przed siebie, a ona miała imprezę. Jadła chipsy i piła cytrynowkę. Nie za dużo, bez przesady, w końcu niedawno dopiero minęło południe. Jemu wystarczała cola.

– Nie za dużo pijesz? – spytał, spoglądając we wsteczne lusterko.

– Walić to – odpowiedziała. Jakoś wyjątkowo spodobało jej się to sformułowanie. – Walić to – powtórzyła. – To i wszystko inne.

Wyciągnęła się na tylnej kanapie, opierając plecy o drzwi z lewej strony, a stopy, z których zdjęła buty, o szybę w drzwiach po prawej. Droga zjeżdżała w dół prostą linią, a potem wspinała się równie prosto na następne wzniesienie. Z prawej strony rozciągał się widok na dolinę i dalekie wzgórza. Przypomniały jej się wszystkie amerykańskie filmy o drodze i ucieczce. Kto mógł przypuszczać, że kiedyś zagra w jednym z nich?

Przyłożyła butelkę do ust i pociągnęła następny łyk. Po raz kolejny odniosła wrażenie, że całe jej dotychczasowe życie zniknęło. W jej umyśle po tych zaledwie dwóch dniach wszystkie wspomnienia, jakie z niego miała, zrównały się pod względem intensywności i prawdopodobieństwa ze wspomnieniami wczorajszego snu lub właśnie filmu, który kiedyś widziała. Przyszłości również nie było, nie myślała o niej. Było tylko tu i teraz. Stan, do którego buddiesi dochodzą

w wyniku wielu lat ćwiczeń i medytacji. Żaden z nich jednak nigdy ani słowem nie wspomniał, że można go również osiągnąć, zabijając dwie osoby i przekreślając całe swoje dotychczasowe, jak i przyszłe życie.

Aż się zaśmiała na tę myśl. Jej towarzysz spojrział na nią ponownie w lusterku. Ciekawe, co o niej teraz myślał. Czy już zrozumiał, jak bardzo się wpakował, próbując jej pomóc? Miał ochotę uciec, wycofać się, pluć sobie w brodę, że spalił za sobą wszystkie mosty i nie ma wyjścia? Był na nią teraz skazany, podobnie jak ona na niego. A niedługo zapewne oboje zostaną skazani.

Znów się zaśmiała. Znakomity żart, naprawdę. Wisielczy humor to jest to.

– Nieźle się załatwiłeś, przyjmując ten kurs – powiedziała. – Nie żałujesz? – spytała zaczepnie.

– Nie – odparł.

– A właściwie to dlaczego? – Zainteresowała się.

– Mówiłem już.

– Tak, tak. Nadałam twojemu życiu sens. Wcześniej chciałeś się zabić, a teraz już nie chcesz. Bo masz mnie. Opiekujesz się mną i tak dalej – mówiła lekko przedrzeźniającym tonem. – Szczerze powiedziawszy, nie do końca to kupuję.

– Czemu? – spytał.

– Ryzykujesz spędzenie kilkunastu najbliższych lat w więzieniu. Co ja mówię? Nie ryzykujesz, masz to jak w banku! Chyba że wcześniej zastrzeli cię jakiś policjant, wkurzony, że wcześniej próbowałeś rozjechać jego koleżankę. I to wszystko z powodu laski, która przypadkiem wsiadła do twojej taksówki. Fakt, nie byle jakiej laski, jakoś tam znanej. Pół-, choć bardziej chyba ćwierćcelebrytki – perorowała kpiąco. – Naprawdę? To jest wystarczający powód?

– Tak – odparł spokojnie.

– Kurwa, weź mi to jakoś lepiej wytłumacz, bo nie jarzę. – Wypiła łyk cytrynowki. – I nie zbywaj mnie jakimś zdawkowym „tak”.

Milczał przez chwilę.

– Daj – powiedział, wyciągając w jej stronę rękę.

– Co mam ci dać? – spytała.

– Flaszkę mi daj, a co?

– Przecież prowadzisz – zdziwiła się.

– Boisz się mandatu? – spytał z ironią.

No cóż, miał rację. Prawa jazdy też mu już raczej nie odbiorą. Jak walić wszystko, to wszystko. Przepisy ruchu drogowego też. Włożyła w jego otwartą dłoń butelkę. Pociągnął naprawdę spory haust. Oddał.

– Więc? – zachęciła go.

Nie odpowiedział od razu. Jakby próbował ubrać swoje myśli w najodpowiedniejsze słowa. Czekala cierpliwie.

– Miałaś czasem wrażenie, że twoje życie jest kompletnie bez sensu? – zaczął wreszcie. – Że nic się w nim nie dzieje, nic istotnego. Że wszystko, co robisz, robisz niemal automatycznie, bez satysfakcji i zainteresowania, bez radości. Że to wszystko cię tak naprawdę nic nie obchodzi. Nic a nic. Praca, która cię nudzi, związki, które jeden po drugim okazują się kompletnymi pomyłkami, wolny czas wypełniony oglądaniem seriali, pić piwa, grami i waleniem konia przy filmach z internetu. Że tak będzie zawsze i zawsze i nic się nie zmieni. Pewnie nie – odpowiedział sam sobie – jesteś w końcu artystką, masz swoją pasję, ale ja tak właśnie się czułem. Cała moja dotychczasowa egzystencja była miałka, bezwartościowa i zbędna. Gdybym nagle umarł albo zginął w wypadku, świat i inni ludzie nie ponieśliby żadnej straty. Nikt by tego nawet nie zauważył. Byłem nieistotnym, pomijalnym elementem rzeczywistości. Bez znaczenia dla kogokolwiek. Dla siebie również. Teraz już się tak

nie czuję. Moje życie nabrało wagi i znaczenia. Coś się w nim dzieje. Coś, czego jestem sprawcą. Wyrównuję ze światem rachunki, poskrabiam go i powoduję, że jest mi posłuszny. Może nie na długo, raczej na pewno nie na długo, ale tego uczucia nie da się przecenić. Jestem wreszcie wolny, jestem wreszcie kimś, dla siebie i innych. Dla czegoś takiego warto zaryzykować. Chociaż nie, to źle powiedziane. Czegoś takiego nie da się oddać, gdy się tego raz doświadczyło. Nie da się wrócić do poprzedniego stanu nudy i beznadziei. Przynajmniej nie z własnej woli. A to wszystko przez ciebie i dzięki tobie. Dlatego cię kocham i dlatego będę z tobą do końca, cokolwiek by się wydarzyło.

Zamilkł, a ona nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Nie był wcale takim jełopem, za którego chyba podświadomie go dotąd miała. Wyciągnęła dłoń i w nagłym odruchu wsunęła mu palce we włosy na jego potylicy, a potem lekko je zmierzwiła. Była w tym jakaś niezamierzona przez nią czułość, która ją zdziwiła, ale i spodobała jej się. Poruszył głowę z przyjemnością.

– A nie przypadkiem dlatego, że dałam ci się przelecieć? – spytała żartobliwie.

Roześmiał się.

– Masz rację, dlatego – odpowiedział. – Rozgryzaś mnie.

ROZDZIAŁ 52

Wyszło słońce. W samochodzie zrobiło się w rozleniwiający sposób ciepło. Zakręciła butelkę i odstawiła ją na gumowy dywanik między siedzeniami. Na razie miała dosyć. Było jej w sam raz przyjemnie. Czuła się odprężona i uspokojona, ale nie nadmiernie rozochociona. Tuż za tą granicą zaczynało się już upijanie.

Pomyślała, że jest chyba szczęśliwa. Teraz, w tym momencie. A przynajmniej nie nieszczęśliwa. Zadziwiające. Nie pamiętała już czasów, gdy nie towarzyszyło jej gdzieś w głębi duszy, lub też całkiem na jej powierzchni, to gryzące uczucie tłumionej rozpacz. Było to jak cierń w mózgu, jak wrastający paznokieć w palcu u stopy, niezbyt może dokuczliwy i niedemolujący całkowicie codziennego życia, ale niedający o sobie zapomnieć.

A teraz tak nie było. Jakby przeszedł jej uporczywy, ćmiący, trwający od dawna ból głowy. Ostatni raz czuła tak się wtedy, przed tym wszystkim. Przed tym pierwszym wszystkim. W Zakopanem.

Pojechały tam z matką. Tylko z nią. Ojciec też miał jechać, ale w ostatniej chwili odwołał swój wyjazd. Był wtedy wiceministrem w rządzie, a tak się złożyło, że akurat wybuchł, i to dość nagle, polityczny kryzys, na którym miał nadzieję skorzystać. Na początku chciał, by również one nie jechały, ale zrobiła wówczas taką scenę, tak płakała, że nawet on się ugiął, mimo że nie miał w zwyczaju jej ani matce w czymkolwiek

ustępować. Zrobił tak chyba tylko dlatego, że był wtedy naprawdę mocno zaabsorbowany i nie miał czasu ani siły, by zastosować swój zwyczajowy koktajl przemocy fizycznej i emocjonalnej.

Spędziły więc prawie dwa tygodnie zupełnie same. W niewielkim pensjonacie niedaleko Krupówek. Chodziły na dalekie wędrowki do Doliny Strążyskiej i Chochołowskiej i do Morskiego Oka, weszły dwa razy na Giewont. Ale przede wszystkim bawiły się. Chodziły do kawiarni i do restauracji albo wylegiwały się w łóżku do południa. Matka pozwalała jej się malować, nawet uczyła ją, jak to robić. Kupiła jej modne dzinsy i bluzkę. Ona sama była wówczas podlotkiem, lecz umalowana i ubrana wyglądała już niemal jak kobieta. Poczowała wtedy na sobie pierwsze taksujące spojrzenia mężczyzn. I to nie tylko takich w jej wieku, ale starszych, prawdziwych. Spojrzenia może jeszcze nie bezpośrednio zainteresowane, ale dostrzegające i doceniające jej przyszły, rodzący się właśnie potencjał.

Podobało jej się to. Prostowała się pod tymi spojrzeniami. I to nie tylko w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale też i mentalnie. Jakby całe skumulowane napięcie mięśni jej nastoletniej duszy, wszystkie te zakwasy powstałe podczas kilkunastu lat toksycznego wychowania, zniknęły nagle rozmasowane ich gorejącymi spojrzeniami. Jej matka także odżyła. Śmiała się jak nigdy wcześniej. Jej oczy lśniły. Była rozluźniona i pełna energii. Nie знаła jej takiej, nigdy jej wcześniej takiej nie widziała. I to też jej się podobało.

Czuły się wtedy wolne. Po raz pierwszy i ostatni. Po raz pierwszy były też naprawdę razem. Piękne i oszałamiające uczucie. Tak piękne i oszałamiające, że nie mogło trwać zbyt długo.

Bo któregoś ranka on zadzwonił. Powiedział, że przyjeżdża po nie i że wrócą razem do Warszawy. Zostało im jeszcze kilka dni wykupionego pobytu, ale on chciał wracać już teraz. Potrzebował ich w domu. Pewnie po to, by mieć się na kim wyżywać.

Pamiętała ten dzień, tę godzinę i tę minutę. Jej matka odłożyła telefon na stolik. Jej twarz ściągnęła się, zgasła i stężała. Była z powrotem taka jak zawsze, jaką ją znała od najwcześniejszego dzieciństwa. Jakby wiosenne kwiaty ściął przymrozek. Tak właśnie wtedy pomyślała.

Ale to miało nastąpić dopiero następnego dnia. Jej matka uśmiechnęła się boleśnie i powiedziała, że ten dzień spędzą najlepiej, jak tylko się da. Ubrały się i umalowały. Poszły na śniadanie do restauracji. Tej najlepszej w Zakopanem. Jadły lody i ciastka, matka zamówiła szampana. Jej też pozwoliła się napić. Później wzięły taksówkę i pojechały do Kuźnic. Tam matka kupiła od konika bilety na kolejkę linową na Kasprowy Wierch, przepłacając trzy razy, by nie musieć stać godzinę do kasy. A potem wjechały na szczyt.

Planowały to od początku pobytu, lecz przecież zawsze miały jeszcze czas. Tego dnia czas się skończył. Na górze było ciepło pomimo prawie dwóch tysięcy metrów. Świeciło słońce, powietrze było czyste i przejrzyste, a widok na Wysokie Tatry zapierał dech w piersiach. Zeszły nieco ze szlaku i usiadły na kocu, który jej matka przyniosła w plecaku. Miała tam też również butelkę białego wina, czekoladę, oscypek, chleb i jeszcze kilka rzeczy do jedzenia kupionych wcześniej w delikatesach na Krupówkach.

Rozłożyła to wszystko przed nimi i otworzyła wino. Nalała jej tyle samo, co sobie. Siedziały tam długo, pewnie parę godzin, nie mówiąc nic do siebie, jedząc, pijąc wino i wpatrując się w rozciągającą się przed nimi niezmierną przestrzeń. Były

wtedy najwyżej na świecie, nie szkodzi, że gdzieś tam wznosiły się góry wyższe niż ta. Wszystko było zaś poniżej, daleko i wcale ich nie dotyczyło.

W końcu jednak musiały wracać. Zwinęły koc, zabrały resztki jedzenia i poszły w stronę stacji. Tam, czekając na ostatni kurs kolejki, stanęły przy barierce, za którą rozciągała się już przepaść. Jej matka spojrzała w dół, a ona zrozumiała, że miała ochotę skoczyć. Ona także wyjrzała za poręcz. Wyobraziała sobie swoje zwłoki, z połamanymi wszystkimi kośćmi, z powyginanymi pod dziwnymi kątami kończynami, z krwią ciekącą z uszu, ust i nosa, leżące jak szmata nieprzypominająca już człowieka wśród tych głazów na dole, i nie przeraziło jej to. Jej matka chwyciła ją za dłoń. Czuła, była pewna, że zaraz skoczą razem. Była na to gotowa, chciała tego. Dzielili ich od tego tylko sekundy. Lecz to się nigdy nie stało. Wagonik podjechał, matka puściła jej rękę, odwróciła się i wsiadły do gondoli. Następnego dnia zjawił się jej ojciec.

Jak się okazało, z jego planów nic nie wyszło. Myślał, że zostanie ministrem, bo ten, którego był zastępcą, utracił właśnie zaufanie wszechwładnego prezesa partii. Był jednak zbyt małą żabką w tym stawie pełnym krokodyli i nie miał na to najmniejszych szans. Gdy to zrozumiał, złożył dymisję, która nikogo specjalnie nie obeszła. Czuł się więc upokorzony i wściekły. Wściekły przede wszystkim na swoją głupotę i naiwność pozwalające mu już widzieć, jak odbiera nominację od prezydenta.

Wyżył się na nich. Jak zwykle. Po to były mu potrzebne, po to przyjechał. Mówił oczywiście, że teraz, kiedy ma więcej czasu, chce ten czas poświęcić rodzinie, że chce im wynagrodzić te wszystkie miesiące, gdy bywał w domu tylko gościem, ale one wiedziały przecież, o co chodzi. Dla nich te miesiące nie były wcale takie złe. Faktycznie późno wracał wtedy do domu, nawet

w weekendy bywał zajęty, nie miał więc głowy i pewnie sił, by zajmować się też nimi. Lecz co się odwlecze, to nie uciecze. Zdawały sobie sprawę, że przyjdzie im teraz zapłacić za tamten okres poluzowania cugli.

Ich powrót do Warszawy był jednym z najstraszniejszych przeżyć w jej całym dotychczasowym życiu. Nie odzywały się, starały się wręcz nie oddychać, widząc, że on czeka tylko na pretekst, by wyładować na nich całą swoją frustrację. Siedział z przodu, prowadził samochód i czuć było, jak to w nim narasta. Tym bardziej, im dłużej nie dawały mu powodu. Myślała wtedy, że może lepiej by było powiedzieć lub zrobić coś, żeby mógł wreszcie wypuścić tę parę spod pokrywki, zanim wszystko eksploduje, że byłoby to rozsądne, ale za bardzo bała się, by tak postąpić. Może gdyby znalazła wtedy dość odwagi, wszystko skończyłoby się inaczej. Ale nie znalazła.

ROZDZIAŁ 53

Gdy weszli wreszcie do swojego mieszkania, bomba tykała już tak głośno, aż rezonowały ściany. Ojciec bez słowa postawił ich walizki na środku przedpokoju i poszedł od razu do barku. Nalał sobie whisky – jedynego alkoholu, który pił, mimo że wcale go nie lubił. Tylko on jeden wydawał mu się jednak na tyle dystyngowany i elitarny, by móc odkazić nieco babrzącą się w jego duszy od dzieciństwa ranę – przeświadczenie, że tak naprawdę nic nie jest wart.

Całe jego zachowanie i wszystkie wybory, których dokonywał, wynikały z tego jednego, jątrzącego się źródła. Począwszy od kierunku studiów, na które poszedł, przez markę samochodów, którymi jeździł (zawsze to musiał być mercedes), po wiązanie się z coraz młodszymi partnerkami i pragnienie politycznej kariery – za wszystkim tym stał ten sam mały chłopiec, z powodu niskiego wzrostu i nadmiernej wagi wyśmiewany i lekceważony w szkole. Chłopiec przebity już na wieki zawiedzionym spojrzeniem swojego własnego ojca, dla którego był tylko niezdarnym tłuściochem nieumiejącym grać w piłkę i na którym każde ubranie wyglądało jak przebranie do kabaretowego skeczu.

Nic więc dziwnego, że ten mały chłopiec, po raz kolejny upokorzony i zlekceważony i to pomimo tylu lat pracy i starań, by ukryć przed światem i ludźmi to, że tak naprawdę jest nikim, poczuł się ostatecznie zdruzgotany. To jedno wydarzenie,

mające być w założeniu ukoronowaniem jego dążeń, by udowodnić sobie i innym swoją wartość, stało się definitywnym potwierdzeniem jego najgorszych podejrzeń na swój własny temat. Jego osobowość doświadczyła wtedy zdumiewającego kolapsu, zredukowała się do tamtego rozłoszczonego dzieciaka, reagującego na kolejne podstawienie nogi płaczem i wściekłością, mającego ochotę gryźć, kopać i pluć, a nawet zabić.

Alkohol zadziałał w pewnym sensie jak katalizator. Nie, ojciec się nie upił, to byłoby zbyt łatwe wytłumaczenie. Wlał w siebie tę szklaneczkę dwunastoletniej szkockiej whisky w nieuświadomionym może do końca, a jednak zupełnie jasnym celu – by wreszcie móc dać upust tym wszystkim myślom, które kłębiły mu się w głowie podczas ostatnich, upokarzających kilkudziesięciu godzin: że był idiotą, naiwniakiem, że to wszystko, co dotąd robił, było kompletnie bez sensu i że nie warto dłużej udawać rozsądnego, statecznego profesora prawa, skoro nikogo to nie obchodzi. Oraz tej najważniejszej: że skoro tak, to teraz im pokaże. I nie chodziło mu o jakiś rodzaj zemsty na ludziach, którzy tak ostentacyjnie go zlekceważyli, bo brakowało mu możliwości i odwagi. Chodziło raczej o bliżej nieokreśloną zemstę na świecie, który nie nagradza starań i dobrego zachowania.

Tak się jednak składało, że jedynymi przedstawicielkami tego niewdzięcznego świata w jego pobliżu były żona i córka. Tak było zawsze, nie było w tym niczego nowego, zwykle wszystko skrupiało się na nich, ale nigdy poziom jego frustracji nie osiągnął takiego poziomu. Kiedy więc odstawił pustą już szklanekę i odwrócił się, był już człowiekiem, w którym nie działały żadne hamulce. Był odbezpieczoną strzelbą, która bardzo chce, która musi wypalić, potrzebuje tylko odpowiedniego celu.

Ruszył więc na jego poszukiwanie. Jego żona i córka dobrze znając ten stan, choć nie przeczuwając, jak bardzo jest tym razem intensywny, starały się zachowywać, jak gdyby nie istniały. Córka zamknęła się w swoim pokoju i cicho, najciszej, jak się dało, rozpakowywała swoje rzeczy. Żona, nie mając gdzie się skryć, poszła do kuchni zająć się przygotowywaniem obiadu. Obieranie i krojenie warzyw zawsze ją uspokajało, było jej azylem i ucieczką, stanowiło też doskonałe alibi, do którego nie dało się przyczepić – bo gdzie w końcu jest miejsce dobrej żony, jak nie w kuchni przy obiedzie?

Być może to dlatego impet pierwszego ataku ją ominął i skupił się na córce. Może to te zamknięte drzwi do jej pokoju zadziały na ojca jak płachta na byka? Może potraktował je jako obrazę, kolejny dowód lekceważenia, tym razem ze strony najbliższej mu osoby? W każdym razie otworzył je i wszedł do środka.

Kłęczała nad otwartą walizką, z której większość rzeczy została już wyjęta i poukładana w szafkach jej młodzieżowego, pochodzącego jeszcze z czasów PRL-u segmentu. Na samym dnie zostały już tylko rzeczy, które umieściła tam właśnie po to, by nie dostrzegł ich, gdyby musiała ją przy nim otworzyć – modne džinsy i bluzka, które kupiły razem z matką w butiku przy Krupówkach. Teraz to jednak właśnie one leżały na wierzchu.

Zobaczył je od razu. Podszedł i podniósł do góry, by im się lepiej przyjrzeć. Dżinsy po chwili odrzucił, były w pewien sposób zwyczajne, choć bardzo mocno dopasowane, czego w tym momencie nie mógł przecież wiedzieć. Bluzka jednak to co innego. Rozłożył ją i wyciągnął przed siebie na wyprostowanych ramionach. Miała dość spory dekolt i krótkie rękawki. Z przodu obszyta była błyszczącymi cekinami. Była też krótka, widać było, że nie zasłania całkiem brzucha.

– Jesteś kurwą? – spytał. Nie odpowiedziała. – Tylko kurwy ubierają się w ten sposób.

Miał wreszcie swój powód do wybuchu. I to nawet lepszy, niż mógłby przypuszczać.

– Pytam więc jeszcze raz: jesteś kurwą? – powtórzył.

Była przerażona. Mimo wszystko nigdy nie zwracał się do niej w ten sposób. Do tej pory dręczył ją, jak się dręczy dziecko, jej rodząca się seksualność była dla niego niewidoczna.

– Nie, tato – odpowiedziała w końcu.

– A może jesteś? – Nie ustępował. – Jak twoja matka. Myślisz, że nie wiem, dlaczego ze mną jest? Dla moich pieniędzy. Gdy ją wziąłem, była biedna jak mysz kościelna. Ledwo starczało jej na utrzymanie w Warszawie. Może już wtedy dawała dupy za pieniądze? Ale znalazła sobie frajera i nie musiała tego robić. Przynajmniej nie tak często i nie z tyloma facetami. Na dobrą sprawę nie wiem nawet, czy jesteś moją córką.

Cały ten potok słów wypowiedzianych z zimną, celowo raniącą bezwzględnością spadł na nią niczym lawina kamieni. Zamarła, przestała niemal oddychać. Pragnęła zniknąć, rozpląnąć się w powietrzu, tak by ta lodowata wściekłość ominęła ją i wróciła tam, skąd przyszła.

On jednak nakręcał się coraz bardziej, upajał się swoim stanem, znajdował w nim przyjemność. Wtedy chyba właśnie coś w jego mózgu przeskoczyło. Ta myśl, płacząca się do tej pory gdzieś po obrzeżach jego świadomości, że skoro oni tak go traktują, to już naprawdę wszystko jedno, wybiła się na pierwszy plan, przesłaniając całą resztę i niespodziewanie zmieniła się w nieświadomioną może do końca, ale bardzo wyraźną decyzję. Jego ostatnie słowa, że nie wie nawet, czy jest jego córką, potraktował jako alibi i usprawiedliwienie. Oraz kolejny powód do sprawiedliwej zemsty.

– Skoro więc jesteś kurwą – powiedział, chwytając ją za ramię – może powinienem tak cię zacząć traktować?

Podniósł ją do góry i postawił na nogi. Spojrzał jej w oczy i zobaczył tam zupełnie kogoś innego niż do tej pory. Nie irytującą go, zbędną tak naprawdę w jego życiu dziewczynkę, którą musiał się zajmować, by zachowywać tak ważne dla niego dotąd pozory, ale wyzywającą, bezczelną, wykorzystującą jego dobroć i łatwowierność małą, zepsutą sukę, którą powinien ukarać i która mu się należała za to wszystko, co dla niej przez te lata robił.

Jego wzrok powędrował w dół, tam gdzie pod koszulką odznaczały się całkiem już wyraźnie piersi. Wyobraził je sobie, jak wychylają się bezwstydnie z dekoltu bluzki, którą ciągle trzymał w ręku. Jak omiatają je ukradkiem spojrzenia innych mężczyzn. Jak któryś z nich w końcu je dotyka.

– Załóż ją! – powiedział, rzucając jej bluzkę w twarz. – Chcę zobaczyć, jak wyglądałaś, gdy wystawiałaś swoje wdzięki na sprzedaż.

– Tato... – próbowała zaprotestować.

– Załóż! – powtórzył. – Innych się nie wstydziałaś, a mnie się wstydzisz?

ROZDZIAŁ 54

– Gdzie my w zasadzie jedziemy? – Otrząsnęła się z tych wspomnień. Słońce zaszło za chmury, a i dobry nastrój też jej minął.

– Jak to gdzie? Do Zakopanego. – Uśmiechnął się do niej w lusterku.

– Ale teraz? – Rozejrzała się po okolicy. Nie miała pojęcia, gdzie mogli być.

– Narobiliśmy trochę zamieszania – odpowiedział. – Najpierw pożar, potem ta akcja z bankomatem. Wiedzą, że gdzieś tu jesteście. Zrobią obławę, porozstawiają blokady. Musimy odjechać jak najdalej, a potem zaszyć się gdzieś na parę dni. Ruszymy znowu, jak nieco się uspokoi.

– Masz jakiś pomysł?

– Tak. – Kiwnął głową.

– Co to jest? – spytała.

– Zobaczysz.

Nie pytała więcej. Zresztą co to miało za znaczenie? Odpowiadało jej, że myśli i podejmuje decyzje za nią. Było to wygodne, tym bardziej że realizował w końcu jej plan. Plan, który coraz bardziej jej się precyzował, mimo że nie został jeszcze oficjalnie pomyślany.

Jechali więc dalej. Przejeżdżali przez niewielkie wsie na uboczach głównych szlaków; na skrzyżowaniach wąskich dróg z jeszcze węższymi wybierali niemal zawsze te drugie.

Wydawało się, że jej kierowca, Marek – po raz kolejny upomniała się, by tak o nim myśleć – doskonale zna te rejony. Mimo że, jak powiedział, pochodził z zupełnie innego rejonu Polski. Nie zastanawiała się jednak nad tym specjalnie. W ogóle nad niczym się nie zastanawiała. I było jej tak dobrze. Niech się dzieje, co ma się dziać. Na tym etapie wystarczało jej w zupełności patrzenie się przez boczną szybę na przesuwaną się za oknem samochodu pola.

W końcu gdzieś dojechali. Za zakrętem skręcającym pod kątem niemal dziewięćdziesięciu stopni w prawo tuż przed wielką ścianą z białych pustaków należącą do czegoś, co wyglądało jak opuszczone zakłady mięsne lub stara mleczarnia, szosa traciła swoją asfaltową nawierzchnię. Jeszcze kilkaset metrów, może kilometr przejechany po zwykłej, ubitej drodze gruntowej i dotarli do kępy drzew, która z bliska okazała się małym gospodarstwem otoczonym zewsząd polami i oddalonym dość sporo od innych zabudowań. Prowadził do niego krótki podjazd wysadzany z obu stron świerkami tak już rozrośniętymi, że niemożliwe było niemal przejechanie po nimi. Gdy to się jednak udało, ich oczom ukazała się przekrzywiona brama z siatki, wrosnięta w ziemię i na stałe już otwarta, oraz stary dom z czerwonej cegły przykryty spadzistym dachem z przerdzewiałej blachy, tak niewielki, że mogły się w nim mieścić najwyżej dwa pokoje.

– Przyjmą nas tu? – spytała.

– Już dawno nikt w tym domu nie mieszka – odpowiedział.

Objechali budynek dookoła i stanęli na niewielkim, prostokątnym podwórku, którego boki wyznaczały dom, długi budynek gospodarski, drewniana, rozwalająca się stodoła i płot, za którym widoczny był nieduży sad złożony z dawno już nieprzycinanych drzew owocowych. Jej towarzysz wysiadł, otworzył blaszane wrota budynku i wprowadził do jego środka

samochód. Teraz również ona wysiadła. Wewnątrz unosił się zapach starego smaru i stał traktor na sflaczałych oponach i z obudową silnika tak przeżartą rdzą, że można by ją było odrywać palcami.

Wyszli i zamknęli wrota. Na podwórku stały obrośnięte trawą maszyny rolnicze. Dostrzegła też budę dla psa z przerdzewiałym łańcuchem znikającym w jej wnętrzu. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w środku widzi bielejący szkielet biednego zwierzęcia.

Podeszli do domu. Jej towarzysz podniósł pustą doniczkę stojącą na parapecie okna od podwórza. Pod spodem był klucz. Taki, jaki widuje już się tylko w starych filmach. Wziął go i włożył do zamka w drzwiach. Z niejakim trudem, ale dało go się przekręcić.

Weszli do środka. Owionął ich stęchły zapach dawno niewietrzonego pomieszczenia. W sumie nawet nie aż taki nieprzyjemny. Wyczuwało się w nim woń jabłek, kurzu, starego drewna i ubrań. Zapach dymu i palonego drewna z kaflowej kuchni, którą zobaczyli tuż przed sobą. Wszystko to przytłumione, przemacerowane i w pewien sposób szlachetne.

Pomieszczenie, do którego weszli, było rodzajem sieni połączonej z kuchnią. Pod oknem stała stara wersalka, obok kwadratowy stół przykryty ceratą. Były też drzwi do następnego pokoju i drewniane schody na strych. Pomyślała, że niektóre kampery są większe.

– Zasady są takie – powiedział – nie palimy światła w pokoju od drogi, nawet w dzień. Nie chodzimy bez potrzeby po podwórku. Generalnie zachowujemy się, jakby nas tu w ogóle nie było.

– Jest tu w ogóle prąd? – zdziwiła się, słysząc chodzącą lodówkę.

– Jest. – Kiwnął głową. – Sieć jest podłączona na dziko – wyjaśnił – więc go nie odcięli, mimo że nikt za niego nie płaci.

– Dobrze znasz to miejsce – zauważyła. – Byłeś tu kiedyś?

– Przyjeżdżałem na wakacje. Mieszkała tu moja babcia. Umarła trzy lata temu.

– Mówiłeś, że jesteś spod Warszawy.

– Ze strony ojca. Matka jest stąd.

– I nie sprzedaliście tego? – zdziwiła się.

– Ziemię tak. Sześć hektarów. I tak już dawno nie opłacało się tego uprawiać. Domu z siedliskiem nikt nie chciał kupić. Po co komu taka rudera?

– Masz stąd dobre wspomnienia? – spytała.

Uśmiechnął się.

– Bardzo – odpowiedział. – Przyjeżdżaliśmy tu bez ojca.

Spojrzała na niego. Jakże dobrze wiedziała, o czym mówi.

– Mamy z sobą wiele wspólnego – powiedziała. – Szkoda, że my nie mieliśmy takiego miejsca.

– Za tym sadem jest rzeczka – powiedział, wskazując przez okno pokrzywione i rozrośnięte drzewa. – Płytką, najwyżej do kolan. Chodziliśmy tam się kąpać. Woda była zimna nawet w największy upał. I łowić raki. Ciekawe, czy jeszcze tam są?

Wyobraziła to sobie. Piaszczyste dno, spokojny nurt i długie liście roślin wodnych niczym zielone włosy rusalek.

– Zazdroszczę ci – powiedziała. – Ja nie mam takich wspomnień.

– Babcia trzymała kury – mówił dalej. – W tej szopie przy stodole był kurnik. Chodziły luzem po podwórku. Ale jastrząb zaczął je porywać. Więc wujek zrobił mi łuk z leszczyny i kazał ich pilnować. Siedziałem całymi godzinami na podwórku z tym łukiem strasznie przejęty i czekałem na jastrzębia. Ale nigdy nie przyleciał.

Nagle objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

– Chodź – powiedział. – W tamtym pokoju jest łóżko. –
Wskazał głową na drzwi. – Zróbmy to tym razem porządnie. To
w końcu nasze pierwsze mieszkanie.

Nie znalazła przeciwwskazań.

ROZDZIAŁ 55

– To tu? – spytała.

– Adres się zgadza – odpowiedział. – Ten, który podała jego siostra.

Siedzieli w samochodzie podkomisarza Nowaczyka w odpowiedniej odległości od obserwowanego budynku.

– Może pan zapalić – powiedziała, widząc jego nerwowe bębnienie palcami po kierownicy. – Tylko niech pan otworzy okno.

Wcisnął przycisk na drzwiach i opuścił szybę. Ona to samo zrobiła ze swojej strony. Owionęło ich świeże, wiejskie powietrze. Z lekką domieszką dalekiego smrodu fermy drobiu co prawda.

Po chwili dołączył do niego dym papierosowy. Zauważyła, że zaczyna niemal go lubić.

– Nie wygląda na to, żeby ktoś był w środku – stwierdziła.

– Jeśli tam są, na pewno wiedzą, że lepiej się nie afiszować – odpowiedział i zaciągnął się ponownie.

– A jeśli ich tam nie ma? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Jeśli ich tam nie ma, to po prostu nie ma – odparł.

– To co robimy? – spytała.

– Mamy dwa wyjścia, pani prokurator. Pierwsze: idziemy to sprawdzić. Sami. Ale jak pani widzi, budynek stoi w szczerym polu, dość łatwo więc z niego uciec. Jeśli nas zobaczą, dadzą

nogę i marne szanse, że ich dogonimy. Mogę oczywiście zacząć strzelać i tak dalej. Ale wie pani, jak to jest: nie tak łatwo jest trafić z pistoletu w ruchomy cel na otwartej przestrzeni z odległości większej niż pięćdziesiąt metrów. No i pytanie, czy o to nam chodzi. Żeby ich rozstrzelać.

– A drugie wyjście? – spytała.

– Drugie wyjście jest takie, że ściągamy posiłki, obstawiamy wszystko naokoło, żeby nawet mysz się nie prześlizgnęła, i wjeżdżamy na pełnej kurwie. Tylko że jeśli tam nikogo nie ma, będzie lekki obciach. Wybór należy do pani. Bo to pani jest tu szefową – podkreślił nie bez pewnej satysfakcji.

– Czasami mam ochotę pana walnąć, podkomisarzu – odparła.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Żona też mi to często mówi – powiedział. – I bywa, że nie udaje jej się powstrzymać.

– Jest pan ofiarą przemocy domowej? – spytała z ironią.

– Zaraz ofiarą... – Uśmiechnął się.

Spojrzała na daleki budynek. Otaczały go drzewa tak, że prawie nie było go widać. Ktoś, kto tam był, musiał mieć doskonały widok na okolicę, samemu pozostając dość dobrze ukrytym.

– Nie ryzykujemy – powiedziała. – Za wiele wysiłku nas kosztowało, żeby ich znaleźć. Taka okazja może się nie powtórzyć.

– Jeśli tam w ogóle są – nie omieszkał skomentować.

– Mam dziwne przeczucie, że są – odpowiedziała. – Niech pan ściągnie, kogo trzeba.

Zadzwoił, wydając odpowiednie dyspozycje. Szkoda, że nie mieli lornetki. Spróbowała wykorzystać w tym celu aparat telefonu komórkowego, patrząc przez niego i powiększając obraz, ale nie na wiele to się zdało. To, co widziała na ekranie,

było może i większe, ale za to rozmyte i niemożliwie latało na wszystkie strony. Pozostawało im tylko czekać, pilnując, by nikt się stamtąd w międzyczasie nie wydostał.

Nowaczyk zapalił kolejnego papierosa. Ona nie miała nawet i takiej rozrywki. Po raz pierwszy stała na czatach i po raz pierwszy zrozumiała, jak bardzo jest to nudne. Czuła się jak kotlarz w orkiestrze symfonicznej, czekający, aż w sto osiemdziesiątej trzeciej minucie utworu będzie mógł raz, za to mocno, walnąć w bęben.

Zachciało jej się spać. Było to bardzo nieprofesjonalne, ale nie potrafiła zwalczyć tego uczucia. Spojrzała na podkomisarza. Wpatrywał się przed siebie z czujną uwagą, bez najmniejszych oznak znużenia. Wyglądał jak pies myśliwski z nosem wyciągniętym w stronę zwierzyny. Był w swoim żywiole, do tego zdawał się właśnie stworzony. W razie czego na pewno ją obudzi, pomyślała. Uspokojona tą myślą, odpłynęła już zupełnie bez żadnych wyrzutów sumienia.

* * *

Obudziła się u jego boku. Nie wiedziała, czy już zmierzcha, czy to tylko drzewa rosnące za oknem zasłaniają tak światło. Ciekawe, ile spała? Godzinę? Dwie? Dziesięć minut? Nie miała zegarka, a telefon był przecież wyłączony.

Śniły jej się dziwne rzeczy. Była w swoim pokoju w mieszkaniu rodziców, który wyglądał tak, jak wtedy, gdy była nastolatką. Patrzyła przez okno i obserwowała trąbę powietrzną zmierzającą w jej stronę. Wir zbliżył się do okna, przeszedł jak gdyby nigdy nic przez szybę i ruszył przez jej pokój, nie czyniąc jednak jakichś strasznych spustoszeń. Obserwowała, jak porywa kartki i drobiny kurzu, jak wyciąga

spod mebli zapomniane, zagubione dawno przedmioty. Potem wytoczył się przez otwarte drzwi.

Chwilę później stała na polu. Ciągnęło się po horyzont i było tu, na tyłach tego domu. Przed nią stał jej ojciec zwrócony do niej twarzą. Schylał się raz po raz, podnosił grudy ziemi spod swoich stóp i ciskał w nią nimi z całych sił, a ona zastanawiała się, czy kiedyś uda mu się trafić.

Usiadła na łóżku. Spojrzała na leżącego obok mężczyznę. Oddychał spokojnie, odwrócony w stronę ściany. Przy jego ustach na sztywnej, białej poduszce widniała niewielka mokra plama od śliny. Pościel, ona sama i wszystko wokół pachniało pierzem, stęchlizną i kurzem. Bardzo romantyczne warunki na uprawianie miłości. Dobrze, że łóżko było przykryte kapą, którą przed wszystkim ściągnęli, bo zakichaliby się w trakcie seksu na śmierć.

Tak właśnie realizowały się jej największe marzenia, pomyślała z ironią. O miłości, o sławie i o ciekawym, pełnym przygód życiu. Miała to wszystko, nie mogła narzekać. Miłość, wątpliwą sławę i mnóstwo przygód. Nie do końca tak to sobie wyobrażała.

Znowu poczuła tę dziwną ochotę. By skończyć to tu i teraz. Podnieść drugą poduszkę, tę, na której leżała, i przycisnąć ją do głowy tego człowieka. Potem położyć się na niej ciężarem całego ciała, by nie mógł się podnieść ani oswobodzić. Wytrzymać tych kilka minut, gdy będzie walczyć i wierzgać, zaprzeć się nogami o ramę łóżka, chwycić rękoma za szczebelki u wezłowia, by zablokować mu możliwość ruchu i poczekać. Ciekawe, czy dałaby radę go utrzymać?

Bardzo kusząca była to wizja. I taka nieco od czapy. Dlaczego już po raz drugi miała ochotę to zrobić? Właśnie kochała się z tym człowiekiem i nie było to wcale takie najgorsze. Byli ze sobą w jakiś sposób związani, czuła, że coraz bardziej.

Może właśnie dlatego?

ROZDZIAŁ 56

Musiała pójść do toalety. Tylko gdzie ona mogła być? Miała nadzieję, że nie na zewnątrz. Wstała i ruszyła na poszukiwanie. Zamknęła za sobą drzwi do pokoju, by nie zbudzić śpiącego wciąż mężczyzny. Jakże inny był ten pełen troski gest od jej wcześniejszych myśli. Zanim to jednak zrobiła, jeszcze raz na niego spojrzała. Czy on jej się podobał, czy nie podobał? Nie potrafiła tego rozstrzygnąć. Trochę bez sensu było to pytanie w ich obecnej sytuacji. Byli jak dwoje rozbitków na tratwie ratunkowej albo ostatni ludzie na Ziemi – nie mieli specjalnego wyboru. Mogli się wtulić w siebie i spróbować przetrwać albo umrzeć oddzielnie.

W kuchnio-sieni też oczywiście niczego nie było, drzwi obok schodów okazały się prowadzić do czegoś w rodzaju składziku zawalonego najprzeróżniejszymi rzeczami. Na strych nie wchodziła, nikt normalny nie umieszczałby tam przecież łazienki. Czyli na zewnątrz. Wyjrzała przez okno na podwórze. Faktycznie obok budynku gospodarskiego po prawej stronie stał niewielki, przytulony do niego jedną ścianą, murowany wychodek z drewnianymi drzwiami z wyciętym w nich otworem w kształcie serduszka. Westchnęła. Wyobraziła sobie muchy latające w środku i szczypawki wychodzące ze szpar siedziska. Przez chwilę miała pomysł, by wysikać się do jednego z garnków, a potem wylać zawartość przez okno, ale uznała, że byłaby to jednak przesada. To tylko oldskulowa wersja toi toia,

pomyślała, da radę. Tym bardziej, że prawdopodobnie nikt jej od bardzo dawna już nie używał.

Wyszła na dwór. Jednak zmierzchało. Dzień był ładny, więc i wieczór był piękny. Długie cienie ustępowały właśnie miejsca szarości. W powietrzu unosił się alkoholowy zapach spadłych i gnijących na ziemi jabłek w sadzie. Pozazdrościła człowiekowi, który został w domu, że spędzał wakacje w tak urokliwym miejscu. Ona wyjeżdżała zawsze za granicę, знаła zachody słońca w Grecji i we Włoszech, lecz nigdy jeszcze nie widziała tej cichej, szumiącej wiatrem, złotej godziny.

Podeszła do drewnianych drzwiczek. Pełno w nich było szpar, zapewne dla lepszej wentylacji. Weszła do ciemnego środka. Na drewnianym postumencie nad otworem przymocowana była zwykła, plastikowa deska klozetowa. Wyjęła chusteczki, które zabrała ze sobą, i wytarła ją bardzo dokładnie. Potem zrobiła to, co miała zrobić. Nie było aż tak źle. Miało to wszystko nawet swój urok. Choć ten wietrzyk podwiewający ją od dołu w czasie mroźnej zimy mógłby już nie być tak przyjemny.

Nagle coś usłyszała. Coś, co dochodziło jakby spod niej, niczym odgłosy piekła z czeluści między jej udami. Wstała i wsłuchiwała się w te dźwięki. Rzeczywiście wydobywały się z otworu nad kloacznym dołem. Były to jakby głosy, ale niewyraźne i stłumione. Ludzkie głosy.

Przez chwilę pomyślała, że ulega złudzeniu. Że to może tylko wiatr gdzieś tak szumi, a ona rozpoznaje w nim głoski, słowa i rytm zdań, na tej samej zasadzie, na jakiej widzimy czasem kształty zwierząt w chmurach. Ale nie. Tam naprawdę ktoś był. Nie tuż pod nią, w tym starym dole z odchodami, bo wtedy słyhać by go było znacznie wyraźniej, ale gdzieś dalej, a komora kloaki przewodziła tylko te dźwięki i wzmacniała je niczym pudło rezonansowe.

Spróbowała rozpoznać, o czym ci ludzie mówią, ale nie było to możliwe. Jednego była pewna: głosy były męskie i posługiwały się krótkimi, wypowiedzianymi ściszym, ale stanowczym tonem zdaniami. Jakby ktoś komuś wydawał polecenia.

Zmartwiała. Zamarła z głową nachyloną nad tym infernem. Głosy z piekła rozmawiały o nich, była tego pewna. Namawiały się, spiskowały i knuły, jakby tu dostać ich w swoje rozczapierzone szpony. Policja. Znaleźli ich.

Wyprostowała się. Serce jej przyspieszyło, razem z nim oddech. Przed oczami, na tle ciemności, zaczęły latać czerwone plamy. Spróbowała się uspokoić. Nie mogła teraz ulec panice. Musi myśleć. Co robić? Czy jest w ogóle jakiegokolwiek wyjście z tej sytuacji?

Odwróciła się i wyszła na zewnątrz. Zaczęła iść spokojnie w stronę domu. Jakby niczego nie widziała, jakby wracała po prostu z ubikacji. Nogi jej się plątały, miała wrażenie, że zaraz się przewróci. Ze wszystkich sił starała się nie rozglądać na boki, a jednak próbowała coś wypatrzyć. Czy są wszędzie? Naokoło? Otoczyli ich? A może byli tylko tam, zbliżali się od tej jednej strony?

Niczego jednak nie dostrzegła. Szarówka postępowała bardzo szybko. Jeszcze nie było ciemno, ale wszystko rozmywało się już i zatracalo swoje kształty. Próbowała wypatrzyć na drodze biegnącej za domem jakieś światła samochodów, jakieś kształty, cokolwiek. Daleko, gdzieś tam, coś jechało, ale to było hen, hen, aż na skraju horyzontu.

Dotarła wreszcie do drzwi domu. Największym wysiłkiem woli powstrzymała się, by nie przebiec tych ostatnich paru metrów. Jeśli ją jednak obserwowali, nie mogli się zorientować, że o tym wie. Weszła do środka.

* * *

– Długo jeszcze? – spytała.

– Musimy poczekać, aż bardziej się ściemni – odpowiedział.

– Jeszcze bardziej?! – Czekala już wystarczająco długo, jeszcze chwila, a wyrwie mu pistolet z kabury i sama tam pójdzie.

– Spokojnie – odparł. – Już niedługo. Najwyżej pół godziny. Nie chcemy chyba, żeby nas zobaczyli, prawda?

– Przecież są otoczeni – odpowiedziała coraz bardziej zirytowana. To jego protekcyjnalno-infantylne „nie chcemy chyba” tylko to spotęgowało. – Podobno – dodała zjadliwie.

– Zróbmy to po prostu porządnie – perswadował cicho. – Czekaliśmy tak długo, poczekamy jeszcze chwilę.

Oczywiście miał rację, klóciła się z nim tylko dlatego, że nie mogła wytrzymać napięcia.

– Niech będzie – zgodziła się w końcu. – Ale jak już się zacznie, idę tam.

– Dowódca nie powinien brać udziału w bitwie – powiedział.

– Powinien ją obserwować ze wzgórza.

– Gównu mnie to obchodzi – odparła. – Idę tam i już.

Chyba zrozumiał, że nie ma sensu jej od tego odwodzić, bo nic nie odpowiedział.

Spojrzała po raz tysięczny na ekran komórki. Dlaczego czas płynie najwolniej wtedy, kiedy najbardziej chcemy go pośpieszyć? Na niebie pojawiły się już pierwsze świecące kropki. Ogromny księżyc wychynął zza ciemnej krawędzi wzgórza, wielki i majestatyczny niczym Gwiazda Śmierci z *Gwiazdnych wojen*.

Usłyszała, jak bębni palcami po kierownicy. Czyli on też się denerwował. Szyba od jego strony była odsunięta, by mogli

w razie czego usłyszeć, gdyby coś działo. Powietrze, które wpadało przez to do środka samochodu, było coraz chłodniejsze. Gdy wyjeżdżała z Warszawy, nie przypuszczała, że przyjdzie jej spędzać w ten sposób jesienny wieczór, więc nie ubrała się przesadnie ciepło. Zatrzęsa się z zimna. Poczula, że dłonie i stopy ma już całkiem lodowate. Miała nadzieję, że katar nie będzie jedyną rzeczą, którą dzisiaj złapią.

Odezwało się policyjne radio. Podkomisarz wymienił przez nie kilka zdań, po czym przekazał jej to, co już i tak usłyszała:

– Jest tam – powiedział. – Nasi obserwatorzy twierdzą, że to ona. Wyszła przed chwilą na podwórko.

Spojrzeli na siebie. A więc nie pomylili się. Uśmiechnął się samymi kącikami ust i skinął lekko głową.

– Miała pani rację, pani prokurator – stwierdził. – Nie będzie wtopy.

Poczula, jak niepokój oczekiwania i obawa przed porażką zmieniają się w jej żyłach w euforię, jak rozchodzi się ona po wszystkich zakątkach jej ciała. Tak, dorwała ich. Dała radę to zrobić. Jest zajebista.

– Zaczynamy – powiedziała. – Nie ma już na co czekać.

ROZDZIAŁ 57

Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Serce waliło jej, jakby chciało wyrąbać sobie dodatkową przestrzeń w klatce piersiowej. Odwróciła się i przekręciła klucz. Potem zaciągnęła staroświecką zasuwę. Jakby te dwie mizerne przeszkody mogły zatrzymać choć na chwilę antyterrorystów z taranem. A tacy zapewne już tam gdzieś się czaili, czekając tylko na sygnał.

Opanowała się jednak. Spokojnym krokiem przeszła przez kuchnię, wiedząc, że okno jest odsłonięte i że zapewne doskonale widać przez nie, co robi. Podeszła do drzwi do pokoju i weszła do środka.

Nie musiała go budzić.

– Nie zapalaj światła – powiedział. Stał przy oknie, odchylając lekko firankę i spoglądając na zewnątrz.

Podeszła do niego.

– Widzisz coś? – spytała.

– Samochód – odpowiedział. – Na skraju wsi. Nikt z miejscowych nie zaparkowałby w takim miejscu, każdy ma tu podwórko.

– Jest ktoś w środku?

– Nie wiem – odparł. – Za daleko.

Wciągnęła powietrze do płuc.

– Słyszałam coś – powiedziała.

– Co? – Spojrzał na nią.

– Głosy. Dwóch mężczyzn. Jakby się na coś namawiali.

– Gdzie? – spytała.

– Za tym budynkiem z cegieł.

Odwrócił głowę z powrotem w stronę okna.

– Myślisz, że nas znaleźli? – spytała.

– Prawdopodobnie – odparł. Dość, jak zauważyła, spokojnie.

Poczuła nagle straszliwą ochotę, by wtulić się w niego, objąć go ramionami od tyłu i wessać w siebie ten jego spokój, choćby był tylko pozorny. A potem pomyślała, że gdyby go teraz zabiła, mogłaby zeznać, że ją porwał, i zrzucić na niego wszystko, co się do tej pory wydarzyło.

Nie dał jej jednak szansy na zrobienie żadnej z tych rzeczy.

– Musimy się zmywać – powiedział. – I to natychmiast.

– Jak? – spytała. – Jeśli to policja, są pewnie wszędzie.

– Albo i nie – odparł. – Żaden komisariat nie ma tyle sił, żeby otoczyć taki teren szczelnym kordonem. Obstawili pewnie strategiczne miejsca i czekają na odpowiedni moment, żeby wejść. Jeśli ich ubiegniemy, damy radę się wyślizgnąć. I jeśli będziemy mieli szczęście.

Odwrócił się do niej. Rysy jego twarzy były napięte od myślenia. Nie było w nich jednak strachu ani paniki. Wręcz wydawało się, że lekko się uśmiecha.

– Samochód? – spytała. Oczywiście wyobraźni już widziała, jak rozbijają policyjne zapory i uciekają przed pościgiem. Ich zdezelowane renault nieco jednak nie pasowało do tej wizji.

– Zapomnij – powiedział. – Drogi na pewno zablokowali. Nie przejechalibyśmy nawet przez wieś.

– To jak chcesz to zrobić?

– Byłaś kiedyś na spływie kajakowym? – spytał.

– Dawno temu – odpowiedziała. – Co to ma do rzeczy? – zdziwiła się.

* * *

Wydał polecenia przez radio. Wyszli z samochodu. Adrenalina sprawiła, że zapomniała natychmiast o zimnie.

– Za pięć minut się zacznie – powiedział. – Na pewno nie chce pani zostać w aucie? Może być groźnie.

– Bo co? Bo rzucają w nas kamieniem? – spytała. – Prawdopodobieństwo posiadania broni palnej przez przestępcę przy tego typu sprawach jest minimalne – powiedziała. – To nie Ameryka. – On też na pewno znał te statystyki. Użył więc tego argumentu, by nie plątała im się pod nogami. Albo dlatego, że była kobietą i w głębi swojej policyjnej, seksistowskiej duszy uważał, że takie akcje są nie dla niej.

Wzruszył ramionami.

– Nigdy nie wiadomo, co się może stać – odpowiedział. – Dużo ludzi, policja z bronią krótką i długą, ciemno... Po prostu uważam, że lepiej się niepotrzebnie nie narażać.

– To może pan też niech nie idzie, skoro jest tak niebezpiecznie – rzuciła z ironią i ruszyła przed siebie. Poszedł za nią.

Nie mogli iść po asfaltowej szosie, bo oświetlały ją, przynajmniej tuż za wsią, elektryczne latarnie. Ich słabe światło było tylko nieco mocniejsze od blasku księżyca, jednak wystarczające, by mógł ich dostrzec każdy, kto tylko by spojrzał w tym kierunku. Skręcili więc w stronę mrocznej, otaczającej wieś zewsząd przestrzeni.

Teraz było już całkowicie ciemno. Gdy tylko wyszli z zasięgu światła zabudowań, otuliła ich wilgotna i chłodna noc. Spojrzała w niebo. Dawno już nie widziała tylu gwiazd. Potknęła się, co jej przypomniało, że gdy się idzie po ciemku przez pole, lepiej jednak patrzeć pod nogi. Ich sylwetki rzucały

długie, ostre cienie otoczone srebrzystym, księżycowym światłem. Pomyślała, że przez to światło i te cienie są teraz bardziej widoczni, niż gdyby szli tędy w dzień.

– Cholerna pełnia! – Podkomisarz Nowaczyk miał zdaje się podobne przemyślenia. – Mam nadzieję, że naprawdę nie mają broni. Mogliby nas tu wystrzelać jak kaczki.

We wsi za ich plecami rozszczękał się pies. Po chwili dołączył do niego następny i jeszcze jeden. Budynek, w kierunku którego szli, spowijał gęsty mrok spływający z rosnących wkoło niego drzew. Na tle posrebrzonych księżycowym światłem pól wyglądał jak czarna dziura pośrodku nastrojowego obrazu. Tam właśnie zmierzali.

ROZDZIAŁ 58

– Co to ma do rzeczy? – powtórzyła. Czyżby chciał uciec kajakiem? Może był tu jakiś? Mówił przecież coś o jakiejś rzeczce.

– Pamiętasz, jak zabezpieczało się rzeczy przed zamoknięciem? – spytał. – Weź worek na śmieci. Powinny być pod zlewem w kuchni. Zapakuj do środka tylko najpotrzebniejsze rzeczy z walizki. Potem mocno go zawiąż i włóż do drugiego worka. Też go zawiąż. Na siebie załóż tylko czarne ubrania. Ale wcześniej zaciągnij zasłony w oknie.

Zrobiła to, co kazał. Czarny worek na śmieci zapakowany bielizną i kosmetykami. On zrobił to samo ze swoimi rzeczami. Potem przebrała się w odłożone czarne ciuchy – spodnie, bluzę i buty. Nie było to trudne, bo zawsze większość rzeczy miała czarne. Gdy odwróciła się już gotowa, zobaczyła, że mężczyzna klęczy przy otwartych żeliwnych drzwiczkach do kaflowej kuchni. Włożył do środka rękę, pogmerał trochę we wnętrzu i po chwili ją wyciągnął. Była cała czarna.

Odwrócił ku niej twarz, pokazując dłoń z rozczapierzonymi palcami.

– Zabawimy się w ninja – powiedział z szerokim uśmiechem. W jego oczach igrały wesołe błyski. Po raz kolejny odniosła wrażenie, że świetnie się bawi. Jej nie było wcale do śmiechu. Szczerze mówiąc, była przerażona. I nie mogła się zdecydować,

czy ta jego dezynwoltura uspokaja ją, czy wręcz przeciwnie – przeraża jeszcze bardziej.

Wstał, podszedł do niej i wymazał jej twarz tłustą, zleżalą sadzą. Pachniała węglem, kwaśną wilgocią i stęchlizną. Po chwili to samo powtórzył u siebie. Na włosy nałożył ciemną, włóczkową czapkę. Patrzyły na nią teraz tylko jego rozbawione, odcinające się od poczernionej twarzy oczy. Pomyślała, że wygląda jak diabeł.

* * *

Zobaczyła po swojej lewej i prawej stronie przykurczone, jakby ciężące ku ziemi sylwetki. Doskonale widoczne w świetle księżyca. W ich ruchach, przygiętych nogach i pochylonych głowach wyczuwało się napięcie. Wyciągnięte w stronę domu długie przedmioty – zapewne broń – wyglądały jak wężące nosy jakichś demonicznych stworzeń. Jakby w kierunku czarnej, gęstej od mroku dziury na środku srebrzystego pola zbliżała się w ciszy armia potworów.

Zadrzała. Z zimna lub z napięcia, a zapewne z obu tych rzeczy naraz. Żołądek ścisnął jej strach pomieszany z podnieceniem. Zrozumiała, jak niewiele jedno różni się od drugiego, jak płynna jest między nimi granica. Miała ochotę wrócić do bezpiecznego samochodu, a jednocześnie za nic by tego nie zrobiła. Czowała się jak myśliwy podchodzący niebezpieczną zwierzynę. Upajające, przerażające, ekstatyczne uczucie.

Nagle jedna z sylwetek po jej prawej stronie uniosła w górę rękę. Wszyscy się zatrzymali i przypadli do ziemi. Zrobiła to samo, czując, jak brudzi sobie dłoń i kolano wilgotną ziemią. Wkoło unosiła się zgniła, zbutwiała, przenikająca chłodem woń

jesieni. Po raz pierwszy w tym roku ją poczuła. Ten pierwotny, przesiąknięty śmiercią zapach wydawał się wyjątkowo dobrze dopasowany do okoliczności.

* * *

Odciągnął zasłony. Wnętrze kuchni oświetlał teraz tylko poblask księżyca. Odsunął na bok leżący na podłodze, przeżarty kurzem chodnik. Coś pod nim było. Nachylił się. Usłyszała cichy szcęk żelaza.

Zobaczyła, że trzyma w ręku coś jakby kółko. Pociągnął za nie. Zgrzytnęło znowu. Potem uniósł się kawałek podłogi.

– Piwnica – wyjaśnił przyciszonym głosem. – Kiedyś były tylko takie.

Podniósł i otworzył całkowicie klapę. Potem ostrożnie, po ciemku zaczął schodzić w dół. Ruszyła niepewnie za nim. Czuła się, jakby schodziła do grobu. Czarne i wilgotne, lecz o zadziwiająco przyjemnym zapachu. Gdy zeszli poniżej poziomu podłogi, ciemność stała się już całkowita. Miała wrażenie, jakby wlewała jej się przez oczy do mózgu.

Wtedy zapalił latarkę. Niewielką, wyglądającą jak nieco grubszy długopis. W jej świetle zobaczyła, jak wygląda ta otchłań, do której zstąpili. Jeśli wyobrażała sobie normalną piwnicę, jakie znała z innych domów, była w sporym błędzie. Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było w zasadzie dziurą w ziemi, oszalowaną z boków nieheblowanymi deskami, do których przyklejone były proste, drewniane półki. Stały na nich rzędy słoików. Ich mętna, czasami pokryta białą pleśnią zawartość ledwo była widoczna zza kożucha z kurzu i wszechobecnych pajęczyn.

Ruszyli dalej, w ciemność rozsuwającą się i rozstępującą przed trzymanym w wyciągniętej ręce minitaranem ze światła. Półki ze słoikami zadawały się nachodzić na nich, jakby chciały ich zgnieść i przysypać. Spostrzegła, że jej towarzysz schyla się, zrobiła więc machinalnie to samo. Półki i słoiki skończyły się, a oni znaleźli się w jeszcze mniejszej jamie, której dno pokrywały wyschnięte, pomarszczone i porośnięte białymi, monstrualnie długimi kielkami ziemniaki. Poczła tu jednak świeże powietrze. Zmieszane z zapachem ziemi i kurzu, ale dochodzące niewątpliwie gdzieś z zewnątrz.

Światelko nagle zgasło. Znowu załała ich ta nieprzenikniona, kłująca w oczy ciemność. Po chwili jednak, gdy jej wzrok przyzwyczał się nieco, spostrzegła, że nie jest ona całkowita. Z przodu była w niej jakby nieco jaśniejsza plama.

– Chwyć się mnie za ubranie. – Usłyszała. Wyciągnęła rękę i wypełniła to polecenie. Jasną plamę coś przysłoniło – plecy stojącego przed nią mężczyzny. Znowu otoczył ją mrok. Poczła szarpnięcie. Poła kurtki, którą trzymała, niemal wyrwała jej się z dłoni. Poszła więc dalej, ciągnięta do przodu przez własną rękę, ślepa niczym kret w swym podziemnym tunelu, ostrożnie stawiając stopy na pękających pod jej butami bulwach.

ROZDZIAŁ 59

Uniesiona ręka opadła, wstali więc i ruszyli dalej. Jej pantofle, wygodne, gdy przemierzała w nich korytarze prokuratury, okazały się ekstremalnie nieprzystosowane do chodzenia po zaoranym po żniwach polu. Nogi nieprzyjemnie wykręcały jej się w kostkach, grudki ziemi wpadały do środka, obcas – nieprzesadnie przecież wysokie, na miejskie standardy wręcz niezauważalne – grzęzły w wilgotnej ziemi. Raz czy dwa musiała się oprzeć o podkomisarza Nowaczyka, by się nie przewrócić. Budynek, w kierunku którego zmierzali, otaczała metafizyczna niemal ciemność. Co jakiś czas wydawało jej się co prawda, że dostrzega za czarnymi, przysłoniętymi pniami drzew oknami jakieś błyski, refleksy świetlne, niczym mikrowyładowania elektryczne przebiegające między chmurami w burzowy dzień, ale nie była pewna, czy widzi je naprawdę, czy to tylko blask księżyca pokrywający wszystko fosforyzującą mgiełką płata jej oczom takie figle.

Dotarli wreszcie pod płot z siatki, za którym rosły drzewa i wznosił się budynek. Dłoń Nowaczyka zatrzymała ją w miejscu. On też stanął. Zobaczyła, jak sięga do paska na biodrze i wyciąga stamtąd czarny przedmiot. Wstrząsnęło nią to jakoś, do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że podkomisarz cały czas nosił przy sobie broń, choć przecież nie było w tym nic dziwnego i mogła się tego domyślić. Dopiero to jednak uświadomiło jej powagę sytuacji. Nie to, że wkoło niej stali

mężczyźni z wycelowanymi w stronę domu karabinami, ale to właśnie, że ten człowiek obok, którego znała już dość dobrze i z którym spędziła dwa ostatnie dni, wyciągnął i przeładował pistolet.

Poczuła nagły strach spotęgowany jeszcze przez ciemność, tę trupią poświatę dookoła i adrenalinę, która już przetaczała się przez jej żyły. Żałowała teraz, że nie została w samochodzie. Nie chciała dalej iść. Jej własne słowa, że prawdopodobieństwo użycia broni przez przestępców w tego typu sprawach jest minimalne, wydały jej się głupie, naiwne i nieodpowiedzialne. A co, jeśli statystyki się mylą? Albo nawet nie mylą, co jeśli po prostu właśnie trafili na ten jeden najmniej prawdopodobny przypadek? I jeśli zaraz z tej czerni przed nią wyleci pocisk, który nieodwracalnie zniszczy jej nową bluzkę z Zary, rozerwie nieco już znoszony biustonosz push-up marki Victoria's Secret, by na końcu przebić na wylot jej całkiem jeszcze dobre, mało dotąd używane serce?

Na szczęście nie poszli dalej. Dostrzegła, że postaci po ich obu stronach porozumiewają się za pomocą gestów i ruchów rąk, po czym ruszają do przodu. Oni zostali na miejscu.

* * *

Usłyszała zgrzyt, który skojarzył jej się z przesuwaniem przerdzewiałej blachy. Do środka znowu wpadło nieco bladego, niemal niezauważalnego światła. Odwrócił się do niej. Poznała to po białkach oczu.

– Wyjdziemy teraz na zewnątrz – wyszeptał na granicy słyszalności. – Idź za mną i rób to co ja. Nic nie mów i staraj się być jak najciszej. Za domem jest kanał. Idzie przez sad w stronę rzeki. Spróbujemy do niego wejść.

Białka oczu zniknęły. Po chwili zgasły nawet te resztki bladego światła, które dostawały się tu z zewnątrz. Usłyszała, jak mężczyzna przed nią przeciska się przez jakiś otwór. Potem światło wróciło, a wraz z nim pojawiła się wyciągnięta w jej stronę dłoń.

Chwyciła ją i została wciągnięta do góry i do przodu. Poczowała zapach ziemi, pajęczyn i rdzy. Uderzyła się o coś twardego w głowę, chyba o mur. Otwór, przez który się wydostawała, nie był nawet oknem. Nie miał framugi ani jakiegokolwiek zamknięcia. Był po prostu dziurą w ścianie na wysokości gruntu, mającą zapewne zapewnić dobrą wentylację w miejscu, gdzie przechowuje się ziemniaki.

Znalazła się po drugiej stronie. Odetchnęła chłodnym, świeżym powietrzem. Leżała na zimnym, porośniętym mchem betonie. Worek z rzeczami wciąż trzymała w lewej dłoni. Miała nadzieję, że nie rozdarł się podczas całej tej akcji.

Poczowała klepnięcie w ramię. Białka oczu znów na nią patrzyły. Zobaczyła, a w zasadzie bardziej domyśliła się, że jej towarzysz wykonał gest „musimy iść”. Kiwnęła w odpowiedzi głową, choć też nie była przecież pewna, czy to dostrzeże.

Wstali i pochyleni, trzymając worki przed sobą, zaczęli iść w stronę sadu. Księżyc był dokładnie nad nim. Widziała powykręcane reumatycznie gałęzie, niepozbawione jeszcze liści, odcinające się ostro na tle jego srebrnej tarczy. Pod nimi całe szczęście było jednak ciemno. Nie ma czarniejszych cieni niż te, które rzucają przedmioty podczas pełni. Gdy tam dotrą, nikt ich nie zobaczy, chyba że na nich wejdzie.

Pomyślała nagle, że to się nie dzieje. Że to wszystko nie może być prawdą. Gdyby trzy dni temu ktoś jej powiedział, że znajdzie się tu, z umazaną węglem twarzą, uciekającą chyłkiem przed policją, uznałaby to za tak absurdalne, że nawet by się nie zaśmiała. Jak to się stało, że się tu znalazła? W którym

momencie wkroczyła na tę dziwną drogę? Już tam, wtedy w Zakopanem, gdy miała kilkanaście lat? Czy to musiało tak się skończyć? Została przeklęta grzechem pierworodnym, wyssanym z mlekiem matki, zarażona samokopiującym się wirusem toksycznych relacji osuwających się w najgorszą stronę, czy sama sobie tej biedy napytała, a tamto było tylko sprzyjającym podglebiem niewyjaśniającym jednak wszystkiego?

Bo może przyczyny tkwiły w znacznie bliższej przeszłości? W tamtych niedalekich przecież wieczorze i nocy, od których, jak się wydawało, dzieliły ją już całe wieki. Co się wtedy wydarzyło? Dlaczego nic nie pamiętała? Wyparła to, zapomniała? A może zrobiła to w stanie jakiejś ograniczonej świadomości, po którym nie zostają żadne wspomnienia? Tylko co go spowodowało? Tego też nie pamiętała. Co takiego zrobił tamten człowiek, że go zabiła? Co powiedział? A może nie zrobił i nie powiedział nic, bo rację miał jej ojciec, gdy mówił, że jest nienormalna.

Dotarli wreszcie pod niski parasol gałęzi i liści. Słodkoalkoholowy zapach gnijących owoców potęgował jeszcze wrażenie nierealności. Ale chłód i strach były już jak najbardziej prawdziwe. Nagle jej towarzysz się zatrzymał. Wpadła na niego. Stanęli nieruchomo, wsłuchując się w mrok. Teraz zrozumiała, dlaczego się zatrzymał. Przed nimi coś się działo. Jakieś dźwięki, ciche skrzypnięcia, nieokreślone szelesty dochodziły z przestrzeni przed nimi. Jakby ktoś szedł powoli, ostrożnie stawiając kroki.

Poczuła jego dłoń chwytającą ją za bluzę. Gdzieś ją pociągnął, w bok, w ciemność. Potem ta sama dłoń przyciągnęła ją do ziemi. Opadła na ręce i kolana. Jej palce dotknęły czegoś, jakby betonowego omszałego krawężnika. Nie wystawał z ziemi, był w nią wkopany. A po jego drugiej stronie było pusto.

To był ten kanał, o którym mówił? Chyba tak. Zobaczyła, że kładzie się na brzuchu, a potem osuwa do jego wnętrza. Zrobiła to samo. Kanał to było naprawdę za dużo powiedziane. Wyobrażała sobie coś znacznie większego. Ledwo się w nim zmieściła. Był to w zasadzie rów ocembrowany betonem, na którego dnie leżał gruby kozuch wilgotnych liści. Zapach, który się spod nich wydobywał, nie pozostawiał wątpliwości, że kiedyś spływała tędy gnojówka.

Zamarła z twarzą niemal zanurzoną w tym szlamie. Dźwięki dochodzące z ciemności przybliżały się. Teraz już wyraźnie dało się słyszeć kroki. Zamknęła oczy i zacisnęła z całej siły powieki. Czuła się jak mysz czekająca w trawie, aż wytropi ją kot. A w zasadzie dwa koty, bo kroki było słychać z obu stron kanału. Za chwilę ją tu znajdą, była tego pewna. Jej wielki, monstrualny tyłek wystawał przecież z tej dziury na co najmniej dwa metry. Albo któryś z nich na nią po prostu wejdzie. Rozdepcze jej głowę policyjnym, ciężkim butem. A potem poprawi dla pewności serią z karabinu. Była przecież morderczynią, groźnym, poszukiwanym przestępcą, niedawno ukradła trzysta złotych. Dla takich nie powinno być litości.

ROZDZIAŁ 60

Szeleszczące w trawie i pierwszych opadłych liściach kroki zbliżały się coraz bardziej. W końcu zrównały się z nią. Gdyby nie paraliżujące ją przerażenie, zerwałyby się teraz na równe nogi i zaczęła uciekać. Jeden z idących mężczyzn jakby się zatrzymał. Przekręciła lekko głowę i odważyła się uchylić nieco powiekę. Zobaczyła go. Stał jakieś cztery metry od niej, widziała jego głowę w kasku odznaczającą się na tle nieba. Trzymał przed sobą krótki karabin ze sterującym w dół magazynkiem i wpatrywał się w kwadratowe, szklane okienko zamontowane na jego szczycie. Patrzył przed siebie, w stronę domu, nie w dół i nie na nią, mimo to miała wrażenie, że doskonale wie, że ona tu leży. Była przekonana, była pewna, że tylko się tak z nią droczy, że bawi się z nią w okrutną grę, że jeszcze chwila i szklane oko nad wylotem lufy opuści się w dół, odnajdzie jej głowę, a zza półokrągłej szyby otaczającej hełm rozlegnie się stłumione „mam cię!”. Chciałaby, żeby to już się stało. Nie mogła znieść tego napięcia. Była gotowa unieść głowę, wstać i poddać się, byleby tylko ta chwila już minęła. Już w zasadzie to robiła, już napinała mięśnie u rąk, gdy wtem mężczyzna ruszył dalej.

* * *

Czarne sylwetki podeszły do siatki. Kilka cichych, ledwie słyszalnych trzasków i otworzyła się w niej spora dziura.

Postaci precyzyjnie przeszły przez nią i skulone niemal wespół ruszyły w stronę domu. Wyglądały jak mrówki albo jak karaluchy idące sznurkiem jeden za drugim. Wzdłuż muru, pilnując, by nie wychylić głów nad krawędzie okien, obeszły dom z obu stron i podeszły do wejścia. Jedna z nich niosła długą, czarną belkę tarana do wyważania drzwi. Potem, gdy każdy zajął swoją pozycję, sylwetki znieruchomiały, czekając już tylko na sygnał do rozpoczęcia akcji. Podkomisarz Nowaczyk przykucnął, ściągając też Seredyńską w dół. Pistolet trzymał przed sobą. Nie celował jednak w nic specjalnego, raczej wyglądało to tak, jakby miał go w ręku na wszelki wypadek. Mimo to zaschło jej w ustach. Zaczęła się trząść i nie potrafiła tego powstrzymać. Znowu nie wiedziała – z zimna czy ze zdenerwowania. Zrozumiała, że to zaraz się zacznie. Za sekundę, może dwie albo trzy. Świat stanął w miejscu, zamarł. Wydawało jej się wręcz, że słyszy skrzypienie wstrzymanych w ruchu planet. Spojrzała na księżyc. On też zdawał się lekko drżeć przykuty do firmamentu. Nie mogła wprost znieść tego napięcia.

* * *

Kroki zaczęły się oddalać, lecz ona wciąż leżała jak sparaliżowana. Bała się nawet oddychać. Nagle usłyszała, że mężczyzna przed nią powoli się unosi. Ona też podniosła głowę.

– Niewiele brakowało. – Zobaczyła jego białe zęby odsłonięte przez rozciągnięte w uśmiechu wargi. – Dobrze, że nie miał noktowizora, bo nie zdołalibyśmy się ukryć.

Odwróciła gwałtownie głowę w stronę domu przestraszona, że jego szept ściągnie tu zaraz całą policję świata. Postać z karabinem odeszła jednak wystarczająco daleko. Nikt nie zwrócił na nich uwagi.

– Idziemy. – Usłyszała. – Jak się zorientują, że nie ma nas w domu, mogą tu wrócić.

Podniósł się i pomógł jej wstać. Ruszyli dalej wzdłuż kanałku, który, jak zauważyła, teraz już stracił swoje betonowe ocembrowanie i stał się zwyczajnym rowem. Po chwili doszli do krańca sadu. Za nim były krzaki i przekrzywiony ze starości płot z siatki. Gałęzie krzewów poprzerały ją, tworząc gęstą barierę. Rozejrzała się na boki. Z lewej strony była droga, wystarczająco oświetlona, by byli na niej doskonale widoczni. Z prawej ciągnąca się aż do dalekich wzgórz równina, wysrebrzona teraz księżycową poświatą. Tam też nie zdołaliby się ukryć.

Spojrzała na swojego towarzysza. Ani na chwilę nie stracił rezonu. Podszedł do nieprzeniknionej ściany z liści, gałęzi i drutu tam, gdzie znikął pod nią rów. Pochylił się, chwycił dolną krawędź siatki i z wysiłkiem odciągnął ją do góry.

– Przytrzymaj – powiedział.

Podeszła do niego i złapała za druciane oczka. Płot był stary, siatka ledwie napięta, nie było więc wcale tak trudno ją utrzymać. Zobaczyła, że jej towarzysz kładzie się na ziemi, a potem czołgając się, wsuwa w powstały w ten sposób otwór.

– Teraz puść. – Dobiegło do niej z ciemności.

Złapał siatkę z drugiej strony i odgiął ku sobie. Wpełzła w pachnącą zielskiem i suchymi liśćmi dziurę. Po drugiej stronie były krzaki i niewielka, porośnięta nimi skarpa schodząca ostro w dół. Zeszli z niej, przytrzymując się gałęzi. U jej podstawy płynęła rzeka. Niewielka, dość płytka, szeroka na jakieś dwa metry i osłonięta rosnącymi z obu stron drzewami. Weszli do niej. Woda sięgała im najwyżej do kolan, lecz była lodowato zimna. W pierwszej chwili nawet tego tak nie poczuła, dopiero później. Jakby jej łydki ścisnęły piekące obręcze.

– Teraz posłuchaj – powiedział. – Ta rzeka to jedyny sposób, żeby się stąd wydostać. Nie możemy jednak nią iść, bo nas usłyszą. Musimy się położyć na plecach i spłynąć z jej nurtem. Jest dosyć silny, ale trzeba będzie sobie też pomagać rękami i nogami. Woda płynie w stronę wsi. – Pokazał na lewo. – Na pewno jest tam pełno policji, ale nie mamy rady popłynąć w drugą, w stronę wzgórz. Dlatego musimy być maksymalnie cicho. Najgorzej będzie koło mostku, bo tam nie ma drzew. No i na pewno ktoś tam na nim stoi. Ale to jedyna opcja. Dasz radę?

Z trudem dotarł do niej sens tego, co powiedział. Naprawdę ma się zanurzyć w tym płynnym lodzie, który właśnie odcinał jej nogi poniżej kolan? No fucking way, chyba śni.

– Tak – odpowiedziała.

ROZDZIAŁ 61

Ktoś musiał wreszcie dać ten sygnał, bo nagle wszystko się zaczęło. Najpierw głucho, krótkie uderzenia tarana w drzwi. Dwa, najwyżej trzy. Potem odgłos pękającej futryny i wyrywanych zawiasów. Wreszcie głośny huk wpadającego do środka i uderzającego o podłogę skrzydła.

Dalej trudno już było nawet oddzielić i wyodrębnić poszczególne dźwięki. Usłyszała drugi huk i zobaczyła błysk – jakby na sekundę ktoś włączył w całym domu wszystkie światła. Domyśliła się, że ktoś wrzucił do środka granat ogłuszający. Potem tupot kilkunastu ciężkich butów, ostre krótkie pokrzykiwania i snopy latarek zamontowanych pod lufami karabinów omiatające przestrzeń wewnątrz budynku. Patrzyła na to wszystko z zewnątrz, jakby oglądała indonezyjski teatr cieni. Było to w pewien sposób piękne, a na pewno fascynujące. Ale – jak zorientowała się po chwili – czegoś w tym przedstawieniu zabrakło. Zabrakło głośnych, wywrzaskiwanych rozkazującym tonem poleceń towarzyszących zatrzymaniu podejrzanych.

Podkomisarz Nowaczyk również musiał to zauważyć, podniósł się bowiem na równe nogi i schował pistolet do kabury. Ona też wstała. W domu zapaliły się światła, tym razem na stałe. Napięcie w zauważalny sposób opadło.

– Nie ma ich? – spytała.

Nowaczyk nie odpowiedział, tylko ruszył w stronę budynku. Poszła za nim, czując, jak z każdym krokiem opanowuje ją zniechęcenie. Przecież tam byli, niemożliwe, żeby zdołali się wymknąć. Widziano ich, a przynajmniej ją, Julię Gierszewską, jak chodzi po podwórku. Czyżby więc to nie była ona? Czyżby się pomylili i zrobili wjazd na chatę (tym razem w dosłownym znaczeniu tego słowa) jakimś Bogu ducha winnym ludziom?

Podeszli do wyważonych drzwi i weszli po nich do środka. Zobaczyli prostokątną dziurę w podłodze, leżącą za nią drewnianą klapę i światła latarek w ciemnym wnętrzu.

– Uciekli przez piwnicę – wyjaśnił mężczyzna w czarnym bojowym mundurze. – Ale spokojnie, dorwiemy ich.

* * *

Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić. Nie mogła się zmusić, by zanurzyć resztę ciała w ten połyskujący, czarny, ciekły ból. Jej mózg już dawno podjął tę decyzję, lecz ciało nie miało zamiaru jej wykonać. Zaparło się wszystkimi czterema kończynami niczym muł przed przepaścią.

– Szybko – ponaglił ją. – Weszli do domu, wiedzą już, że nas tam nie ma, za chwilę tu będą.

Wiedziała, że to prawda, słyszała odgłosy szturmu, mimo to nie potrafiła się poruszyć.

– Nie dam rady – powiedziała. – Uciekaj sam.

Nie czuła już niemal nóg. Myśl o tym, że reszta jej ciała ma pogrążyć się w tej atramentowej toni, wywoływała w niej pierwotny, paralizujący strach. A co, jeśli od tego umrze? Jest przecież coś takiego jak szok termiczny.

Nagle świat poleciał do przodu, muliste dno rzeki uciekło jej spod stóp, usłyszała plusk, a za kołnierz bluzy zaczęła je się

wlewać zimna, przeraźliwie zimna woda. Dopiero po chwili zrozumiała, że wciągnął ją do wody.

– Płyn za mną – powiedział i też się zanurzył.

Nie miała szans wykonać tego polecenia. Straciła oddech, jej płuca ściśnięte lodowatymi obcęgami zapadły się w siebie, wyrzucając na zewnątrz resztki powietrza, a ona nie była w stanie nabrać kolejnego haustu. Przeżyła chwilę absolutnej paniki, była pewna, że się topi, że umiera.

Ale nie umarła. Nie utopiła się. Gdy woda zaczęła jej się wlewać do ust, ocknęła się, zapała się rękami i nogami o dno i wynurzyła głowę ponad powierzchnię. Mechanizm oddychania odblokował się.

– Spokojnie. – Usłyszała. – Jestem przy tobie. Płyniemy.

Woda była naprawdę bardzo zimna. Miała pewnie nie więcej niż kilka stopni Celsjusza. Ale po pierwszym szoku dało radę w niej wytrzymać. Poczwała nurt spychający ją w dół rzeki. Uniosła lekko nogi i pozwoliła mu się nieść.

* * *

Wybiegli na zewnątrz. Drugie wyjście z piwnicy było po przeciwnej stronie domu. Dziura w murze w połowie tylko wystająca ponad poziom gruntu. Obok leżał odrzucony prostokątny kawał przerdzewiałej blachy. Gdy zajrzeli do środka, zaświeciła im w oczy latarka.

– Tam uciekli, przez sad – stwierdził mężczyzna w mundurze. – Trójka i Czwórka za mną. Reszta: do drogi – wydał rozkazy swoim ludziom. – Wy zostajecie – rzucił w stronę Sereżyńskiej.

Nie miała zamiaru go słuchać. Nie teraz, gdy tamci właśnie im się wymykają. Kiedy tylko szereg policjantów wszedł między

drzewa, ruszyła za nim. Usłyszała za sobą głośne westchnięcie Nowaczyka.

Po dwóch minutach doszli do końca sadu. Poruszona ziemia i liście wokół znikającego pod siatką rowu nie pozostawiały wątpliwości, którędy wydostali się zbiegowie.

Dowódca sięgnął po krótkofalówkę.

– Przedostali się do rzeki – powiedział do słuchawki. – Pewnie przeszli przez nią i uciekają w stronę wzgórz. Wszystkie siły na tamtą stronę!

Siatka została rozcięta, mężczyźni w czarnych mundurach zniknęli w powstałym otworze. Jeszcze przez chwilę widać było snopy światła spod ich karabinów prześwitujące między liśćmi.

Seredyńska podeszła do dziury w siatce, zajrzała w czerń po jej drugiej stronie.

– Chyba nie masz zamiaru tam wchodzić? – Usłyszała za sobą głos podkomisarza.

Spojrzała na swoje pantofle. Tym razem to ona westchnęła. Po tym wszystkim trzeba je pewnie będzie wyrzucić. Szkoda. Lubiała je. Nie tak łatwo jest znaleźć wygodne buty na obcasie.

Schyliła się i przeszła przez rozcięcie.

ROZDZIAŁ 62

Płynęli wolno, co i raz odpychając się od dna ugiętymi w kolanach nogami. Ubranie nasiąkło jej wodą i ciążyło nieco ku dołowi, nie na tyle jednak całe szczęście, by całkowicie zniwelować pozorną utratę wagi spowodowaną działaniem prawa Archimedesesa. Pewien problem sprawiał jej tylko worek z rzeczami, który musiała ciągnąć za sobą. Powietrze w nim uwięzione działało co prawda jak pęcherz pławny, ale konieczność trzymania go przez cały czas jedną ręką znacznie ograniczała jej ruchy.

Przyzwyczała się za to już do temperatury wody i nie odczuwała prawie zimna. Ogarnął ją do tego jakiś dziwny spokój. Rzeczka płynęła w płytkiej dolinie, jej brzegi porośnięte były drzewami i krzakami, co powodowało, że panowała tu cisza podkreślana jeszcze przez szum płynącej wody. Słyszała co prawda głosy szukających ich policjantów, była nawet w stanie zrozumieć pojedyncze słowa, wszystko to jednak było jakieś dalekie, jakby działo się wiele kilometrów stąd. A może były to po prostu pierwsze objawy hipotermii?

Usłyszała, jak przeszli przez siatkę, dobiegł ją chlupot ich kroków, gdy weszli do wody. Potem te dźwięki jednak ucichły. Zatrzymali się? Poszli dalej? W każdym razie raczej nie szli nurtem rzeki. To dobrze. Chyba.

Koryto wiło się łagodnymi zakolami, woda była raz głębsza, raz płytsza, czasami jej ciało utykało na mieliźnie i musiała

mocniej odpychać się rękami i nogami. Patrzyła w niebo. Księżyc musiał być już po jego drugiej stronie, bo widziała gwiazdy. Bardzo dużo gwiazd. Nigdy w życiu chyba nie widziała ich aż tyle. Dopiero teraz zrozumiała, skąd się wzięła nazwa Droga Mleczna. Faktycznie wyglądało to, jakby ktoś rozlał i rozmazał na firmamencie mleko. Czarne ramy rosnących na brzegach drzew jeszcze to podkreślały.

Tak się w to zapatrzyła, że nie zauważyła, jak po raz kolejny osiadła na dnie. Woda szumiała, opływając jej głowę, w zasadzie było jej już prawie ciepło. Mogłaby tu zostać. Tu, w tej rzece, patrząc się na gwiazdy. Może nie byłby to taki głupi pomysł?

– Nie śpij. – Usłyszała niosący się po wodzie szept. – Już niedaleko.

Uniosła nieco i przekręciła głowę. Prawie zapomniała o jego istnieniu. Nagle wszystko do niej wróciło. Przypomniała sobie, dlaczego tu jest i co się stało. Nie było to zbyt przyjemne. Wołała już ten poprzedni stan, nawet jeśli oznaczał początki śmierci z wychłodzenia.

– Puściłaś worek – wyszeptał znowu. – Ale spokojnie, mam go. Będę go trzymał. Chodź!

Poczuła, że chwytła ją za kaptur bluzy i powoli ściąga z mielizny. Ocknęła się już całkiem.

– OK – wyszeptała w odpowiedzi. – Płyniemy.

* * *

Staneła na brzegu rzeczki. Mężczyzn z karabinami już tu nie było. Po chwili dołączył do niej Nowaczyk.

Uderzyła ją nagła cisza, jakby znalazła się w zupełnie innym świecie. Słyszała odgłosy idącej tyraliery z za drzew na

przeciwległym brzegu, lecz były stłumione i dalekie, jakby dochodziły z innego wymiaru.

Rozejrzała się na boki, spróbowała wsłuchać w tę ciszę. Nie wiedziała dlaczego, ale opcja dołączenia do tamtej nagonki nawet nie przyszła jej do głowy. Jeśli uciekinierzy rzeczywiście poszli w tym kierunku, policjanci powinni sobie poradzić. Nie była im do niczego potrzebna.

Co jednak, jeśli tak nie było?

Wstrzymała oddech, by lepiej słyszeć. Plusk i szum wody, nic więcej. Monotonny, uspokajający. Niczym taśma relaksacyjna, tyle tylko, że odgrywana przez żywą orkiestrę przyrody. Żadnych niepasujących dźwięków, odgłosów brodzenia w wodzie, nic. Może rzeczywiście przeszli na drugą stronę?

Coś jednak jej mówiło, że to nieprawda. Że to zbyt proste. Że musieli rozumieć, że tam, na otwartej przestrzeni pola, nie byliby w stanie się ukryć ani ujść pogoni, byliby bezbronni jak kuropatwy. I że dowódca mężczyzn w czarnych mundurach zbyt szybko i zbyt łatwo wybrał kierunek pościgu. Pognał do przodu jak pies, gdy ktoś uda, że rzuca mu zabawkę.

Nagle wydało jej się, że coś słyszy. Coś jakby szept niosący się po wodzie. Ale może jej się jedynie wydawało? Może jej mózg zinterpretował tak jakiś zwykły dźwięk, jakiś szum albo plusk przelewanej wody, bo po prostu bardzo chciał coś takiego usłyszeć? Zamknęła oczy, spróbowała odciąć się od wszystkich bodźców, z wyjątkiem tych odbieranych przez uszy. Naprawdę cała zamieniła się w słuch.

I rzeczywiście coś usłyszała. Trzask zapalniczki i dźwięk przypalanego papierosa. Odwróciła się wściekła. Podkomisarz zaciągał się właśnie dymem.

– Co? – spytał zdziwiony, widząc jej wzrok.

– Gównu – odpowiedziała. – Idziemy tam. – Wskazała kierunek, skąd usłyszała szept, a może tylko jej się to zdawało.

Ściągnęła buty i weszła do wody.

* * *

– Czekał – wyszeptał ledwie słyszalnie, tym razem ją przytrzymując. Z kierunku, z którego przyплыnęli, dobiegł jakiś dźwięk. Słowo, nie, dwa słowa wypowiedziane pełnym głosem. Przyleciały do nich jak płaskie kamienie odbijające się od wody.

Chwilę potem nastąpił plusk, jakby ktoś wszedł do rzeki. Bardzo wyraźny, jakby działo się to dwa metry od nich. A jednocześnie stłumiony i w pewien sposób zaokrąglony, z efektem pogłosu.

Na tym się jednak nie skończyło. Pluski zaczęły powtarzać się regularnie i nie ustawały. Ktoś szedł po dnie rzeki w ich stronę.

Spojrzała na swojego towarzysza. Sadza zmyła mu się nieco z twarzy i rozmazała po niej, tworząc malowniczy wzór nakładających się na siebie zacieków. Wyglądał teraz jak upiór. Tylko białka oczu pozostawały czyste.

Znieruchomiał, jakby zastanawiał się, co robić.

– Szybciej – powiedział. – Musimy dopłynąć do mostu.

Odepchnął się nogami z głośnym pluskiem. Ruszyła za nim. Adrenalina pobudziła ją i ożywiła. Nie starali się już tak bardzo być cicho. Człapanie po wodzie ich pościgu robiło wystarczająco dużo hałasu, by ich zagłuszyć.

Wyплыnęli spomiędzy drzew. Brzegi rzeki porastały w tym miejscu już tylko rzadkie krzewy. Po jej lewej stronie pojawiły się zabudowania. Wbrew ich wcześniejszym obawom nikt tu jednak na nich nie czekał. Wszyscy pewnie rzucili się, by ich łapać tam, gdzie ich nie było.

Trudno było powiedzieć, czy pościg przybliżał się do nich, czy nie. Brzegi rzeki były tu bardziej uregulowane, nurt był głębszy i szybszy, płynęli więc z większą prędkością. Światło księżycy niezasłaniane już przez drzewa sprawiało, że ich mokre i częściowo już obmyte z sadzy twarze świeciły w ciemności. Dobrze więc, że nikogo tu nie było, bo można by ich teraz dostrzec bez problemu.

W oknach mijanych przez nich budynków świeciły się wszystkie światła. Akcja policji nie uszła uwadze mieszkańców. Tak niespotykane wydarzenie w tak zazwyczaj sennej miejscowości sprawiło, że wylegli ze swych domów na ulicę. Słysząc było ich ożywione głosy i rozmowy. Całe szczęście nikomu nie przyszło do głowy sprawdzić, co dzieje się na tyłach ich posesji, tam, gdzie podwórka dochodziły do rzeki.

Wreszcie pojawił się most. Mostek w zasadzie – niski, betonowy z metalową barierką. Górą szła szosa, którą tu dziś przyjechali. Widziała nawet znak z ograniczeniem prędkości.

Wpłynęli pod przęsło. Znowu zrobiło się ciemno. Odgłosy płynącej wody dudniły, odbijając się od żelbetowego stropu. Pełno tu było śmieci. Plastikowych butelek, worków po nawozach i czego tam jeszcze. Nawet jedna stara opona zatrzymała się tu w swojej podróży ku morzu.

Tylko co dalej? Będą tak płynąć i płynąć, aż dopłyną do Bałtyku, a potem do Szwecji? Była zmęczona, do tego znowu zrobiło jej się zimno. Na domiar złego uderzyła się w nogę o jakiś leżący na dnie kamień. Czy mieli w ogóle jakiś plan? Nawet jeśli uciekną, zgubią tę pogoń, to co potem? Będą szli w mokrych ubraniach przez pola? Nie miało to najmniejszego sensu.

– Nie mogę dalej – powiedziała. – Nie dam już rady.

ROZDZIAŁ 63

Znowu westchnął, ale wszedł za nią do wody. W odróżnieniu od niej nie zdjął butów. Ruszyli do przodu, brodząc w ciemnościach. Dno było piaszczyste, lecz porośnięte w niektórych miejscach wodnymi roślinami o długich liściach, które owijały jej się wokół kostek, jeszcze bardziej utrudniając poruszanie. Robili niewiarygodnie dużo hałasu. Woda chlapała na boki, już po chwili mokre miała nie tylko nogi, ale i spódnicę. Od razu zrobiło jej się zimno. Pomyślała, że nie ma nawet w co się przebrać, przyjechała tu przecież tak, jak stała.

Zobaczyła, że podkomisarz znowu wyciąga pistolet. Wyprzedził ją nieco, a ona mu na to pozwoliła. Raz, że chodzenie w wodzie do kolan wcale nie było takie łatwe, a dwa, że mimo wszystko czuła się bezpieczniej, gdy siedł przed nią facet z bronią.

Teraz już nie miała szans usłyszeć, czy z przodu przed nimi rzeczywiście ktoś jest. Ale czuła, że tak było, jakby odbierała tę obecność jakimś szóstym zmysłem. Jakby w momencie, gdy weszła w rolę myśliwego, nawiązało się między nią a celem jej pościgu jakieś nadnaturalne połączenie.

Wyszli, czy też wyczłapali się w końcu z tego tunelu z drzew porastających brzegi. Wreszcie można było coś zobaczyć. Rzeka lśniła w księżycowej poświacie, lampy nad mostem i rozjaśnione okna domów także rzucały światło. Niczego jednak nie dostrzegła, ani w wodzie, ani na niskich brzegach.

Z lewej strony rzeki wznosił się nieprzerwany, szczelny ciąg najprzeróżniejszych siatek i płotów oddzielających posesje miejscowych gospodarzy od jej koryta. Z prawej wyrastał mur z betonowych prefabrykatów, za którym widać było biały, nowy budynek jakiejś hurtowni czy też przetwórnicy. Ktokolwiek szedłby dnem rzeki, nie mógłby wyjść z niej na tym odcinku.

Zatrzymała się. Podkomisarz również stanął. Oboje wbili spojrzenia w jedno miejsce: w ciemną jamę pod mostem. Jeśli gdzieś można było tu się schronić i schować, to właśnie tam.

* * *

Dostrzegła ich. Dwie ciemne sylwetki stojące w nurcie rzeki. To oni ich gonili. Tylko dwie? Myślała, że ściga ich cała armia. Jedna z nich niższa i drobniejsza. Nawet stąd można było poznać, że to kobieta. Cóż za zadziwiająca symetryczność, pomyślała. Tu kobieta i mężczyzna i tam kobieta i mężczyzna. Gdyby byli swingersami, mogliby się wymienić partnerami.

Mężczyzna obok niej też się w nich wpatrywał. Ale zapewne myślał o czym innym. Szacował szanse, obmyślał plany, porównywał opcje. Jej było już wszystko jedno. Przemarzała do szpiku kości, ręce jej zgrabiałały od zimnej wody, chciała tylko stąd wyjść, przebrać się w suche ciuchy i znaleźć w jakimś ciepłym miejscu. Areszt też by jej pasował.

Po raz kolejny zastanowiła się, po co on to wszystko robi. Jeszcze wczoraj żył spokojnym, nudnym i bezpiecznym życiem. Dlaczego rzucił to wszystko, by znaleźć się tu, z nią, pod tym mostem, ścigany przez policję, mając morderstwo na koncie? Zrobił to dla niej? Naprawdę? Była warta takiego poświęcenia? A może chodziło o tych kilka seksualnych aktów, które dzięki niej zaliczył? Może mężczyźni naprawdę wariują, gdy dostrzegą

możliwość spenetrowania kobiecego krocza? Ta przedludzka siła, która narodziła się, gdy pierwsza bakteria podzieliła się na dwoje, sprawia, że przestają myśleć racjonalnie. Ale żeby aż tak?

Jakakolwiek by była tego przyczyna, sprawiała, że jej stosunek do niego był dość ambiwalentny. W jakiś sposób pogardzała nim, choć przecież powinna być wdzięczna. Nieważne, czy był głupcem, który zakochał się w niej, choć, jak sama aż nadto dobrze wiedziała, nie była tego warta, czy jeszcze większym głupcem, który myślał nie głową, a narządem do reprodukcji ich żalosnego gatunku – wzbudzał w niej jakąś podskórną, instynktowną niechęć. Tak naprawdę chciałyby się od niego uwolnić, choć sytuacja, którą sama przecież stworzyła, sprawiała, że było to niemożliwe. I to też był powód, dla którego poddanie się teraz policji nie wzbudzało w niej aż takiej znowu niechęci.

Nie była jej jednak dana taka możliwość. Jego ręka chwyciła ją i pociągnęła w stronę przęsła. Wstał z wody i pomógł wstać jej. Miał najwyraźniej jakiś plan. Szkoda. Chyba wolałaby, żeby nic nie wymyślił.

* * *

Coś zobaczyła. Ni to błysk, ni to coś, nie wiadomo co. Jakąś nieciągłość, fałdę, zmianę w odcieniu czerni w tamtej jamie pod mostem. Jakby jej mózg zarejestrował ruch, lecz stało się to poza obrębem świadomości.

– Są tam – powiedziała.

– Skąd wiesz? – spytał.

No właśnie, skąd? Nie miała pojęcia, ale była tego pewna.

– Widziałam coś.

– Co? Ja niczego nie dostrzegłem.

Poczuła irytację. Głównie dlatego, że nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

– Po prostu tam chodźmy.

Ruszyła przed siebie. Poszedł za nią. Woda rozgarniana ich łydkami tworzyła na powierzchni rzeki trójkątne fale. Znow wysforował się do przodu. Pistolet trzymał teraz w wyciągniętych, lekko ugiętych w łokciach rękach. Wycelowany już bez żadnych wątpliwości w dziurę między przęsłami. Rzeka znikła w niej niczym w podziemnej jaskini.

Czas zwolnił, jakby woda stawiając opór ich krokom, wstrzymywała również jego. Szli długo, a przynajmniej tak jej się wydawało, choć dystans, który mieli do pokonania, był nie dłuższy niż sto metrów. Gdy doszli wreszcie do mostu, ciemność pod nim wydała jej się jeszcze gęstsza i bardziej nieprzenikniona. Może dlatego, że dwie lampy uliczne oświetlające biegnącą po nim drogę świeciły teraz bezpośrednio nad nimi.

Zatrzymali się tu, wpatrując się i wsłuchując w mrok. Szum wody był tu znacznie głośniejszy, bo nurt rzeki ściśnięty betonowymi przęsłami przybrał jeszcze na sile. Teraz już nie widziała niczego, nie słyszała też nic poza tym hukiem. A może to wszystko wcześniej jej się tylko wydawało? Nie sprawdzą tego, jeśli tam nie wejdą.

* * *

Wciśnięta w mrok przy betonowej ścianie, obserwowała dwie postaci stojące w wodzie. Widziała wyraźnie ich twarze oświetlone z góry światłem latarni. Kobieta i mężczyzna. On z okrągłą twarzą stereotypowego gliniarza, z twardą, krótką

szczeciną włosów na czubku głowy, z grubymi, lecz po słowiańsku miękkimi rysami. Nawet gdyby nie trzymał w rękach broni, wyglądałby na policjanta. Ona była zupełnie inna. Szczupła, drobna, dziewczęca, wyglądała bardziej na jego córkę niż funkcjonariuszkę policji. Długie, rude włosy zaczynały jej się powoli kręcić od wilgoci. Nie miała też pistoletu.

Odruchowo wstrzymała oddech, choć w tym huku przelewającej się wody i tak nikt by go nie miał szans usłyszeć. Zobaczyła, że kobieta mówi coś do mężczyzny, a potem ruszają powoli do przodu. Czyli to ona była tu szefową. Spodobało jej się to.

A więc to koniec, pomyślała. Za chwilę ich znajdą, skują kajdankami i wyprowadzą na powierzchnię. Może przynajmniej okryją kocem, jak to się robi na filmach. Przydałoby jej się to, bo od dłuższego już czasu szczekała zębami. Jej skóra zrównała się temperaturą z wodą. Czowała chłód, gdy się poruszała. Nie na powierzchni jednak, głębiej. Jakby granica oddzielająca jej ciepłokrwisty organizm od zimnego otoczenia przesunęła się w głąb ciała.

Nie miał latarki. Ten policjant. Gdyby miał, już by ich znalazł. Byli od niego najwyżej o cztery metry. Miała ochotę podnieść rękę i powiedzieć „hej, tu jesteśmy!” i skończyć to wszystko. Ale tego nie zrobiła. Może dlatego, że mężczyzna obok niej wciąż był napięty i skoncentrowany, jakby się jeszcze nie poddał.

ROZDZIAŁ 64

Szkoda, że nie mieli latarki. Nagle zatęskniła za policjantami w czarnych mundurach, za ich karabinami i za omiatającymi przestrzeń snopami światła spod ich luf. Przydaliby się teraz. Może by ich wezwać przez krótkofalówkę Nowaczyka, zamiast tak leżać po ciemku w paszczę lwa?

Tylko co, jeśli żadnego lwa tam nie ma? Albo co gorsza jest, ale korzystając z tego, że się zatrzymają, czekając na posiłki, czmychnie ze swej nory pod osłoną ciemności, zagłuszany przez ten odbijający się od stropu huk przelewającej się wody?

Poza tym mieli w końcu broń, a tamci nie mieli pewnie nic.

A jeszcze poza tym nie wytrzymałaby czekania, musiała tam pójść i sprawdzić na własne oczy, czy te jej wszystkie przeczucia, wrażenia, instynkty, odbierane na granicy świadomości dźwięki i poruszenia są prawdziwe. Czy jej podekscytowany pościgiem, zalany adrenaliną mózg sobie tego nie wymyślił.

Musiała to zrobić, i to zaraz.

Postąpiła krok do przodu, potem jeszcze jeden. Podkomisarz schowany za wyciągniętym przed siebie pistoletem jak za bokerską gardą szedł tuż obok. Jakby stanowili jedno, choć rozdzielone kawałkiem pustej przestrzeni ciało.

Wkroczyli w ciemność pod mostem. Przekroczyli linię, za którą woda nie migotała już w księżycowej poświacie. Strop przesła był niski, prześwit miał nie więcej niż dwa i pół metra.

Nowaczyk niemal dotykał go czubkiem głowy. Coś zwisało z góry, wolała nie zastanawiać się co. Pajęczyny ciężkie od wilgoci i brudu, stalaktyty z wytopionej słońcem izolacji albo korzenie roślin. To coś dotykało czasem jej twarzy, wzbudzając krótkotrwałą panikę połączoną z obrzydzeniem.

Musieli ostrożnie stawiać kroki. Dno nie było już w miarę równe i piaszczyste jak wcześniej, leżało na nim wiele rzeczy, których natury mogła się tylko domyślać. Kamienie, kawałki betonu, śmiecie. W pewnym momencie weszła chyba na coś w rodzaju przenośnego, ogrodowego grilla.

Po drugiej stronie mostu znów było jasno. Na tyle oczywiście, na ile może być jasno w nocy. Ale tu, na tym skrawku, panowały niemal nieprzeniknione ciemności. Nieco jaśniejsze pośrodku, gdzie oczy już przyzwyczajone do mroku dawały radę co nieco dostrzec, za to gęste i tłuste po bokach, tam gdzie betonowe ściany przyczółków ujmowały nurt w ramy.

Nagle jej łydka o coś się otarła. To coś nie było twarde, nie było więc kamieniem ani betonem, lecz nie było też całkiem miękkie, jak plastikowy worek czy wodna roślina.

Spojrzała w dół. W tej odrobinie światła, która tu docierała, dostrzegła podłużny kształt wystający ledwo z wody, zakończony czymś w rodzaju... buta.

Nachyliła się, by lepiej się przyjrzeć. Zobaczyła podeszwę i sterczący w górę nosek. To był but, nie ulegało to wątpliwości. But, który nie pływał, nie leżał w wodzie, lecz był założony na coś, co wyglądało jak noga.

Przypomniała sobie, że przecież ma przy sobie telefon komórkowy. Wyjęła go i włączyła w nim latarkę. Że też wcześniej na to nie wpadła. Skierowała jej światło na wystający z wody przedmiot. Teraz widziała już wyraźnie. Biały, sportowy but, rozwiązane i rozmokłe sznurówki, dzinsy

w charakterystycznym, bladoniebieskim kolorze i czerwona bluza dalej. Wszystko to przemoczone, brudne, jakby leżało w rzece od dawna. I małe, jakby należało do dziecka.

Krzyknęła cicho stłumionym głosem. Podkomisarz stał tuż obok i wpatrywał się w dół. Rękę z pistoletem miał opuszczoną. Ze ściśniętym sercem przesunęła snop światła w kierunku, gdzie powinna znajdować się głowa...

* * *

Weszli pod most. Ciągle widziała ich sylwetki odznaczające się od jaśniejszego tła. Poczowała ulgę. Zaraz wszystko się skończy. To szaleństwo, ten sen, który śniła od dwóch dni. Zaraz się z niego obudzi. Nie będzie co prawda tak samo, jak wtedy gdy zasypiała, będzie o wiele gorzej, ale przynajmniej ten koszmar wreszcie minie.

Nagle postać kobieca zatrzymała się. Zobaczyła jakieś poruszenie, choć nie wiedziała dokładnie, o co chodzi. Potem rozbłysło światło. Bardzo jasny punkt, który spowodował, że aż zaboląły ją oczy. Domyśliła się, że to lampa błyskowa w komórce użyta w funkcji latarki. Światło nie było jednak skierowane na ściany, kobieta nie szukała w tym momencie ich. Wpatrywała się w coś, co leżało w wodzie. Usłyszała cichy krzyk.

Oczy przyzwyczyły jej się już nieco do blasku, spojrzała więc na to, na co patrzyła tamta kobieta. To coś wyglądało jak trup, jak leżące w wodzie zwłoki. Skąd się tam wzięły? Przecież nikogo tu nie zabili. Boże, co się tutaj dzieje? Może naprawdę jej się to śni?

Poczowała, że jej towarzysz ostrożnie wstaje. Potem powoli, by nie robić hałasu, zaczyna iść w tamtą stronę. Po co to robił?

O co tu chodziło?? Może hipotermia sprawiła, że zaczęła mieć halucynacje?

* * *

Głowy nie było. A przynajmniej twarzy. Zamiast niej tuż pod powierzchnią wody widniała jakaś rozmiękła, brunatna masa. Falowanie sprawiało, że wyglądała, jakby się ruszała. Wyobraźnia podsunęła jej obraz rozkładającej się tkanki, zniekształconych, wyżartych przez ryby rysów i pustych oczodołów, w których mieszkają raki. Zrobiło jej się niedobrze.

Nowaczyk podszedł bliżej, nachylił się. Potem sięgnął ręką w stronę tego przerażającego oblicza. Co on robi? Zwariował? Zaczął w nim grzebać.

Usłyszała cichy śmiech. Wyprostował się i odwrócił ku niej. Wyciągnął w jej stronę dłoń, na której coś leżało. Coś oślizgłego, żółto-brązowego, błyszczącego i gnijącego.

– Słoma – powiedział. – To kukła. Pewnie marzanny. Dzieci wrzuciły ją do rzeki na wiosnę, żeby przegnać zimą. Musiała się o coś zaczepić i dotrwała aż do jesieni.

* * *

Zaafierowani tym, co znaleźli w wodzie, policjanci najwyraźniej zapomnieli na moment, po co tu przyszli. Ta chwila dekoncentracji, odwrócenia uwagi wystarczyła. Zobaczyła, jak jej towarzysz rzuca się nagle do przodu. Jak policjant zaalarmowany ruchem i dźwiękiem rozpryskiwanej wody podnosi opuszczoną dłoń z pistoletem i strzela. Huk wystrzału odbił się od betonowego stropu i przeseł, ogłuszając ją na jakiś czas. Stroboskopowy błysk wystrzału oświetlił na

sekundę wszystko, pozostawiając na jej siatkówce zatrzymany w czasie obraz. Jedno z drugim zadziało jak krótkie spięcie w mózgu. Jakby jej wewnętrzny system zawiesił się, nie będąc w stanie na bieżąco analizować dostarczanych przez zmysły informacji. Potem znowu zapanowała ciemność. Słyszała odgłosy walki. Głośne oddechy, jęki, plusk wody i szarpaninę. Później i to ucichło.

ROZDZIAŁ 65

– Zabiłeś go, zabiłeś! – krzyczała. Jej głos powracał do niej z wielokrotnionym, odbitym od ścian echem, słyszała go też w środku, wewnątrz swojej głowy, miała wręcz wrażenie, jakby dochodził właśnie stamtąd. A może rzeczywiście tak było?

Widziała unoszące się w wodzie, twarzą do dołu ciało. Wokół jego głowy rozlewała się świetlista, krwawa aureola. Oświetlał ją leżący na dnie telefon z wciąż włączoną lampą. Był to w pewnym sensie piękny widok. Dostrzegła to nawet pomimo hysterii.

Zobaczyła też pistolet trzymany w wyciągniętej ręce. Kapała z niego woda. Lecz, co najważniejsze, nie był wycelowany w nią.

– Zabiłeś go! – Nie mogła przestać krzyczeć ani się uspokoić.

– Zamknij mordę. – Usłyszała. – Słyszać cię w całej wsi.

Głos był spokojny, stanowczy, pewny siebie. Zamknęła więc mordę. Także dlatego, że już brakowało jej tchu.

Podążyła wzrokiem za lufą. Na końcu rozpoczętej nią linii błyszczała blada, oklejona mokrymi rudymi włosami twarz. Jej rozszerzone z przerażenia oczy wpatrywały się w leżącego w wodzie człowieka.

Lampa w telefonie zgasła. Widocznie woda przedostała się w końcu do środka.

– Nie próbuj żadnych głupot. – Głos należał do mężczyzny, z którym tu przyjechała. Tego, który przed chwilą kazał jej się

zamknąć. – I tak wiem, gdzie jesteś.

– Wyciągnij go – odpowiedziała mu kobieta. – Może jeszcze żyje.

– Gównu mnie to obchodzi – odparł. – Po co mnie gonisz?

– Wyciągnij go – powtórzyła kobieta. – Ma żonę i dzieci. Naprawdę chcesz dokładać sobie jego śmierć na sumienie?

Było w jej głosie coś takiego, że trudno było jej odmówić. W zasadzie rozkazywała.

Przez chwilę panowała cisza. Jeśli nie liczyć wciąż przelewającej się i szumiącej wody.

– Julia! – Usłyszała swoje imię. – Przekręć tego skurwiela na plecy.

– Dlaczego ja? – spytała płaczliwie.

– Bo ja trzymam pistolet, idiotko!

Podniosła się z wody i na chwiejnych nogach, z trudem łapiąc równowagę w bystrym nurcie, podeszła tam, gdzie powinno znajdować się ciało. Macając wkoło rękami, odnalazła je i spróbowała przekręcić. Nie dała rady, choć bardzo się starała. Nie chciała, by ten człowiek umarł.

– Pomóż mi – poprosiła. – Jest za ciężki.

– Szlag by to trafił! – Usłyszała. Zobaczyła w tym nikłym świetle, które tu docierało, jak zbliża się do niej i wyciąga lewą rękę. Wspólnie udało im się jakoś odwrócić ciało policjanta.

– Teraz wyciągnijcie go z wody – polecił. – Ty i ona. Przy pręcie jest betonowy próg. Tylko bez żadnych numerów, bo zastrzelę was obie.

Chwyciły leżącego w wodzie człowieka za ubranie i wspólnie dociągnęły jakoś do ściany. Faktycznie był tam rodzaj ciągnącego się wzdłuż przęsła niskiego progu, który ledwo wystawał ponad nurt rzeki. Z wielkim trudem udało im się jakoś wtargać tam ciało.

– Nie oddycha – powiedziała policjantka. – Muszę go reanimować.

Nie czekając na pozwolenie, odchyliła głowę mężczyzny do tyłu i zaczęła wdmuchiwać do jego płuc powietrze.

– Tylko szybko. – Dobiegł do nich głos z ciemności. – Na pewno usłyszeli wystrzał.

Kobieta nie odpowiedziała. Nachyliła się nad ciałem, przyciskała wargi do jego ust, a potem podnosiła głowę, by zaczerpnąć powietrza.

– Szybciej! – Głos się przybliżył. Nie był już taki spokojny.

W końcu leżący człowiek zacharczał, a z jego ust wydobył się świst. Nie odzyskał jednak przytomności.

– Ale na pewno nie wiedzą, skąd dobiegł – dopiero teraz odpowiedziała kobieta. – Czym go tak załatwiłeś?

– Kamieniem – odparł głos z ciemności.

– Trafił cię wcześniej? – spytała.

– Nie.

– Szkoda.

Kobieta nachyliła się nad swoim partnerem, by jeszcze raz sprawdzić, czy oddycha. Potem dotknęła palcami jego głowy i rozchyliła włosy.

– Musi jak najszybciej trafić do szpitala – powiedziała. – Porządnie mu przywaliłeś.

– To już nie mój problem. Znajdą go, to zawiozą.

– Znasz różnicę między usiłowaniem zabójstwa a zabójstwem? – spytała kobieta.

– A znasz różnicę między trafieniem do więzienia a nietrafieniem? – odpowiedział. – Gdzie masz samochód? – spytał. – Mów prawdę, bo go dobiję – dodał i zabrzmiało to naprawdę serio.

Kobieta chyba też tak to odebrała, bo odparła:

– Na górze, niedaleko mostu.

– Twój czy jego? – spytał.

– Jego.

– Znajdź kluczyki.

Kobieta spełniła polecenie. Przeszukując kieszenie, spytała cicho:

– Porwał cię?

To pytanie skierowane bezpośrednio w jej stronę zaskoczyło ją. Nie odpowiedziała od razu. Dzięki temu miała czas do namysłu. Obejrzała się na swojego towarzysza. Chyba nic nie usłyszał. Szum wody zagłuszył słowa policjantki.

– Tak – odparła po chwili.

ROZDZIAŁ 66

– Masz je? – spytał. – Idziemy! – Machnął pistoletem. – Ty też!
– Wskazał na policjantkę.

Kobieta się jednak nie poruszyła.

– A co z nim? – spytała. – Nie znajdą go tu.

– Prędzej czy później znajdą – odparł. – Oddycha, więc przeżyje. A jak nie, to znaczy, że nie miał farta. Idziemy!

Wyszli spod mostu. Najpierw one dwie, a za nimi on. Czują się dziwnie, jakby to ją również trzymał na muszce, nie tylko tę policjantkę.

Nie było żadnych schodków prowadzących na górę. Tylko wydeptana, raczej stroma ścieżka. Musiała pomagać sobie rękami, żeby się nią wdrapać. Wciąż było jej bardzo zimno. Przemoczone ubranie okleiło jej ciało. Gdy weszli na drogę, owionął ich chłodny wiatr. Zaczęła znowu się trząść i szcząć zębami. Już cieplej było w tej wodzie.

Na moście i w jego pobliżu nie było nikogo. Znudzeni mieszkańcy wrócili do swoich domów. A może przegnał ich huk wystrzału i strach, że to ich może trafić następna kula? Policjanci też musieli być gdzie indziej. Słysząc było ich głosy od strony wzgórz oświetlonych blaskiem pełni księżyca. Miała wrażenie, że się przybliżają. Pewnie usłyszeli strzał i zrozumieli, że szukają nie tam, gdzie powinni.

Spojrzała w okna okolicznych domów. W większości światła były zapalone i zaciągnięte zasłony. Czy zza tych, za którymi

było ciemno, patrzyły na nich ciekawskie, zaniepokojone oczy? Pewnie tak. W jakimś sensie znów więc była na scenie. Odruchowo wyprostowała się i poprawiła mokre włosy. Może ktoś nawet ją teraz nagrywał?

Niedaleko wznosił się kościół. Kanciasta, trójkątna bryła świątyni odznaczała się na tle nieba. Wyglądała, jakby składała się z samego dachu. Poszukała wzrokiem krzyża. Był, w formie witraża nad głównym wejściem. Niezbyt widoczny, bo w środku było ciemno. Pan Bóg spał, nie widział ich ani tego, co robią.

Podeszli do auta. Policjantka wyciągnęła kluczyki i nacisnęła przycisk centralnego zamka. Samochód nie zareagował. Podeszła i pociągnęła za klamkę.

– Nic – powiedziała. – Pewnie zamokły. Otworzę kluczykiem.

– Poczekaj. – Powstrzymał ją. – Włączy się alarm. O to ci chodziło, tak? – spytał podejrzliwie.

Policjantka wzruszyła ramionami.

– Jak inaczej chcesz go uruchomić?

– Daj mi je. – Wyciągnął rękę. Położyła mu kluczyki na dłoni. Obejrzał je dokładnie, a potem zajrzał do wnętrza auta. Latarnia stała stąd dość daleko, więc nie za wiele zobaczył. – Każde auto ma jakiś awaryjny system rozbrajania alarmu na wypadek, gdy wyczerpią się baterie w pilocie – powiedział. – Nie wiesz, jak to tu działa? – spytał policjantkę.

– Nie mam. Zielonego. Pojęcia – odpowiedziała, robiąc dla podkreślenia pauzy między słowami.

Podniósł pistolet i wycelował jej w głowę.

– Mów, bo ci rozwalę łeb! – wycedził przez zęby.

Policjantka spojrzała mu w oczy.

– Jechałam nim dwa razy w życiu – odpowiedziała spokojnie.

– I to jako pasażer. Skąd mam, u diabła, to wiedzieć?

Chyba jej uwierzył, bo po chwili opuścił pistolet. Potem podał go Julii.

– Trzymaj – powiedział. – I celuj w tę sukę. Jakby próbowała uciekać, strzelaj.

Wzięła do ręki zimny kawałek żelaza. Nigdy nie trzymała broni. Spojrzała na niego przestraszona.

– No dalej! – ponaglił. – Podnieś go i wyceluj. I połóż palec na spuście.

Zrobiła, co kazał. Spotkały się spojrzeniami z policjantką. Na końcu lufy była jej głowa.

Odwrócił się do samochodu. Policjantka wciąż patrzyła jej w oczy. Zrozumiała, czego od niej oczekuje. Przed chwilą w końcu powiedziała jej, że została porwana.

Zamrugła powiekami. Może tak właśnie należało to skończyć? Odwróci się teraz i strzeli mu w plecy. A potem wszystko zrzuci na niego. Powie, że wtargnął do jej mieszkania, zabił tamtego człowieka, a ją porwał. Będzie jedynym świadkiem, będą musieli jej uwierzyć, nawet jeśli w środku nie znaleźli odcisków jego palców. Nie będą mieli po prostu żadnej lepszej, bardziej wiarygodnej wersji. Zeznania tej policjantki tylko ją potwierdzą. Słyszała przecież, jak jej groził, jak mówił, że ją zastrzeli. A potem, po wszystkim, wróci do swojego dawnego życia. W glorii męczenniczki. Sławnej piosenkarki, która została uprowadzona przez szalonego fana, ale się nie poddała i zabiła swojego oprawcę. Zostanie bohaterką. Będzie udzielała wywiadów. Sprzedaż jej płyt wystrzeli w powietrze. Może nawet za granicą, bo będzie to w końcu historia, która na pewno obiegnie cały świat. Żaden serwis informacyjny ani stacja telewizyjna nie przejdą wobec niej obojętnie. Będzie sławna, bogata i wolna. I nigdy już nie zwiąże się z żadnym mężczyzną.

Powoli odwróciła się w stronę samochodu. Teraz to jego głowę widziała na końcu lufy. Przełknęła ślinę. Skupiła się na tym, by trzy białe punkty na przyrządach celowniczych

utworzyły jedną linię. Nigdy tego wcześniej nie robiła, ale instynktownie czuła, że tak właśnie powinno być. Przestała nawet drżeć z zimna.

Potem pociągnęła za spust.

ROZDZIAŁ 67

Rozległ się suchy szczęk, lecz nic więcej się nie wydarzyło. Pistolet nie wypalił, kula nie wyleciała z lufy, głowa przed nią też wciąż była cała. Nie rozumiała, o co chodzi. Stała dalej z wyciągniętą przed siebie bronią.

– Spróbuj przeładować. – Usłyszała za sobą szept policjantki. Odwróciła głowę zdezorientowana.

– Złap za zamek i pociągnij go do tyłu. – Pokazała jej gestem, co powinna zrobić. – Pewnie zaciął się od wody.

Zrobiła to. Coś, pewnie nabój, wypadło z boku pistoletu i wpadło do rzeki. Mężczyzna musiał usłyszeć jakiś dźwięk, bo się odwrócił. Całe szczęście ramię miała już opuszczone.

– Co robisz? – Spojrzał na nią nieufnie. – Nie patrz na mnie, celuj w nią, idiotko!

Podszedł do niej, podniósł jej rękę z pistoletem i ponownie wycelował go w policjantkę.

– Albo poczekaj – powiedział.

Wyciągnął pasek ze spodni i związał nim ręce kobiety na plecach. Potem odebrał pistolet i wetknął go sobie do kieszeni.

– Kładź się! – powiedział do policjantki i ściągnął ją siłą w dół. – I leż tak, póki nie skończę.

Wrócił do samochodu.

– Jest tu taki mały kluczyk – powiedział. – Obok tego dużego do stacyjki. Pewnie służy do wyłączania alarmu. Tylko gdzie się go wkłada? Centralka może jest pod maską. W starych typach

tak było – mamrotał do siebie. – No dobra – zdecydował się w końcu. – Przez chwilę zawyje, nie ma wyjścia.

Włożył kluczyk do zamka w drzwiach, przekręcił go i pociągnął za klamkę. Syrena alarmu rozdarła powietrze.

Otworzył drzwi i nie wchodząc do środka, sięgnął pod kolumnę kierownicy. Maskę auta odskoczyła i uniosła się na dwa centymetry. Obszedł szybko pojazd i podniósł maskę. Pulsujący dźwięk alarmu wwiercał się w mózg, światła samochodu migają mu do wtóru. Włożył głowę pod klapę i zaczął szukać, macając dłońmi po silniku.

– Walnij go! Walnij go tą klapą! – Usłyszała z ziemi głos policjantki. Zobaczyła, że przekręca się na bok, próbując wstać.

Nagle wszystko ucichło. Cisza, która nastąpiła, wydawała się równie bolesna jak poprzedni hałas. Przerwał ją trzask zamykanej klapy.

– Szybko! Zaraz tu będą!

* * *

Podniósł ją z ziemi i zaciągnął w stronę otwartego bagażnika.

– Jestem prokuratorem Prokuratury Okręgowej w Warszawie – powiedziała, próbując się opierać. – Porywanie mnie to nie najlepszy pomysł.

Spojrzał na nią nieco zaskoczony. A potem się uśmiechnął.

– Dobrze wiedzieć – odparł. – Miło panią poznać.

Wepchnął ją do środka i zatrzasnął klapę. Znowu zrobiło się ciemno, tym razem całkowicie. Auto ruszyło z piskiem opon. Uderzyła się w głowę, gdy szarpnęło ją do tyłu.

W bagażniku samochodu podkomisarza Nowaczyka był jeszcze większy brud i bałagan niż w kabinie. Śmierdziało

tyloma rzeczami naraz, że aż nie była w stanie rozróżnić poszczególnych składowych. Miało to swoje dobre strony. Zamiast zastanawiać się, w jak beznadziejnym położeniu się znalazła i czy nie stało to się z jej winy, oraz martwić o to, czy Nowaczyk przeżyje, musiała się zająć tym, by do tej palety zapachów nie dołożyć jeszcze woni własnych wymiocin.

W końcu jednak ułożyła się jakoś i uspokoiła żołądek. Potem spróbowała uwolnić ręce. O dziwo udało to się bez specjalnego problemu. Sztywny, skórzany pasek nie był zbyt dobrym materiałem na więzy. Nie przylegał dokładnie, więc po paru chwilach mocowania zdołała wysunąć z pęta jedną dłoń, a zaraz potem drugą.

Rozmasowała nadgarstki. Nawet nie bardzo bolały. Wyciągnęła przed siebie ręce i zaczęła sprawdzać po omacku przestrzeń wokół siebie. Bagażnik nie był zbyt duży, ledwo się w nim mieściła, a nie należała przecież do wielkoludów. Co istotne, od góry przykrywała go tylko zwykła materiałowa roleta. Dość łatwa do odsunięcia nawet od wewnątrz. Mogłaby więc wydostać się stąd, gdyby tylko chciała.

Tylko co dalej? Ziemia miał broń Nowaczyka. Dość mocny argument w ewentualnej dyskusji. Nie mogła przecież zakładać, że drugi raz też nie wypali. Zaczęła macać wokół siebie w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby tą przewagę choć trochę zniwelować. Trudno przypuszczać, by podkomisarz mimo całego swojego bałaganiarstwa woził w bagażniku drugi pistolet, ale może miał tu coś, czego od biedy mogłaby użyć. Znalazła stary dres, plastikową butelkę, chyba po płynie do spryskiwacza, jakieś urządzenie z dwoma wystającymi z niego kablami, którego natury i przeznaczenia nie potrafiła określić, kawałek deski, zdaje się panelu podłogowego, zbyt krótki jednak i nieporęczny, by się do czegoś nadawał, i gdy już niemal zrezygnowała, jej dłoń trafiła na kawałek chłodnego metalu.

Przyciągnęła go do siebie i zaczęła wodzić po nim palcami. Rozpoznała kształt. Kobiety, które same mieszkają, muszą czasami używać takich narzędzi. Klucz francuski. Dość spory, ważył co najmniej kilogram. Niezbyt imponująca broń w porównaniu do pistoletu, ale zawsze coś.

Złapała go mocno prawą dłonią. Spróbowała się zamachnąć w tej ograniczonej przestrzeni. Test wypadł pomyślnie. Czymś takim można nie tylko ogłuszyć, ale nawet zabić. Widziała w swojej karierze kilka rozwalonych podobnymi narzędziami głów. Musi jednak postępować rozsądnie. Już raz zaryzykowała i skończyło się to źle. Nie może więc działać pochopnie. Tym bardziej, że tym razem to ona może zostać ofiarą. Niezbyt jej się uśmiechało, by tamten prokurator z Kielc oglądał w prosektorium jej martwe, nagie ciało. Nie wiedziała dlaczego, ale właśnie to wydało jej się w tej całej hipotetycznej sytuacji najgorsze. Miała nadzieję, że w razie czego wyznaczą do jej sprawy kogoś innego.

ROZDZIAŁ 68

Siedziała, dygocząc na tylnej kanapie. Ściągnęła mokrą bluzę, lecz nie na wiele to się zdało.

– Podgrzej, proszę – powiedziała.

Sięgnął dłonią do deski rozdzielczej i przekręcił jakąś gałkę.

– Nic nie leci – rzuciła po chwili.

– Silnik musi się rozgrzać – odpowiedział.

Wiedziała o tym, nie była głupia, po prostu było jej tak strasznie, okropnie zimno.

Pędzili, ile tylko dała fabryka. I to bez świateł. Było to nieco przerażające.

– Zwolnij trochę – poprosiła.

– Chcesz, żeby nas złapali? – odpowiedział.

Dobre pytanie. W tym konkretnym momencie nie miałyby nic przeciwko. Była potwornie, śmiertelnie zmęczona. I przemarznięta. Do tego ciągle miała przed oczami zakrwawioną głowę tamtego policjanta. Jeszcze ta kobieta w bagażniku... Miała już dość tej całej ucieczki.

– A jak poboczem ktoś będzie szedł? – spytała.

– To będzie miał cholernego pecha.

Zaczęło powoli robić się ciepło. Po chwili było już wręcz gorąco. Ściągnęła spodnie i buty. Siedziała teraz w samych majtkach, skarpetkach i bluzce. Przestała nawet szcząkać zębami.

– Co z nią zrobimy? – spytała, gdy ciepła krew z powrotem dotarła do jej mózgu.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział. – Coś się wymyśli.

– Będą jej szukać – powiedziała. – I tego samochodu.

– Wiem – odparł. – Na razie po prostu musimy odjechać jak najdalej.

Wydało jej się, że słyszy z tyłu jakiś odgłos. Odwróciła głowę. Bagażnik był tuż-tuż, oddzielony od przestrzeni kabiny tylko poziomą roletą. Poczowała się bardzo nieswojo.

– Chyba jej nie zabijesz? – spytała.

Nie odpowiedział od razu, dopiero po chwili.

– Po co miałbym to zrobić? – powiedział.

Obejrzała się ponownie. Chyba nikt ich nie gonił. Droga za nimi była pusta, podobnie jak ta przed nimi. Dobrze, że była pełnia, przynajmniej coś było widać, gdy tak pędzili bez świateł.

Po obu stronach szosy ciągnęły się pola. Światła wiosek zostały za nimi. Dziwne to było i jakieś nierealne jechać po ciemku przez taki krajobraz. Nagle coś jej się przypomniało. Nagle i do tego bardzo gwałtownie, aż nią zatrzęsło.

– Powiedziałeś do mnie „idiotko”. – Czekwała na jakąś reakcję. Nie doczekała się. – Dwa razy – dodała. – Dwa razy powiedziałeś tak do mnie.

– Przepraszam – odezwał się wreszcie. – Byłem zdenerwowany. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale byliśmy w lekkiej dupie.

– Mój ojciec tak do mnie mówił. A potem menadżer.

– Naprawdę nie masz w tej chwili innych problemów? – spytał.

W tonie jego głosu też było coś, co dobrze znała. Jakiś rodzaj lekceważenia, zbywania. Tego całego „O co ci chodzi, kobieto? Nie przesadzaj!”. Nasłuchiwała się tego tonu w swym życiu, oj nasłuchiwała.

– Nigdy więcej tak do mnie nie mów – powiedziała z naciskiem.

– Dobrze, nie będę – odpowiedział, lecz zabrzmiało to bardziej jak „daj mi już wreszcie święty spokój”. To jeszcze bardziej ją zirytowało.

– Jeśli nie chcesz skończyć tak jak oni – dodała.

* * *

Było jej zimno. Zgubiła gdzieś pod tym mostem buty, pończochy miała podarte, a spódnicę przemoczoną. Dobrze chociaż, że nie przewróciła się do wody.

Ściągnęła pończochy i nakryła nogi śmierdzącym dressem. Skuliła się, przyciskając ręce do tułowia, by choć w ten sposób się ogrzać.

Mimo tego jej mózg pracował na najwyższych obrotach. Co powinna teraz zrobić? Mogła spróbować cicho zwolnić roletę z zaczepów, odsunąć ją i zaatakować Ziembę kluczem. Byłoby to jednak bardzo ryzykowne, jeśli nie samobójcze. Nie dosięgłaby raczej jego głowy z bagażnika, musiałyby przejść na tylną kanapę samochodu. Nawet zakładając, że Gierszewska nie będzie próbować jej powstrzymać, dałoby to Ziembie wystarczająco dużo czasu, by ją dostrzec w lusterku, odwrócić się i strzelić. A nawet, gdyby to się udało, to co wtedy? Był w końcu kierowcą, ogłuszając go, spowodowałyby wypadek. Biorąc pod uwagę, że nie byłaby przypięta pasami, mogłaby tego po prostu nie przeżyć.

Ta opcja więc odpadała.

Pozostawało więc czekać na jakąś lepszą okazję. Która mogła, ale nie musiała nadejść. Taką, w której wykorzysta

element zaskoczenia, to, że Ziemia nie spodziewa się, że się uwolniła i trzyma w ręku kawał żelaza. Wtedy go zaatakuję.

Poczuła, jak przez szpary oddzielające roletę od bagażnika zaczyna przedostawać się ciepłe powietrze z kabiny. Samochód wciąż jechał, i to raczej szybko. Ile czasu mogło minąć od tego, co się wydarzyło pod mostem? Wydawało jej się, że sporo, lecz dobrze wiedziała, że w takich sytuacjach ludzie miewają mocno zaburzone poczucie jego upływu. Zastanawiała się, czy już znaleźli Nowaczyka. Jeśli umrze, wiedziała, że nigdy sobie tego nie wybaczy. To ona pociągnęła go za sobą do tej rzeki. Sam nigdy by tam nie poszedł, czekałby na brzegu na wyniki obławy.

Z drugiej strony, to ona miała rację, to ona wytropiła Gierszewską i Ziembę, nie te napakowane testosteronem mięśniaki w mundurach. Tylko jaki pożytek miała teraz z tej swojej racji? Leżała zwinięta w kłębek w bagażniku pędzącego nie wiadomo dokąd samochodu, a jej towarzysz, którego już zaczynała lubić, być może umierał właśnie pod mostem. Wniosek z tego, że nie wystarczy mieć rację. Na cmentarzach pełno jest takich, którzy też ją mieli. Przydałyby się jeszcze rozsądek, ostrożność i dobre planowanie. Rzeczy, których ewidentnie jej zabrakło.

ROZDZIAŁ 69

Jakiś samochód minął ich, trąbiąc.

– Może już włączymy światła – powiedziała. – Nikt nas nie goni. Głupio byłoby teraz zginąć w wypadku.

Nie odpowiedział, ale sięgnął do gałki z boku kierownicy. Droga przed nimi rozjaśniła się od reflektorów. Po chwili rozebrzmiała też muzyka z radia.

Dopiero teraz przypomniała sobie o worku ze swoimi ubraniami, który wrzuciła do środka, gdy wsiadali do auta. Spadł na podłogę między fotelami. Sięgnęła po niego i rozwiązała, sprawdzając w blasku deski rozdzielczej jego zawartość.

– Wszystko mokre – powiedziała. – Gówno dał ten twój patent.

– Musiałaś go źle zawiązać – odpowiedział.

Włożyła dłoń do środka. Palce wyszły przez dziurę z boku.

– Rozdarł się – powiedziała. – Pewnie zahaczył o coś w tej rzece.

– A to już nie moja wina – odparł.

Było między nimi jakieś napięcie. Jakby to, co ostatnio przeszli, zamiast ich do siebie zbliżyć, oddaliło ich i wzbudziło wzajemną nieufność. Pomyślała, że zachowują się jak stare, skłócone małżeństwo w drodze na wakacje.

A to niedobrze. Byli na siebie skazani. Mieli tylko siebie. A mówiąc precyzyjniej: ona miała tylko jego. Opcja wypłatania

się z tej sytuacji, reprezentowana przez tamtą kobietę, która okazała się prokuratorem, była chwilowo zamknięta w bagażniku. Być może kiedyś, w jakichś sprzyjających okolicznościach, będzie można do niej wrócić, lecz teraz raczej nie ma na to szans. Muszą się póki co trzymać razem.

A może po prostu zatęskniła za tamtym chwilowym poczuciem bliskości? Tym, którego doświadczyła, zanim pojawiła się policja. Postanowiła w każdym razie ocieplić nieco atmosferę.

– Wyciągnąłeś nas stamtąd – powiedziała. – Dzięki. To była naprawdę niezła akcja. Byłam już pewna, że nas złapią.

Zobaczyła, że się uśmiecha.

– Całe dzieciństwo się tam bawiłem – odparł. – Nie mieli szans wygrać ze mną w podchody.

Roześmiała się. Chciała to zrobić i zrobiła to specjalnie, ale wyszło nadspodziewanie szczerze. Chyba odreagowywała właśnie stres i strach ostatnich wydarzeń. Po chwili on również zaczął się śmiać. Znowu zrobiło się miło.

– Napiłabym się czegoś – powiedziała. – Dla rozgrzania.

Trzymała co prawda wciąż w swoim tobołku butelkę trzydziestosześcioletniej whisky, którą zabrała ze swojego mieszkania, a potem przełożyła z walizki – była tam wciąż, nie wypadła, namacała przed chwilą jej obły kształt – ale miała w stosunku do niej inne plany. Teraz przydałaby się po prostu zwykła cytrynówka.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale ścigają nas – odpowiedział. – A do tego jedziemy wozem gliniarza.

– Nie sądzę, żeby zdążyli zawiadomić o tym w tak krótkim czasie całą Polskę – zaproponowała. – Jeśli szybko znajdziemy jakiś sklep albo stację, będziemy po prostu zwykłymi, przemoczonymi do suchej nitki klientami.

Znowu się roześmiał.

– W porządku, przebiorę się przy okazji. Mamy jeszcze jakieś pieniądze? – spytał.

Sięgnęła do kieszeni leżących obok mokrych dzinsów. Znalazła w niej dwa przemoczone banknoty.

– Na flaszkę wystarczy – odpowiedziała.

* * *

Samochód zwolnił, a po chwili stanął. Wstrzymała oddech i zacisnęła mocniej dłoń na kluczu. O co chodziło? Zatrzymali się w lesie, żeby ją zabić? A może po prostu wyrzucić z auta i odjechać? Nie, nie mieliby chyba powodu, by zrobić jedno albo drugie. Była w końcu prokuratorem, sama im się do tego przyznała, przyda im się taki zakładnik.

Więc dlaczego stanęli? Nieważne, jaki był tego powód, to mogła być ta okazja, na którą czekała.

Odkąd włączyli radio, nie bardzo rozumiała, o czym mówili. Samochód podkomisarza był stary i w bagażniku huczało, jakby leżała tuż obok silnika. Teraz jednak motor i radio ucichły. Wsłuchiwała się w tę nagłą ciszę.

Nie usłyszała niczego ciekawego, za to poczuła zapach benzyny. Czyżby byli na stacji benzynowej? O to chodziło?

Wysiedli. Oboje, bo drzwi trzasnęły dwa razy. Usłyszała charakterystyczny dźwięk zamykanego centralnego zamka. To znaczy, że alarm też był uzbrojony. Jeśli odsunie teraz roletę i przejdzie do kabiny, włączy się i zawyje. To mogła być jej szansa, ale też i zagrożenie. Pytanie, na jakiej są stacji? Jeśli dużej, pełnej ludzi, szansa. Jeśli małej, z jednym zaspanym sprzedawcą za ladą, zagrożenie. Ryzykuje wtedy, że Ziemia wróci, wyciągnie pistolet Nowaczyka i zakończy jej marzenia o ucieczce.

Spróbowała zanalizować to na chłodno. Czy jeśli stacja byłaby duża, a wokół kręciliby się inni ludzie, zostawiliby ją samą, wiedząc, że nie jest zakneblowana i może zacząć krzyczeć? Raczej nie. Chyba że byliby na tyle beztroscy albo pewni siebie, że mieliby to w nosie.

Nie, jednak nie. Aż tak lekkomyślni chyba by jednak nie byli. Nie są na żadnej dużej stacji. Zatrzymali się na jakimś małym gównie, na zabitej dechami wsi i zaparkowali tak, by samochodu nie było widać z budynku. Tak, była tego pewna.

Musi więc wyjść teraz, póki oboje są w środku. Czy bagażnik da się otworzyć od środka? Raczej nie, taka możliwość byłaby bez sensu. Mimo to jednak spróbowała. Znalazła szparę między podłogą a klapą i wcisnęła w nią oba kciuki. Potem pchnęła z całej siły.

O dziwo klapa uniosła się. Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie jednak, że alarm musi obejmować także tylne drzwi. Ścierpła w oczekiwaniu na dźwięk syreny. Najwyżej wyskoczy z samochodu i pobiegnie przed siebie w mrok. Nic się jednak nie stało. Nic nie zawyło.

Gdy ochłonęła, zrozumiała, że zamek w drzwiach musiał być zepsuty. Nie było innego wytłumaczenia. To dlatego udało jej się je otworzyć od środka i dlatego alarm nie zadziałał. Była więc głupia, ale miała szczęście. Podziękowała w myślach podkomisarzowi, że jeździ takim gratem.

Podniosła wyżej klapę i wysunęła się z bagażnika. Kucnęła, a potem stanęła na równe nogi. I wtedy go zobaczyła. Marka Ziembę. Stał kilka metrów od niej z butelką jakiejś wódki w jednej ręce i mokrymi ciuchami w drugiej. Patrzył wprost na nią.

ROZDZIAŁ 70

Miała rację, choć nie we wszystkim. Stacja faktycznie była mała, ale samochód nie stał zaparkowany z boku. Tuż za Ziembą było okno, przez które było widać jej wnętrze. Sprzedawca wyglądał przez nie, a jego mina świadczyła o tym, że widział, jak wysiada z bagażnika.

W jeszcze jednym się pomyliła. Gierszewska wciąż siedziała w aucie.

Ziamba był mocno zaskoczony, widać było, że nie wie, co ma zrobić. Jego twarz zmieniała się, w miarę jak analizował sytuację i różne warianty tego, jak mógłby na nią zareagować. Było to w pewien sposób fascynujące.

Na pewno zastanawiał się, czy obecność tego świadka za jego plecami cokolwiek zmienia. Tylko to zdaje się powstrzymało go przed natychmiastową reakcją. Ten podstawowy ludzki odruch – że zaczynamy myśleć nad swoim zachowaniem, gdy ktoś obcy patrzy. W końcu jednak doszedł do jedyne go możliwego wniosku: że w tym przypadku nie ma to absolutnie żadnego znaczenia. Upuścił mokre ubrania na ziemię i sięgnął za pasek spodni. Tam, gdzie zapewne trzymał pistolet.

Podobne procesy myślowe zachodziły też u niej. Co powinna i co może zrobić? Rzucić się do ucieczki, tak jak myślała o tym wcześniej, licząc, że zdąży zniknąć w ciemności, zanim on wyciągnie pistolet, lub mając nadzieję, że nawet gdy to zrobi,

nie strzeli, ryzykując w tym zakładzie swoje własne życie? Czy raczej poddać się bez walki, uznać porażkę swoich planów ucieczki i dać się z powrotem zapędzić do bagażnika jak owca do jatki?

Szczerze powiedziawszy, żadna z tych ewentualności nie za bardzo jej się uśmiechała. Trzeciego wyjścia jednak chyba nie było.

Spojrzała na Gierszewską. Kłapa bagażnika uniosła się całkowicie, widziała, jak piosenkarka patrzy na nią zza tylnej kanapy samochodu, nieoddzielana już przez szybę.

Przeniosła wzrok z powrotem na Ziembę. Jego dłoń zniknęła pod bluzą zaciśnięta na kolbie pistoletu. Nie wyciągnął go jednak. Jego wzrok przestał być zagubiony i niepewny. Wyrażał teraz jasny komunikat: „Wracaj do środka albo zrobię z tego użytek”.

Spojrzała jeszcze na sprzedawcę za szybą. Nie wyglądał na kogoś, kto mógłby przyjść jej z pomocą. Powoli chyba dochodziło do niego, że to, na co patrzy, nie jest do końca normalne. Przemoczona, bosa kobieta wysiadająca z bagażnika, mężczyzna, który stoi przed nią bez słowa, lecz jego sylwetka jest napięta, jakby zastanawiał się, czy się na nią nie rzucić. Druga kobieta siedząca w aucie w samej bieliźnie. W jego wzroku jednak nie było chęci działania, przyjścia tym biednym niewiastom z pomocą, raczej widać w nim było narastający przestach.

Do niej też powoli coś dochodziło: nie miała szans. Tym razem po prostu się nie udało.

* * *

Patrzyła na tamtą kobietę, panią prokurator. Nie wyglądała teraz specjalnie imponująco. Przynajmniej nie jak ktoś, kto ma władzę oskarżać ludzi, nakładać na nich areszt i wydawać nakazy przeszukania. Rude włosy zmierzwiły jej się od wilgoci, makijaż starł się i spłynął, na gołych łydkach widać było świeże siniaki. Była szczupła i drobna, mokra spódnica i mocno wymięty, zdefasonowany żakiet jeszcze to podkreślały.

Wyglądała wręcz jak dziecko, jak trochę większa dziewczynka, która przebrała się w strój swojej mamy, lecz nie za bardzo umie go nosić.

Może dlatego poczuła coś w rodzaju współczucia, jakąś wspólnotę z tą kobietą, jakby zobaczyła w niej siebie. Ona też stawała naprzeciw takich mężczyzn jak ten i była wtedy równie bezradna. Gdy ich spojrzenia spotkały się, bezwiednie utożsamiała się z nią, nie z tym facetem trzymającym rękę na kolbie.

Po chwili jednak przypomniała sobie, kto jest po czyjej stronie.

I wtedy sytuacja się zmieniła. Na stację wjechał samochód. Dość duży, terenowy, raczej nie z tych najnowszych. Koła i boki miał ubłocone, lecz błoto było wyschnięte, jakby jego właściciel nie bardzo dbał o wygląd auta albo tak często jeździł po bezdrożach, że już nie chciało mu się za każdym razem go czyścić.

W środku siedziało dwóch mężczyzn, jeden za kierownicą, drugi obok. Byli raczej starsi, przed lub po sześćdziesiątce, brzuchaci, ubrani w wojskowe kurtki z demobilu. Ten za kierownicą miał siwiejące wąsy. Wyglądali jak dwa dziki w ludzkich ubraniach.

Wąsaty wysiadł i podszedł do dystrybutora. Rzucił jakąś uwagę przez odsuniętą szybę do swojego kolegi i obaj zarechotali. Byli ewidentnie w dobrych nastrojach, jak ktoś, kto

spędził czas dokładnie tak, jak zamierzał, i zrobił to, co zaplanował.

I było jeszcze coś: między rzędami siedzeń, oparty o tylną kanapę, stał myśliwski sztucer bez futerału. Widziała jego lufę i kawałek lunety wystające z za drzwi.

Ten, który tankował, spojrział na nich i musiał dostrzec dziwność sytuacji, której został świadkiem. Bosa, przemoczona kobieta przy otwartym bagażniku, mężczyzna patrzący na nią z napięciem i wrogością. Nieczęsto widzi się takie rzeczy na stacjach. Przez moment przyglądał im się uważnie, potem odwiesił pistolet dystrybutora paliwa na zaczepy i podszedł do nich.

– Wszystko gra? – spytał. – Potrzebna pani pomoc?

* * *

Odwróciła się do niego bokiem, tak by móc widzieć również Ziembę. Oczy mężczyzny patrzyły na nią spokojnie i uważnie spod krzaczastych, siwiejących brwi. Znała takich mężczyzn, spotykała ich nie raz. Były policjant albo wojskowy. Przypominał w pewien sposób Aleksanderskiego.

Zobaczyła, że Ziemba wyciąga pistolet z za paska, lecz ciągle trzyma go pod bluzą. Drugi z mężczyzn też dostrzegł ten gest i zrozumiał zawartą w nim groźbę. Wysiadł z auta od drugiej strony i sięgnął po sztucer.

Zrobiło się niebezpiecznie. I to bardzo. Za chwilę mogły paść strzały. Ktoś mógł zginąć i niekoniecznie byłby to Ziemba. Przełknęła ślinę. Potwornie zaschło jej w ustach.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiedziała. – Muszę tylko pójść do toalety.

Ruszyła sztywnym krokiem w stronę budynku stacji, przeszła obok Ziembę i weszła do środka. Zamknęła za sobą drzwi. Przez okno zobaczyła, że żaden z mężczyzn się nie poruszył.

Po chwili jednak Ziembę wepchnął z powrotem pistolet za pasek. Potem zamknął klapę bagażnika, wsiadł do samochodu i odjechał.

– Proszę zadzwonić na policję – powiedziała do skamieniałego sprzedawcy. – Nazywam się Gabriela Seredyńska, jestem prokuratorem i właśnie uciekłam porywaczom.

ROZDZIAŁ 71

– Czy ciebie, kurwa, drogie dziecko, pojebało?? – Prokurator Kostrzewska zgubiła gdzieś wyraz twarzy i ton głosu piekającej ciasta ciotki z prowincji. Seredyńska zrozumiała – po raz kolejny zresztą – dlaczego boją się jej wszyscy pracownicy budynku przy ulicy Chocimskiej w Warszawie. – Chcesz się bawić w Jamesa Bonda? To idź do policji! Napiszę ci dobre rekomendacje. Zakończę je zdaniem: „Wystarczająco głupia, by być policjantem”. Ale ty jesteś prokuratorem! Rozumiesz? Prokuratorem! I to nie byle jakim. Prokuratury Okręgowej w Warszawie! A prokuratorskie śledztwa prowadzi się z za biurka!

Stała w jej gabinecie, bo nikt nie wspomniał nawet słowem, że może usiąść. Poobcierane i poranione stopy bolały ją w niewygodnych szpilkach. Tamte dobre, rozchodzone buty zaginęły w akcji utopione w nurtach rzeki, której nazwy nawet nie znała. Czuła się fatalnie, i fizycznie i psychicznie. Brała ją gorączka, ledwo trzymała się na nogach.

– Odbiera mi pani tę sprawę? – spytała i gdzieś w głębi duszy miała wręcz nadzieję, że tak się stanie. Mogłaby wtedy pojechać do domu i położyć się do łóżka. Wróciła do Warszawy dziś nad ranem. Ledwo zdążyła umyć się i przebrać. O śnie – z wyjątkiem tego w samochodzie – nie było nawet mowy.

– Chciałabym tego, dziecko, uwierz mi. Ale nie mogę. Jak by to wyglądało? Uczyniliśmy cię twarzą tego śledztwa i teraz

musimy tę twarz zachować. – Kostrzewska uśmiechnęła się cierpko. – Ale tylko twarz. – Spojrzała na nią znacząco. – Śledztwo od dziś poprowadzi ktoś inny. Twój oficjalny, choć nieekspozowany zastępca. Ty będziesz się tylko uśmiechała i przekazywała komunikaty dla mediów. Ale pamiętaj, że ten reflektor kiedyś się od ciebie odwróci i wtedy będziesz mogła zostać rozliczona. Więc, proszę cię, uważaj i nie rób niczego głupiego. Trzeciej szansy możesz już nie dostać.

Włożyła okulary do czytania i opuściła wzrok na leżące przed nią papiery, co oznaczało, że Seredyńska może już sobie pójść. Nie spytała o podkomisarza Nowaczyka. Być może z perspektywy wyżyn jej stanowiska takie szczegóły nie miały znaczenia.

Z perspektywy nizin samopoczucia Seredyńskiej było dokładnie odwrotnie. Miała szczerze w nosie wszystko, co przed chwilą usłyszała, głęboko obojętne jej były niezbyt zawoalowane groźby Kostrzewskiej, niespecjalnie przejmowała się ewentualnym końcem swojej kariery prawniczej – była na to po prostu zbyt zmęczona. Jediną rzeczą, która ją w tym momencie obchodziła, było to, czy ten gburowaty policjant, który z początku ostro działał jej na nerwy, przeżyje czy też nie.

Nie widziała go od momentu porwania. Gdy policyjny radiowóz przyjechał po nią na stację benzynową, dowiedziała się, że już go znaleźli. Jego stan był ciężki. Na tyle ciężki, że wezwano śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, który przetransportował go do Kielc. Pęknięcie czaszki, krwiak śródczaszkowy oraz niedotlenienie mózgu w wyniku zbyt długiego przebywania pod wodą spowodowały konieczność natychmiastowej operacji oraz wprowadzenia pacjenta tuż po niej w śpiączkę farmakologiczną.

Nie miała pojęcia, jaki jest jego aktualny stan. Próbowwała zadzwonić się rano do szpitala i nawet jej się to udało, lecz

pielęgniarka, która odebrała telefon, niezbyt była skłonna do udzielania szczegółowych informacji. Zauważyła bardzo rozsądnie, że przecież każdy może przez telefon podać się za pracownika wymiaru sprawiedliwości, a ją, jako pielęgniarkę oddziałową, również obowiązuje tajemnica lekarska. Seredyńska zadzwoniła wtedy do tamtego prokuratora z Kielc, którego poznała przy domu ojca Ziemby, i poprosiła go o pomoc. Okazał się bardzo uprzejmy i obiecał, że załatwi sprawę. Faktycznie, już dziesięć minut później odebrała telefon z nieznanego numeru. Dzwonił lekarz prowadzący Nowaczyka, lecz niestety niewiele jej powiedział. Operował okrągłymi formułkami o „poważnym, ale stabilnym stanie” i o „trudnościach w rokowaniu na tym etapie leczenia”, lecz spoza nich wyglądał niewypowiedziany, lecz dość jasny komunikat: „Nie wiemy, co będzie dalej; trzeba poczekać”.

O tym myślała, wychodząc z gabinetu swojej przełożonej. I o tym, że to wszystko przez nią. Zaryzykowała życie człowieka, męża i ojca dzieci, bo chciała jeszcze raz poczuć tę ekscytację, której doświadczyła rok temu, gdy ściagała seryjnego mordercę. No i poczuła ją, nie ma co. Wolałaby chyba, żeby to jej rozbili czaszkę kamieniem.

Przypomniała sobie komisarza Halickiego – policjanta, który zginął podczas tamtego śledztwa. Wtedy to nie była jej wina, nie mogła tego przewidzieć ani temu zapobiec. Ale jeśli teraz sytuacja się powtórzy, jeśli umrze kolejny gliniarz, z którym współpracuje, nie zdoła oprzeć się irracjonalnym myślom. Takim na przykład, że jest pechowa, że ciąży na niej klątwa i że ściąga na ludzi wokół siebie nieszczęście. Na takich zwłaszcza, na których zaczyna jej w jakiś sposób zależeć.

Dowlokła się jakoś do swojego pokoju. Stała w drzwiach i spojrzała na biurko z komputerem. Naprawdę powinna wrócić do domu i się położyć. Po krótkiej chwili, w czasie której

próbowała zmusić się, by wejść dalej, otworzyć laptopa i wziąć się do jakiejś pracy, postanowiła, że sobie odpuści. Bardziej już sobie chyba tym nie nagrabi. Poza tym może będzie lepiej dla wszystkich, jeśli powstrzyma się od jakichkolwiek działań. Do tej pory jakoś nic dobrego z nich nie wynikło.

* * *

– Musimy zmienić auto – powiedział. – Inaczej daleko nie ujedziemy.

Noc spędzili w lesie, śpiąc w samochodzie. Wcześniej rozpałił ognisko, by mogła wysuszyć ciuchy. Jako rozpałki użył benzyny ściągniętej z baku. Teraz jej ubranie śmierdziało dymem.

To powodowało, że jeszcze bardziej chciało jej się wymiotować. Miała kaca od cytrynowki, a do tego bolały ją wszystkie kości po tym noclegu w aucie. Na filmach takie ucieczki wyglądają znacznie lepiej. Nikt nie wspomina tam, że jest się brudnym, niewyspanym, zmęczonym i głodnym.

– Jak chcesz to zrobić? – spytała. – Nie mamy już pieniędzy.

– Ale mamy to. – Wyciągnął zza paska pistolet.

– Chcesz je ukraść?

– Ostatnim razem takie rozwiązanie ci się spodobało – odparł.

Przypomniała sobie swoją euforię, gdy obrobiła tamtego obleśnego typa na parkingu przed sklepem. Ale to było przed tym wszystkim. Teraz już miała serdecznie dosyć.

– Zobaczysz, będzie fajnie. – Uśmiechnął się.

Przypomniała sobie jeszcze coś. Kochali się w nocy na tylnej kanapie. Widziała ognisko przez otwarte drzwi. Był nieco brutalny, jakby próbował powetować sobie ucieczkę pani

prokurator, jakby chciał się odegrać za tamto upokorzenie. Nie było to zbyt przyjemne. Przez chwilę wydawało jej się nawet, że znów leży na niej tamten mężczyzna, którego zostawiła martwego w swoim mieszkaniu.

– No, dobra – powiedział, przeciągając się. – Czas się zbierać. Zjadłbym coś.

Leżeli na złożonej tylnej kanapie, nogi trzymając w bagażniku, przykryci czym się tylko dało. Było tu nawet całkiem ciepło, lecz panował trudny do wytrzymania zaduch. Zapach dwóch niemytych ciał połączony z przemieszanyymi smrodami wszystkich rzeczy, które kiedyś wylały się na tapicerkę lub zostały w nią wtarte. Do tego woń przetrawionego alkoholu – to akurat zawdzięczała sama sobie. Nic dziwnego, że chciało jej się rzygać.

– Poczekaj – odparła. – Muszę się umalować.

– Umalować? – Spojrzał na nią jak na idiotkę. – Po co?

Podeszła na czworakach do przodu i przejrzała się we wstecznym lusterku. Jeśli kiedykolwiek miała jakiś makijaż, starł się i zmył wczoraj w rzece. Zapomniała już niemal, jak prezentuje się jej twarz bez tych wszystkich mascar, szminek i podkładów. Nie za korzystnie, szczerze mówiąc. Teraz nikt by jej na pewno nie poznał, nawet gdyby nie zakładała maseczki.

– Jeśli mamy udawać Bonnie i Clyde’a – odpowiedziała – nie mogę wyglądać jak ostatni menel.

ROZDZIAŁ 72

Jeździli już od ponad dwóch godzin, włącząc się po wsiach i bocznych drogach, omijając miasta i główne szlaki. Raz tylko zatrzymali się przy wiejskim sklepie, gdzie za absolutną resztkę pieniędzy kupili dwie bułki i kefir, co musiało im wystarczyć za śniadanie.

– Czego my w zasadzie szukamy? – spytała w pewnej chwili.

– Nie wiem – odpowiedział. – Jak to znajdziemy, to ci pokażę.

Z nudów zaczęła przeglądać zawartość schowków i bocznych kieszeni samochodu. Gliniarz, któremu go zwinęli, nie był specjalnie porządnym człowiekiem. Oprócz kilku plastikowych butelek z niedopitymi gazowanymi napojami, wciśniętych w najróżniejsze miejsca opakowań po fast foodach i kilku śmieci niewiadomego pochodzenia, znalazła też parę ciekawych rzeczy: niepełną paczkę nabojów, policyjne kajdanki oraz całą kolekcję wyrobów zawierających nikotynę – paczkę papierosów, tabakę i okrągłe pudełeczko snusu, specyfiku, który poznała podczas swojej podróży do Szwecji, składającego się z mielonego, wilgotnego tytoniu, zapakowanego w małe, papierowe torebeczki, które wkładało się pod wargę.

Kajdanki i naboje położyła przy dźwigni zmiany biegów, resztę rozłożyła przed sobą nad schowkiem.

– Daj mi to. – Wskazał białe pudełeczko snusu. – To lepsze niż kawa.

Odkręciła wieczko i podała mu jedną torebkę. Drugą, po chwili wahania, wcisnęła sobie pod wargę. Przez dłuższy czas nic się nie działo. Pomyślała nawet, że może tytoń jest zleżały albo że policjant, który go kupił, czegoś nie doczytał i wybrał snus pozbawiony nikotyny, bo i takie, jak słyszała, były. Ze swojego pobytu w Sztokholmie pamiętała, że mimo wszystko te małe torebeczki działały, może nie jakoś spektakularnie, ale dość zauważalnie.

O, jakże się pomyliła! Z pewnym opóźnieniem, lecz fala nikotynowa w końcu jednak nadeszła. I nie, tytoń w środku nie był zleżały, był bardzo mocny. Bez porównania z tym, z którym miała styczność w Szwecji.

Zaczęło jej się nagle i zupełnie niespodziewanie kręcić w głowie. I to jak! Miała wrażenie, że zaraz spadnie z siedzenia i to pomimo tego, że nie miała przecież za bardzo gdzie ani w którą stronę to zrobić. Dobrze, że była przypięta pasami. Chwyciła się mocno uchwyty nad drzwiami, a drugą ręką zaparła się o wieko schowka.

– Nieźle daje, co nie? – Usłyszała dobiegający gdzieś z przestrzeni głos. – Gość ma naprawdę kozacki towar.

Powstrzymała falę wymiotów.

– To na pewno jest tytoń? – spytała.

– Na pewno – potwierdził. – Po prostu nie jesteś przyzwyczajona. W snusie nikotyna wchłania się przez błonę śluzową bezpośrednio do krwi i stąd ten efekt.

Teraz już naprawdę było jej niedobrze.

– Możesz się zatrzymać? – spytała. – Zaraz puszczę pawia.

Zjechał na pobocze.

Wysiadła z samochodu i przeszła przez rów. Stała na skraju pola. Mdłości przychodziły i odchodziły, starała się łapać świeże powietrze, by je powstrzymać. Zobaczyła, że wysiadł z samochodu i oparty o niego plecami palił papierosa.

Dokładnie tak wyglądał, gdy po raz pierwszy go zobaczyła. Kiedy to było? Trzy dni temu? Straszliwie szybko wypełnił całe jej życie.

W końcu nie dała rady. Przechyliła się do przodu. Bułka z kefirem i wczorajszą cytrynowką użyźniły już i tak żyzną świętokrzyską ziemię.

Drogą nadjeżdżał jakiś samochód. Jej towarzysz też go dostrzegł. Patrzył na niego przez dłuższą chwilę, a gdy auto było już dostatecznie blisko, wyszedł nagle na środek jezdni i zaczął gwałtownie machać obiema rękami.

Samochód włączył kierunkowskaz, zjechał i stanął tuż za nimi. Biały ford kuga na ukraińskich tablicach.

Kierowca wysiadł z auta.

– Pomóc w czymś? – spytał z charakterystycznym wschodnim zaśpiewem.

– Żona jest w ciąży, bardzo źle się czuje, wiozłem ją do szpitala. – Usłyszała wypowiedane w oddali słowa. – Ale złapałem gumę, a tu patrzę: nie mam lewarka! Lewarka, rozumiesz? – Zobaczyła wykonany ręką gest kręcenia korbką. – Musiałem go zostawić w garażu, jak wymieniałem opony na letnie.

– Da, wiem, co to lewarek – odparł ukraiński kierowca. – Pożyczę.

Obserwowała to wszystko ciągle pochylona, z dłońmi opartymi o kolana. Bała się podnieść, bo jej żołądek jeszcze nie powiedział zdaje się ostatniego słowa.

Kierowca podszedł do swojego auta, otworzył bagażnik i wyjął z niego czarny podnośnik. Wrócił z nim do ich samochodu, a potem obszedł go dookoła.

Drogą przejechała ciężarówka. Poczowała podmuch jej pędu.

– Gdzie guma? – spytał Ukrainiec. – Nie ma żadnej gumy. Gdzie dziura?

Jej towarzysz poczekał, aż minie ich kolejny samochód.

– A tu – powiedział. Wyjął zza paska pistolet, przystawił mężczyźnie do czoła i strzelił.

Widziała to dokładnie ze swojej pochylonej pozycji. Krótki błysk, wybuch światła między lufą a głową, a potem, w tej samej niemal chwili, czerwony rozprysk tuż za nią. Pod ukraińskim kierowcą ugięły się kolana, a później przewrócił się do tyłu, wprost do rowu. Było to tak nagłe i niespodziewane, działo się tak szybko, że nie zdążyła się niemal zorientować, co się stało. Tylko jej ciało zareagowało odruchowym wzdrygnięciem na huk wystrzału. A potem wyrzuciło z siebie kolejną porcję płynu.

* * *

Nie mogła zasnąć, a gdy to jej się w końcu udało, śniły jej się dziwne rzeczy. Gonił ją chłopak z góralską ciupagą, taką, jaką można kupić na pamiątkę w Zakopanem. Jej ostrze było czymś umazane, a ją najbardziej zajmowało nie to, jak mu uciec, lecz czy ta ciemna maź to krew, czy coś innego.

Obudziła się zdziwiona – skąd jej się nagle wzięła ta ciupaga? Ciupaga – siekiera – narzędzie zbrodni – morderstwo: analizowała w myślach. Niby wszystko w zgodzie z jej zawodem i tym, czym się teraz zajmuje, ale jednak jakby trochę bez sensu. Młody chłopak, dziecko prawie, i pamiątkowa, drewniana siekiera – zagrożenie nie było więc zbyt realne, zresztą nie bała się w tym śnie. I to nurtujące ją tam pytanie: jest krew czy nie ma krwi? Czyli: było morderstwo czy go nie było? Tak to należy odczytać?

Odegnęła od siebie tę marę, pozwoliła, by rozplynęła się niczym mgła w słońcu docierającej do niej coraz wyraźniej

rzeczywistości. Spojrzała na zegarek. Od momentu, w którym się położyła, minęły niecałe trzy godziny. Było nieco przed pierwszą po południu.

Podniosła komórkę i spojrzała na wyświetlacz. Zanim zasnęła, wyciszyła dźwięk, by nikt jej nie obudził. Miała kilka nieodebranych połączeń. Nie sprawdziła nawet, od kogo. Jeśli Nowaczyk umarł, nie chciała tego wiedzieć teraz.

Wybrała za to numer Aleksanderskiego. Zadzwoiła.

– No, proszę – odezwał się w słuchawce bez żadnych „halo” i „co tam słyhać”. – Dwa telefony w tygodniu? Albo naprawdę potrzebujesz pomocy, albo dotarło do ciebie wreszcie, jak zajebistym jestem facetem.

Uśmiechnęła się mimo podłego nastroju.

– Jedno i drugie – powiedziała. – I w obu tych sprawach chciałabym się spotkać.

– Jak zgaduję, natychmiast?

– Znakomita dedukcja, panie komisarzu.

ROZDZIAŁ 73

Wyprostowała się. Z miejsca, gdzie stała, widziała leżące w rowie ciało. Droga przejechały dwa samochody. Jeden w jedną, drugi w drugą stronę. Kierowca żadnego z nich nie miał szans dojrzeć tego, co ona. Zobaczyli tylko dwa stojące na poboczu samochody, z których jeden miał włączone awaryjne światła, i dwoje ludzi obok nich – nic specjalnie podejrzanego.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała.

– Co? – odkrzyknął.

– Dlaczego to zrobiłeś???! – wrzasnęła.

– Uspokój się – powiedział głośno. – To było jedyne wyjście.

Zaczęła się trząść. Na całym ciele. Nie odczuwała strachu, paniki, oburzenia, zgrozy – po prostu się trzęsła.

Przeskoczył rów i podszedł do niej.

– Uspokój się – powtórzył i ją objął. – Musiałem to zrobić – powiedział. – To jedyny sposób, by nas nie złapali.

Spojrzała na niego.

– Jak to jedyny sposób?! Co ty mówisz? – Nie potrafiła zrozumieć. – Przecież to Ukrainiec, nie znał nas, nie rozpoznał, pewnie nawet nie wiedział, że istnieję... Po co go zabiłeś?

– Po pierwsze, nie wiadomo, czy nie wiedział. Mówił dobrze po polsku, więc pewnie często tu bywał. Mógł słyszeć o sprawie, a nawet znać cię z mediów. Ale nie o to chodzi.

– To o co?

– O jego samochód – wyjaśnił. – To jedyny sposób, byśmy zdobyli nowe auto, nie zostawiając po sobie żadnych śladów. Nie możemy go kupić, bo nie mamy pieniędzy; nie możemy ukraść, bo policja połączy fakty i będzie go szukać. A tego – wskazał na białego forda – nie będzie. Zanim rodzina jego właściciela zorientuje się, że zaginął w obcym kraju, zanim złoży zawiadomienie na ukraińską policję, zanim tamta skontaktuje się z naszą, minie naprawdę dużo czasu. A my będziemy sobie nim spokojnie jeździć.

– I dlatego musiałeś zabić niewinnego człowieka?! – spytała.

Pogładził ją dłonią po włosach.

– Zrobiłem to dla ciebie – odparł.

Popatrzyła na leżące w rowie zwłoki. Wydało jej się, że jeszcze drgają w śmiertelnych konwulsjach.

Poczuła, i nieco ją to przeraziło, że bardzo chce przyjąć to wytłumaczenie. I że w zasadzie nie ma wyjścia, musi to zrobić. Bo gdyby je odrzuciła, musiałaby zrobić coś, czego w tym momencie nie chciałyby i nie mogła – poddać się i uznać, że od początku wszystko było błędem. I sprzeciwić się temu mężczyźnie, a tego by nie potrafiła. Potrafiłaby go zabić i być może kiedyś będzie musiała to zrobić, ale sprzeciwić by mu się nie umiała.

Zrozumiał chyba, że nie będzie już robić afery.

– Musimy tylko ukryć ciało – powiedział. – Nie mogą póki co go znaleźć.

Wsiadł do białego forda, którego silnik wciąż pracował, i przeparkował go tak, by jego bagażnik był jak najbliżej człowieka leżącego w rowie. Potem wysiadł i otworzył klapę.

– Musisz mi pomóc – powiedział. – Trzeba to zrobić szybko, kiedy nikt nie będzie jechał.

Poczekali, aż szosa będzie całkowicie pusta, wzięli ciało – on pod ramiona, ona za nogi – i wtargali je do bagażnika. Starła

się nie patrzeć na głowę trupa, na dziurę w jego głowie, na szkliste oczy i otwarte w jakiś niewytłumaczalnie nieprzyzwoity sposób usta. Patrzyła na swoje stopy, próbując się nie przewrócić pod tym ciężarem. Mimo to rzuciła raz okiem na jego twarz. Nic w sumie strasznego, pomyślała. Widziała gorsze rzeczy.

– Umiesz jeździć samochodem? – spytał.

– Nie mam prawa jazdy.

– Nie pytam, czy masz prawo jazdy, ale czy umiesz jeździć – powtórzył z nutą zniecierpliwienia.

Kiedyś, w liceum jeszcze, robiła kurs, ale zrezygnowała po drugim oblanym egzaminie.

– Trochę – odpowiedziała.

– Musimy stąd odjechać – powiedział. – I to oboma samochodami. Stary porzucimy wystarczająco daleko od tego miejsca, żeby nikt nie znalazł obok niego śladów krwi. Rozumiesz?

Kiwnęła głową.

– Którym wolisz jechać? – spytał.

Na pewno nie tym z trupem w bagażniku, pomyślała.

– Tamtym. – Wskazała samochód, który ukradli policjantowi.

– To wsiadaj – rozkazał. – Jedź za mną.

– A co zrobimy z ciałem? – spytała.

Zastanowił się.

– Najlepiej, żeby na razie jeździło z nami – odparł. – Za duże ryzyko, gdyby je znaleźli. Może potem coś wymyślę.

Usiadła za kierownicą. Jak to było? Przekręciła kluczyk w stacyjce. Samochód ostro szarpnął do przodu i zgasł. No tak, był na biegu. Tak samo zrobiła na swoim pierwszym egzaminie. To jednak jeszcze nie był powód jego zakończenia. Powodem było to, że nie zwolniła ręcznego hamulca i przejechała na nim

kilkaset metrów. I to pomimo kilku naprowadzających sugestii egzaminatora.

Wcisnęła sprzęgło i wrzuciła jałowy bieg. Spróbowała ponownie odpalić silnik. Tym razem się udało. Zapięła pasy. W tym czasie biały ford kuga wykręcił i ustawił się przed nią.

Wrzuciła jedynkę i poczekała, aż samochód przed nią ruszy. Potem puściła sprzęgło i wcisnęła gaz. Silnik zawył z bólu. Za mocno nacisnęła pedał. Auto wyrwało do przodu, a ona przez chwilę kompletnie nie wiedziała, co się dzieje. Opanowała się jednak i ogarnęła na tyle, by wrzucić dwójkę. A potem trójkę. Ścisnęła kierownicę z całych sił, aż zbieleły jej kłykcie. Ale jechała. Poczowała nawet coś w rodzaju satysfakcji.

Przejechali kilometr albo dwa. Albo pięć – nie miała pojęcia. Ręce i nogi bolały ją, bo ich mięśnie miała napięte do granic możliwości. Każdy samochód, który mijał ich z naprzeciwka albo wyprzedzał, wzbudzał w niej falę paniki. Zaciskała wtedy jeszcze mocniej dłonie na kabłąku kierownicy, bojąc się, że przypadkiem skreśli i doprowadzi do czołowego zderzenia.

Przynajmniej nie myślała dzięki temu o tym, co się przed chwilą stało. O tym biednym, nieszczęsnym człowieku, który skądś dokądś po coś jechał i który nigdy już tam nie dojedzie. Którego wszystkie plany – zarówno te najbliższe, dotyczące obiadu, jak i dalsze, odnoszące się do wakacji, nie mówiąc już o tych najbardziej odległych, obejmujących budowę domu czy wyprawienie wesela córce – już nigdy nie zostaną zrealizowane. A to wszystko dlatego, że w ludzkim odruchu zatrzymał się, by spytać, czy nie potrzebują pomocy. Czy ona nie potrzebuje pomocy.

Chociaż nie, myślała o tym, choć nie oblekała tego w jasne i jednoznaczne formuły. Tłukło się to po jej głowie gdzieś tuż pod powierzchnią świadomości, kłuło pod żebrami za każdym razem, gdy wzrok zatrzymywał się na drzwiach bagażnika

jadącego przed nią samochodu. Leżał tam kolejny człowiek, który stał się trupem z jej powodu. Tym razem nie miała żadnych usprawiedliwień mówiących, że to jego wina. Że sam to na siebie sprowadził. Był absolutnie niewinny, nic jej złego nie zrobił. Zabiła go tylko dlatego, że przypadkiem się z nią zetknął. Jakby była trucizną, przy której obumierało wszelkie życie, jakby emitowała śmiertelne promieniowanie. Może więc problem tkwił w niej, nie w tych wszystkich mężczyznach, których przyzwyczała się oskarżać? I może rację miał jej ojciec, mówiąc, że jest zła i że to wszystko przez nią?

ROZDZIAŁ 74

– Proszę, tylko nie znowu do tej chińskiej knajpy – powiedział. – Mam potem gazy i jeździ mi po żołądku. Jeśli mam czymś katować swoją wątrobę, zdecydowanie wolę, by był to alkohol.

– Może po prostu przyjedziesz do mnie? – zaproponowała.

Zgodził się i był teraz u niej. Zrobiła mu herbatę. Szczerze mówiąc, niewiele więcej mogła zaproponować. W jej lodówce wałały się nędzne resztki jakichś serków topionych. Całe szczęście przyniósł z sobą pączki.

– Chyba rzeczywiście się starzeję – powiedział. – Coraz mniej piję, a coraz więcej jem słodczy. Czyli z powrotem dziecinnieję. Najchętniej żywiłbym się kanapkami z dżemem i słodkimi bułeczkami.

– Nie ma w tym nic złego – odpowiedziała. – Nie ufam ludziom, którzy nie jedzą ciastek.

– W takim razie możesz mieć do mnie pełne zaufanie. – Roześmiał się.

Dobrze, że do niego zadzwoniła. Gdy wszedł i usiadł na jej kanapie, od razu poczuła się lepiej. Miała ochotę wtulić się w niego i rozplakać jak mała dziewczynka.

Zauważył to, wyczuł, a może po prostu domyślił się, że ma kłopoty.

– Siadaj – klepnął dłonią w siedzenie kanapy – i opowiadaj.

Zrelacjonowała mu z najdrobniejszymi szczegółami wydarzenia ostatniej nocy, nie pomijając swoich oskarżeń względem siebie. Pokiwał z namysłem głową.

– Poznałem kiedyś Nowaczyka – powiedział. – Na imię ma Rajmund, prawda? Twardy gość, jeden z tych, co nie muszą wkładać hełmu, bo noszą go już pod włosami na głowie. Takiego łba byle co nie rozbije. Raczej nic mu nie będzie.

– Oby – odpowiedziała. – Co nie zmienia faktu, że zachowałam się głupio i nieodpowiedzialnie.

Wzruszył ramionami.

– Gdybyś ich złapała, wszyscy by cię chwalili – zauważył. – A w sumie byłaś blisko. Wytropiłaś ich. Gdyby to szło normalnym trybem, nasi by też na to wpadli, ale pewnie dopiero dzisiaj. A wtedy Gierszewskiej dawno by w tamtym domu nie było. Dzięki tobie mieliśmy szansę ich dorwać. Po prostu się nie udało.

– Naraziłam życie kolegi – powiedziała.

– To jego praca – odparł. – Ryzyko jest wpisane w ten zawód. Jakim byłby gliniarzem, gdyby siedział na dupie, zamiast próbować złapać przestępcę? Nie zadręczaj się. Dowódca powinien unikać strat, ale nie może dać się sparaliżować strachem przed nimi.

– Pocieszasz mnie, bo mnie lubisz.

– Jasne. Ale gdybym cię nie lubił, pomyślałbym to samo. Tylko po prostu bym ci o tym nie powiedział.

No dobra, nie potrafiła się już dłużej powstrzymać. Przytuliła się do niego i schowała twarz w klapę jego marynarki. Pogłaskał ją niezdarnie szorstką dłonią po włosach.

– Jak mogę ci pomóc, dziecko? – spytał.

Jakże inaczej brzmiało to jego „dziecko” od tego samego słowa w ustach prokurator Kostrzewskiej! Poczula, że oczy zaczynają jej wilgotnieć.

- Na początek mnie adoptuj – powiedziała.
- Da się zrobić. – Roześmiał się dobrodusznie.
- A potem pomóż mi ich złapać.

* * *

Wjechał do lasu, zrobiła to samo. Po kilkudziesięciu metrach zatrzymał się. Stała obok niego. Ręce, nogi i kark miała całe zeszywniałe. Gdy zdjęła wreszcie nogę z gazu, poczuła, że drga jej łydka.

Wsiadł. Podeszedł do jej auta. Otworzyła drzwi. Z trudem udało jej się stanąć na ziemi. Wszystko ją bolało.

- Tu będzie dobrze – powiedział. – Nie widać nas już z drogi. Może nie znajdą samochodu tak od razu.

Rozejrzała się. Las był piękny, gęsty, z przewagą drzew liściastych. Asfaltowej drogi faktycznie nie było już stąd widać.

- Może go tu zostawimy? – spytała. – Tego Ukraińca.

Nie uśmiechało jej się jeździć z trupem w bagażniku.

- Przy samochodzie tego gliniarza? Zwariowałaś? Przełóż swoje rzeczy i nie wymyślaj.

Znów ten ton. Zniecierpliwiony, protekcjonalny, rozkazujący. Nie zareagowała na to jednak. Jak zwykle w takich sytuacjach. Wzięła worek ze swoimi ciuchami z tylnego siedzenia. Kijdanki i paczkę z nabojami włożyła do kieszeni bluzy, nie mówiąc mu o tym. Była to jej mała zemsta.

- Gdzie mam to włożyć? – spytała z czarnym workiem w ręku.

- Jak to gdzie? Do bagażnika.

- Ale tam jest...

- Przecież cię nie ugryzie.

Otworzył klapę forda i zaczął przeszukiwać zwłoki. Patrzyła na to z mieszaniną odrazy, grozy i fascynacji.

– Telefon, pieniądze i karta kredytowa. – Pokazał jej swoje znaleziska. – Możemy tego tymczasem używać. Przynajmniej póki nie zorientują się, że zaginął.

Wyjął jej z ręki worek i położył w nogach trupa. Chciała zaprotestować, ale nie zdążyła. To było teraz miejsce nieczyste. W jakiś pierwotny, archaiczny sposób.

Odszedł od bagażnika, by zabrać swoje rzeczy z ich poprzedniego auta. Została sam na sam ze zwłokami. Dobrze, że chociaż twarz była przykryta jakąś szmatą.

Podeszła bliżej, sama nie wiedząc dlaczego. Z lasu dochodził jakiś dziwny dźwięk. Musiał wydawać go ptak albo inne zwierzę, trudno to było rozpoznać. Nie znała się na takich rzeczach. Była w końcu dzieckiem miasta.

Ciało wykręcone było w nienaturalny sposób, upchnięte na siłę w zbyt ciasnej przestrzeni bagażnika. Ciekawe, czy nastąpiło już stężenie pośmiertne, pomyślała. Chyba nie, było na to jeszcze zbyt wcześnie. W końcu ten człowiek zginął raptem kilkanaście minut temu.

Podeszła jeszcze bliżej, stanęła tuż nad zwłokami. Coś ją do nich ciągnęło, mimo odruchowej odrazy dla trupa. Jakiś rodzaj fascynacji, a może ciekawości, jak wygląda ten moment przejścia, gdy do niedawna żywy człowiek zamienia się stopniowo w przedmiot. Może chciała po prostu zobaczyć, jak będzie sama wyglądała, gdy ta chwili nastąpi i u niej? W końcu w sytuacji, w jakiej się znalazła, stawało się to coraz bardziej prawdopodobne.

Pewnie dlatego wyciągnęła w końcu rękę i dotknęła małego kawałka odsłoniętej skóry, jaki wystawał spod podciągniętej koszuli. Ciało było miękkie i ciepłe, jakby ten człowiek ciągle żył. Zdziwiła się, bo spodziewała się mimo wszystko czegoś

innego. Jakiejś sztywności, choć minimalnego chłodu, wrażenia obcowania z czymś innym, obcym. Ale może faktycznie upłynęło jeszcze zbyt mało czasu.

I wtedy znowu usłyszała ten dźwięk. Tylko wyraźniej. Ni to świst, ni to oddech, ni to charczenie.

– On nie umarł – powiedziała.

ROZDZIAŁ 75

Cofnęła się o dwa kroki zdjęta grozą, jakby to, że to ciało żyło, napawało ją większą odrazą niż wtedy, gdy myślała, że ma do czynienia z trupem.

– Co? – Usłyszała za sobą.

– On żyje – powtórzyła.

– Co ty pierdolisz??

Podszedł do bagażnika i stanął obok niej.

– Posłuchaj – powiedziała. – On oddycha.

Zbliżył się o krok i nachylił.

– Nic nie słyszę – odparł. – Masz jakieś zwidy.

Nie miał już jednak tak pewnego siebie głosu.

– Zdejmij mu tę szmatę z twarzy – powiedziała. – To się przekonasz.

Wyciągnął rękę. Wahał się przez chwilę, jakby zdjęty obawą, lecz w końcu chwycił za róg materiału. Potem pociągnął.

– Kurwa żeż jebana go mać – powiedział powoli.

Nie było wątpliwości. To, na co patrzyli, nie było twarzą trupa. Rysy nie stężały, nie zastygły ani nie opadły, z kącika ust ściekała strużka świeżej śliny, rana na czole wciąż lekko krwawiła.

– Jak to możliwe?! – spytała przerażona.

– Nie wiem – odparł dezorientowany. Wsunął palce we włosy, jakby próbował to wszystko ogarnąć. – Musiałem trafić

jakoś... Kula widocznie nie uszkodziła niczego ważnego... Gość miał cholerne szczęście...

– Albo pecha – zauważyła.

Człowiek, który leżał przed nimi w bagażniku, raczej nie był świadomy i nie wyglądał na kogoś, kto kiedykolwiek jeszcze mógłby odzyskać przytomność. Półprzymknięte oczy patrzyły szkliście spod ciężko zsuniętych powiek.

– Myślisz, że nas widzi? – spytał i nachylił się jeszcze bliżej.

Ciało wydało bliżej nieokreślony dźwięk.

– Ja pierdołę! – Odskoczył jak oparzony. Wyglądał na naprawdę oszołomionego. – Jak to, do kurwy nędzy, się stało?! Przecież trafiłem go w sam środek łba!

– Takie rzeczy się zdarzają – odparła. – Czytałam o tym kiedyś.

– No to niech się zdarzają, ale dlaczego mi?? Raz jeden w życiu strzelam komuś w głowę i takie coś?! – W jego głosie zabrzmiało dziecięce niemalże rozżalenie.

Stali i patrzyli w głąb bagażnika, nie bardzo wiedząc, jak się do tego odnieść i jak na to zareagować.

– Co z nim zrobimy? – spytała w końcu.

– Musimy go dobić – powiedział niepewnie.

– Nie – odparła.

– I tak jest warzywem. W zasadzie już nie żyje, tyle tylko, że oddycha.

– NIE – powtórzyła głośno.

Spojrzał na nią zaskoczony. Chyba nie spodziewał się tak stanowczego oporu.

– To jaki masz pomysł? – spytał z ironią. – Wozić go w bagażniku?

– Musimy go jakoś opatrzyć – powiedziała. – I zawieźć do szpitala.

– Chyba zwariowałaś! – Tym razem to on był stanowczy. – Dowiedzą się, kim jest, i za pół godziny cała policja w Polsce będzie szukać jego samochodu. Chcesz iść dalej pieszo?

Nie chciała. Ale nie mogła też pozwolić, by ten człowiek umarł. By po raz drugi umarł. Nie wiedziała dlaczego, ale była tego tak pewna, jak dawno już niczego w życiu. Podeszła do auta i zaczęła szukać apteczki. Pod podłogą bagażnika był schowek. Nie mogła go otworzyć, bo leżało na nim ciało.

– Pomóż mi – poprosiła.

Razem unieśli je trochę i wyciągnęli apteczkę. Człowiek z dziurą w głowie znowu jęknął.

W środku był bandaż, opatrunki i plastry. Wyjęła to wszystko i wypakowała z papierowych torebek. Opatrunki przyłożyła do otworów po obu stronach głowy i obwiązała wszystko bandażem. Gdy skończyła, spróbowała ułożyć ciało w nieco bardziej wygodnej pozycji.

– Musimy spadać. – Usłyszała za swoimi plecami. – Nie sądzę, szczerze mówiąc, żeby to wszystko zbyt wiele mu pomogło.

Odsunął ją i zamknął klapę. Zanim opadła, dostrzegła jeszcze szkliste, półprzymknięte oczy. Patrzyły na nią.

* * *

Wypili herbatę i zjedli pączki. Humor zdecydowanie jej się poprawił, prawdopodobnie z powodu cukru.

– No dobra. – Komisarz otarł wierzchem dłoni usta. – To co robimy?

Zastanowiła się.

– Śledztwo przejął ktoś inny – powiedziała. – Ale tylko nieoficjalnie. Formalnie jestem dalej szefem. Mogę cię przyjąć

do grupy śledczej jako konsultanta. Pozwoli ci to zapoznać się ze wszystkimi materiałami.

– Nie ryzykujesz przez to? – spytał.

– Być może – odparła. – Ale mam to w dupie. Przynajmniej na razie. Musimy więc działać szybko, zanim dotrze do mnie, że mogą mnie przez to delegować do Sanoka – zażartowała.

– Bardzo ładne miasto, co chcesz. – Uśmiechnął się. – I miałabyś blisko w Bieszczady.

– Zawsze wolałam morze – odparła. – Ale do Sopotu raczej nie zsyłają.

– W porządku – powiedział. – Ale opowiedz mi najpierw wszystko, co wiesz.

Zrobiła to, o co prosił. Starła się nie pominąć żadnego szczegółu. Słuchał uważnie, nie komentując niczego na bieżąco ani nie zadając pytań. Czasami tylko kiwał głową.

– Cwani są – powiedział, gdy już skończyła. – Nie używają telefonów ani kart, omijają monitoring, zmienili samochód na taki, którego nie było szans namierzyć. Miałaś szczęście, że ich dorwałaś.

– Ale uciekli.

– Uciekli, ale są teraz w dużo gorszej sytuacji – zauważył. – Myślisz, że on jest tam mózgiem?

– Nie mam pojęcia – stwierdziła. – Początek tej historii jest dla mnie ciągle zagadką. Zdaje się, że to on zaaranżował całą sytuację. Być może łącznie z zabójstwem Kozery. Ale z drugiej strony, to mógł być tylko skutek uboczny, którego wcale nie planował. Może chciał ich po prostu skłócić, licząc, że dzięki temu uda mu się jakoś do niej zbliżyć. I w pewnym momencie cała rzecz wymknęła mu się spod kontroli. Był zwykłym stalkerem, który nie przypuszczał, że jego działania doprowadzą do morderstwa. Bo nie wiedział, że Gierszewska ma za sobą historię, która może ją do czegoś takiego popchnąć.

No i nie jest wcale taki cwany. To, że najpierw zabili jego ojca, a potem ukryli się w domu babci, nie było zbyt mądre.

– Może nie miał wyjścia. Raczej nie mogli przebierać w noclegach. Liczył pewnie, że tak szybko na to nie wpadniecie. A ona? – spytał.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie mogę jej do końca rozgryźć. Był taki moment, że o mało nie przeszła na naszą stronę. Była gotowa go zdradzić, ale być może zrobiła to z przyczyn koniunkturalnych. Twierdziła, że ją porwał, spytałam ją o to. Ale nie wyglądała na kogoś, kto jest do czegoś zmuszany. Nie mam pojęcia, jaka jest jej rola w tej sprawie. Czy jest ofiarą, czy współwinną. Może jednym i drugim. Jedno wiem na pewno: muszę ją złapać.

– To wiadomo – powiedział.

– Nie rozumiesz. – Pokręciła głową. – Nie chodzi o ambicje ani o sport. O to, czy ja będę lepsza, czy oni. Ani nawet, czy zatryumfuje sprawiedliwość, czy nie. Muszę to zrobić, bo inaczej mnie uwalą. Zrobią ze mnie kozła ofiarnego, tak jak kiedyś mówiłeś. Muszę ją złapać i muszę to zrobić w spektakularny sposób, w świetle reflektorów. Tylko wtedy wyjdę z tego cało.

ROZDZIAŁ 76

Ruszyli. Nie odzywali się do siebie. Nie mogła przestać myśleć o leżącym z tyłu w bagażniku człowieku. Auto jeszcze pachniało nowością. Właściciel musiał je kupić nie dalej niż rok temu. Nie najeździł się nim specjalnie.

Na desce rozdzielczej przyklejona była mała prawosławna ikona. Przedstawiała Matkę Boską. Miała zapewne chronić kierowcę przed wypadkiem. No to nie ochroniła. Choć może to jej interwencji właśnie zawdzięczał to, że ciągle żyje? Może to ona wiodła kulę tak, by nie uszkodziła rejonów mózgu odpowiadających za oddychanie i bicie serca? Wyciągnęła rękę i dotknęła ją palcami. „Jeśli ty to sprawiłaś, mi też pomóż”, powiedziała w myślach. „Nie wiem jak, ale mi pomóż”.

– Jak on się nazywa? – spytała.

– Kto?

– Nie udawaj, że nie wiesz, o kim mówię. Ten facet z tyłu.

– Skąd mam to niby wiedzieć?

– Widziałeś jego dokumenty, karty kredytowe.

– Nie myśl o nim w ten sposób – powiedział. – Nie nazywa się. To tylko kawał mięsa, zombie, żywy trup. Śmieć, którego nie możemy wyrzucić, żeby psy nie złapały naszego tropu. Tak go traktuj.

– Pokaż mi te dokumenty.

– Nie.

– Pokaż mi je.

– Nie rozumiesz? – Spojrzał na nią. – Nie! To nie jest człowiek. Nigdy nim nie był. Nie dla nas. To tylko przeszkoda w drodze do celu i środek do jego osiągnięcia. Sarna, która wpadła nam pod koła.

– Ma pewnie rodzinę, żonę, dzieci...

– Kurwa mać! – Uderzył dłońmi w kabłąk kierownicy. – Przestań tak o nim mówić! Nie nakręcaj się. Ani jemu to teraz nie pomoże, ani nam!

– Podobało to ci się, przyznaj – powiedziała zjadliwie. – To, jak strzeliłeś mu z bliska w głowę. Pewnie ci stanął z podniecenia. Tyle tylko, że spieprzyłeś sprawę.

– A tobie się nie podobało, jak rozbijałaś swojemu menadżerowi łeb statuetką? – spytał. – Podobało ci się, przyznaj – mówił, jakby ją przedrzeźniał. – Może też miałaś mokro w majtkach?

Zamilkła. Nie było sensu tego dalej ciągnąć.

– To zaszło za daleko – powiedziała po chwili. – To wszystko.

– W którym momencie? – spytał z ironią. – Dopiero teraz, czy wtedy, gdy zabijałaś swojego faceta? A może wtedy, gdy wykorzystowałaś mnie, by uciec z miejsca zbrodni?

Nie odpowiedziała.

– Słuchaj – powiedział. – Jeśli myślisz, żeby to skończyć, oddać się w ręce policji czy co tam jeszcze, to pamiętaj, że to ty mnie w to wszystko wciągnęłaś. Wpakowałem się w to przez ciebie. I jeśli się poddasz, pójdę do więzienia. Za to, że chciałem ci pomóc. Nie bardzo mi się to uśmiecha, rozumiesz?

Zabrzmiało to jak groźba. Zawoalowana, ale groźba.

– Zaraz. – Spojrzała na niego. – Skąd wiesz, że zabiłam go statuetką? – spytała.

– Co? – Nie odwzajemnił spojrzenia.

– Skąd wiesz, że rozbiłam mu głowę statuetką? – powtórzyła dobitniej.

Nie odpowiedział od razu.

– Mówili o tym zdaje się w wiadomościach.

– Nie słuchaliśmy radia – zauważyła. – I nie przeglądaliśmy internetu. Żeby nas nie namierzyli. Gdzie o tym usłyszałeś?

– Chyba na tej stacji benzynowej.

– Wtedy, zaraz, pierwszego dnia?

– Chyba tak.

– Takich rzeczy nie podaje się w wiadomościach radiowych. Że ktoś kogoś zabił statuetką. Policja nie ujawnia takich informacji.

– O co ci chodzi?

– Chcę tylko, żebyś mi powiedział, skąd to wiesz?

– Nie pamiętam. Może jak wtedy nocowaliśmy w tamtym domu, gdzieś mi to wpadło. Tamten facet miał komputer, pamiętasz? Może coś mi powiedział. Nie pamiętam.

Patrzyła na niego uważnie, badawczo. Dopiero teraz rzucił jej krótkie spojrzenie.

– Co? – spytał.

– A może dowiedziałeś się tego w inny sposób?

– Jaki?

– Nie wiem. Ty mi powiedz.

– Zwariowałaś? W jaki niby inny sposób mógłbym się tego dowiedzieć?

– No właśnie też się zastanawiam.

Jechali dalej w milczeniu. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie przysłuchiwać się, czy z tyłu nie dobiegają jakieś odgłosy. A może tamten człowiek już nie żył? Włączyła radio, by zagłuszyć te myśli. Na tym zadupiu odbierały tylko dwie największe rozgłośnie z najgorszą popową sieczką. Chwilę próbowała tego słuchać, ale nie dała rady. Samochodowy odtwarzacz miał jeszcze szparę na płyty CD – rzecz już rzadko spotykaną w nowych samochodach. Włączyła odtwarzanie.

Z głośników popłynęła solidna, rockowa muzyka. Poznała ten zespół – The Ukrainians, kiedyś już się z nim zetknęła. Brytyjska kapela tworzona przez muzyków z ukraińskimi korzeniami, grająca rockowe wersje tradycyjnych ludowych pieśni. Całkiem to było dobre. Gość więc do tego miał niezły gust.

Poczuła pustkę. Nie wiedziała, co dalej. Wszystko to było tak absurdalne, jak tylko mogło być. Jakby śniła jakiś męczący koszmar. Co powinna zrobić, żeby się z niego obudzić? Co powinna zrobić w ramach tego koszmaru? Czy był możliwy w ogóle jakikolwiek racjonalny plan? Po co i dokąd teraz jechali? Wciąż do Zakopanego? Żeby uciekać, trzeba mieć choć minimalne wyobrażenie, dokąd i w jakim celu się to robi. Jakąś nadzieję, jakąś wiarę, że gdzieś tam jest bezpieczna przystań, do której się dąży. Oni nie mieli niczego takiego. Co mogli zrobić? Spróbować uciec z Polski? Można by sobie to wyobrazić. Zwłaszcza teraz, gdy mieli samochód na ukraińskich numerach i dokumenty jego właściciela. Z nią w bagażniku zamiast tamtego półtrupa mogli spróbować przekroczyć granicę, licząc, że pogranicznicy do niego nie zajrzą. A potem przedrzeć się do Donbasu, Rosji lub nawet Azji Środkowej i zniknąć na zawsze. Tylko co by tam robili? Bez pieniędzy, bez znajomości języka, bez – jak w jej przypadku – żadnego konkretnego fachu w ręku. I przede wszystkim – czy naprawdę chciałoby się jej to robić? Chyba nie.

Pozostawało więc Zakopane. Pomysł, który wpadł jej do głowy pierwszego dnia. Równie absurdalny jak wszystko inne. Ale nie miała lepszego. Mający sens tylko w jednym przypadku. Jeśli będzie kłamrą, która zakończy jej życie.

Chyba że udałoby jej się zrealizować to, czego była przez chwilę tak blisko. Oddać się w ręce policji i całą winę zrzucić na niego. Byłoby to dosyć podłe, bo w jednym miał rację – to ona go w to wciągnęła, to przez nią w tym siedzi. Jeśli teraz rzuci go

psom na pożarcie, postąpi jak najgorsza suka. Taka, która najpierw pozwala sobie pomagać, a potem odwdzięcza się ciosem w plecy. Ale byłyby to w sumie jedyny sposób, żeby wrócić do rzeczywistości sprzed koszmaru, z normalnym życiem, występami i rozwijającą się mniej lub bardziej karierą. Bez dokonywania wyboru między więzieniem, tułaczką w biedzie a skokiem w przepaść. Tyle że zapłaciłaby za to życiem tego człowieka, który siedział obok niej, pomagał jej i nigdy nie zrobił jej nic złego.

Choć, z drugiej strony, strzelił przed momentem w czoło innemu zupełnie niewinnemu człowiekowi, który też chciał im tylko pomóc.

Przekręciła głowę i spojrzała na niego. Prawda była taka, że nawet go nie lubiła. Spała z nim, dzieliła z nim los, ale odczuwała wobec niego jakąś instynktowną niechęć. Tylko czy jest to wystarczający powód, by stała się skurwysynem?

Wyczuł, że na niego patrzy, i też na nią spojrzał.

– Co? – spytał.

– Nic – odpowiedziała.

Poza wszystkim nie byłoby to łatwe. Był ciągle obok niej i do tego miał broń. I jak to już pokazał, był w stanie jej użyć.

ROZDZIAŁ 77

– A co z tą sprzątaczką? – spytał.

– Z tą Ukrainką?

– Tak.

– Co masz na myśli?

– Jakoś żeś o niej zapomniała – powiedział. – Była na miejscu, znalazła ciało, posprzątała, zacierając ewentualne ślady, i co, i nic?

– Jej tłumaczenia brzmiały wiarygodnie. Wszystko wskazywało, że to był przypadek – odpowiedziała.

– Takie działania rzadko są przypadkowe – zauważył. – A nawet jeśli, warto mieć co do tego absolutną pewność.

Miał rację. Zupełnie pominęła ten wątek. Może dlatego, że zbyt dużo i zbyt szybko się przez te ostatnie dni działo. Ale mogło być też inne wytłumaczenie i dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Takie, że rasistowskie uwagi podkomisarza Nowaczyka tak ją oburzyły, iż podświadomie uznała to za niegodne uwagi.

– Co sugerujesz? – spytała.

– Przesłuchajmy ją jeszcze raz – odparł. – Razem.

– Wezwę ją do prokuratury – powiedziała.

– Nie. – Pokręcił głową. – Odszukajmy ją i zrobmy to bez uprzedzenia. Pewnie uważa, że sprawa jest już załatwiona, więc nie będzie się tego spodziewać. Jeśli jest niewinna,

przysporzymy jej tylko stresu, lecz jeśli nie, może się przez to wysypie.

Popatrzyła na zegar na ścianie. Było przed piętnastą. Normalny dzień roboczy, sprzątaczką była więc raczej w pracy. W którymś z prywatnych mieszkań nie wiadomo gdzie. Miała co prawda adres jej zamieszkania, ale zjawi się pewnie tam dopiero wieczorem. Miała też jej numer telefonu, ale nie mogła przecież go użyć, skoro chcieli działać z zaskoczenia.

Chociaż nie, mogła.

Odszukała go w swoich papierach i podsunęła Aleksanderskiemu.

– Zadzwoń do niej – powiedziała. – I powiedz, że jesteś zainteresowany sprzątaniami. Dostałeś jej numer z polecenia. Sprawa jest pilna, chodzi o dziś, bo twoja żona właśnie cię zawiadomiła, że wraca wcześniej, a ty musisz usunąć ślady tego, co działo się w mieszkaniu. Płacisz potrójną stawkę. Wyślesz po nią taksówkę, jak skończy tam, gdzie teraz sprząta, tylko potrzebujesz adres.

Komisarz gwizdnął z podziwem.

– Co za intryga, pani prokurator! Mogłabyś pracować w wywiadzie. Myślisz, że to kupi?

– Forsa usypia czujność – powiedziała. – I to nie tylko biednych ludzi. Dalej, nie ma na co czekać – pospieszyła go.

* * *

Zatrzymali się w przydrożnym supermarkecie w jednej z mijanych miejscowości. Potrzebowali jedzenia, picia oraz środków czystości. Zaparkowali na najdalszym, najbardziej odosobnionym miejscu na parkingu.

– Kto idzie? – spytała. – Ty czy ja?

– Idziemy oboje – odpowiedział.

– A on? – Wskazała głową do tyłu. – Nie lepiej, żeby ktoś z nim został?

Wzruszył ramionami.

– Przecież nie ucieknie.

– A jak ktoś coś usłyszy z bagażnika? – spytała.

– W tym stanie raczej nie krzyknie „pomocy” – zauważył cynicznie.

Włożył pistolet za pasek spodni, wysiadł. Obszedł samochód i stanął przy jej drzwiach. Spojrzała na niego przez szybę. Czekał na nią.

Czyżby jej nie ufał? Pilnował jej? Nie chciał zostawić samej, żeby nie przyszło jej do głowy uciec i zgłosić się na policję?

Wysiadła.

– Załóż maseczkę – powiedział i podał jej kawałek materiału z gumkami na uszy. Nie wyglądał na wyjęty prosto z folii. Swoją maseczkę gdzieś zgubiła albo zostawiła w którymś z samochodów, którymi ostatnio jeździli.

– Czyja to? – spytała.

– Była w aucie.

– Używana? Nie założę tego – powiedziała stanowczo.

– Założysz – odpowiedział spokojnie. – Nie mogą nas poznać. A poza tym nie wejdiesz do sklepu bez maseczki.

– To zostanę w samochodzie. Nie założę maseczki, którą nosił tamten człowiek – powtórzyła uparcie.

Poczuła irracjonalny wstręt i obawę, jakby mogła się przez to zarazić jego stanem. I nie miał znaczenia fakt, że jej właściciel nosił tę maskę, nim stał się śliniącym, wpółumarłym warzywem.

– Nie masz większych zmartwień? – spytał z irytacją. – Goni nas policja, nie wiemy, co dalej, mamy w bagażniku gościa

z dziurą w głowie, a ty brzydzisz się założyć używaną maseczkę?!

– Tak – odpowiedziała. – I nic na to nie poradzę.

– Kurwa mać! – powiedział powoli, dobitnie akcentując każde słowo. – Załóż tę pierdoloną maseczkę i chodź ze mną do sklepu. Jeśli myślisz, że tu zostaniesz, żeby uciec i zostawić mnie na lodzie, to jeszcze mnie nie znasz. – Przybliżył się do niej i nachylił. Jego twarz znalazła się tuż przy jej uchu. – Za dużo zainwestowałem w to wszystko, żebyś mnie wyrzuciła teraz jak śmiecia i poszła sobie dalej, rozumiesz? Zabijałem dla ciebie, przekreśliłem całe swoje życie, ale nie pójdę za ciebie do więzienia. Aż taki, kurwa, uprzejmy nie jestem. Tkwimy w tym razem, dopóki śmierć nas nie rozłączy. I może to być twoja śmierć, nie ma problemu. Czy to jest jasne?

Nie żartował. Miała wrażenie, że za chwilę wyciągnie pistolet i przystawi go jej do głowy.

– Tak – odpowiedziała. – Całkowicie.

Chyba właśnie została jego zakładnikiem.

ROZDZIAŁ 78

Przyjechali na jedną z tych małych uliczek na Starych Bielanych zabudowanych szeregowymi przedwojennymi domkami lub powojennymi bliźniakami. Na ich tyłach ciągnęły się pasy ogródków porośniętych wiekowymi sosnami. Każdy domek podzielony był na dwa lub trzy mieszkania wykupywane teraz sukcesywnie przez warszawską klasę średnią i zamieniane na eleganckie apartamenty. Prokurator Seredyńska nie miałaby nic przeciwko temu, by w jednym z nich zamieszkać. Niestety, pieniądze nie do końca załatwiały tu sprawę. Trzeba było mieć jeszcze szczęście, bo oferty sprzedaży w tej okolicy pojawiły się rzadko. To było dobre miejsce do życia i jego mieszkańcy niechętnie się stąd wyprowadzali.

Adres jednego z takich apartamentów podała właśnie Oksana Andruchowycz, gdy zadzwonił do niej komisarz Aleksanderski. Zaparkowali cztery domy dalej. O tej porze dało się tu nawet znaleźć miejsce. Jednym i w zasadzie jedynym minusem mieszkania w tych uroczych domkach było bowiem to, że nie było w nich niemal garaży, więc ich mieszkańcy musieli parkować swoje wozy na ulicy.

Wysiedli i podeszli przed dom z numerem dziewięć. Płot i furтка obrośnięte były bluszczem. Z trudem tylko udało im się dostrzec między liśćmi kostkę domofonu.

Seredyńska nacisnęła przycisk z cyfrą dwa. Środkowe mieszkanie, pierwsze piętro.

Nikt nie odpowiedział. Spróbowała jeszcze raz. Z podobnym skutkiem.

– To na pewno tu? – spytała.

– Na pewno – odparł Aleksanderski. – Nie otwiera, bo tu tylko sprząta. Musisz zadzwonić na komórkę.

Wyjęła telefon i wybrała numer. Po chwili w słuchawce odezwał się głos mówiący „halo?” z charakterystycznym „l” przechodzącym niemal w tylnojęzykowe „ł”.

– Dzień dobry, pani Oksano. Tu prokurator Seredyńska. Moglibyśmy porozmawiać? – spytała bez zbędnych wstępów.

– Oczywiście. – Zawahanie w głosie. – Kiedy?

– Teraz. Jestem na dole przed mieszkaniem, które pani sprząta. Proszę mnie wpuścić.

Spojrzała w górę. W oknie na pierwszym piętrze pojawiła się twarz z telefonem przy uchu, a potem równie szybko zniknęła.

– Teraz? Jak mnie tu pani znalazła? – Ukraiński akcent jeszcze się nasilił, co świadczyło zapewne o zaskoczeniu i zdenerwowaniu.

– To nieistotne. Proszę otworzyć – powtórzyła.

– Nie wiem, czy mogę. – Usłyszała w słuchawce. – To nie moje mieszkanie...

– Zapewniam panią, że pani może. Jestem prokuratorem Rzeczypospolitej Polskiej, a obok mnie stoi komisarz policji – zapomniała dodać, że na emeryturze. – Właściciele tego mieszkania na pewno chętnie by nam pomogli, gdyby o tym wiedzieli, a potem okazali dowody, że zatrudniają panią legalnie. Ale oczywiście nie musi im pani o niczym mówić.

Cisza w słuchawce, a po chwili brzęczenie otwieranej furtki. Musieli się schylić, żeby przejść pod girlandami bluszczu.

Klatka schodowa była dość wąska i pachniała starym budynkiem. Drewniana poręcz przy schodach wyszlifowana była milionami dotknięć dłoni ludzi, z których większość już dawno nie żyła. Owionął ich przyjemny chłód. Piętro wyżej otworzyły się drzwi.

Weszli na górę.

Mieszkanie było przestronne i jasne. Duże okna, w których nie było firanek, wychodziły na rosnące w ogrodzie wysokie sosny. Nowoczesny wystrój wewnątrz ładnie kontrastował z pozostawionymi elementami oryginalnej stolarki – dębowym parkietem i starymi, drewnianymi drzwiami pomiędzy pomieszczeniami. Oksana Andruchowycz czekała na nich w przedpokoju. Ubrana była prosto, choć elegancko, jakby nie przyszła tu posprzątać, tylko wpadła z niezapowiedzianą sąsiadką wizytą. Jedyne stojące pod ścianą wiadro z mopem i leżący na dywanie w salonie odkurzacz świadczyły, że mogło być inaczej.

Kobieta poprawiła włosy. Seredyńska pomyślała, że musiała przed chwilą zdjąć spinającą je gumkę. Na jej przedramieniu dostrzegła niewielką, uciętą jakby plamę białej piany, świadczącą o tym, dokąd sięgały lateksowe rękawiczki.

– Słucham, w czym mogę pomóc? – spytała. Jej oficjalny ton i piękne, tylnojęzykowe „ł”, przywołujące na myśl gwiazdy dawnego kina, jeszcze wzmocniły wrażenie, że mają do czynienia raczej z panią domu niż z zatrudnionym na czarno pracownikiem zza wschodniej granicy.

– Możemy przejść do salonu? – Seredyńska wskazała duży pokój za plecami kobiety.

– Właśnie zmyłam tam podłogę – odpowiedziała kobieta. – Może być kuchnia?

– Oczywiście.

Usiedli przy niewielkim stole. To pomieszczenie jeszcze nie zostało posprzątane. Na blacie leżały okruszki i widać było mokre ślady po talerzach. Wszystko to w jakiś nieokreślony sposób kojarzyło się z rzeczywistością dwudziestolecia międzywojennego, gdy stróżów prawa, podobnie jak służbę, przyjmowało się w pomieszczeniach gospodarczych.

Nie zaczęła od razu. Uważnie przypatrywała się ładnej twarzy kobiety pokrytej wyraźnym, starannym makijażem. Mimo pozornego spokoju, a nawet pewnej wyniosłej godności, dostrzegła na niej ślady zdenerwowania. Kobieta nie patrzyła na nią, uciekała wzrokiem gdzieś w bok, rzucając tylko co jakiś czas szybkie, przestraszone spojrzenia. To jednak jeszcze o niczym nie świadczyło. Nawet zupełnie niewinny człowiek denerwuje się trochę, gdy przychodzi do niego niezapowiedziane policja. Człowiek taki jak ona – walczący o przetrwanie w obcym kraju – ma powodów do zdenerwowania w takiej sytuacji pewnie znacznie więcej. Lecz Seredyńska miała dziwne wrażenie, że nie chodzi tylko o to.

– Nie zaproponuję państwu kawy, bo nie wolno mi używać ekspresu – powiedziała kobieta, jakby nie mogła już znieść tego milczenia.

Seredyńska znowu poczuła, jak coś się w niej burzy, jak wypełnia ją powoli wściekłość na nowobogacką arogancję jej rodaków, lecz zdusiła w sobie te uczucia. Nie mogła pozwolić, by po raz kolejny zaburzyły jej osąd.

– Pani Oksano – zaczęła w końcu. – Mamy kilka wątpliwości co do wersji wydarzeń, którą pani przedstawiła. Niezbyt zgadza się ona z innymi ustaleniami poczynionymi w śledztwie.

Nie była to do końca prawda, lecz Seredyńska chciała sprawdzić, jak kobieta na to zareaguje.

Oksana Andruchowycz wbiła w nią wzrok. Jej twarz pozostała jednak nieprzenikniona.

– Nie muszę oczywiście dodawać, że składanie fałszywych zeznań jest w Polsce zagrożone karą pozbawienia wolności – dodała surowym tonem. – W sprawach o morderstwo może to być nawet potraktowane jako współudział.

Zobaczyła, jak źrenice kobiety rozszerzają się.

– Deportujecie mnie? – spytała.

– Po odsiedzeniu wyroku niewątpliwie – odparła zimno.

ROZDZIAŁ 79

Załadowali pełen koszyk najróżniejszych rzeczy. W tym trzy duże butelki cytrynówki, które włożył tam on, nie ona. Brzęczały teraz, obijając się o siebie, gdy wózek sklepowy podskakiwał na kostce, którą wyłożony był parking. Wiedziała, po co je kupił. By się napiła i nie sprawiała kłopotów. Chciał ją nimi obłaskawić, by nie przyszło jej do głowy uciec z klatki. Najgorsze było to, że mimo tej wiedzy nie miała nic przeciwko temu.

Ułożyli plastikowe torby z zakupami na podłodze między siedzeniami i odjechali. Zanim ruszyli, jej towarzysz włączył radio, i to dość głośno, jakby chciał zagłuszyć wszelkie odgłosy mogące dochodzić z bagażnika. Minęła pełna godzina i rozpoczęły się wiadomości. Nic o nich nie było. Temat przestał być ciekawy, wyparty przez inne, znacznie świeższe newsy. Powróci na pewno, gdy ich złapią. Albo zabiją.

Zatrzymali się po paru kilometrach, aby coś zjeść. Bułki, parówki maczane w słoiczku z musztardą, piwo. Gdyby nie te wszystkie rzeczy, które się ostatnio wydarzyły, mogłoby to być nawet dość przyjemne. Odkręcił butelkę cytrynówki i podał ją jej. Spojrzała na nią z wahaniem.

– Na zgodę – powiedział.

Gównu na zgodę, pomyślała, ale wzięła butelkę. Pociągnęła spory łyk.

– Chcesz się pieprzyć? – spytała. – Na zgodę.

Dziwna sprawa, ale miała na to ochotę. Mimo niechęci, którą wobec niego odczuwała, mimo że właśnie de facto stała się jego więźniem, mimo odrazy, jaką w niej wzbudził, strzelając tamtemu człowiekowi w głowę. Mimo tego, a może właśnie przez to. Jakby to wszystko wyciągnęło na wierzch jej zakończenia nerwowe, jakby sprawiło, że stała się bardziej podatna na bodźce. Jakby obecność tego ciała z dziurą w głowie, które nie wiadomo nawet, czy jeszcze żyło, tak blisko, tuż za zasłoną siedzenia, była najskuteczniejszym, najsilniejszym afrodyzjakiem.

Kochali się na tylnej kanapie samochodu. Zatraciła się w tym zupełnie, był to chyba najlepszy seks w jej życiu. Jej jęki mieszały się – przynajmniej w jej rozedrganej wyobraźni – z jękami dochodzącymi z bagażnika. Śmierć jest najlepszą przyprawą, pomyślała po wszystkim. Świadomość jej bliskości rozbudza chęć do życia i to w jej najbardziej pierwotnej, zwierzęcej postaci. Chcemy się parzyć, rozmnażać, wydawać na świat potomstwo i przekazywać nasze geny. Nic dziwnego, że młodzi chłopcy i dziewczęta w czasie powstania warszawskiego pieprzyli się na potęgę.

Ubrali się i przesiedli na przednie siedzenia. Butelka cytrynówki stała pod deską rozdzielczą w miejscu przeznaczonym na kawę i napoje.

– Muszę się umyć – powiedziała. – Wykąpać. Nie wytrzymam dłużej bez tego.

– Na niektórych stacjach są prysznice – odpowiedział. – Znajdziemy taką.

– I czas już chyba, byśmy ruszyli do Zakopanego – dodała. – Dość już mam tego kluczenia.

Kiwnął głową.

– Jak sobie pani życzy – powiedział. – Zamówiła pani w końcu taki kurs.

* * *

To jednak wciąż było za mało. Kobieta, która przed nią siedziała, jeszcze nie zdecydowała się zacząć mówić. Bo że coś powiedzieć byłaby w stanie, tego prokurator Seredyńska była coraz bardziej pewna.

– To co, pani Oksano? – Tym razem się uśmiechnęła. – Rozpoczynamy ten cały cyrk? Sprawdzanie pani bilingów, czasów i miejsc logowania się pani telefonu, wiarygodności pani alibi... Nawet pani sobie nie wyobraża, ilu ciekawych rzeczy można się dowiedzieć po takim reaserchu. Na przykład czy ktoś kłamie, czy nie. Ma pani w ogóle dzieci?

Z doświadczenia wiedziała, że większość ukraińskich kobiet pracujących w Polsce ma co najmniej jedno dziecko. Schemat był zazwyczaj podobny: ślub w młodym wieku, ojciec, który prędzej czy później odchodzi, i samotna matka, która musi sama o siebie zadbać, więc wyjeżdża do pracy za granicę.

Kobieta spojrzała na nią przestraszona.

– Mam – odpowiedziała. – Córkę.

– Jest tu z panią czy została w kraju?

– Została. Z dziadkami.

Popatrzyła kobiecie w oczy.

– Wiem, że robi to pani dla niej – zaczęła łagodnym tonem. – Ciężko pani pracuje, żeby zapewnić jej godne życie i lepszą przyszłość. Szanuję panią za to i podziwiam. Szkoda by było, żeby zaprzepaściła to pani przez jakiś głupi błąd. Moje życie nie było nawet w połowie tak trudne jak pani, więc nie będę pani oceniać. Chcę tylko, żeby powiedziała pani prawdę, i obiecuję, że potraktuję panią najłagodniej, jak się da. Jestem

prokuratorem i to ode mnie zależy, jak zinterpretuję pani zachowanie. Postaram się zinterpretować je na pani korzyść.

Zobaczyła, że po ładnej, wciąż niewzruszonej twarzy kobiety zaczynają płynąć łzy. Poczła się jak suka, która wykorzystuje czyjąś trudną sytuację dla własnych celów. Taka była jednak jej rola. Miała dochodzić do prawdy, oskarżać przestępców, stać na straży przestrzegania prawa, a nie współczuć ludziom niesprawiedliwie potraktowanym przez los.

Podła kobiecie chusteczki. Aleksanderski taktowanie milczał. Widział, co się dzieje, i starał się być nieobecny.

Kobieta obtarła ostrożnie oczy, tak by nie zniszczyć makijażu, lecz po chwili wybuchnęła już na dobre płaczem. Seredyńskiej zrobiło jej się autentycznie żal. Wstała, przysunęła swoje krzesło do niej, usiadła z powrotem i objęła ją ramieniem. Było to bardzo nieprofesjonalne, ale nie potrafiła się powstrzymać.

– Już dobrze, dobrze – powiedziała łagodnie. – Proszę się uspokoić i wszystko mi dokładnie opowiedzieć. A ja postaram się, by nie stała się pani krzywda.

Ze zdziwieniem poczuła, że jej również zakręciły się łzy w oczach. I to nie do końca z powodu tej kobiety. Miała ochotę się rozpłakać, bo Nowaczyk leżał przez nią w szpitalu, bo spędziła kilkanaście przerażających minut związana i zamknięta w bagażniku, nie widząc, czy za chwilę nie umrze, bo prokurator Kostrzewska uświadomiła jej, że jest tak naprawdę w tym wszystkim sama, a nikt nie lubi być sam w żadnej sprawie. Tak, łzy i płacz też jej się należały, należały jak psu spacer.

– To ja go tam wpuściłam. – Usłyszała. – Do pani Julii.

ROZDZIAŁ 80

Nie sięgnęła po butelkę. Nawet nie dlatego, że nie miała ochoty. Ten człowiek leżący tam w bagażniku... Miała dziwne wrażenie, że czuje z nim jakąś więź, i chciała się nią napawać. Wsłuchiwała się, czy nie dotrze do jej uszu jakiś dźwięk płynący stamtąd. Zamknęła oczy i oparła głowę o zagłówek.

Nic jednak nie słyszała. Odgłosy jazdy i muzyka z radia wszystko skutecznie zagłuszały. Jeśli było w ogóle co zagłuszać, bo ten człowiek mógł już przecież dawno nie żyć. Chociaż nie, żył, była tego pewna. Więź nie została przerwana. Wiedziałyby przecież, gdyby umarł.

Dlaczego tak bardzo i tak silnie wszedł jej w głowę? Czemu tak bardzo zaczęło jej na nim zależeć? Może dlatego, że nigdy nie miała nikogo naprawdę bliskiego. Najpierw ojciec, który się nad nią znęcał, i matka zbyt słaba, by się temu przeciwstawić. Potem wszyscy ci mężczyźni, z którymi powtarzała schemat wyniesiony z dzieciństwa. Była sama, sama przez te wszystkie lata. A on był jej ptaszkiem ze złamanym skrzydłem, chorym kotkiem, którego znalazła dwadzieścia lat za późno.

– Zatrzymaj się – powiedziała nagle. Otworzyła oczy.

– Po co? – spytał ze zdziwieniem.

– Po prostu się zatrzymaj – powtórzyła.

Zjechał na pobocze, myśląc pewnie, że jest jej niedobrze. Nie wyprowadzała go z tego błędu.

Gdy stanął, szybko wysiadła. Podeszła do tylnych drzwi. Sięgnęła do nawisu nad rejestracją z żółto-niebieską ukraińską flagą. Znalazła przycisk otwierający klapę i uniosła ją do góry. Zobaczyła jeszcze, jak jej kierowca odwraca się i zaskoczony spogląda przez ramię.

Drzwi uniosły się z cichym sykiem. Wstrzymała oddech, obserwując, jak powoli odsłania się wnętrze bagażnika.

Niebieskie oczy patrzyły na nią spod współprzymkniętych powiek. Mężczyzna żył, niewątpliwie. Z jego otwartych ust ciekła stróżka śliny. Ich spojrzenia spotkały się. I choć jego było nieruchome, skierowane było ewidentnie i intencjonalnie na nią.

– Cześć – powiedziała.

Z ust mężczyzny rozległ się dźwięk. Długi jęk o zmieniającej się modulacji, brzmiący jak zdanie w nieistniejącym języku. Próbował jej odpowiedzieć.

– Co ty wyprawiasz?! Zwariowałaś?! – Usłyszała obok siebie słowa wypowiedziane dla odmiany wyraźnie i po polsku.

– Jak on ma na imię? – spytała, ignorując zarówno treść tej wypowiedzi, jak i jej wściekło-przerażony ton.

– Co cię to obchodzi?! – krzyknął. – Mówiłem ci: nie traktuj go jak człowieka! Po co ci to?!

– Jak ona ma na imię? – powtórzyła z naciskiem.

– Powinienem go od razu dobić. – Usłyszała w odpowiedzi. – To staje się jakieś chore.

Jakby wszystko to, co stało się wcześniej, nie było, pomyślała.

Odwróciła głowę w stronę swojego towarzysza podróży.

– Jeśli coś mu zrobisz, koniec z nami, rozumiesz? – powiedziała dobitnie. – I nie obchodzą mnie ewentualne konsekwencje. On ma żyć, czy to jest jasne? – dodała. – I powiedz mi wreszcie, jak on ma na imię.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Dokumenty są w schowku.

Kucnęła i spojrzała z bliska w niebieskie źrenice. Źrenice, które podążyły za nią, gdy zmieniła pozycję. Z rozchylnych ust znowu rozległ się jęk. Tym razem cichszy i jakby łagodniejszy.

– Chcesz pić? – spytała.

Krótki jęk.

– Przynieś wodę – rozkazała drugiemu z mężczyzn.

– Zamknij tę klapę, ktoś go może zobaczyć – próbował jeszcze protestować. W czasie, gdy tu stali, minęły ich już co najmniej trzy samochody.

– W takim razie im szybciej przyniesiesz wodę, tym lepiej – odpowiedziała spokojnie.

Nie oponował już więcej. Otworzył boczne drzwiczki i przyniósł jej butelkę wody, którą kupili w sklepie. Odkręciła ją i przytknęła do ust leżącego mężczyzny. Jego wargi nie poruszyły się, ale jabłko Adama drgnęło, gdy zaczęła wlewać mu ciec do ust.

– Musimy zatrzymać się przy jakiejś aptece – powiedziała. – Trzeba będzie niedługo zmienić opatrunek.

– Jasne! I jeszcze co? – Jej towarzysz najwyraźniej jeszcze nie odpuścił. – Nie rozumiesz, że to wszystko nas naraża?

Zignorowała to. Spojrzała ponownie w niebieskie oczy rannego mężczyzny. Patrzyły na nią ufnie, przynajmniej tak jej się wydawało. Wyciągnęła rękę i pogładziła go po włosach.

Kim teraz był? Lub czym? Czy miał świadomość tego, co się wokół niego dzieje, tylko po prostu nie był w stanie tego wyrazić, czy też zniszczenia w jego mózgu cofnęły go do stadium jakiegoś bezmyślnego, prymitywnego organizmu odbierającego tylko najprostsze bodźce? Próbowała wyczytać to z tego nieruchomego spojrzenia.

– No pięknie! Zeszczął się! Będzie nam tu śmierdzieć ukraińskim moczem!

Na spodniach leżącego w bagażniku człowieka rzeczywiście pojawiła się mokra plama.

– Musimy jeszcze dokupić pieluchy dla dorosłych – odparła spokojnie.

– Może jeszcze wózek inwalidzki? Masz zamiar wozić go na spacer? – spytał z ironią jej towarzysz.

– Żałujesz? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Czego?

– Że wsiadłam do twojej taksówki.

Nie odpowiedział od razu.

– Jakie to ma teraz znaczenie?

ROZDZIAŁ 81

Odsunęła się od przesłuchiwanej kobiety. Ciągle jednak trzymała dłoń na jej ramieniu, żeby zachować kontakt fizyczny budujący bliskość i zaufanie.

– Kogo pani wpuściła? – spytała.

Kobieta urwała listek ze stojącej na stole rolki papierowych ręczników i głośno wysmarkała nos.

– Tego mężczyznę – odpowiedziała. – Mówił, że ma na imię Witold, ale teraz wiem, że to był ten, który teraz ucieka z panią Julią. Pokazywali go w telewizji.

– Marek Ziemba?

Kobieta kiwnęła głową.

– Kiedy to było?

– Dwa dni przed tym, jak zginął pan Janusz.

– Dwa dni? – zdziwiła się Seredyńska.

– Tak, na pewno.

– Sprzątała pani wtedy?

– Nie, ale wiedziałam, że nikogo nie będzie w domu. Pani Julia i pan Janusz mieli być tego dnia rano w telewizji.

– Skąd pani o tym wiedziała?

– Pani Julia o tym mówiła. Nie chcieli jej tam zaprosić po prostu, żeby opowiadała o płycie, bo to podobno za mało ciekawe, więc pan Janusz wymyślił, że pójdą tam jako para, która łączy miłość z pasją do muzyki. Pani Julii nie za bardzo to się podobało.

– I wtedy go pani wpuściła? Tego niby Witolda?

– Tak. Poczekaliśmy, aż samochód pana Janusza wyjedzie z podziemnego garażu, i wtedy weszliśmy.

– Po co Marek Ziemba chciał tam wejść?

– Mówił, że jest wielkim fanem pani Julii i chce tylko zobaczyć, jak mieszka.

– Co robił w środku?

– Nie wiem, kazał mi wrócić na ulicę i pilnować, czy pan Janusz nie wraca. Miałam przyjść z powrotem za pół godziny.

– I dlatego pani sprzątała w dniu, w którym znaleziono zwłoki? Odkryła je pani, przestraszyła się i chciała zatrzeć ślady? – domyśliła się Seredyńska.

– Nie. – Kobieta energicznie zaprzeczyła. – Zaczęłam sprzątać, zanim je znalazłam. Naprawdę. Mam taki system, że sprzątam po kolei poszczególne pomieszczenia. Zaczynam od łazienki, bo jest najgorsza. Potem korytarz, żeby podłoga zdążyła wyschnąć, jak skończę salon. I tak zrobiłam. Nie wiedziałam, że on tam leży.

Seredyńska spojrzała na Aleksanderskiego. Uniósł brew w geście znaczącym: „chyba mówi prawdę”.

– Dlaczego zgodziła się pani go wpuścić? – spytała.

Kobieta zwiesiła głowę.

– Nie chciałam tego robić – odpowiedziała. – Zmusił mnie.

– Jak panią zmusił?

– Powiedział, że ma dowody na to, że pracuję nielegalnie i nie płacę podatków. I że mnie zgłosi do Straży Granicznej. A oni mnie wtedy wyrzucą z Polski. Ale jak się zgodzę, to mi zapłaci.

Metoda podwójnej motywacji, pomyślała Seredyńska. Strach połączony z obietnicą zysku. Łatwo dać się przekonać.

– Jak go pani poznała? – spytała.

– Zagadał do mnie w sklepie. Był bardzo miły. Pomógł mi z zakupami. Na początku nie mówił nic o pani Julii. Spytał, czy nie moglibyśmy pójść razem na kawę. Zgodziłam się, bo szukam męża. Chciałabym wyjść za jakiegoś dobrego Polaka, który by nie pił, jak mój poprzedni, i żebyśmy mogła sprowadzić tu swoją córkę – mówiła, jakby się usprawiedliwiała. – Chodzę na randki z internetu, ale na razie jeszcze nikogo odpowiedniego tam nie spotkałam. Same stare dziady, co to myślą, że jak jestem z Ukrainy, to łatwo mnie zaciągnąć do łóżka. To pomyślałam sobie, że może w ten sposób los się do mnie w końcu uśmiechnął. Ale jemu nie chodziło o mnie. Pewnie skądś wiedział, że sprzątam u pani Julii, widział mnie, jak wychodzę z jej domu, i potem za mną szedł. Ukrainkę to każdy chce oszukać.

Znowu zaczęła płakać.

– To co teraz ze mną będzie? – spytała rozszalonym głosem. – Bałam się, że mnie wyrzucą z Polski, a teraz co? Do więzienia pójdę?

Seredyńska ponownie objęła ją ramieniem.

– Musimy poczekać na koniec śledztwa – powiedziała uspokajającym tonem. – Jeśli okaże się, że mówi pani prawdę, raczej do tego nie dojdzie. Proszę dalej pracować i nie martwić się na zapas. I niech pani do mnie zadzwoni, jeśli pani sobie jeszcze coś przypomni. – Dała jej swoją wizytówkę. – Chyba że teraz ma pani jeszcze coś do dodania?

Kobieta skinęła głową jakby ze wstydem.

– On zabrał mi paszport – powiedziała. – Jak już byliśmy u pani Julii i zanim mnie stamtąd wyrzucił. Wyrwał mi torebkę i go wziął. Powiedział, że to na wypadek, gdybym chciała uciec i wezwać policję, jak on będzie w mieszkaniu. Ale mi go potem już nie oddał. Prosiłam go o to, ale nie chciał. Mówił, że to po to, żeby mi nie przyszło do głowy wygadać się pani Julii.

Wyszli z mieszkania. Kobieta wróciła do pracy.

– Nie odezwałeś się przez cały ten czas – zwróciła się do Aleksanderskiego.

– Dobrze sobie poradziłaś – odpowiedział. – Nie było takiej potrzeby.

– Kurde, mam ochotę zapalić – rzuciła nagle. – Nie masz przypadkiem papierosów?

– Nie palę już – odparł. – Nie piję i nie jem tłustych rzeczy. To znaczy, nie powinienem. – Wyciągnął paczkę z kieszeni.

– Co myślisz? – spytała, gdy już wokół ich głów unosił się błękitny dym.

– Ciekawe – odparł. – Był u niej w mieszkaniu. Nie odkryliście tego wcześniej?

– Nie – odpowiedziała. – Porównaliśmy odciski palców Ziembę z tymi znalezionymi na miejscu zbrodni, ale nic to nie dało.

– Niczego nie dotykał? Może był w rękawiczkach? – zastanawiał się. – A co z monitoringiem?

– Nowaczyk sprawdził nagrania z apartamentowca, ale tylko z dnia zabójstwa i z dnia poprzedzającego, nie sprzed dwóch dni.

– No popatrz – powiedział i zaciągnął się papierosem. – A taki wydawał się kumaty. Może po tym ciosie w głowę jego mózg zacznie lepiej pracować.

– Nie żartuj tak – odparła. – Wcale mnie to nie bawi.

– Przepraszam – odpowiedział. – Mnie w sumie też nie.

– No dobrze. – Wypuściła dym. – Tylko po co Ziembę tam poszedł?

– Może faktycznie chciał zobaczyć, jak Gierszewska mieszka? Położyć się w jej pościeli, pogrzebać w szufladzie z bielizną? Jest w końcu stalkerem, ma na jej punkcie fioła.

– A jeśli nie tylko po to? – spytała. – Może miało to jakiś związek ze śmiercią Kozery dwa dni później?

– Tylko jaki?

– Mógł coś zabrać albo coś podłożyć. Coś, co sprowokowałoby Gierszewską do zabicia jej partnera. Tak jak ten fałszywy mail z ZAiKS-u.

– Jeśli coś podłożył, to powinno to tam ciągle być – zauważył Aleksanderski. – Nie zdążyłby tego zabrać, bo po morderstwie nie było go już w mieszkaniu. To akurat wiemy, bo Nowaczyk sprawdził monitoring z tego dnia. Chyba że wzięła to ze sobą Gierszewska.

Seredyńska pokręciła głową.

– Jeśli było to coś, co wzbudziło jej wściekłość, to raczej nie zabrałaby tego na pamiątkę – powiedziała.

– Może zwinęła to ta ukraińska sprzątaczką? – zasugerował.
– Nie musiała powiedzieć nam wszystkiego.

– Nowaczyk ją aresztował. Była przeszukiwana na komisariacie. Z tego, co wiem, nie znaleziono przy niej niczego niezwykłego. Ale mogę jeszcze raz przejrzeć protokół z jej zatrzymania.

– Trzeba będzie to zrobić – powiedział. – I musimy jeszcze raz wejść do mieszkania Gierszewskiej. Może jest tam coś, co wszyscy dotąd przeoczyli.

ROZDZIAŁ 82

– Tu powinien być prysznic – powiedział. – Jest dużo TIR-ów.

Zjechali na stację benzynową. Należała do dużej międzynarodowej sieci, ale nie była zbyt okazała. Wyglądało to tak, jakby koncern kupił już istniejącą, starą stację, potem odnowił ją tylko i zaopatrzył w swoje logo. Ale na sporym parkingu tuż obok niej rzeczywiście stało kilka dużych ciężarówek.

– Zatankuję przy okazji – dodał. – W naszej sytuacji lepiej mieć pełny bak. Spytaj tę swoją maskotkę, czy mam lać benzynę, czy olej – rzucił z sarkazmem.

Nie odpowiedziała na tę zaczepkę. Podjechali przed dystrybutor. Wsiadła i otworzyła drzwi przy drugim rzędzie siedzeń. Wygrzebała ze swojego czarnego worka ręcznik. Był wilgotny, niemal mokry. No trudno. Jakoś da sobie radę. Szampon może uda się kupić na stacji.

Silnik już nie pracował, radio też nie grało. Znieruchomiała na chwilę, wsłuchując się w odgłosy płynące z bagażnika. Usłyszała wyraźny, choć stłumiony jęk. Ucieszyło ją to jakoś i podniosło na duchu. A więc jej „maskotka” ciągle żyła.

Zatrzasnęła drzwi i poszła w stronę stacji. Zastanawiała się po drodze, czy kiedy będzie prosić o klucz do kabiny prysznicowej, powinna mówić z ukraińskim akcentem. Miała ukraińską sprzątaczkę. W tamtym, poprzednim życiu. Wiedziała mniej więcej, jak to powinno brzmieć. Uznała, że to

nie zaszkodzi. Maseczka na twarzy i obcy akcent – nikt nie powinien domyślić się, że była kiedyś wschodzącą gwiazdą polskiej sceny muzycznej.

W środku stacja benzynowa wyglądała jeszcze bardziej jak przebrendowany obiekt rodem z PRL-u. Ale wszystko, co trzeba, na niej było. Znalazła ręczniki papierowe pakowane po dwie rolki i szampon firmy, o której istnieniu już niemal zapomniała.

Wzięła to wszystko i podeszła do kasy. Jej towarzysz, jak widziała przez szybę, jeszcze tankował. Położyła obie rzeczy na blacie i udając wschodni zaśpiew, poprosiła o klucz do prysznic. Sprzedawca spojrzał na nią z zaciekawieniem. Pewnie niewiele kobiet korzystało z tej możliwości. Niemal zobaczyła, jak pod jego łysiejącą czaszką rodzą się obleśne myśli.

Usługa kosztowała dwadzieścia złotych. Zapłaciła za wszystko, wzięła klucz i poszła w stronę toalet. W boksie, do którego weszła, unosił się lekki zapach grzyba i pleśni. Ale było nadspodziewanie czysto. Wyobrażała to sobie znacznie gorzej.

Zamknęła drzwi, rozebrała się i powiesiła ubranie na wieszaku. Szkoda, że nie mogła go uprać. Cóż, nie można mieć wszystkiego. Dobrze, że miała chociaż bieliznę na zmianę. Też była wilgotna, ale za to czysta.

Weszła pod prysznic. Woda była gorąca. W tych czasach, kiedy kąpała się codziennie, a które zakończyły się jakieś trzy dni temu, nie przypuszczała nawet, jak niesamowitym, ekstatycznym uczuciem może być zwykłe mycie. Poddała się tej ablucji, zatraciła w niej. Przez chwilę, w oparach ciepłej wilgoci, w zapachu tropikalnej bryzy z niemieckiej fabryki, zapomniała, w jak dziwnym, absurdalnym położeniu się znajduje.

Zmyła w końcu z siebie szampon, wytarła się papierowymi ręcznikami, ubrała i wyszła. W kolejce czekał już jakiś wąsaty

kierowca. Jego mina na jej widok świadczyła, że nigdy w życiu nie spotkało go nic bardziej zaskakującego.

Założyła na mokre włosy czapkę z daszkiem i ruszyła w stronę wyjścia. Człowiek, z którym teraz dzieliła swój los, skończył właśnie płacić przy kasie. Zaczekała na niego i razem wyszli na zewnątrz.

Już pierwszy rzut oka na ich samochód powiedział im, że dzieje się coś dziwnego. Boczne drzwi były otwarte, widać było przez nie tylną kanapę i stojące na podłodze siatki z zakupami. Parę rzeczy wypadło i leżało teraz na betonowej kostce między kołami auta. Nie tylko to jednak było nie tak.

Wokoło stali ludzie. Kierowcy i pracownicy stacji. Nie było ich wielu, raptem parę osób. Tworzyli jednak wyraźny, choć dość obszerny krąg. W jego środku, kilka metrów od ich otwartego samochodu, stał człowiek z obandażowaną głową. Chwiał się lekko na nogach i wydawał z siebie nieartykułowane dźwięki o różnej głośności. Zgromadzeni wokół niego patrzyli na to w ciszy, z jakimś rodzajem przestrasznego zdziwienia. Dwie osoby nagrywały to wszystko na telefon.

* * *

Policjant w stopniu starszego aspiranta otworzył mieszkanie. Weszli do środka. W powietrzu unosił się wciąż wyczuwalny zapach zaschniętej krwi.

– Mam nadzieję, że ich pani dorwie – powiedział policjant. – Wszyscy znamy Rajmunda. To równy gość i dobry glina. Powinno się ich zastrzelić podczas próby zatrzymania.

Nie skomentowała tego.

– Wiadomo, co z nim? – spytała. Spotkali się przed drzwiami, nie było kiedy wcześniej porozmawiać.

– Nic się nie zmieniło – odpowiedział. – Cały czas jest w sypialni farmakologicznej. Ale lekarze są podobno dobrej myśli – powtórzył w zasadzie to, co sama usłyszała rano.

– Dobrze – powiedziała. – Rozejrzymy się tu trochę. Jak pan chce, może nas pan zostawić i wrócić za jakieś pół godziny.

– O, świetnie! – odparł. – Córka ma dziś imieniny, a tu niedaleko jest Arkadia. Skoczę tam, może coś znajdę.

– Powodzenia – rzuciła.

Weszli z Aleksanderskim w głąb mieszkania. Policjant wyszedł. Odgłos zamykanych drzwi odbił się echem od ścian. Zadziwiająco, pomyślała Serebryńska, jak mieszkania natychmiast stają się puste, gdy tylko zabraknie w nich ludzi. I nie ma znaczenia, ile mebli je wypełnia.

– Jak się dzielimy? – spytał Aleksanderski. – Gdzie chcesz zacząć?

– Nie dzielimy się – odparła. – Łazimy, gdzie nam się podoba. Najlepsze efekty daje szukanie bez planu.

Weszła do łazienki. Było to dość spore pomieszczenie z dwoma małymi kwadratowymi oknami. Jasna glazura na ścianach i nieco ciemniejsza na podłodze. Ładnie. Odegnęła od siebie myśli, że nie miałyby nic przeciwko temu, by kąpać się w tak dużej wannie, i skupiła się na tym, co to wewnątrz mogłoby jej powiedzieć. To je posprzątała w pierwszej kolejności ukraińska sprzątaczką. Gdyby były tu ślady krwi, zapewne nie udałoby jej się ich do końca zlikwidować, technicy by coś znaleźli. Zakładając więc, że zrobiła to, by coś ukryć, musiałyby to być coś innego.

Nic tu do niej jednak nie przemówiło. Nie znalazła żadnego zaczepienia ani dla intuicji, ani dla intelektu. Wyszła.

Przedpokój. Ubrania na wieszaku przy drzwiach wejściowych. Dość wąski, ale otwarty z jednej strony na salon i tworzący wspólnie dosyć dużą przestrzeń. Żadnego chodnika

na podłodze, wykładziny ani dywanu. Podobnie w salonie. Gołe deski podłogi z jesionowego drewna. Duże okna w salonie, od sufitu aż do podłogi.

Tu też wszystko wydawało się zwykłe, normalne. Może trochę zbyt mało przytulne jak na mieszkanie, którego właścicielką jest kobieta, ale niesugerujące niczego niespotykanego.

Przeszła do sypialni. Był tu co prawda przed chwilą Aleksanderski, minęli się w drzwiach, ale męskie oko w takim miejscu może być nieco mniej spostrzegawcze niż kobiece. Rozejrzała się uważnie. Na środku pomieszczenia stało duże łóżko, z miękkim, wykonanym z kremowej skóry zagłówkiem. Nad nim wisiała na ścianie metalowa, kanciasta rzeźba głowy jelenia. Łóżko było pościelone, nikt z niego nie korzystał w noc zabójstwa. Teraz co prawda widać było na nim ślady pozostawione po sprawdzaniu go przez techników, ale zapamiętała to ze swojej pierwszej tu bytności.

Na przeciwległej ścianie było wejście do garderoby. Zajrzała tam. Powiodła wzrokiem po półkach wypełnionych ubraniami i pudełkami na buty, po wieszakach, na których wisiały spodnie, bluzki i sukienki. Również tu nie znalazła niczego, co podawałoby w wątpliwość opowieść sprzątaczk i prawdopodobny, przyjęty w dotychczasowym śledztwie przebieg wypadków. Zatrzymany w czasie chaos pozostawiony po pośpiesznym pakowaniu mieścił się w tych obu opowieściach doskonale.

Wróciła na korytarz. Pozostało jeszcze tylko samo miejsce zbrodni – gabinet Kozery. Aleksanderski już tam był. On również zostawił go sobie na koniec. Dołączyła do niego.

Pokój był raczej wąski, przez co sprawiał wrażenie długiego. Na jego końcu, pod oknem, stało biurko. Komputera i statuetki, którą zadano cios, nie było, były dowodami w sprawie. Ślady

krwi były doskonale wszędzie widoczne. Gdy kiedyś wejdzie tu specjalna ekipa zajmująca się usuwaniem śladów po morderstwach lub rozkładających się w samotności zwłokach, będzie miała trochę roboty.

Podeszła do biurka. Miejsce, w którym stał kiedyś laptop, wyznaczały krwawe rozbryzgi wokół niego. Wyglądało to jak dzieło jakiegoś artysty. Ślad po statuetce, która stała na drewnianej półce u góry, też można było zobaczyć. Musiała wejść na krzesło, żeby móc go obejrzeć. Jego nie obramowywały ślady krwi. Aż tak wysoko widocznie nie doleciała. Słońce padające na drewno rozjaśniło je nieco po prostu, a w miejscu figurki pozostało w swoim pierwotnym kolorze.

Przyjrzała się temu uważnie. Temu ciemniejszemu prostokątowi.

– Dziwne – powiedziała do Aleksanderskiego. Stał tuż za jej plecami.

– Co takiego? – spytał.

Zeszła z krzesła.

– Spójrz – powiedziała. – Statuetka stała najwyraźniej tu. Ktoś, kto chciałby ją chwycić, żeby uderzyć nią w potylicę Kozery, musiałby sięgnąć po nią najpierw ponad jego głowę, w zasadzie kładąc się przy tym na nim.

Pokazała mu, jak to powinno wyglądać.

– Może stała w tamtym momencie gdzieś indziej? – zasugerował.

–Może – odpowiedziała. Poczwała się jednak jak pies, który nagle zwęszył trop. – Sprzątaczką zdążyła posprzątać tylko łazienkę i przedpokój. To znaczy, że w innych pomieszczeniach nie wytarła jeszcze kurzu – mówiła, pozwalając, by jej myśli od razu wychodziły przez usta bez jakiegokolwiek obróbki. – Musimy znaleźć więc w tym pokoju kwadratowy, niezakurzony fragment.

Zaczęli poszukiwania. Mimo że trwały dość długo, nie przyniosły rezultatu. Nigdzie nie zdołali znaleźć małego, niezakurzonego kwadratu.

– Może coś przeoczyliśmy? – spytał Aleksanderski. Czoło świeciło mu się od potu.

– Nie sądzę – odpowiedziała. – Meble są ciemne, a przez tydzień powinna się na nich zbierać całkiem spora warstwa kurzu.

– Co to znaczy? – spytał, choć na pewno już to świetnie wiedział.

– Że nie było to zabójstwo w afekcie, dokonane w zamiarze nagłym – odpowiedziała. – Ktoś wziął tę statuetkę wcześniej, zanim Kozera usiadł przy biurku.

ROZDZIAŁ 83

– Kurwa mać... – powiedział powoli jej towarzysz. – Jak on to zrobił?? – Zdziwienie było jedynym uczuciem przebijającym z jego głosu.

– Nie zamknąłeś samochodu? – spytała.

– Nie wiem... Wydawało mi się, że zamknąłem...

Patrzyli na to, co się dzieje, jak urzeczeni. Jakby nie dotyczyło to w żaden sposób ich. Jakby ta sytuacja była tak dziwna i absurdalna, że aż trudno było na nią zareagować.

W ten sam sposób musieli czuć się pozostali widzowie. Nikt nie spodziewa się czegoś takiego, podjeżdżając zatankować na stację.

W końcu jeden z nich jednak ochłonął na tyle, by podjąć jakieś działanie. Sięgnął po telefon i zaczął wybierać numer.

– Wszystko w porządku. – Usłyszała nagle swój głos. Nie zapomniała nawet o wschodnim akcencie. – To mój brat, wieziemy go do szpitala.

– Co mu się stało? – spytał mężczyzna, który chciał dzwonić. Ale podniósł wzrok znad klawiatury.

– Jest trochę... durnowaty. – Użyła tego słowa, bo wydawało jej się w jakiś sposób ukraińskie. – Od dziecka. Ma padaczkę i zranił się w głowę.

Mężczyzna z telefonem patrzył na nią nieufnie. Jeszcze nie był gotowy jej uwierzyć i uznać, że to nie jego sprawa.

– Jak on ma na imię? – spytała cicho swojego towarzysza.

– Jurij – odpowiedział, niemal nie poruszając ustami.

Ruszyła powoli do przodu, podchodząc do człowieka z obandażowaną głową.

– Jura... Juroczka... – powiedziała łagodnym tonem. – Użę wsio w pariadkie – próbowała udawać, że mówi po ukraińsku. Był to w zasadzie rosyjski i miała nadzieję, że nikt z obserwujących ją Polaków nie jest świadom tej różnicy.

Człowiek z dziurą w głowie zwrócił na nią swoje spojrzenie. W jego oczach coś dostrzegła, jakby ją poznał.

– Jura... – Zbliżyła się do niego jeszcze bardziej. – Malczik... Wiernujsia w awtamabil. Eta twoj awtamabil, pomnisz? – Dziękowała Bogu, że kiedyś, przez raptem rok, uczyła się rosyjskiego w liceum.

Jura przeniósł swój wzrok na białego forda i chyba też go rozpoznał.

Objęła go w pasie i delikatnie popchnęła w stronę samochodu. Pozwolił jej się tam poprowadzić.

– Uważajcie na niego. – Usłyszała za sobą głos mężczyzny z telefonem. – Najbliższy szpital jest w Busku.

– Wiemy. Dziękuję bardzo. – Odwróciła w jego stronę głowę. – Dobry z pana człowiek.

Mężczyzna schował telefon. Kupił jej historię. „Jeśli da się ludziom wystarczająco wiarygodną wymówkę, by nie musieli nic robić, na pewno z niej skorzystają”, przypomniała sobie słowa swojego menadżera. To nie był jednak taki głupi facet.

Podeszli objęci do auta. Uprzątnęła tylne siedzenie i posadziła na nim swojego nowego brata. Dziwna sprawa, zawsze chciała go mieć.

Drugi z mężczyzn jej życia siedział już na miejscu kierowcy i właśnie odpalał silnik. Usiadła obok niego i zamknęła drzwi.

– Jedziemy – powiedziała – Tylko spokojnie. Nie sprawiaj wrażenia, że uciekasz.

Ruszyli. Spojrzała w boczne lustro. Ludzie na stacji benzynowej zaczęli się rozchodzić do swoich spraw. Była pewna, że nikt z nich nie zadzwoni na policję. Dostali wiarygodną wymówkę.

* * *

– Co to może znaczyć? – spytał Aleksanderski.

– Że historia o tym, że Gierszewska przeczytała maila wysłanego przez Ziembę, wściekła się i pod wpływem tego zabiła Kozere, nie trzyma się kupy – odpowiedziała. – Tym bardziej, że Kozera leżał na klawiaturze laptopa, a był to jedyny komputer w tym domu, więc musiałyby mu zaglądać przez ramię.

– Mogła go przeczytać w swoim telefonie – zauważył. – A statuetkę mógł przestawić ktoś wcześniej z jakiegoś banalnego powodu.

– Jasne – zgodziła się. – Każde zdarzenie może mieć co najmniej dwa przeciwstawne wytłumaczenia, ale powiedz mi szczerze: wierzysz, że to był przypadek?

Zastanowił się.

– Nie – odpowiedział. – Ale wiesz dobrze, że potrzebujemy dowodów, nie przeczuć.

– Nie zgadzam się. – Pokręciła głową. – Teraz właśnie potrzebujemy przeczuć. Musimy ich złapać. Przede wszystkim. Gdy to zrobimy, dowody same się znajdą. Gierszewska nam ich dostarczy. Jestem o tym przekonana. Ale żeby ich złapać, musimy zrozumieć, co tu się stało, i dowiedzieć się, co planują. Bo jedno łączy się z drugim.

– To co w takim razie tu się stało?

– Sęk w tym, że ciągle nie wiem – przyznała.

Wyszła z gabinetu. Zajrzała jeszcze raz do każdego z pomieszczeń, mając nadzieję, że dostrzeże tym razem coś, co umknęło jej wcześniej. W końcu usiadła w salonie na kanapie, próbując sama nie wiedziała czego – jakiejś parapsychicznej łączności z wydarzeniami, które się tu rozegrały?

I wtedy to zobaczyła. Zobaczyła coś, czego podświadomie dotąd jej w tym mieszkaniu brakowało, choć na poziomie racjonalnej obserwacji nie zdawała sobie nawet z tego sprawy. Bo jednej rzeczy w mieszkaniu Gierszewskiej nie było – nie było zdjęć, pamiątek z przeszłości, żadnych odniesień do wcześniejszego życia. Jakby zaczęło się ono dla niej w momencie, gdy się tu wprowadziła. Ale jedno zdjęcie jednak tu stało. I było teraz wprost przed oczami prokurator Seredyńskiej. Zdjęcie dwóch kobiet, starszej i młodej. Starsza stała wyprostowana, młodsza, nastolatka jeszcze, siedziała w kucki w drewnianym wózku zaprzężonym do dużego, białego, kudłatego psa – owczarka podhalańskiego. Wózek przeznaczony był ewidentnie dla o wiele młodszych dzieci i pewnie dlatego obie kobiety zaśmiewały się do łez, co uchwycił bardzo ładnie fotograf – właściciel owej atrakcji dla turystów.

– Wiem już, dokąd jedzie Gierszewska – powiedziała, patrząc na to zdjęcie. – Do Zakopanego.

ROZDZIAŁ 84

W następnym miasteczku znaleźli aptekę i kupili tam wszystkie potrzebne rzeczy. Stali teraz na małym leśnym parkingu oddzielonym od szosy parawanem drzew. Właśnie skończyła przemywać ranę i zmieniać opatrunek. Obie dziury po pocisku zostały oczyszczone i zdezynfekowane. Krwawiły jeszcze, lecz nie jakoś strasznie.

Kula przeszła przez głowę mężczyzny nieco na skos, nie przez sam jej środek. Otwór wylotowy znajdował się w sklepieniu czaszki. Być może dlatego uszkodzenia nie były aż tak duże i ranny ciągle żył. Patrzył na nią teraz spokojnym, nieobecnym wzrokiem. Wydawał się wręcz w jakiś sposób szczęśliwy. Tylko w tych momentach, gdy dotykała jego ran, jęczał głośno, jakby się skarżył, że go boli. Ale nie próbował się wyrwać. Jak pies, który ufa swojemu właścicielowi, pomyślała.

Teraz zajęła się dolnymi partiami jego ciała. Ściągnęła mu spodnie i bokserki, a potem wyrzuciła je do kosza na parking. Przemyła wszystko wodą z butelki i przetręła nawilżonymi chusteczkami kupionymi w aptece. Potem zasypała talkiem dla niemowląt i założyła dużą, jednorazową pieluchę. Wstała z kolan i spojrzała na swoje dzieło. Mężczyzna wyglądał dość żałośnie. Dobrze, że nie rozumiał, co się z nim dzieje. Ona jednak rozumiała i czuła się w jakiś sposób upokorzona tym widokiem. Upokorzona niejako w jego zastępstwie.

– Masz jakieś spodnie na zmianę? – spytała drugiego z mężczyzn.

Stał w pewnej odległości od nich i palił już drugiego papierosa. Nie wyglądał na specjalnie uszczęśliwionego tym, w jakim kierunku skręciła ich wspólna przygoda.

– Mam mu oddać swoje spodnie? – spytał z niedowierzaniem.

– Przecież nie będzie tak chodził. – Wskazała na gołe nogi rannego i białą, opinającą jego biodra pieluchę.

– A gdzie on ma niby chodzić? Po bagażniku? – skomentował z gniewnym sarkazmem.

– Nie wróci do bagażnika – powiedziała stanowczo.

Jej rozmówca rzucił ze złością niedopałek na ziemię.

– Ma siedzieć z nami?? – spytał. Widać było, że narasta w nim wściekłość. – Jak ty to sobie wyobrażasz? Z tym bandażem na głowie? Żeby go wszyscy widzieli?? Następnym razem może ci się nie udać przekonać gapiów, że to normalne i że wszystko jest w porządku.

– Dam mu swoją czapkę – odparła niezrażona. – Tę z daszkiem.

– Kurwa mać! – Odwrócił się i odszedł parę kroków w bok. – Czy ty nie przesadzasz aby trochę?!

– Nie przesadzam – odpowiedziała chłodno. – I nigdy tak do mnie nie mów.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Jak dwoje przeciwników, nie wspólników ucieczki i kochanków. Najwyraźniej jednak dostrzegł w jej spojrzeniu, że w tym konkretnym przypadku nie przełamie raczej jej uporu.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Uspokójmy emocje. Słuchaj, może go po prostu zostawimy gdzieś przed jakimś szpitalem, żeby się nim profesjonalnie zajęli? To będzie dla niego najlepsze. Byłem temu przeciwny, ale po namyśle

zmieniłem zdanie. Nie mówi, nie ma z nim kontaktu, jeśli nie będzie miał przy sobie dokumentów, nie dojdą raczej szybko, kim jest i jakim samochodem podróżował. Jest to ciągle nieco ryzykowne, ale jestem w stanie się na to zgodzić.

– Nie – odparła. – Jura jedzie z nami.

* * *

Podszedł do półki, na której stało zdjęcie i przyjrzał mu się uważnie.

– Bo ma w salonie zdjęcie z Zakopanego? – spytał z powątpiewaniem. – Dlatego uważasz, że tam jedzie?

– To jedyna tego typu rzecz w całym mieszkaniu – odpowiedziała.

– To ładne zdjęcie i może ma faktycznie dla niej szczególną wartość, ale nie sądzisz, że to nieco zbyt daleko idący wniosek na podstawie tylko tej jednej przesłanki?

Jej wcześniejsza nagła pewność przestała być naraz aż tak bardzo niepodlegająca dyskusji.

– Po co miałyby tam jechać? – drążył dalej.

Nie potrafiła na to pytanie odpowiedzieć.

– Nie mówię, że nie masz racji, bo może masz – zastrzegł. – Ale jak na razie wygląda mi na to, że tak bardzo chciałaś tu znaleźć jakikolwiek trop, że rzuciłaś się na pierwszą rzecz, która mogłaby nim być. Tyle że to wcale nie musi być prawda.

Może, cholera, rzeczywiście tak było, sama już nie wiedziała.

– A masz jakiś inny pomysł? – spytała.

Zastanowił się.

– Sądzę, że mogą próbować przekroczyć granicę – odpowiedział. – Ziemia nie bez powodu zabrał paszport tej ukraińskiej sprzątacze. Jest nawet w jakiś sposób podobna do

Gierszewskiej. Przy wyrywkowej kontroli i gdyby Gierszewska wcześniej przefarbowwała włosy, mogłoby to się udać.

– A on? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Może też sobie coś załatwił. Kupił, ukradł albo jeszcze coś.

– Przy Zakopanem też jest granica – powiedziała. – Ze Słowacją. Może próbują uciec okrężną drogą? Najpierw dostać się na Słowację – to w końcu wewnętrzna granica Unii, więc nawet w dobie pandemii nietrudno ją przekroczyć – a potem dopiero ze Słowacji przejechać na Ukrainę. Gdyby mieli ukraińskie paszporty, wpuściliby ich jako obywateli nawet pomimo covidowych obostrzeń. A byłiby daleko od polskiej policji i Straży Granicznej.

– Może. – Skinął bez przekonania głową. – Mamy więc dwa możliwe kierunki – podsumował – bezpośrednio na Ukrainę albo na Ukrainę, ale przez Słowację. Za tym drugim przemawia zdjęcie z dzieciństwa Gierszewskiej. Choć szczerze mówiąc – podrapał się palcem po nosie – nie bardzo rozumiem, jak jedno łączy się z drugim. Co wybieramy?

Wstała z kanapy, na której dotąd siedziała.

– Zakopane – powiedziała.

– Bardzo dobrze. – Uniósł sceptycznie brew. – A możesz mi wytłumaczyć dlaczego?

Podeszła do półki i wzięła z niej zdjęcie. Było w srebrnej, prostej, metalowej ramce. Jeszcze raz przyjrzała się z bliska nastolatce siedzącej w drewnianym wózku z napisem „Zakopane” na boku. Była szczęśliwa, trudno było tego nie dostrzec. Potem przypomniała sobie wszystkie teksty piosenek Gierszewskiej, których słuchała niedawno u siebie w mieszkaniu. Teksty depresyjne, dołujące, niemające w sobie ani odrobiny tej beztrudnej wesołości, która biła z tego zdjęcia. Przebiegła myślami całe życie ich autorki, od śmierci ojca,

przez toksyczny niewątpliwie związek z menadżerem, po ostatnie wydarzenia. Nie potrafiła tego w jasny sposób sformułować, ale czuła, że ostry kontrast między radością malującą się na twarzy tej dorastającej dziewczyny a smutkiem jej dalszego życia ma duże znaczenie. Może faktycznie połączyła się w jakiś parapsychiczny sposób z aurą tego mieszkania, w którym przebywali?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Ale mam silne przekonanie, że jadą właśnie tam. Od początku kierowali się na południe, prawda? Poza tym mam dziwne poczucie, że Gierszewskiej nie chodzi o zwykłą ucieczkę z kraju.

– To o co? – spytał.

– Nie wiem – powtórzyła. – O coś. I to coś jest w Zakopanem.

ROZDZIAŁ 85

To było głupie, ale nie potrafiła się pozbyć tej myśli. Wreszcie miała kogoś. Patrzyła na mężczyznę z obandażowaną głową przypiętego pasami i siedzącego obok niej i czuła spokój. Jakby wszystko było wreszcie tak, jak być powinno. Miała ochotę wyciągnąć rękę i pogłodzić go po twarzy.

Może to instynkt macierzyński wreszcie się w niej odezwał? Tłumiony i spychany w podświadomość przez tyle lat, wybił wreszcie tą niespodziewaną dziurą? Albo całe jej pierdolone życie, w którym nigdy nie było normalnej miłości, tak jej się odwinęło, że pokochała naraz tę dziwną istotę, którą sama w pewnym sensie stworzyła – ni to człowieka, ni dziecko, ni zwierzę – obiekt miłości w sam raz dla jej poharatanej, niedojrzałej psyche.

Czułym gestem poprawiła czapkę na jego głowie. Nie zareagował nawet. Patrzył w okno samochodu, jakby był zahipnotyzowany przesuwającymi się za nim krajobrazami. Kim był kiedyś? Co robił? Kogo kochał? Poczwała nagle straszną ochotę, by się tego dowiedzieć. Może powinni jednak pojechać z nim na Ukrainę? Odnaleźć jego bliskich? Zwrócić im go, jak psa, którego znalazło się przy drodze. Ktoś tam na niego przecież czeka, dzieci płaczą, nieważne, że zdążyłeś się do niego przywiązać.

Drugi z mężczyzn, z którymi podróżowała, prowadził w milczeniu samochód. Był wściekły, a przynajmniej mocno

niezadowolony. Emanowało to z jego pleców, z tyłu jego głowy, ze sposobu, w jaki trzymał kierownicę. Może był po prostu zazdrosny? Przestał być jedynym samcem w tym mikrostadzie. Jego samica siedziała teraz przy innym. Nie tak to miało wyglądać.

– Jak tam na drodze? Wszystko w porządku? – spytała, bo nie chciała mimo wszystko tak całkiem go odtrącać. Był jej potrzebny, przynajmniej do momentu, gdy nie zmieni się w ten czy inny sposób sytuacja, więc powinna go nieco dopieścić.

– Tak – odparł zdawkowo. – Jest OK.

– Gdzie jesteśmy?

– Dziesięć kilometrów od Buska-Zdroju.

Nagle usłyszała ciche buczenie. Chwilę potem w głośnikach samochodu rozległ się dźwięk połączenia telefonicznego. Na dużym ekranie powyżej dźwigni zmiany biegów pojawił się napis cyrylicą. Z trudem odcyfrowała litery. Kira, imię żeńskie.

– To chyba do twojego chłopaka. Spytaj go, czy odbierze. – Znad kierownicy rozległ się nieprzyjemny rechot.

Mężczyzna obok niej zaczął się niespokojnie kręcić. Jakby dźwięk telefonu w zestawie głośnomówiącym samochodu był czymś, co pobudziło wspomnienia w jego zdemolowanym mózgu.

– Wyłącz to – rzuciła do przodu.

– Jak to wyłączyć?

– Odrzuć połączenie. Masz tam na kierownicy taki przycisk – dodała zniecierpliwiona.

– Jeśli to ktoś z jego rodziny, lepiej poczekać, aż sam przestanie dzwonić. Niech pomyśli, że Jura nie może odebrać. – Słowo „Jura” wypowiedziane zostało z wyraźnym przekąsem.

Człowiek o tym imieniu coraz bardziej się denerwował. Zaczął kiwać się w przód i w tył i wydawać nieartykułowane dźwięki.

– Wyłącz to wreszcie, do jasnej cholery! – krzyknęła.

W tym momencie telefon przestał dzwonić.

Zapadła cisza, dopiero po chwili włączyło się z powrotem radio.

– Wkurwia mnie ten Ukrainiec. – Usłyszała z przodu. – Mam ochotę wyrzucić go z samochodu.

– Jeśli to zrobisz, zabiję cię – odpowiedziała.

Kolejny dźwięk. Tym razem chyba SMS. Kierowca sięgnął po aparat, który leżał tuż przy nim, w uchwycie na napoje. Przez moment patrzył na wyświetlacz, potem podał go jej do tyłu.

– Przytknij jego palec do czytnika linii papilarnych i sprawdź, o co chodzi – polecił.

Zrobiła tak. Jura miał dłonie ciepłe i suche. Nie za wielkie, ale silne i ładnie wyrzeźbione. Ekran się odblokował. Spróbowała przeczytać wiadomość. Nie było to łatwe, bo nie pamiętała już wszystkich liter. Poza tym tekst był po ukraińsku, nie po rosyjsku.

– Chyba pisze, żeby się odezwał. Bo dawno nie dzwonił, więc się niepokoi – powiedziała.

– Kto się niepokoi?

– Kira. – Spojrzała na dłoń leżącą wciąż bezwładnie na jej kolanie. Na palcu serdecznym nie było obrączki. – Pewnie jego dziewczyna.

– Dziewczyna? – znów ten kpiąco-sarkastyczny ton. – Czyli klasyczny trójkącik. A w zasadzie czworokącik, jeśli mnie też w to wliczać. Bo tak zwany piąty element, że tak zażartuję, od paru już dni gryzie glebę.

– Przestań się wydurniać – powiedziała przez zęby. – Bo robisz z siebie idiotę. Ile mamy stąd do Zakopanego? – spytała po chwili.

– Jakies trzy godziny jazdy, jak sądzę – odpowiedział. – Może cztery.

– Jedźmy tam jak najszybciej – powiedziała. – I nie kluczymy po bocznych drogach. Teraz to już i tak nie ma sensu.

* * *

– Pamięta pani to zdjęcie? – Wyjęła z torebki srebrną ramkę i pokazała kobiecie.

Matka Julii Gierszewskiej mrugnęła dokładnie trzy razy, zanim odpowiedziała:

– Pamiętam. Zrobiliśmy je na Krupówkach.

Seredyńska rozłożyła nóżkę z tyłu oprawki i postawiła je na małej szafce pod ścianą, tak żeby starsza kobieta mogła wciąż na nie patrzeć.

– Znalazłam je w mieszkaniu Julii – powiedziała. – Była to zdaje się jedyna rzecz, którą wzięła z rodzinnego domu.

Kobieta nie skomentowała tego.

– Często jeździliście do Zakopanego? – spytała Seredyńska.

– Razem byliśmy tam tylko raz. Sama jeździłam tam wcześniej, zanim jeszcze wyszłam za męża.

– Pamięta pani, kiedy to było? W którym roku pojechaliście tam we dwie?

Matka Gierszewskiej nie odpowiedziała od razu.

– Nie pamiętam dokładnie, Julia była wtedy chyba jeszcze w liceum...

– Nie był to przypadkiem ten sam rok, w którym zginął pani mąż?

– Nie wiem, nie pamiętam... Niech mi pani da spokój... – Kobieta ścisnęła swoje skronie dłońmi. Obserwujący tę scenę lekarz spojrział na nią z uwagą.

– Pani Julito, to wszystko jest do sprawdzenia – powiedziała Seredyńska. – Oszczędzi pani mi i sobie czasu i kłopotu, jeśli

powie pani już teraz prawdę, którą na pewno doskonale pani pamięta. Pani mąż został zabity pod koniec lipca, czy nastąpiło to w te same wakacje, podczas których wcześniej byliście w Zakopanem?

Matka Gierszewskiej skuliła się w sobie i wydała cichy jęk. Lekarz uniósł się na krzesło, jakby zamierzał wstać. Seredyńska wyciągnęła w jego stronę dłoń powstrzymującym gestem. Ten ruch był tak stanowczy, że opadł z powrotem na siedzenie.

– Pani Julito – głos Seredyńskiej był jednocześnie łagodny i pełen przekonania – wiem, że próbuje pani teraz uciec przed odpowiedzią, udając pogorszenie swojego stanu. Wiem też, że jeśli to pani powtórzy, ten miły lekarz przerwie naszą rozmowę i osiągnie pani swój cel. Chciałabym jednak, by zanim to pani zrobi, zrozumiała, po co potrzebne są mi te informacje. Niech więc mi pani da chwilę na wytłumaczenie tego.

Kobieta nie podniosła głowy, lecz znieruchomiała i nie jęknęła więcej. Seredyńska poczekała jeszcze chwilę, by upewnić się, że jej przemowa odniosła skutek, i zaczęła mówić:

– Pani córka ma duże kłopoty i nie chodzi tu o to, że może trafić do więzienia. Wspólnie z mężczyzną, z którym ucieka, próbowali przejechać policjantkę, a potem ciężko zranili oficera policji, który teraz walczy o życie. Odebrali mu też służbową broń, więc są uważani za niebezpiecznych i groźnych przestępców. Takim ludziom podczas zatrzymania często przytrafia się coś złego. Przypadkiem lub nie przypadkiem. Policja raczej nie cacka się z kimś, kto o mało nie zabił ich kolegi i jest na domiar złego uzbrojony. Do tego mam powody przypuszczać, że Julii grozi niebezpieczeństwo ze strony człowieka, z którym teraz podróżuje i który prawdopodobnie podstępem wplątał ją w tę całą sytuację. Mam, bo zetknęłam się z nim wczoraj i mnie zresztą też o mało nie zabił. Być może jestem więc jej jedyną nadzieją. Jeśli znajdę ją wcześniej

i przekonam do współpracy, pani córka będzie miała szansę wyjść z tego cało. Pójdzie do więzienia, ale przeżyje. Niech mi więc pani powie wszystko, co wie, to być może uda mi się ją uratować.

ROZDZIAŁ 86

Zatrzymali się przed niskim drewnianym domem przy jednej z wąskich uliczek na tyłach Krupówek. Nie była to willa w stylu zakopiańskim, raczej zwykła góralska chata, pokrzywiona ze starości i czekająca już pewnie na moment, gdy z powodu groźby zawalenia zostanie wykreślona z rejestru zabytków i będzie można na jej miejscu postawić luksusowy pensjonat. Ale póki co wisiała na niej jeszcze tabliczka „pokoje do wynajęcia”.

– Tu? – spytał z pewnym zdziwieniem.

– Tu – odpowiedziała.

– Nie wolałabyś czegoś...

– Czego? – przerwała mu. – Czegoś z recepcją i zameldowaniem? Tu nikt cię nie poprosi o dowód. Górale biorą pieniądze i nie pytają.

Zapukała w stare, drewniane drzwi. Potem nacisnęła biały przycisk dzwonka. Rozległ się dźwięk świadczący o tym, że wszystkie elementy tego prostego elektrycznego mechanizmu były już naprawdę nieźle zużyte. Ale wciąż działały.

To samo można było powiedzieć o kobiecie, która im otworzyła. Była stara, chuda i nieco przygarbiona. Włosy mocno przetykane siwizną, lecz jeszcze nie całkiem siwe, miała spięte w kok. Jej długa spódnica wlokła się prawie po ziemi. Ciemna karnacja sprawiała, że wyglądała niemal jak stara Włoszka.

– Słucham? – spytała.

To była ta sama kobieta. Ta sama, co wtedy. Starsza o dwadzieścia lat, ale i wówczas nie sprawiała wrażenia młodej.

– Ma pani wolny pokój? – Te słowa z trudem przeszły jej przez gardło.

Kobieta obrzuciła ją spojrzeniem, potem przeniosła wzrok na białego forda i stojącego przy nim mężczyznę. Stąd raczej nie mogła dostrzec ukraińskiej rejestracji.

– Na ile osób? – spytała.

– Na trzy.

Spojrzała ponownie na samochód. Szyby były przyciemniane, więc nie było widać, kto siedzi w środku.

– Został już tylko jeden. Na poddaszu. Może być?

– Może.

– Ale jest tylko jedno łóżko. Dzieciak będzie musiał spać z wami.

– Nie ma sprawy.

– Płatne z góry. Gotówką. Na ile nocy?

– Na jedną.

– Za jedną biorę podwójnie. Inaczej prac pościeli się nie opłaca.

Wymieniła kwotę. Była niewątpliwie wygórowana.

– W porządku.

– To idę po klucze. – Kobieta odwróciła się w drzwiach.

– Świetnie – odpowiedziała jej w plecy.

– Chwileczkę, a gdzie tu można zaparkować? – Ton, z jakim zostało wypowiedziane to pytanie, świadczył, że jej towarzysz nie słyszał raczej tekstu o spaniu we wspólnym łóżku.

– Z tyłu jest podwórko – odparła kobieta. – Wjeżdża się od tamtej ulicy. – Wskazała ręką kierunek. – Tylko nie stawiajcie za blisko ściany, bo czasem gonty z dachu lecą.

Zniknęła w ciemnym wnętrzu chaty.

Po chwili wróciła. Wręczyła im klucze – jeden do drzwi wejściowych, drugi do pokoju – spięte metalowym kółkiem z prostym, drewnianym brelokiem w kształcie deseczki z napisanym na niej flamastrem numerem cztery. Wzięła je od kobiety i spojrzała na wyblakłą cyfrę. Pamiętała ją. Pamiętała ją sprzed dwudziestu lat. Była wtedy niedawno napisana i błyszcząca mocnym, czarnym tuszem. Drewniany breloczek też nie był jeszcze tak wyslizgany setkami rąk. Dziwna sprawa, jak nieistotne szczegóły zapadają czasami w pamięć. Zwłaszcza gdy ma się kilkanaście lat i po raz pierwszy jest się w górach.

Zapłaciła kobiecie wymienioną kwotę i weszła do środka, nie przejmując się pozostawionymi w samochodzie dwoma mężczyznami. Dom był ciemny ściemniałym starym drewnem i miał taki sam zapach jak kiedyś. Już wtedy był stary, ale jak na tamte czasy była to całkiem porządna kwatera. Lepsza nawet od ciasnych pokoi w siermiężnych domach wczasowych rodem jeszcze z poprzedniej epoki. Dziś, gdy wkoło wyrosły luksusowe pensjonaty i hotele, a sam budynek i jego wyposażenie szerniały i wyblakły jednocześnie, był już w zasadzie zapyziałą norą, mogącą złapać w swe zdeklasowane sidła tylko tych, którzy szukali noclegu w ostatnim momencie, już po przyjechaniu na miejsce.

Na takich właśnie chyba wyglądali, gdy zaparkowali swój nie najgorszy przecież samochód na ulicy przed nim. Wynajęcie pokoju tylko na jedną noc jeszcze to potwierdziło. Nie byli zapewne pierwszymi, którzy rozbijali tu swój pierwszy, tymczasowy obóz w nadziei, że następnego dnia znajdą coś lepszego. I bardzo dobrze. Takich pensjonariuszy się nie zapamiętuje, bo nie ma po co im się specjalnie przyglądać.

Wdrapała się po skrzypiących, drewnianych schodach na poddasze. Na tym poziomie były tylko drzwi do pokoju, więc właściciele nie uznali za potrzebne, by umieszczać na nich

numer. Włożyła klucz do zamka i przekręciła go w prawo. Weszła do środka. Owionął ją zapach długo zamkniętego, nieużywanego drewnianego pomieszczenia. Zapach wiejskiej chaty w skansenie, zakrystii w drewnianym kościele i komórki na narzędzia przy domu babci. Wciągnęła w nozdrza tę upajającą woń. Ten pokój nie był zbyt często wynajmowany. Pomyślała – i bardzo spodobała jej się ta myśl, choć wiedziała, że to raczej niemożliwe – że nie był wynajęty od tamtego lata, gdy w nim mieszkały.

Zamknęła za sobą drzwi. To zadziwiające, że po dwudziestu z górą latach znowu dostała ten sam pokój. Po cichu na to liczyła, lecz przecież nie mogła nawet być pewna, że w ogóle będzie tu jakaś wolna kwatery. To bardzo dobrze, oszczędziło jej to sporo zachodu. Szczęście jak widać sprzyja złym. A może właścicielka jednak ją poznała? Nie, to niemożliwe, wyglądała wtedy przecież zupełnie inaczej. Była niższa, chuda i miała inny kolor włosów. Dopiero zaczynała przypominać kobietę. Po prostu wtedy, tak jak teraz, szukały pokoju w ostatnim momencie i dostały, tak jak dziś, ten najgorszy, na poddaszu, który wynajmuje się na samym końcu.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Wszystkie meble i całe wyposażenie na pewno były te same. Białe łóżko z obłazącą emalią na metalowej ramie stojące przy niewielkim oknie, obok drewniana, niewielka nocna szafka, kwadratowy stół i dwa krzesła z wyrzynanymi w góralskim stylu oparciami. I tyle. A, i jeszcze dwuskrzydłowa szafa na ubrania z najtańszej płyty, poobijana i pokrzywiona od dwudziestoletniego użytkowania.

Podeszła do kwadratowego okna przysłoniętego zakurzoną firanką. W oddali widać było góry. Te same i takie same jak kiedyś. One na pewno też się nie zmieniły.

ROZDZIAŁ 87

Odwróciła się od tego widoku. Nie po to przecież tu przyjechała. Gdzie to było?, pomyślała. Minęło dwadzieścia lat, aż tak dobrze nie pamiętała tamtego popołudnia. Zaczęła iść wzdłuż ścian. Z przodu, tam gdzie było okno, wiadomo, że nie. Od strony drzwi też nie, bo po drugiej stronie był korytarz. Pozostawały dwie boczne ściany.

Zaczęła wodzić po nich palcami, dotykać desek dłońmi. Odkryła to w końcu wtedy tak samo, teraz więc musi po prostu powtórzyć tamte badania. Tyle że wówczas robiła to z nudów, teraz miała o wiele poważniejszy powód.

W końcu znalazła. Jedna z desek pod naporem palców leciutko się ugięła. No tak, przecież. Było to niemal w samym rogu pokoju, powinna to pamiętać. Wsunęła opuszki palców pod jej krawędź. Potem, mimo bólu, wcisnęła je głębiej. Deska odgięła się, tym razem w drugą stronę. Pociągnęła ją jeszcze do siebie, chwyciła drugą dłońią i odsunęła na bok. Za nią ukazało się ciemne, puste wnętrze. Tak samo zrobiła z drugą deską, obok, tyle że odsunęła ją w drugą stronę. Powstał w ten sposób otwór w kształcie wąskiego trójkąta, dostatecznie szerokiego jednak u podstawy, by mogła przecisnąć się przez niego chuda piętnastolatka.

Wtedy się nad tym nie zastanawiała, teraz jednak o tym pomyślała: czy ktoś zostawił tak to specjalnie, by mieć w razie czego dostęp do tej tajnej przestrzeni po drugiej stronie, czy też

po prostu budowniczym zabrakło gwoździ i dlatego przybili te dwie deski na samym końcu ściany tylko od góry? Stawiałyby chyba jednak na to drugie. Być może właśnie dlatego nikt nigdy nie odkrył jej sekretu.

Opadła na kolana. Nie była już piętnastolatką, nie była aż tak szczupła jak wtedy. Choć niewątpliwie kilka ostatnich dni sprawiło, że mocno schudła; poznawała to po tym, jak luźne stały się jej dopasowane do niedawna dzinsy. Może się jednak uda, warto przynajmniej spróbować. Włożyła głowę do środka otworu, potem czołgając się niemal, przecisnęła przez niego ramiona. Najgorzej będzie z biodrami. Nie były może specjalnie rozłożyste, lecz na pewno już nie tak wąskie jak wtedy.

Przez moment myślała, że utknęła, że dalej nie przejdzie. W końcu jednak wpadła na pomysł, którego nie musiała stosować dwadzieścia lat temu – że jeśli przekręci swoje ciało na bok, jej biodra staną się wysokie, nie szerokie. Zrobiła tak i wsunęła się do środka.

Przez chwilę przyzwyczajała oczy do ciemności. Nie była ona całkowita, światło wpadało przez otwór, którym weszła, i przez dziesiątki mikroskopijnych szczelin w pokrywie dachu. Znalazła się bowiem tuż pod nim, w zapomnianej przestrzeni między jego spadzistą, wewnętrzną powierzchnią a ścianką z desek wydzielającą z poddasza jej pokój. Nic tu nie było poza belkami więźby dachowej nad nią i ułożonymi na nich setkami drewnianych gontów. Oraz oczywiście kurzem, leżącymi na podłodze białymi odchodami ptaków i ich pojedynczymi białymi lub szarymi piórami.

Ostrożnie podniosła się z kolan. Dachy góralskich domów były wysokie i strome, więc nawet dziś nie miała problemu, by się tu wyprostować. Pachniało suchym drewnem, kurzem i pajęczynami. I czymś jeszcze, czymś nieokreślonym. Czymś,

czego mózg nie był w stanie przyporządkować do żadnego konkretnego, znanego sobie obiektu.

Ruszyła powoli do przodu. Każdy jej krok skrzypiał i chrzęścił, jakby stąpała po dywanie z milionów wysuszonych, owadzych pancerzyków. Kto wie zresztą, może rzeczywiście tak było. Twarz muskały jej lepkie i ciężkie, oblepione kurzem pajęczyny. Wszystko było tak samo jak wtedy, kiedy była tu pierwszy raz. Jakby cofnęła się w czasie. Zadziwiające, wzruszające, przerażające uczucie. Znow była tamtą piętnastoletnią dziewczynką, która w deszczowy dzień, kiedy jej mama wyszła do sklepu, odnalazła przejście do innego świata. To była jej druga strona lustra, jej stara szafa wiodąca do królestwa Narnii. Która później stała się wrotami Hadesu.

Wreszcie dotarła do kresu. I wtedy, i teraz. Dach kończył się, bo kończył się dom. Po drugiej stronie był już następny, nieomal bliźniaczy, skleiony z tym ścianami. Zostawiła coś kiedyś w tym miejscu. Dwadzieścia lat temu, nie podczas pierwszej, odkrywczej wizyty w tym świecie, lecz potem, gdy wrota otwarły się po raz ostatni. Była ciekawa, czy to wciąż tu było. Czy nikt jej tego nie zabrał. Wciągnęła powietrze nosem. Zapach był taki sam jak wszędzie. Choć nie. Może... może odrobinę inny. Wytężyła wzrok. W ciemnym kącie coś leżało. Coś ciemniejszego od otaczającego je półmroku. Kucnęła, by lepiej to widzieć.

– Cześć – powiedziała. – Co słyhać? Dawnośmy się nie widzieli.

* * *

Wyszli. Spojrzała na Aleksanderskiego. On też patrzył na nią. Wszystkie te rzeczy, które usłyszeli... Ogrom

przygniatających faktów. Poczwała się, jakby ktoś złożył jej na barki całe zło świata.

– Nie możesz być pewna, że to wszystko jest prawdą – powiedział. – To w końcu pensjonariuszka zakładu dla obłąkanych.

„Pensjonariuszka zakładu dla obłąkanych”, zdziwiła się tym sformułowaniem. Kto jeszcze tak mówi? Ten moment zadziwienia pozwolił jej się nieco otrząsnąć.

– Myślisz, że sobie to wymyśliła? – spytała.

Zastanowił się.

– Nie – odparł. – Ale pewni być tego nie możemy.

Miała ochotę się upić. Wypić duszkiem całą butelkę wódki, tak by wyłączyć wszystkie funkcje świadomości. Mając nadzieję, że gdy się obudzi, nie będzie nic pamiętała. Że wróci wtedy do tego stanu naiwnej, ufnej niewinności, gdy nie wiedziała jeszcze, ile bezinteresownego cierpienia potrafiemy sobie wzajemnie zadawać. Gdy jeszcze myślała, że świat jest w miarę przyjaznym miejscem odpłacającym dobrem za odpowiednie zachowanie. Pomyślała o swoim ojcu. W zasadzie powinna kupić mu kwiaty. Z perspektywy tego, co dziś usłyszała, był całkiem spoko.

– Ona tam teraz jest – powiedziała. – W tej chwili. W Zakopanem. Musimy tam jechać.

Pokiwał z namysłem głową.

– Jeśli gdzieś możemy ich znaleźć, to tylko tam – zgodził się. – Bo jeśli ich tam nie ma, złapać ich można w zasadzie jedynie przez przypadek. Gdy kiedyś popełnią jakiś błąd, co prędzej czy później się stanie. Lecz wtedy my nie będziemy do niczego potrzebni.

ROZDZIAŁ 88

– Co tak długo? – warknął. – Myślałem, że tu świra dostanę z tym pojebem. Wyje i wyje. Chyba za tobą tęskni.

Otworzyła tylne drzwi samochodu. Jurij siedział przypięty pasami i głośno jęczał. Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Już dobrze – powiedziała. – Jestem.

Mężczyzna ucichł, choć nie odwrócił głowy w jej stronę.

– Trzeba mu zmienić opatrunek – powiedziała. – I pieluchę.

– Baw się dobrze. – Usłyszała z przedniego siedzenia. – Ale mnie w to nie mieszaj.

Góralka, która im wynajęła pokój, poszła do swojego mieszkania. Z tej strony, od podwórka, też było wejście do domu. Jeśli chcieli, by nikt ich nie widział, by nikt nie widział, jak wygląda ich „dzieciak”, to był najlepszy moment, by wyjść.

– Szybko – rzuciła. – Pomóż mi go zaprowadzić na górę.

Nachyliła się nad siedzeniem i odpięła pas.

– Jura, chodź – powiedziała łagodnie. – Pójdziemy do domu.

Złapała go za rękę i pociągnęła. Przechylił się na nią, ale nic więcej. Chwyciła go za prawą nogę i wyjęła ją poza obręb karoserii. Potem to samo zrobiła z lewą.

– No pomóż mi – syknęła w stronę kierowcy. – Nie zachowuj się jak obrażony bachor. Zaraz ktoś może przyjść.

Wysiadł wreszcie i podszedł do nich. Razem wzięli ранego pod rękę i postawili na nogi. Potem zaprowadzili go po schodach na górę. Zdaje się, że nikt ich nie widział.

– Tu jest tylko jedno łóżko – powiedział, gdy weszli do pokoju. – Gdzie będzie spał twój zwierzak? Jeśli myślisz, że z nami, to zapomnij.

Szczerze mówiąc, nie zastanawiała się do tej pory nad tym.

– Weźmiecie łóżko, ja zrobię sobie posłanie z kapy na podłodze – odpowiedziała.

– Chyba żartujesz! – prychnął. – Nie będę spał na jednym posłaniu z tym czymś. Zwierzęta śpią na podłodze, takie są zasady.

– On jest ranny – próbowała jeszcze oponować.

– Nie ma dyskusji – rzucił ostro. – To ty go niańczysz, nie ja. To był twój pomysł, więc jakoś to zorganizuj, ale nie moim kosztem, czy to jest jasne? Idę teraz do sklepu, bo muszę się czegoś napić po tym wszystkim. Oporządkuj go w tym czasie, bo nie chcę na to patrzeć. Chcesz też coś? – dodał już przyjaźniejszym tonem.

– Nie – odparła.

– Nie to nie. – Wyszedł.

Sama się zdziwiła temu, co powiedziała. Odmówiła właśnie alkoholu. Niezwykłe. Dlaczego to zrobiła? Czyżby chodziło o tę biedną istotę, za którą czuła się odpowiedzialna? Nie chciała być pijana, w razie gdyby coś się stało.

Posadziła Jurę na łóżku. Zmieniła mu opatrunek na głowie. W pokoju nie było kosza, więc zakrwawione bandaże wyrzuciła do tego w łazience. Potem delikatnie położyła mężczyznę na plecy i założyła mu nową pieluchę. Starą też zamierzała zanieść do łazienki, ale ponieważ nie pachniała zbyt ładnie, postanowiła wyrzucić ją do pojemnika na śmieci na podwórku. Nie chciała, by tamten drugi znowu miał powód do awantury.

Wracając, zobaczyła koc leżący na skrzyni przy wejściu. Nie wyglądał na zbyt czysty, ale wzięła go ze sobą. Gdy weszła z powrotem do pokoju, Jura leżał dokładnie tak, jak go

zostawiła – na plecach, patrząc otwartymi oczami w sufit. Usiadła przy nim na łóżku i pogłaskała go po włosach.

Nagle pomyślała, że mogłaby teraz uciec. Dokładnie na taki moment przecież czekała. Pójść do najbliższego komisariatu, powiedzieć, że została porwana, i zrzucić wszystko na tamtego. Tylko musi zabrać ze sobą Jurę.

– Chodź – powiedziała. – Pójdziemy na spacer.

Pociągnęła go za rękę, żeby wstał. Ani drgnął. Jakby ciągnęła worek kartofli.

– Jura, Juroczka, wstawaj. – Próbowała go zachęcić. – Musimy uciekać!

Ranny, który czasami wydawał się wręcz ją poznawać, a nawet jej słuchać, tym razem jak na złość zapadł w stupor. Nieruchomy wzrok wbity miał w powalę. Nawet nie mrugał. Jakby zasnął z otwartymi oczami. Może zresztą tak było.

Spróbowała chwycić go pod ramiona i unieść. Był jednak dla niej za ciężki. Gdy nie współpracował, nie dawało się go nawet ruszyć.

Puściła go wreszcie. Zdawała sobie sprawę, że tamten może za chwilę wrócić. Jeśli chce uciec, wrócić do swojego poprzedniego życia, musi to zrobić teraz. Gdyby tylko wcześniej przypomniała sobie o tej możliwości! Za bardzo była jednak zaaferowana rolą pielęgniarki.

Zrozumiała, że musi go zostawić. Tu na tym łóżku. To przecież nie takie straszne. Znajdzie policjantów, poda im ten adres, a oni go uratują. Wstała.

– Zostaniesz na chwilę sam – powiedziała uspokajającym tonem. – Ja pójdę po pomoc.

I wtedy odwrócił głowę. Popatrzył na nią. Zobaczyła w tym wzroku coś, czego być może wcale tam nie było. Że on nie chce, żeby odchodziła, że pragnie, by została z nim.

– Tylko na chwilę – powiedziała. Głos jej się dziwnie załamał.
– Tamten nic ci nie zrobi. Nie zdąży. Zaraz wrócę. Nie bój się.

Nie wyglądał, szczerze mówiąc, jakby się czegoś bał. Po prostu na nią patrzył. Nawet nie jak pies, jak... coś. Ten wzrok przewiercał ją na wylot, choć być może nie stała za nim żadna myśl.

A co, jeśli jednak nie zdąży? Tamten wróci, zobaczy, że uciekła, wścieknie się i wyładuje swoją złość na tym biednym ciele. Zabije je do końca, bo przecież od dawna tego pragnie. A jej nie będzie, żeby go powstrzymać.

Cofnęła się o krok. Spojrzenie automatycznie podążyło za nią. Próbowwała przekonać samą siebie, że ten człowiek, to coś, nic dla niej nie znaczy. Poznała go przecież dopiero dzisiaj i nie ona była odpowiedzialna za jego stan. Nic więc nie jest mu winna. Powinna się ratować, to być może jej jedyna i ostatnia szansa. A to coś i tak jest warzywem, żyjącym tylko przez jakiś dziwny, niezrozumiały przypadek, bez szans na powrót do jakiegokolwiek świadomości.

Te oczy wciąż jednak na nią patrzyły, mrugnęły wreszcie nawet, usłyszała niemal chrzęst powiek ocierających się o przesuszoną spojówkę. Wiedziała, że za tym spojrzeniem najprawdopodobniej niczego nie ma, żadnej myślącej i czującej osoby, jest tylko automatyzm pewnych podstawowych funkcji życiowych, nie potrafiła jednak odejść.

Podeszła znowu i usiadła na łóżku.

– Już dobrze, dobrze – wyszeptała i położyła mu dłoń na policzku. – Nigdzie nie pójde. Nie zostawię cię samego. I nie pozwolę ci zrobić krzywdy.

Ale być może nie chodziło wcale o to. Pomyślała o tym właśnie w tym momencie. Może wcale nie chciała odejść, może wcale nie chciała uciec. Ani wracać do swojego poprzedniego życia. Może po prostu pragnęła dokończyć to, czego nie zrobiła

dwadzieścia lat temu. Bo od początku o to jej tylko chodziło. Po to tu przyjechała.

ROZDZIAŁ 89

Zatrzymali się przed drewnianym, jakby zapadającym się już w ziemię budynkiem.

– To tu? – spytał.

– Tak sędzę – odpowiedziała. – Matka Gierszewskiej nie pamiętała dokładnego adresu, ale wygląd i umiejscowienie się zgadza.

Wysiedli z samochodu. Przeciągnęła się. Kilkugodzinna podróż dała jej się porządnie we znaki, mimo że zamieniali się z Aleksanderskim za kierownicą.

Podeszła do drzwi. Nacisnęła biały, poszarzały ze starości dzwonek przyczepiony do drewnianej ościeżnicy. Równie biały elektryczny kabel odchodził od niego i znikał gdzieś w wnętrzu domu.

Otworzyła im stara góralka w długiej spódnicy.

– Wolnych pokoi już nie ma – powiedziała niepytana. – Napis wisi, bo wisi. Nie bede go przeca za każdym razem ściągać.

– My nie w tej sprawie – odpowiedziała. – Prokurator Sereżyńska, Prokuratura Okręgowa w Warszawie. – Pokazała jej swoją legitymację. – Mogę mieć kilka pytań?

Kobieta bez zainteresowania obrzuciła wzrokiem okazany jej dokument.

– Ja tam nic nie wiem – rzuciła z niechęcią. – Stara jestem, ledwo widzę. A i słyszę kiepsko. Spytajcie kogoś innego.

– Kogo innego też spytamy – odezwał się Aleksanderski. – Ale teraz chcemy porozmawiać z wami.

Góralka spojrzała na niego bystro. Wbrew temu, co powiedziała, wydawała się widzieć znakomicie.

– A dlaczego to z Warszawy, a nie od nas z Zakopanego? – spytała z nieufnością. – Co wy tu macie do nas, panocku?

– A bo szukamy takiej jednej paniusi z Warszawy – odparł komisarz. – Zawieruszyła nam się. A chcielibyśmy z nią porozmawiać jeszcze bardziej niż z wami. Julia Gierszewska, piosenkarka. Może żeście słyszeli. Zabiła swojego gacha. Było o niej głośno ostatnio w telewizji.

Kobieta machnęła ręką.

– Ja tam nie oglądam tych bzdur – powiedziała. – Co najwyżej czasem radia posłucham. Ale tam o Ponu Bogu mówią, nie o jakichś głupotach.

– A to Pan Bóg by się ucieszył, gdybyśmy ją złapali. Morderstwo to grzech śmiertelny, należy się za niego kara. – Komisarz Aleksanderski próbował najwyraźniej dotrzeć do kobiety, mówiąc jej językiem.

Góralka zamyśliła się, jakby rozważała słuszność tego, co powiedział.

– Gacha zabiła, mówicie – odezwała się wreszcie. – Może mu się należało? Tak Bogiem a prawdą tego swojego chłopca też powinnam zarębać, ale całe szczęście sam się wcześniej zawinął.

– Należało, nie należało, nie nam to oceniać – odpowiedział komisarz. – Boga nie należy wyręczać ani tym bardziej policji.

– A wy, panocku, też z Warszawy? – Spojrzała na niego spode łba. – Bo ja tu tych naszych to wszystkich znam.

Seredyńska zaczęła już tracić cierpliwość.

– Jeśli nie chce pani rozmawiać tutaj, zawsze możemy panią wezwać na komisariat. – Użyła najstarszej i zazwyczaj

najbardziej niezawodnej groźby wobec opornych rozmówców.
– Zaraz pójdziemy do „tych waszych” i poprosimy o doprowadzenie pani i to za chwilę, bo trochę nam się śpieszy.

Góralka wzruszyła ramionami.

– Mogę i na komisariat – odparła spokojnie. – Stara jestem, niewiele mam rozrywek, chętnie się przejadę, młodych chłopaków pooglądam...

Nie był z niej łatwy przeciwnik. Była uparta i najwyraźniej uprzedzona wobec wszystkich, którzy mieszkali z daleka od gór.

– Ale to i pensjonat pewnie trzeba będzie przeszukać. – Aleksanderski westchnął z udawanym żalem. – Letników bagaże przetrzepać, sprawdzić przy okazji, czy zachowany jest reżim sanitarny. Tyle kłopotu... Ale jak mus, to mus. – Uśmiechnął się szeroko.

Kobieta mruknęła coś pod nosem. Brzmiało to, jakby rzucała na emerytowanego komisarza rozbudowaną, wielostopniową klątwę.

– To co tam chceta wiedzieć? – spytała wreszcie. – Jak będę mogła pomóc, to przeca pomogę.

* * *

Góralka otworzyła im drzwi pokoju, który wynajęła kobieta o rysopisie przypominającym Gierszewską. Przyjechała wczoraj białym, dużym samochodem. Góralka nie rozpoznała marki ani nie widziała rejestracji. Niewiele więcej też była w stanie im pomóc, prócz wzruszenia ramionami na widok fotografii i przyznania, że „może to i ta”. Tym razem wyglądało jednak na to, że naprawdę „ona tam nic nie wie, bo toć nie przygląda się

letnikom”. Ważne, żeby dutki mieli i awantur po pijaku nie robili.

Weszli do środka. Kobieta została na korytarzu. Po chwili usłyszeli, jak ciężko schodzi po schodach.

Seredyńska rozejrzała się po pomieszczeniu. Łóżko było niepościelone, a kołdra i prześcieradło na nim wymięte. Dodatkowo pod ścianą zrobione było coś w rodzaju jeszcze jednego posłania z koca i kapy.

– Trzy osoby? – spytał Aleksanderski. – Może to jednak nie oni?

– Może – odpowiedziała.

Podeszła do barłogu, przykucnęła. Dotknęła ręką koca. Wydało jej się, że dostrzega na nim plamę, kolorem przypominała zaschniętą krew.

– Łazienka jest na korytarzu, tak? – spytała.

– Tak powiedziała ta baba jaga – odparł.

Wyszła na korytarz, znalazła drzwi z kwadratowym okienkiem z nieprzejrystego szkła na górze. Weszła do środka. Na białym, zszarzałym ręczniku znowu brunatna smuga. Zajrzała do kosza obok umywalki. Pod blaszaną pokrywką zobaczyła coś, co wyglądało jak zakrwawiony, zużyty opatrunek. Wróciła do pokoju.

– Któreś z nich jest ranne – powiedziała.

Komisarz popatrzył na nią z uwagą.

– Nowaczyk żadnego z nich nie postrzelił? – spytał.

– Jestem pewna, że nie. Gdy widziałam ich ostatni raz na stacji, oboje byli w dobrej formie. Ale od tamtego czasu sporo się mogło wydarzyć.

– Jeśli to oni, to kim jest ten trzeci?

– Właścicielem samochodu – odpowiedziała.

– Góralka go nie widziała – zauważył. – Może to on jest ranny?

Pokiwała głową.

– Potrzebowali samochodu. Nie mogli przecież jeździć autem Nowaczyka. A Ziemba ma pistolet. Trzeba sprawdzić, czy nie zaginął właściciel białego dużego samochodu – powiedziała. – SUV-a albo minivana.

– Tylko dlaczego go ze sobą ciągną? – spytał. – Tym bardziej, że jest ranny. Prościej byłoby go chyba zabić.

– Może nie przekroczyli jeszcze tej granicy – odpowiedziała. – Żeby mordować całkiem niewinnego człowieka.

Pomyślała o Nowaczyku. Nie dzwoniła dziś do szpitala, nie dowiadywała się, co z nim. I nie miała na razie zamiaru. I nie dlatego, że było jej to obojętne. Chciała to zepchnąć, zostawić na później. Bała się, że gdyby wieści nie były zbyt dobre, mogłoby to przeszkodzić jej w wykonaniu zadania. Gdyby zaś były zupełnie złe, całkowicie to uniemożliwić.

Wróciła do lustrowania pokoju. W szafie niczego nie było. Nie wyglądało, jakby była ostatnio w ogóle używana. Powiodła palcem po jednej z półek. Na opuszkę osadził się wyraźny, choć cienki półksiężyc z białego pyłu.

Słyszała za plecami kroki Aleksanderskiego. On też chodził po pomieszczeniu, usiłując odnaleźć coś, co mogłoby im pomóc. Zamknęła szafę i odwróciła się. Zobaczyła, jak komisarz podnosi pościel i zagląda pod poduszki.

Pod przeciwległą ścianą leżał czarny worek. Taki, w jakim wyrzuca się śmieci. Jedno z niewielu świadectw – oprócz rozkopanej pościeli i prowizorycznego posłania – że ktoś tu w ogóle przebywał. Podeszła do niego, kucnęła. Ostrożnie uniosła go do góry – był pusty. Ze środka doszedł wyraźny zapach wilgoci.

Nagle coś dostrzegła. Delikatny ślad buta odbity w cienkiej warstwie kurzu na ciemnych deskach podłogi. Gdyby się nie nachyliła, nie zobaczyłaby tego. Tylko z tej perspektywy światło

z okna padało pod odpowiednim kątem, by wydobyć go z niebytu. Schyliła głowę jeszcze niżej i lekko ją przekręciła, by lepiej go widzieć. Ciekawe. Nosek buta, który zostawił ten ślad, skierowany był w stronę ściany. Jakby ktoś stał bardzo blisko twarzą do niej. Obok było wiele innych, nakładających się na siebie śladów, lecz tylko ten jeden widać było wyraźnie.

Przeniosła wzrok na ścianę. W odróżnieniu od ścian zewnętrznych w tym budynku nie była zbudowana z uszczelnionych słomianą plecionką drewnianych bali, ale ze zwykłych desek. Jedna z nich jakby lekko odstawała. Chwyciła palcami jej koniec i pociągnęła do siebie. Deska odgięła się, ukazując pustą przestrzeń za sobą. Pociągnęła mocniej. Coś lekko trzasnęło. W powiększonym w ten sposób otworze widać było wyraźny, świeży ślad w warstwie brudu po drugiej stronie. Aleksanderski stał już za nią.

– Co się tak patrzysz? Pomóż mi – wysapała.

Nachylił się i chwycił za deskę.

– Baba jaga nas zamorduje – skomentował.

Pociągnęli wspólnymi siłami. Trzasnęło tym razem głośniej. Deska wygięła się, potem złamała u góry. Komisarz poświecił do środka latarką z telefonu.

– O ja pierdolę – jęknął.

Na końcu snopu światła było coś, co pomimo odległości i niewyraźnych zarysów trudno było z czymkolwiek pomylić. Obciążnięta skórą czaszka i wystające z niej białe zęby.

ROZDZIAŁ 90

– Mogła się pani wcześniej z nami skontaktować. – Miejscowy prokurator, który przedstawił się jako Rafał Kupała z Prokuratury Rejonowej w Zakopanem, zdawał się żywić tę samą podskórną niechęć wobec obcych, co właścicielka domu.

– Nie było czasu. – Seredyńska zbyła go. – Trop był świeży, chciałam go jak najszybciej sprawdzić.

– Z Warszawy do Zakopanego jedzie się parę godzin – zauważył.

W jego głosie pobrzmiwała uraza wynikająca z tego, że ktoś bezceremonialnie wkroczył na jego teren bez przewidzianego regulaminem i wymaganego przez zasady dobrego wychowania anonsu.

– Co ustalili pańscy ludzie? – zakończyła ten temat.

Stali przed drewnianym domem, w środku uwijali się już technicy w białych kombinezonach.

– Na razie tylko tyle, że zwłoki były zmumifikowane – odpowiedział. – Musiały leżeć na tym strychu dobrych parę lat.

To akurat zobaczyła sama.

– Mogłabym porozmawiać z szefem ekipy? – Wskazała głową dom. – Trochę mi się śpieszy.

Mężczyzna spojrział na nią niezbyt przyjaźnie.

– Niewiele się pani na razie od niego dowie – odpowiedział. – Sugerowałbym, by nie przeszkadzać mu póki co w pracy.

Zabrzmiało to, jakby mówił: „Wy tam w Warszawie zawsze chcecie mieć wszystko natychmiast. Tutaj są inne zwyczaje”.

Trochę ją już zirytowała ta okazywana jej na każdym kroku rezerwa.

– Panie prokuratorze. – Postanowiła wcielić się na chwilę w rolę zimnej suki z Warszawy. – Macie na swoim terenie dwoje niebezpiecznych przestępców, z których jeden niedawno zranił policjanta i odebrał mu broń. Każda najmniejsza informacja, nawet zebrana na tym etapie, może nam pomóc ich złapać. Na pewno dogłębnie zapoznam się z końcowym raportem z oględzin miejsca ujawnienia zwłok, ale teraz sugerowałabym, by zrobił pan to, o co poprosiłam.

Mężczyzna popatrzył na nią ponuro, lecz chyba przyjął jej argumentację.

– Janek! – krzyknął do mundurowego przy drzwiach. – A włyżce na górę i powiedz Zbyszkowi, coby stamela zlaz.

Po chwili w ciemnym wnętrzu domu zajaśniał biały kombinezon. Człowiek, który go nosił, podszedł do nich i ściągnął z głowy opinający ją szczelnie kaptur, a z twarzy plastikowe gogle. Włosy miał zmierzwiłone i posklejane od potu, ale uśmiechał się przyjaźnie.

Miła odmiana, pomyślała Seredyńska.

– Dzień dobry – powiedział. – Czym mogę służyć?

– Dzień dobry – przywitała się. – Prokurator Gabriela Seredyńska, Prokuratura Okręgowa w Warszawie. Wiem, że dopiero pan zaczął, ale przydadzą mi się nawet wstępne wnioski.

– Oczywiście, rozumiem. Proszę pytać. – Obtarł rękawem czoło.

– Interesują mnie głównie te zwłoki. Ile czasu mogły tam leżeć?

Mężczyzna uniósł brwi.

– Trudno powiedzieć – odparł. – Przyjmuje się, że aby doszło do pełnej mumifikacji, wystarczy przy odpowiednich warunkach około półtora miesiąca. Ale stan, w jakim znajduje się ubranie, świadczy, że mówimy tu raczej o latach.

– Ilu mniej więcej?

– Sądząc po fasonie spodni, w grę wchodzi początek lat dziewięćdziesiątych. Sam miałem takie.

– Czy to było...?

– Dziecko? – dokończył za nią. – Raczej nastolatek. Ciało obkurcza się, wysychając, więc wydaje się mniejsze. Płci męskiej, sądząc po ubiorze. Gość byłby teraz prawdopodobnie w moim wieku.

– Może pan choć w przybliżeniu określić przyczynę zgonu?

Technik pokręcił głową.

– Żadnych widocznych na pierwszy rzut oka obrażeń nie stwierdziłem – odparł. – Reszty dowiemy się w czasie sekcji.

Zwróciła się do prokuratora.

– Możemy sprawdzić, kto w tamtym czasie mieszkał w tym domu?

Mężczyzna zrobił sceptyczną minę.

– Marne szanse – odpowiedział. – Ci, którzy wynajmują pokoje, dopiero od niedawna to rejestrują i prowadzą jakąkolwiek ewidencję. Wcześniej odbywało się po prostu na gębę. Gdyby chodziło o jakiś hotel albo pensjonat, to tak, ale tu... Mogę popytać starą Franoszwą, ale nie sądzę, żeby coś powiedziała.

– A zaginięcia? – spytała. – Było w tamtym czasie coś takiego?

Prokurator zamyślił się.

– Szczerze powiedziawszy, nie pamiętam podobnej sprawy – odpowiedział. – Gdyby to było dziecko letników, huczałoby o tym w całym mieście, gdyby miejscowy, też bym o tym

wiedział. Górale to niewielka społeczność, tu wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. Ale sprawdzę. Nie miałem wtedy nawet dziesięciu lat, coś mi mogło umknąć.

– Niech pan zapyta starą Franoszową – odezwał się z tyłu Aleksanderski. – Kto ma to pamiętać, jak nie ona?

– Tys prowdo – przyznał mu rację technik, choć słyhać było, że gwara góralska nie jest raczej jego pierwotnym językiem.

Prokurator kiwnął głową tym razem potwierdzająco.

– Janeek! – zawołał w stronę domu.

Aleksanderski powstrzymał go gestem dłoni.

– Nie trzeba – powiedział. – Pójdziemy do niej.

Weszli w czwórkę do domu. Technik w białym kombinezonie ruszył po schodach na górę do swojej pracy. Pokoje właścicielki były na parterze, na prawo od wejścia. Góralka siedziała na krześle przy stole, przesuwając palcami paciorki różańca. Jej usta ruszały się w rytm niemej modlitwy.

Gdy weszli, spojrzała na nich zagubionym wzrokiem. Widać było, że odkrycie zwłok na jej strychu mocno nią wstrząsnęło. Seredyńska usiadła na krześle po drugiej stronie stołu. Prokurator i Aleksanderski przysiedli na przykrytej kocem wersalce.

– Przykro nam, że to spotkało właśnie panią. – Seredyńska w naturalny sposób, nie pytając nikogo o zgodę, przejęła przesłuchanie świadka, choć w zasadzie czynność tę powinien wykonać przedstawiciel miejscowej prokuratury. – To musi być niełatwe dowiedzieć się czegoś takiego.

Kobieta zwróciła na nią załzawione oczy.

– Tyle lat – powiedziała – tyle lat... Mieszkałam z trupem i o tym nie wiedziałam...

Seredyńska nawet nie próbowała wyobrazić sobie, jakie to uczucie. Zrobiło jej się żal tej starej kobiety.

– Musimy panią spytać o parę rzeczy, chyba pani to rozumie? – powiedziała.

Góralka kiwnęła głową z rezygnacją. Jej niechęć i rezerwa wobec obcych nagle całkowicie zniknęły.

– Zwłoki, które znaleźliśmy u pani na strychu, należą najprawdopodobniej do kilkunastoletniego chłopca. Czy domyśla się pani, kto to mógł być?

– Olaboga, laboga. – Kobieta załamała ręce. – Do tego jeszcze dzieciak...

Seredyńska położyła jej dłoń na ramieniu.

– Niech pani spróbuje na chwilę się uspokoić i odpowie na moje pytanie: nie wie pani, kto to mógłby być? Zwłoki leżały tam prawdopodobnie co najmniej kilkanaście lat. Nie pamięta pani, czy w tamtym czasie nie zaginął w Zakopanem jakiś chłopak? Turysta albo miejscowy?

Góralka pokręciła przecząco głową.

– To może inaczej – powiedziała Seredyńska. – Kto jeszcze oprócz pani miał dostęp do tego strychu? Nie robiła pani jakiegoś remontu? Może ktoś dach naprawiał?

Kobieta spojrzała nagle na nią przerażona.

– Bóg mnie za to pokarze – powiedziała z rozpaczą w głosie.

– Za co panią pokarze? – spytała Seredyńska.

– To ten mały Cygan. Ten, co tu u mnie robił.

ROZDZIAŁ 91

– Nie mów, że znowu się zesrał. – Już nawet nie próbował ukrywać nienawiści w głosie.

Popatrzyła na niego chłodno.

– Słuchaj, nie musisz tu być – powiedziała.

– A gdzie mam niby pójść?! – wybuchnął. – Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale jestem poszukiwany przez policję – dodał z gorzką ironią.

– To był twój wybór – odpowiedziała. – Gdy dowiedziałeś się, co zrobiłam, mogłeś mnie zawieźć na posterunek. Albo chociaż wyrzucić przy drodze. Podjąłeś świadomą decyzję. Sam. Nie prosiłam cię o to.

– Nie przypuszczałem, że tak to się skończy! – odparł wściekły. – Że będziemy ciągnąć ze sobą to śliniace się gówno!

– Sam go doprowadziłeś do tego stanu, pamiętasz?

– Chciałem go zabić, nie niańczyć – warknął. – I ciągle mam ochotę to zrobić. Już nawet z łóżka mnie wygonił ten pojeb.

– Nie mógł spać sam. Widziałeś, jak się bał.

– I dlatego musiałem spędzić noc na podłodze? Wszystkie kości mnie teraz boją. Zakochałaś się w nim czy co? Kręcą cię takie robiące pod siebie warzywa? Może na niego wlałaś, jak mu stanął w nocy?

– Nie bądź wulgarny – rzuciła lodowato. – Zachowujesz się jak zazdrosny gówniarz.

– Bo coś mi się wydaje, że mam dobry powód.

Siedzieli w samochodzie stojącym na parkingu w Kuźnicach. Przed sobą mieli pierwszą stację kolejki linowej wiodącej na szczyt Kasprowego Wierchu. Widzieli też drugą kolejkę: turystów chcących kupić bilet na górę.

– Po co my w zasadzie chcemy tam wjechać? – spytał już znacznie spokojniej.

– Ty nie musisz – odparła również bez wcześniejszej złości.

– Skoro dotarłem z tobą aż tu, głupio byłoby zrezygnować pod sam koniec – powiedział.

– Naprawdę, to nie twoja sprawa. Od początku nie była. – Próbowwała go przekonać. – Weź paszport Jurija, jego samochód i jedź na Słowację. A potem na Ukrainę.

– I co tam bym niby robił?

– Nie siedział w więzieniu.

– A ty? – Odwrócił się do niej z przedniego siedzenia. – Jedź ze mną. Możemy go zostawić tu na parkingu. – Wskazał głową mężczyznę siedzącego obok niej. – Znajdą go i zawiozą do szpitala. A my będziemy już za granicą.

– Jak mam ją według ciebie przekroczyć? – spytała. – Nie mamy drugiego paszportu.

Odpowiedział dopiero po chwili:

– Mamy.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Skąd?

– Był w schowku. – Odwrócił się z powrotem do szyby. – Nie mówiłem ci. Ukraiński paszport. Pewnie jego dziewczyny, bo nazwisko jest inne. Nawet jesteś podobna. Możemy uciec stąd razem.

Zwróciła oczy na niewidoczny stąd szczyt.

– Ale ja muszę tam wjechać – powiedziała. – Tam, na samą górę.

– Po co, do jasnej cholery? – W jego głosie znowu zabrzmiała irytacja.

– Bo po to tu przyjechałam. Głupio byłoby zrezygnować pod sam koniec – powtórzyła jego słowa. – Poza tym nie zostawię go samego. – Położyła dłoń na kolanie Jurija. – Nie zrobię tego drugi raz.

– Jak to drugi raz?

– Nieważne. Nie zrozumiesz. Idź, stań w kolejce po bilet.

* * *

Prosektorium Szpitala Powiatowego w Zakopanem wyglądało równie strasznie i przygnębiająco, jak wszystkie tego typu miejsca na świecie. Prokurator Gabriela Seredyńska pomyślała, wchodząc tu, że nigdy się do tego nie przyzwyczai. Do tego zapachu, do tego piwnicznego chłodu, do tych białych kafelków na ścianach i podłodze, które zawsze i wszędzie wyglądają, jakby były nie do końca domyte z rzeczy, które kiedyś na nie chlusnęły lub wyciekły.

Tym razem jednak widok, na który trafiła, był jeszcze bardziej przygnębiający. Na metalowym, sekcyjnym stole, zaopatrzonym na rogach w przywołujące mdłości rynienki, leżało bowiem skurczone, wyschnięte ciało w nienaturalnej pozycji. Było już pozbawione ubrania, więc wydawało się jeszcze mniejsze i chudsze. Świadomość, że należało do dziecka, potęgowała jeszcze to wrażenie.

Patolog, który nad nim stał – łyсы, chudy, z dużym, orlim, niejako za wielkim w stosunku do reszty twarzy nosem – zdawał się być dziwnie dopasowany do przedmiotu swoich aktualnych badań. Jakby on również ulegał procesowi mumifikacji, tylko był na jego nieco wcześniejszym etapie.

– Cholerny świat – powiedział. – Nie cierpię, gdy przywożą dzieci.

Chude, zasuszone zwłoki na stole sprawiały żalosne wrażenie. Budziły litość, ale też rodzaj niezdrowej fascynacji, jaką zawsze odczuwamy, gdy widzimy, co śmierć jest w stanie wyczynić z ludzkim ciałem. Obciągnięte szerniałą, napiętą skórą żebra, pęknięty brzuch ukazujący swoje wyschnięte wnętrze – wszystko to było straszne, ale też w jakiś nieodparty sposób ciekawe.

– Bardziej tu by się przydał archeolog niż lekarz sądowy – stwierdził mężczyzna z dużym nosem, oglądając uważnie i z bliska zwłoki.

– Świetnie – rzuciła z pewnym zniecierpliwieniem. – Lecz co mimo wszystko może pan na ich temat powiedzieć? – spytała, bo bardzo chciała stąd jak najszybciej wyjść i nie miała ochoty na towarzyskie pogawędki.

Patolog wyprostował się i opuścił ręce.

– Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że rozsądniejsze byłoby przekazanie ich do Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie – powiedział. – Nigdy nie badałem ciała w takim stanie i boję się, że moja autopsja nie byłaby zbyt kompetentna. Trafiają tu do nas czasami zwłoki częściowo zmumifikowane, znajdowane w Tatrach często po wielu miesiącach, ale tam sprawa jest raczej prosta – dużo złamań świadczy o śmierci w wyniku upadku z dużej wysokości. Tu trudno by mi było określić dokładną przyczynę zgonu.

No pięknie, pomyślała. Straciła mnóstwo czasu, przyjeżdżając tu i czekając, aż szanowny pan lekarz przygotuje zwłoki do badania, tylko po to, żeby usłyszeć coś takiego.

– Rozumiem – odparł stojący obok niej prokurator Kupała. – Podpiszę odpowiedni wniosek. W takim razie na tym kończymy.

– Może jednak byłby pan w stanie nam cokolwiek powiedzieć? – spytała patologa, starając się ukryć narastającą w niej irytację. – Przewóz ciała do Krakowa i jego badanie tam zajmie mnóstwo czasu, a ja mam tu dość pilną sprawę, z którą ta śmierć może być powiązana.

Lekarz spojrział jeszcze raz na leżące przed nim zwłoki.

– Powiedzieć mogę, bo niektóre rzeczy widać na pierwszy rzut oka – odparł. – Dzieciak został najprawdopodobniej pobity. Świadczą o tym wyraźne uszkodzenia w obrębie twarzoczaszki. Czy jednak nastąpiło to przed śmiercią, czy po niej i czy była to bezpośrednia jej przyczyna, tego nie potrafię pani powiedzieć.

ROZDZIAŁ 92

Pasażerowie jadący wagonikiem kolejki linowej na szczyt Kasprowego Wierchu byli dobrze wychowani. Starali się nie patrzeć na tę dwójkę ludzi z najwyraźniej niepełnosprawnym podopiecznym. Z dumą i wewnętrznym samozadowoleniem powstrzymywali swoją ciekawość, jaką każdy z nas żywi wobec wszelkich kalectw, nieszczęść i deformacji, zwłaszcza jeśli dotyczą ludzi w innych kwestiach podobnych do nas. Było to tym prostsze, że wkoło rozciągały się naprawdę zapierające dech w piersiach widoki: skaliste szczyty, głębokie, zacienione doliny i niebotyczne świerki zdające się niemal szorować wierzchołkami po dnie gondoli. Tylko jedne oczy wpatrywały się w nich uważnie i uparcie – oczy ośmioletniego mniej więcej chłopca, który był tak zafascynowany tym dziwadłem stojącym tuż przed nim, że oderwał nawet wzrok od ekranu trzymanego w dłoniach smartfona.

Wagonik sunął wolno i majestatycznie. Jechała już nim kiedyś, dwadzieścia lat temu. I podobnie jak teraz nie bardzo interesowało ją wówczas piękno Tatr. Myślała wtedy zupełnie o czymś innym. O tym, że właśnie kończy się coś, co chciałyby, by trwało wiecznie. Dziś miała zupełnie inne myśli. Dzisiaj myślała, że oto kończy się coś, co już dawno powinna zakończyć.

Tym razem starała się jednak patrzeć przez okno, podziwiać alpejski majestat najwyższych gór w Polsce. Być może dlatego,

iż miała świadomość, że trzeci raz raczej nie będzie jej dane tego oglądać. Co jakiś czas tylko sprawdzała, czy jej podopiecznemu nie przekrzywiła się czapka lub czy nie leci mu znowu ślina z ust. Drugi z mężczyzn też wyglądał przez okno wagonika, lecz minę miał przy tym dość ponurą. On też zapewne myślał o niewesołych rzeczach. O tym, że czasem decyzja podjęta pod wpływem emocji może okazać się w bardzo bolesny sposób nieodwołalna i to pomimo swoich oczywistych, fatalnych konsekwencji.

Dojechali wreszcie na miejsce. Gondola kolejki wsunęła się w szparę ostatniej, szczytowej stacji. Pasażerowie zaczęli wysiadać. Przepuścili ich wszystkich przodem, poczekali, aż wagonik pozostanie pusty, aż wysiądzie z niego nawet ciekawski ośmiolatek ciągniony za rękę przez ojca. Dopiero wtedy wyszli na peron.

Jej towarzysz musiał być chyba zaskoczony, jak jest tu zimno w porównaniu do temperatury panującej przy dolnej stacji. Nie spodziewał się tego, nie wiedział, że część przynajmniej ukradkowych, rzuconych im szybko przez współpasażerów spojrzeń, dotyczyła ich nazbyt lekkich ubrań.

– Wracaj – powiedziała do niego. – Przyjechałam tu umrzeć.

– Może to nie najgorszy pomysł – odparł, patrząc jej w oczy.

Nie chciało jej się go przekonywać, nie tu, nie teraz, gdy była już u celu. Zresztą na dobrą sprawę było jej wszystko jedno. Poprawiła jeszcze raz czapkę na głowie swojego podopiecznego. Jemu też było zimno, ale nie wiedział, co z tym zrobić. Nie protestował, nie kulił się, nie próbował schować przed wiatrem. Po prostu marzł.

– Zjemy coś najpierw, głodna jestem – rzuciła do nich obu. Ruszyli w stronę stojącego tuż obok schroniska.

* * *

Komisarz Aleksanderski czekał na nią przed szpitalem. Przekazała mu te niezbyt imponujące wyniki autopsji.

– Co tam się stało? – spytał, jakby ktokolwiek z nich mógł to wiedzieć.

– Coś, z powodu czego Gierszewska tu wróciła – odparła.

Dołączył do nich prokurator Kupała, który został jeszcze, by podpisać protokół.

– Tajemnicza sprawa – powiedział.

Seredyńska spojrzała na widoczne w oddali szczyty gór.

– I nikt nie zgłosił zaginięcia tego chłopca? – spytała. – Dlaczego?

Prokurator Kupała wzruszył ramionami.

– Romowie to specyficzna społeczność – powiedział. – Zwłaszcza tutejsi. Nie lubią kontaktować się z policją. Zresztą nie bez powodu. Tu wszyscy mają ich za... – starał się znaleźć odpowiednie słowo – kogoś gorszego. Żyją w nędznych osiedlach na skraju góralskich wsi, najmują się do najcięższych prac fizycznych. Ci nasi są inni od Cyganów z nizin. Mieszkają tu od stuleci, nigdy nie jeździli taborami, nie mają mercedesów i nie budują pałaców z wieżyczkami. Są biedni i zahukani. Może nawet poszli z tym na komendę, ale miejscowi policjanci to też górale – dla nich Cygan to nie jest ktoś, kim warto się zajmować. Pewnie ich zbyli albo przepędzili. Bo co to w sumie dziwnego, że Cygan zniknął? Na pewno uciekł.

Seredyńska pokiwała głową. Tak samo zareagowała właścicielka domu, gdy przyszedł do niej ojciec chłopca.

– Mam nadzieję, że teraz potraktujecie go nieco lepiej – zwróciła się do Kupały. – Proszę odnaleźć jego rodzinę

i zapewnić ich, że zrobimy wszystko, by zabójca ich syna odpowiedział za swój czyn. Lub zabójczyni – dodała po chwili.

– Nie będzie to łatwe. – Kupała uniósł brwi do góry. – Stara Franoszowa nie wiedziała nawet, jak on miał na imię. Przyszli po prostu, gdy zobaczyli, że naprawia dach, i najęli się do roboty.

– Na pewno dacie sobie radę – odpowiedziała chłodno. – W razie czego niech miejscowi policjanci chodzą od chaty do chaty. Osobiście będę pilnowała, by ta sprawa została załatwiona.

Odwróciła się do Aleksanderskiego, by pokazać, że uważa ten temat za zakończony.

– Pozostaje ciągle najważniejsze pytanie: gdzie jest Gierszewska? – powiedziała. – Odwiedziła swojego starego znajomego na poddaszu, ale czy tylko po to pędziła przez pół Polski? Żeby wrócić na miejsce zbrodni sprzed dwudziestu lat? I co zamierza robić dalej? Uciec na Słowację?

– Byłoby to trudne – wtrącił się prokurator Kupała. – Na przejściach granicznych wciąż obowiązują restrykcje związane z pandemią.

Stary policjant zmrużył oczy. Spojrzał na nią, potem na prokuratora Kupałę.

– Moim zdaniem jest tam. – Wskazał dalekie szczyty gór. – Po co się przyjeżdża do Zakopanego? Żeby pójść w góry.

ROZDZIAŁ 93

Nic tu się nie zmieniło. Pojawiło się może kilka nowych sprzętów: nowoczesny ekspres do kawy, automat z napojami, cała reszta była taka sama. Usiedli przy stole.

– Na co masz ochotę? – spytał.

Co by chciała zjeść na swój ostatni posiłek? Dobre pytanie. Najchętniej talerz krewetek i kieliszek dobrze schłodzonego chardonnay.

– Weź mi gotowaną kielbasę – powiedziała. – Z chrzanem. I herbatę z cytryną.

To właśnie jadła tu dwadzieścia lat temu. Pamiętała, że jej smakowało.

Wstał i podszedł do kontuaru. Za jakiś czas wrócił. Postawił przed nią talerz z dymiącą kielbasą. Dla siebie wziął to samo. Usiadł.

Zdjęła z twarzy maseczkę. I tak nie powinni jej rozpoznać. Bez makijażu, z włosami spiętymi w kucyk i po kilku dniach w podróży nie wyglądała już jak tamta kobieta z okładek magazynów.

Zaczęła jeść. Odkroiła kawałek kielbasy, nałożyła na niego trochę chrzanu i włożyła sobie do ust. Zagryzła białym, zwykłym chlebem. Dobre, proste jedzenie. Na tej wysokości wszystko smakuje lepiej. Pamiętała to z poprzedniego pobytu.

Odkroiła drugi kawałek, zdjęła z niego skórkę i podała na widelcu Jurijowi. Zaczął mechanicznie poruszać szczękami.

Ciekawe, czy jemu też smakowało?

– Nie musisz tego robić – powiedziała do drugiego z mężczyzn. – Weź paszport i idź na Słowację. Możesz przejść granicę nawet tu, w górach.

Spojrzał za okno. Właśnie zaczął padać śnieg.

– I tak bym pewnie zamarzył – odparł.

– To zjedź na dół i pojedź samochodem.

– Po co? – spytał. Odkroił sobie duży kęs, nałożył solidnie chrzaniu i zaczął jeść.

– Wkręciłeś się w to niepotrzebnie – powiedziała. – To nie jest twoja historia. Wykorzystałam cię, wciągnęłam w to. Nie chcę cię mieć na sumieniu.

– W nic mnie nie wciągnęłaś – odpowiedział. – To nie był przypadek.

– Co nie było przypadkiem? – Nie zrozumiała.

– Że wsiadłaś do mojego samochodu. Czekałem na ciebie.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Bo zamówiłam taksówkę...

– Nie jestem taksówkarzem – przerwał jej. – Taksówka przyjechała później. Pamiętasz telefon z korporacji? Dzwonili, bo nie mogli się cię doczekać. Ja tylko stałem przed twoim domem.

Odsunęła od siebie talerz.

– Po co?

Wzruszył ramionami.

– Chciałem cię zobaczyć, nie wiem, może poznać. Byłem, zdaje się, twoim psychofanem. – Zaśmiał się na to określenie. – Gdy podeszłaś i spytałaś, czy jestem z korporacji, uznałem, że to idealna okazja. Potem, jak wiesz, nieco wymknęło się to wszystko spod kontroli.

Patrzyła na niego, wciąż nie rozumiejąc. Jego słowa dochodziły do niej, pojmowała ich sens, lecz nie docierało do

niej znaczenie tego, co mówił.

– Ale... dlaczego? – spytała. – Co chciałeś przez to osiągnąć?

Spojrzał ponownie na śnieg za oknem schroniska. Padał coraz intensywniej.

– Chyba to, co właśnie osiągnąłem – odparł. – Być z tobą, posiąść cię, nadać tobie sens swojemu istnieniu. Pamiętasz swój koncert w klubie Stodoła w lutym? – spytał. – Byłem na nim. Zesłaś wtedy do widzów, chodziłaś między nimi.

– Pamiętam – odpowiedziała. Jej menadżer tak to sobie wymyślił. Nie cierpiała tego.

– Przesłaś wtedy obok mnie. Zatrzymałaś się przy mnie, położyłaś dłoń na moim ramieniu i przez chwilę śpiewałaś, patrząc mi w oczy.

To też kazał jej robić. Była w tych momentach tak spięta, że myliła się w piosenkach wykonywanych od lat.

– Możliwe – odparła.

– Nigdy nie czułem się szczęśliwszy – ciągnął. – Bardziej wyróżniony. Nigdy nie czułem większej bliskości z kobietą. Wiem – machnął ręką – że to było tylko złudzenie, wiem, że mnie nawet nie pamiętasz z tamtego wieczoru. Ale nie potrafiłem się od tego złudzenia uwolnić. Myślałem o tobie we dnie i w nocy, wyobrażałem sobie różne rzeczy, tworzyłem scenariusze. Pochłonęło mnie to, opętało. Zwłaszcza, kiedy wyrzucili mnie z pracy. To była wtedy jedyna rzecz, która trzymała mnie przy życiu. Znalazłem w internecie informację, gdzie mieszkasz. Nie było to łatwe, bo nie podawałaś przecież nigdzie adresu. Ale w końcu jestem informatykiem – uśmiechnął się smutno – i miałem naprawdę dużo czasu. Zacząłem przychodzić przed twój dom, czekać, aż wyjdiesz. Ale rzadko wychodziłaś, częściej wyjeżdżałaś samochodem z garażu. Widziałem cię tylko przez szybę samochodu. Zawsze z nim, tym twoim menadżerem. Naprawdę byłem wtedy

w dziwnym stanie, wpadłem w to wszystko jak w otchłań, nie miałem niczego, co by mnie zatrzymało na powierzchni. Potem zauważyłem kobietę w oknie twojego mieszkania i to, jak parę godzin później wychodzi z budynku. Za tydzień znowu wróciła. Zrozumiałem, że to sprzątaczką. Zagadałem do niej niby przypadkiem, umówiłem się. To była dobra dziewczyna. I do tego całkiem ładna. Myślę, że się we mnie zakochała. Ale ja byłem zafascynowany tobą. Zacząłem ją szantażować, żeby mnie do ciebie wpuściła. Nie chciała bardzo, ale w końcu ją zmusiłem.

Słuchała go otępiała. Za dużo było tego wszystkiego i za bardzo nie zgadzało się to z tym, co o nim wcześniej myślała.

– Nie wierzę – powiedziała.

Sięgnął po coś do kieszeni, wyjął i położył przed nią na stole.

– Paszport – powiedziała. – Ukraiński. Jurija.

– Nie jego – odparł i otworzył go na pierwszej stronie.

Zobaczyła zdjęcie kobiety. I jej nazwisko. Napisane cyrylicą i alfabetem łacińskim. Oksana Andruchowycz.

– Teraz wierzysz? – spytał.

Oczy rozszerzyły jej się ze zdumienia i przerażenia. Dopiero teraz to wszystko do niej tak naprawdę dotarło. To oraz wszystkie możliwe konsekwencje tej wiedzy.

– Ty go zabiłeś – wyszeptała zdrętwiała. – Nie ja.

ROZDZIAŁ 94

– Czy jest jakikolwiek sposób, żeby się tego dowiedzieć? – spytała.

– Tak – odpowiedział Kupała. – Przy wszystkich wejściach do Tatrzańskiego Parku Narodowego zainstalowany jest monitoring.

– Niech pan poleci to sprawdzić – powiedziała. – To oraz nagrania z przejść granicznych. Tej ewentualności też nie możemy jeszcze wykluczyć. Mamy ich aktualne wizerunki z tej stacji benzynowej, na której im uciekłam. Proszę skontaktować się z warszawską policją, żeby je panu przekazali. Zresztą powinny już być w bazie osób poszukiwanych.

Prokurator Kupała odszedł na bok, żeby zadzwonić i wydać odpowiednie dyspozycje.

Wzmianka o warszawskiej policji przypomniała jej o Nowaczyku. Nie mogła tego dłużej odkładać. Tym bardziej, że i tak musieli poczekać na wyniki sprawdzania monitoringu. Wybrała numer lekarza prowadzącego, z którym poprzednio rozmawiała.

Czekając, aż odbierze, spojrzała na budynek, z którego przed chwilą wyszła. Przypomniała sobie obity blachą stół sekcyjny. Serce ścisnęło jej się w bolesnym i niechcianym przecuciu. To jednak nie był najlepszy pomysł, żeby dzwonić właśnie teraz.

W końcu odezwał się lekarz. Zamknęła oczy. Miała nadzieję, że komisarz Aleksanderski zdoła ją pochwycić, gdyby miała

ochotę zemdleć.

– Tak. – Usłyszała. – Wybudziliśmy go dziś rano. Wszystko jest zdaje się w porządku. Nie ma trwałych uszkodzeń spowodowanych niedotlenieniem.

Przez chwilę wydawało jej się, że naprawdę zemdleje.

– Czy można z nim porozmawiać? – spytała zduszonym głosem.

– Zaraz, którą to godzinę mamy? – odparł lekarz. – Powinien być już w miarę do rzeczy. Poproszę pielęgniarkę, żeby zniosła mu telefon. Jego komórka chyba nie działa.

Dobiegła do niej rozmowa, potem odgłosy drewnianych, pielęgniarskich chodaków. Potem znowu rozmowa, w której rozpoznała słaby, daleki jakby głos Nowaczyka.

– Halo? – Usłyszała w słuchawce.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Cześć, Rajmund – powiedziała. Po raz pierwszy chyba użyła jego imienia.

– O, pani prokurator! – odpowiedział wesoło. – Zastanawiałem się właśnie, czy pani o mnie jeszcze pamięta. Słyszałem, że zaliczyła pani spektakularną ucieczkę z rąk oprawców. No, no, kto by się spodziewał... Takie chuchro, a tyle w nim męstwa!

– Naprawdę miło cię słyszeć – powiedziała wzruszona.

– No ja myślę! – odparł. Głos miał zmęczony, ale był w dobrym humorze. – A co tam u naszych ptaszków? Złapaliście któregoś?

– Nie, ale chyba domyślamy się, gdzie mogą teraz latać. – Opowiedziała mu pokrótce, jak wygląda aktualna sytuacja.

– Ciekawe, ciekawe – powiedział, gdy już skończyła. – Wiesz, myślałem o tej sprawie trochę.

– Kiedy? – zdziwiła się. Jeszcze niedawno był przecież nieprzytomny.

– Jak się obudziłem – odparł. – Zresztą może nawet wcześniej, jak jeszcze spałem, też. Jedna rzecz mi się tu trochę nie zgadza...

– Jaka? – spytała.

– Coś, co powiedziała ta sprzątaczką. Ale muszę jeszcze zadzwonić w parę miejsc – powiedział. – Żona zaraz przyjedzie, to przyniesie mi telefon. Dam ci znać.

– Tylko się nie przemęczaj. Już prawie wybierałam sukienkę na twój pogrzeb – zażartowała.

– Spokojnie – odpowiedział. – Jeszcze się nie narodził ten Chińczyk, który ją dla ciebie uszyje.

* * *

Wstała gwałtownie od stołu. Herbata wylała się ze szklanki.

– Chodź, Jura. – Chwyciła mężczyznę siedzącego obok siebie za rękę. – Idziemy!

Ludzie siedzący przy sąsiednich stołach spojrzeli na nią zdziwieni.

– No, chodź! – Szarpnęła go, próbując pociągnąć za sobą. – Wstawaj!

Jura nie podniósł się nawet o centymetr. Ciągłe ruszał szczękami, mimo że prawdopodobnie nie było już po co.

Puściła jego rękę, podeszła do niego od tyłu i chwyciła go pod ramiona.

– Wstań, proszę, Jura, no wstań! – szeptała mu do ucha, ciągnąc jednocześnie jego ciało do góry.

O dziwo wstał. Odsunęła jego krzesło i ponownie złapała go za dłoń.

– Chodź! – powtórzyła. Odwrócił się i wyszedł zza stołu.

– Julia... – Usłyszała głos drugiego z mężczyzn. Nawet na niego nie spojrzała.

– To nie tak, Julia...

Pociągnęła Jurija i ruszyła w stronę wyjścia. Potknął się, ale poszedł za nią.

– Julia, daj mi wytłumaczyć...

Nie obejrzała się za siebie. On też nie wstał. Teraz już wszyscy na nich patrzyli.

* * *

Prokurator Kupala podszedł do niej.

– Wiadomo już coś z tym monitoringiem? – spytała, próbując przybrać znów profesjonalnie obojętny wyraz twarzy. Komisarz Aleksanderski ścisnął ją delikatnie za ramię, jakby chciał jej pokazać, że też się cieszy.

– Mam coś lepszego – odezwał się Kupala z tryumfującym wyrazem twarzy. – Ktoś ich widział. Są w schronisku na szczycie Kasprowego Wierchu. Barman stamtąd przed chwilą zadzwonił na policję. Poznał Marka Ziembę, bo widział go w telewizji. Jest z nim kobieta, do której mówi Julia. Plus jeszcze jakiś niepełnosprawny z bandażem na głowie.

Mózg prokurator Sereżyńskiej momentalnie przestawił się na działanie.

– Jedziemy tam – rzuciła. – Jest jakiś szybszy sposób, by dostać się na górę?

– Oprócz kolejki? – Prokurator spojrzał ze znawstwem na dalekie szczyty. – Helikopter – odpowiedział. – W taką pogodę może być trudno, ale powinno się udać.

ROZDZIAŁ 95

Nigdy wcześniej nie leciała śmigłowcem. Nie zdawała sobie sprawy, jaki jest mały. Czuła się, jakby od przepaści pod jej nogami oddzielała ją tylko cienka blacha, a od ogromu przestrzeni naokoło tylko niepoważne pleksiglasowe okna. Wszystko drżało i wibrowało, jakby maszyna miała zaraz się rozpaść. Huk był potworny pomimo słuchawek. Gdy dolecieli w wyższe partie gór, doszedł do tego jeszcze dodatkowo wiatr. Nie jednostajny, wiejący cały czas z tej samej strony, lecz zmieniający ciągle kierunek, odbijający się od skalnych ścian, załamujący się na piargach i osuwiskach i miotający skorupą kabiny na prawo i lewo.

Przeżyła kiedyś poważne turbulencje podczas lotu samolotem, lecz nie równało się to z tym, co działo się teraz. Czuła się mała, naga, bezbronna, patrzyła z przerażeniem na ostre, granitowe krawędzie skał przesuwane się za oknem, gotowe w każdej chwili rozorać i zmiażdżyć jej śmiesznie delikatne ciało. Tak naprawdę nigdy wcześniej tak się nie bała, nawet wtedy, gdy leżała związana w bagażniku Ziemby. Wtedy zachowywała spokój, analizowała sytuację, starała się znaleźć z niej wyjście, czuła, że coś od niej zależy. Co zaś mogło zależeć od niej tutaj, w tej blaszanej, trzęsącej się puszce, którą ktoś wrzucił w sam środek szalejącego żywiołu?

Jedyną rzeczą, która powodowała, że nie uchybiała mimo wszystko ciągle jeszcze prokuratorskiej godności, płacząc

i krzyżąc ze strachu, było zachowanie pilota. Sprawiał wrażenie, jakby nic specjalnego się nie działo. Zamiast potu na czole i zaciśniętych z napięcia ust widziała na jego twarzy spokojny uśmiech, pewność i rozluźnienie. Żartował nawet czasem, pokazując jej – turystce z dalekiej stolicy – co piękniejsze fragmenty Tatr. Jakby warunki, w których przyszło mu odbywać lot, były normalne, a co najwyżej średnio uciążliwe.

Oprócz niej i pilota w kabinie było jeszcze tylko dwóch policjantów. Reszta, w tym komisarz Aleksanderski i prokurator Kupała – który bez specjalnych oporów zgodził się, by to ona, a nie on wsiadła do maszyny – musieli z braku miejsca wybrać tradycyjną drogę kolejką linową. Dziękowała Bogu, że dziś rano w Warszawie założyła normalne buty i spodnie, a nie swój zwyczajny mundur, czyli czarny, dwuczęściowy kostium i szpilki. Kurtkę dostała od policjantów z Komendy Powiatowej w Zakopanem. Była nieco za duża, ale na pewno ciepła. Brakowało jej tylko kabury przy boku.

* * *

Wiatr zmieszany z igiełkami lodu smagał ją w twarz. Szła wolno, próbując ciągnąć za sobą Jurę. Szczyt góry nie był jeszcze pokryty śniegiem. W wagoniku kolejki usłyszała rozmowę, że to wyjątkowe jak na tę porę roku. Ale było zimno, chyba wystarczająco. To najważniejsze.

Wybrała wyłożoną kamieniami ścieżkę wiodącą w dół. Tu na samym wierzchołku Kasprowego byliby za bardzo na widoku. Jeszcze komuś by przyszło do głowy, by ich uratować.

Przystanęła na chwilę, żeby nieco odpocząć. Obejrzała się za siebie. Nikt za nimi nie szedł. Spojrzała w dół zbocza. Mimo

wszystkich tych myśli kłębiących się w jej głowie nie mogła nie zauważyć, jak piękny był to widok. Majestatyczna groza gór, potęgowana jeszcze przez narastającą, przysłaniającą wszystko białym welonem zadymkę, aż zapierała dech. Byli niemal dwa tysiące metrów nad poziomem morza. Mieli pod sobą cały świat.

Ruszyli dalej. Jura szedł za nią spokojnie i posłusznie, lecz musiała bardzo uważać, by się nie potknął. Objęła go w pasie i szła teraz razem z nim. Poczowała, jak się trzęsie. Było mu zimno, biedakowi. Jej chyba też, ale musiała się zastanowić, żeby to stwierdzić.

Nie myślała o tym, co usłyszała od tamtego człowieka. I co to dla niej oznacza. Była zafiksowana na podjętej wiele lat temu decyzji. To zadziwiające, że tak długo nie zdawała sobie z tego sprawy. Z tego, że wtedy ją podjęła. Jej całe późniejsze życie było tylko próbą odwleczenia jej wykonania.

* * *

Dostrzegła wreszcie budynek górnej stacji kolejki linowej, położone nieco wyżej schronisko i zabudowania stacji meteorologicznej tuż obok. Pilot posadził helikopter gdzieś między nimi. Wskoczyli szybko z kabiny. Śmigłowiec poderwał się do góry. Płatki śniegu zawirowały skręcone łopatom maszyn w niewielkie tornado. Rude włosy prokurator Seredyńskiej okręciły jej się wokół głowy. Przez chwilę nic nie widziała. Powinna je związać, lecz nie miała nawet przy sobie gumki.

Gdy wreszcie odgarnęła je z twarzy, śmigłowiec był już wysoko i leciał z powrotem w stronę Zakopanego. Ruszyła w kierunku schroniska. Dwaj policjanci szli tuż za nią.

* * *

Po raz nie wiadomo który poprawiła czapkę na głowie Jury. Gest bez znaczenia przy tej pogodzie, pomagający bardziej jej niż jemu.

– Już niedługo, kochany – powiedziała do niego czule. – Wytrzymaj.

Oczywiście nie zareagował. Szedł automatycznie, jak ożywiony manekin. Gdyby go tu zostawiła, pewnie by nawet nie usiadł. Stałby, dopóki by się nie przewrócił.

Ale go nie zostawi. Nie tym razem. Już raz go przecież zostawiła. Wtedy, dwadzieścia lat temu. Gdy ojciec nakrył ich na tamtym strychu.

Chciała się tylko z nim pożegnać. Wiedziała przecież, że wyjeżdża. I że nigdy już się nie zobaczą. Choć w tym akurat się myliła.

Po raz kolejny odsunęła deskę. Jak wtedy, jak za pierwszym razem. Weszła w tę tajemniczą, cudowną przestrzeń pod dachem. Tam, gdzie po raz pierwszy go spotkała.

Ale jego tam nie było. Remont zbliżał się do końca. Połacie dachu, uprzednio nagie, tworzące duże dziury w jego poszyciu, pokryte były nowym gontem. Słysząc jeszcze było tylko stukot młotków i głosy ponad nimi, na zewnątrz.

Weszła więc z powrotem do pokoju i otworzyła okno. Wyjrzała przez nie, wychyliła się niemal do połowy. Dalekie góry błyszcząły w słońcu.

Siedział na dachu razem ze swoim ojcem. Zobaczyła mięśnie jego ramion, twarde i mocne niczym skręcone pod skórą żeglarskie liny. Dostrzegł ją i uśmiechnął się. Tym swoim szerokim, niewinnym uśmiechem. Twarz miał jeszcze dziecka,

mimo że na górnej wardze widać już było wyraźny, sypiący się czarny wąsik.

Machnęła do niego, a on ukradkiem jej odpowiedział. Powiedział coś do ojca w tym ich dziwnym, tajemnym języku, a potem zaczął schodzić z dachu. Zamknęła okno i czekała na niego cierpliwie. Pojawił się za parę minut.

Naprawdę nic złego nie robili. Ani wtedy, ani przedtem. Byli dwojgiem dzieci zafascynowanych swoją odmiennością. Ona tym silnym czarnowłosym chłopakiem o śniadej skórze i mięśniach jak węzły, on tą wiotką, delikatną, jasnowłosą dziewczynką z innego, dalekiego świata. Dopiero budziły się w nich inne, dorosłe instynkty.

Jej ojciec jednak tego nie rozumiał. Wszedł, gdy akurat nieśmiało się obejmowali. Zobaczył swoją córkę w objęciach kogoś, kto budził jego pogardę w każdym możliwym aspekcie: rasy, koloru skóry, wykonywanej pracy i pozycji społecznej. Jego własność w rękach czegoś takiego.

To było doprawdy aż nadto, by stracił nad sobą kontrolę. Mniejsze rzeczy wywoływały jego furię. Potem zawlókł biedne, zmasakrowane, mniejsze od niego o połowę ciało w odkrytą przez nią przestrzeń pod dachem. Przez otwór, którego nie zdążyła zasłonić. I zabronił jej komukolwiek kiedykolwiek o tym wspominać.

Ten chłopak jeszcze żył wtedy. Charczał i pluł krwią, choć był nieprzytomny. Umarł dopiero tam. Gdyby nie posłuchała wtedy ojca, być może dałoby się go uratować.

ROZDZIAŁ 96

Na szczycie było pusto. Śnieżycą przegnała turystów z otwartej przestrzeni. Patrzyli teraz na piękno Tatr zza szyb schroniska lub z osłoniętych galerii końcowej stacji kolejki. Tym bardziej widoczny był mężczyzna, który wyszedł z szarego budynku. Szedł skulony, z głową wciśniętą w ramiona, dość szybkim krokiem. Nie rozglądał się na boki, patrzył głównie pod nogi, jak ktoś, kto walczy z wiatrem i z zimnem.

Seredyńska poznała go od razu. Tę samą cienką kurtkę miał na sobie, gdy widziała go ostatni raz na stacji benzynowej. Wzrost i sylwetka także się zgadzały. Marek Ziemba.

Gdzie jest w takim razie Gierszewska? Ciągłe w środku? Lądowanie helikoptera musiało być słyszalne w schronisku nawet pomimo szalejącego wiatru. Czyżby więc została, a on uciekał? Wydawało się to najbardziej prawdopodobne.

– Ty za nim, my do środka – wydała polecenia policjantom. – Uważaj na niego, ma broń. – Wskazała Ziembę. – Nie próbuj go zatrzymać, patrz tylko, dokąd idzie. Gdy dojedzie reszta, zajmujemy się nim.

Ruszyła w stronę schroniska.

* * *

– Julia! Julia! – Usłyszała mimo wiatru. Obejrzała się za siebie. Skulona sylwetka na początku ścieżki, na której stali.

Idzie za nią. „Ale schudł”, pomyślała. W sumie nic dziwnego, musiał już być bardzo stary.

– Szybciej, szybciej, Staszek! – powiedziała do chłopaka. Przemieszczali się wolno, w końcu był mocno pobity. A ten stary potwór mimo wieku trzymał się jak widać całkiem dobrze.

– Julia! – Głos był bliżej czy tylko jej się zdawało? Gdyby tylko miała tamten nóż...

– Szybciej! – powtórzyła. – Tym razem nas nie dopadnie.

* * *

W schronisku odnaleźli barmana, który dzwonił na policję.

– Wyszli – powiedział. – Najpierw ta kobieta i niepełnosprawny, a teraz przed chwilą on. Zaraz jak usłyszał śmigłowiec – dodał.

– Szlag by to trafił! – zaklęła. Źle oceniła sytuację. Wybrała numer Aleksanderskiego. Abonent chwilowo poza zasięgiem. Odwróciła się w stronę barmana. – Za moment będzie tu prokurator i policja – powiedziała. – Proszę im przedstawić sytuację i przekazać, że ruszyliśmy za poszukiwanymi. Gdzie można dojść w tamtą stronę? – spytała, pokazując kierunek, w którym udał się Ziemba.

– Na Halę Gąsienicową albo do Doliny Pięciu Stawów – odparł barman. – Albo na Słowację.

Spory wybór, pomyślała.

– Który szlak jest najłatwiejszy? – spytała.

– Do Murowańca – odpowiedział. – Na Halę Gąsienicową. Większość turystów tamtędy schodzi.

Usłyszała dzwonek telefonu. Pewnie Aleksanderski oddzwaniał. Odebrała, nie patrząc na wyświetlacz.

– Gdzie jesteście? – rzuciła do słuchawki.

– Nie wiem, gdzie są ani kto, ale pani jest teraz w kompletnej, przeczarnej dupie. – Poznała głos prokurator Kostrzewskiej. – Czy ja nie wyraziłam się jasno, że ma pani odpuścić tę sprawę?! – Jej przełożona była naprawdę wściekła. – Kto pani pozwolił jechać do Zakopanego i prowadzić dalej śledztwo? I to w taki partyzancki sposób! Czy pani się z chujem na głowy pozamieniała?!

– Halo?? – Udała, że nie słyszy. Żałosny wybieg, ale przynajmniej wiarygodny. Była w końcu na dwóch tysiącach metrów nad poziomem morza. – Nic nie rozumiem, strasznie przerywa. Jestem na tropie Gierszewskiej i Ziembry, muszę kończyć.

Rozłączyła się.

– Idziemy! – rzuciła do policjanta.

Wybiegli przez wyjście. Ziembry już nie było widać. Dokąd poszedł? Gierszewska raczej wybrała najłatwiejszą trasę, skoro poruszała się razem z osobą o ograniczonej sprawności. Chyba że zostawiła ją gdzieś po drodze. A gdzie poszedł Ziembra? Za nią czy wybrał ucieczkę na Słowację? A może razem tam uciekają? Dużo możliwości.

– Dokąd prowadzą te szlaki? – spytała policjanta. Był w końcu stąd.

– Z tej strony do Murowańca, po drugiej stronie grzbietu za granicę – odparł.

– Pójdzie pan w stronę Słowacji. – Podjęła decyzję. – Ja pójdę tędy. Gdy pan kogoś zobaczy, proszę zachować bezpieczną odległość i zawiadomić słowacką policję.

– Tak jest – odparł.

Znowu telefon. Czyżby ponownie Kostrzewska? Tym razem spojrzała na wyświetlacz. Sam numer telefonu komórkowego,

bez nazwy właściciela. Ale również SMS wysłany wcześniej. „To ja, odbierz. Nowaczyk”.

– Tak? – rzuciła do słuchawki. – Masz coś ważnego? Jestem trochę zajęta.

Miał. Nawet bardzo. Wysłuchała, co miał do powiedzenia.

– Świetnie – odparła. – Dzięki. Zrób dla mnie w takim razie jeszcze jedną rzecz.

* * *

– Julia! – krzyczał za nią. – Julia!

– Zostaw mnie! – odwróciła się w stronę, skąd dochodził głos. – Odejdź! Już raz cię przecież zabiłam!

– Kogo zabiłaś? – Zobaczyła wyłaniającą się z zadymki twarz. To był ten kierowca... Jak on miał na imię... Marek.

– Nikogo – odpowiedziała. – Nikogo nie zabiłam.

– Ja też nie – powiedział. – Nie zrobiłem tego.

– Czego? – Dopiero teraz wróciła do rzeczywistości.

– Nie zabiłem twojego menadżera. Byłem u ciebie w mieszkaniu, ale to było parę dni przed tym wszystkim. Chciałem się tylko rozejrzeć, zobaczyć, jak mieszkasz. Niczego nie zrobiłem.

Przypomniała sobie wszystko, co jej powiedział.

– Zostaw mnie! – wrzasnęła. – Jesteś nienormalny! Czego ode mnie jeszcze chcesz?! Jak mam ci wierzyć po tym wszystkim?

Chwycił ją za ramiona.

– Nie wiem – odparł. – Nie rozumiem tego, co się wydarzyło i co się ze mną działo. Wiem tylko, że nie ma już dla mnie odwrotu. Poświęciłem dla ciebie wszystko, chciałem być taki jak ty. Chciałem się do ciebie upodobnić, stopić z tobą w jeden organizm. Dlatego, gdy się dowiedziałem, co zrobiłaś, nie

uciekłem. Chciałem ci pomóc, we wszystkim. Prostować twoje ścieżki. Pamiętasz tego człowieka, który się do ciebie dobierał? Tego, u którego nocowaliśmy? To był mój ojciec. Rozumiesz teraz? Od tamtej chwili jesteśmy tacy sami.

Spojrzała na niego całkiem już skołowana. Co on w ogóle mówił?

– Twój ojciec?? Mówiłeś przecież, że twój ojciec nie żyje...

– Przez lata wolałem tak myśleć – odpowiedział. – Udawałem przed samym sobą, że umarł. Mówiłem tak znajomym. Ale to matka umarła, nie on. Dopiero gdy ciebie poznałem, pojąłem, że muszę się z tym wreszcie uporać. Załatwić tę sprawę tak, jak zrobiłaś to ty.

Zrozumiała w końcu sens tego, co usłyszała. Cofnęła się przerażona.

– Skąd... skąd wiesz o moim ojcu? – spytała.

Postąpił krok w jej stronę.

– Wszystkiego się można dowiedzieć – powiedział. – Stare numery gazet są dostępne. A ty nie zmieniłaś nazwiska. Wystarczy połączyć wszystkie kropki i widać rysunek. A ja połączyłem, bo u mnie w domu było tak samo. Tylko ja nie miałem tyle odwagi co ty. Ale się jej od ciebie nauczyłem. Późno, ale zawsze.

– Jesteś nienormalny – powtórzyła. – Nie wiesz, co się wtedy stało.

– Wiem. – Przybliżył się jeszcze bardziej. – I o twoim menadżerze też wiem. O tym, że cię okradał. To dzięki mnie się o tym dowiedziałaś. To ja wysłałem ci tamtego maila. I dobrze zrobiłaś, że jego też zabiłaś. Należało mu się. Za to też cię podziwiam. Dlatego cię nie opuszczę. Ani nie pozwolę ci się zabić. Uciekniemy razem na Ukrainę. Tam biegnie szlak na Słowację. – Wskazał ręką za siebie. – Tylko musimy najpierw pozbyć się tego. – Wyciągnął pistolet i przyłożył do głowy Jurija.

– On wszystko zepsuł. Druga dziura w głowie powinna załatwić sprawę.

ROZDZIAŁ 97

Usłyszała strzał. Gdzieś z zadymki przed sobą. Policjant już zniknął i to jakiś czas temu. On też powinien go usłyszeć.

Skąd dobiegł? Z przodu, z dołu, z boku? W tej szarudze trudno to było określić. Dźwięk odbijał się od skał, kamieni, rozpraszał w lecącym z nieba śniegu, zakręcał razem z wiatrem. Brzmiało to, jakby dochodził zewsząd.

Zmierzchało już chyba. Nie padało przecież aż tak mocno, by ograniczyć widoczność w ten sposób. A może właśnie tak? Tu w górach wszystko jest możliwe.

Szła w dół ścieżką wyłożoną kamieniami. Tworzyły jakby stopnie, nieregularne, różnej szerokości, długości i głębokości. Nawet w dzień, przy pełnym słońcu lepiej było pewnie uważnie patrzeć tu pod nogi.

I pod nogami to właśnie zobaczyła. Świeża czerwień tężejąca już jednak na powierzchni, której nie zdołał przysypać jeszcze śnieg. Krew. Krew na kamieniach. Pokrywana wciąż od nowa topiącymi się od ciepła płatkami śniegu.

Zamarła. Cholera. Była tu sama. Dopiero teraz uświadomiła sobie powagę sytuacji. Instynkt myśliwego pchał ją do tej pory do przodu, lecz chyba za bardzo wysforowała się przed szereg. Ci dwaj policjanci? Gdzie oni byli?

I wtedy to usłyszała. Cichy jęk. Tylko odrobinę głośniejszy od wiatru. Dochodzący chyba... stamtąd, z dołu.

Nachyliła się i wytrzymała wzrok, starając się wypatrzyć coś na zboczu poza ścieżką. Ktoś tam leżał, jakiś ciemny kształt o zarysach człowieka. Ostrożnie spróbowała do niego zejść.

Zobaczyła oczy. I twarz równie białą jak śnieg wirujący wokół.

– Trafił mnie. – Usłyszała. – Ale dam radę.

Pochyliła się nad leżącym. Policjant. Pierwszy czy drugi? – Nie wiedziała. Dziura po kuli w policyjnej kurtce u góry po prawej stronie. Okolice obojczyka i na pewno powyżej płuc. Miał rację, powinien dać radę.

– Dokąd poszli? – spytała.

– Tam. – Policjant wskazał w dół zbocza.

Zobaczyła pistolet. Leżał niecały metr od jego dłoni. Podniosła go.

– Niech pani tam nie idzie. – Usłyszała jeszcze za sobą.

Niepotrzebnie to powiedział. Zbędny trud. Musiała za nimi pójść. Pieprzony instynkt myśliwego. Nie potrafiła odpuścić.

* * *

– Julia!! – Znów ten krzyk. Gonił ich. Gdy ten policjant pojawił się nie wiadomo skąd, gdy tamten odwrócił się i strzelił, pociągnęła Jurija i rzuciła się w dół zbocza. Upadli. Najpierw on, potem ona. Śniegu było za mało, żeby to wytłumić. Zaczęli zjeżdżać po stoku, obijając się o wystające kamienie. Całe szczęście nie był tu zbyt stromy. Ani nie kończył się przepaścią.

Mimo wszystko parę razy solidnie oberwała. Nie, chyba nic nie złamała, ale w ustach i na głowie czuła krew.

Z Jurijem było niestety znacznie gorzej. Leżał na plecach i krzyczał. Nie wiedziała, czy z bólu, czy z przerażenia, czy z jednego i drugiego. Podczołgała się do niego, obejrzała go

dokładnie. Wyglądało na to, że nie ucierpiał zbyt wiele. Widocznie huk wystrzału tak na niego podziałał. Przywołał ostatnie i najgorsze wspomnienie, być może jedyne, które jeszcze zostało w jego dziurawej głowie.

Przytuliła się do niego i objęła go ramionami.

– Cicho, Jura, cicho, już dobrze... – szeptała mu do ucha. Jego czapka gdzieś spadła, nie miała więc co poprawiać. Bandaż też się przekrzywił i zaczął nasiąkać z powrotem krwią. Nie miała racji, Jura jednak ucierpiał. Może uderzył się w głowę, a może upadek otworzył po prostu rany. Nie było z nim dobrze, widziała, czuła to. Serce ścisnęło jej się z rozpacz. Znow go traciła, jak wtedy. Tym razem jednak umrze razem z nim.

* * *

Zsuwała się ostrożnie po zboczu. Było już ciemno, choć w dziwny sposób nie do końca. Światła coraz dalszego schroniska i ostatniej stacji kolejki rozpraszały się w milionach spadających z nieba śnieżynek, tworząc coś w rodzaju migoczącej, bladomlecznej zawiesiny. Słyszała przed sobą krzyk, gdzieś w dole. On też był dziwny, nieludzki jakiś, monotonny, przerywany tylko dla zaczerpnięcia oddechu.

Gdyby miała więcej czasu i gdyby nie miała głowy zaprzątniętej czymś innym, dostrzegłaby niewątpliwie piękno wynikające z grozy i niezwykłości tego momentu. Lecz ona zajęta była tym, aby nie stracić przyczepności na śliskich od topniejącego śniegu i osuwających jej się spod nóg kamkach i nie polecieć w dół, gdzieś w niewidoczną, lecz przecież dość prawdopodobną przepaść.

Być może wtedy też – gdyby miała chwilę, by się nad tym zastanowić – zrozumiałaby, jak głupie i niebezpieczne jest to, co

robi. I jak niewiele znaczy to, co ją pchało do przodu – chęć zakończenia śledztwa, udowodnienia swojej racji, dorwania wreszcie tych, których tak długo ścigała – wobec realnego ryzyka śmierci, która mogła na nią czekać na końcu tej drogi. Była jednak zbyt skupiona na celu, za bardzo chciała go osiągnąć w sytuacji, w której zdawał się być tak blisko, na wyciągnięcie ręki.

Posuwała się w kierunku tego niemilknącego krzyku, starając się nie wypuścić broni z ręki. Był dla niej jak latarnia dźwiękowa, jak buczenie syreny portowej dla statku.

Ale to nie był jedyny krzyk, który słyszała. Co i raz odzywał się drugi – wykrzykiwane na cały głos imię. Ten krzyk dochodził z kolei zewsząd i znikąd. Modulował, nikał i pojawiał się znowu. Może dlatego, że nie był tak jednostajnie powtarzalny.

Właściciel tego krzyku musiał poruszać się w tym samym kierunku, choć z innego miejsca. On też w końcu słyszał przecież syrenę portową. Byli na zbieżnych kursach, w końcu musieli na siebie trafić. Tylko co wtedy? On też przecież miał broń. Rozstrzygną sprawę w pistoletowym pojedynku? Kto szybciej wystrzeli, kto lepiej wyceluje? Nie była jednak aż tak szalona.

Zatrzymała się więc. Czas chyba wezwać posiłki. Jeśli wyśle Aleksanderskiemu swoją pozycję w Google Maps, będą dokładnie wiedzieli, gdzie się znajduje. I tutaj przyjdą. Jej atutem była cisza. Ona nie obwieszczała wszem i wobec krzykiem, że jest gdzieś w pobliżu.

ROZDZIAŁ 98

Zdołała go w końcu uspokoić. A może nie miał siły już krzyczeć? Bandaż był coraz bardziej nasiąknięty krwią. To chyba już koniec, pomyślała. Ostatni przystanek. Trochę inaczej go sobie wyobrażała. Miała siedzieć na grani, patrząc na panoramę Tatr. I bez tego świra krzyczącego jej imię.

Sięgnęła do małego plecaka, który kupiła dziś rano. Wyjęła z niego ostatnią rzecz, która została jej z poprzedniego życia. Butelkę szkockiej whisky wydestylowanej i wlanej do beczki dokładnie w roku jej urodzenia. Jej prezent od człowieka, którego potem zabiła. Ciągnęła ją ze sobą przez te wszystkie dni właśnie po to.

Wyjęła korek i przytknęła butelkę do ust. Pociągnęła spory łyk. Wcale nie była taka dobra. Czuć było mocno smak dębowych klepek. Za mocno. Miała wrażenie, że pije drewno. Trzydzieści sześć lat to jednak za dużo, pomyślała. Dokładnie tak, jak w jej przypadku.

Uniosła głowę Jurija i też napiła go alkoholem. Pił automatycznie, odruchowo. Ciekawe, ile on miał lat? Szkoda, że nie sprawdziła tego w paszporcie. Wyglądał na kogoś mniej więcej w jej wieku. Fajnie by było, gdyby też miał trzydzieści sześć.

Ten, który wykrzykiwał jej imię, w końcu umilkł. Zmęczył się, zgubił, a może roztrzaskał o skały – wszystko jedno. Ważne, że przestał zakłócać ten szczególny moment.

Znowu się napiła. Szczerze powiedziawszy, cytrynówka smakowałaby jej bardziej. Ale cytrynówka nie miałaby rangi symbolu. Całe jej życie w jednej butelce. Trzydzieści sześć lat w płynie.

Napiła się znowu. I znowu przystawiła butelkę do ust Jurijowi. Zrobiło się nagle cicho, tylko wiatr huczał jej w uszach. Ale to też w zasadzie była przecież cisza.

Co on powiedział? Ten człowiek? Że zabił ojca, by być taki jak ona? Śmiechu warte. Nigdy taki nie będzie. Za wysokie progi na jego nogi, był tylko nieudolnym imitatorem. Ona miała już na sumieniu trzech ludzi. A licząc z Jurijem, nawet czterech. Jego, tego palanta, też zniszczyła. Choć on nie wiadomo dlaczego uważa inaczej. Była przeklęta, niosła w rękach śmierć. Zabiła ich wszystkich: tego chłopaka z dachu, ojca, Janusza. Gdyby nie ona, żyliby przecież.

Dlatego powinna wtedy skoczyć. Wtedy, gdy stały z matką przy barierce. Zanim jej ojciec nakrył ją z tym czarnowłosym chłopcem, zanim go pobił i wciągnął za deski, zanim potem, w Warszawie, zechciał wziąć sobie to, co jak sądził, ofiarowała wcześniej brudnemu Cyganowi, i zanim ona wbiła mu w plecy scyzoryk, który wcześniej dostała od tamtego chłopaka.

Jej ojciec oszalał wtedy, trudno się zresztą dziwić, ją też chciał zabić. Ryczał z tym nożem wbitym w plecy, którego nie był w stanie dosięgnąć i sam wyciągnąć, zaczął ją bić, zdzierać z niej ubranie, aż wreszcie wpadła matka i po raz pierwszy w życiu mu się sprzeciwiła. Wyjęła mu ten nożyk z pleców i zaczęła go nim dźgać. Po plecach, po głowie, po szyi, nawet gdy się odwrócił. Nie był w stanie jej powstrzymać, nie był w stanie go jej wyrwać. Ale to ostrze było zbyt małe, raniło mocno, ale nie dosięgało ważnych narządów, zdołał więc wreszcie chwycić ją dłońmi za gardło i zacząć dusić.

Ona, ich córka, patrzyła na to z otępiałym przerażeniem. Na swojego ojca, który zmienił się w okrwawione, oszalałe zwierzę, i na matkę, której twarz zaczęła już sinieć, a oczy wychodzić z orbit. Patrzyła na to i nie potrafiła się ruszyć.

Gdy się w końcu ocknęła, ojciec leżał na jej łóżku twarzą do dołu z rozbitą głową, a ona trzymała w ręku metalowy świecznik w kształcie niedźwiedzia, który rok wcześniej przywiózł jako pamiątkę z podróży służbowej do Rosji.

Policja i prokurator zastali więc taki właśnie widok: ojciec zadźgany i zatłuczony leżący na łóżku swojej niepełnoletniej córki, ona sama pobita i z porwaną bielizną oraz matka w stanie katatonii gotująca obiad w kuchni, jak gdyby się nic nie stało. To nieprawda, jak potem mówiono, że w tamtej zupie była krew. Były buraki. Komuś po prostu skojarzył się jej kolor z widokiem z sąsiedniego pokoju, ktoś inny źle to zrozumiał albo celowo zmienił, by historia była bardziej atrakcyjna, i tak właśnie powstała ta legenda opowiadana potem przez lata w środowisku warszawskich policjantów i prawników.

Jej powtarzaniu sprzyjał fakt, że prokuratura zrobiła wszystko, by wyciszyć i zatuszować tę sprawę. Gdyby przeprowadziła śledztwo zgodnie z wszystkimi regułami sztuki, jego wyniki byłyby bardzo kłopotliwe dla rządzącej partii, która na swoich sztandarach miała wypisane moralność i rodzinę.

Nic więc dziwnego, że zdecydowano się załatwić sprawę komunikatami o chorobie psychicznej leżącej u podstaw rodzinnej tragedii i o jakimś bliżej niesprecyzowanym nieszczęśliwym wypadku. Było to tym łatwiejsze, że obie pozostałe przy życiu kobiety – matka i córka – wykazywały po wszystkim szereg zaburzeń. Może nie tak poważnych, by umieścić je na wiele lat w szpitalu, ale na pewno na tyle silnych, by móc to uzasadnić.

Gdy Julia w końcu stamtąd wyszła, była już zupełnie innym człowiekiem. Chciała zapomnieć, wyprzeć to, żyć normalnie, uciec. Dlatego wyjechała z Polski i dlatego nie kontaktowała się z matką.

Ale jej własna twórczość, która pomagała jej walczyć z demonami przeszłości, ściągnęła ją z powrotem. Tam nie odniosła sukcesu, tu, w rodzinnym kraju, jej piosenki były coraz bardziej popularne. Nawet kiedy jeszcze nie śpiewała po polsku. Wróciła i to był błąd. Musiało coś być w tym powietrzu, którym zaczęła znowu oddychać, w tym języku, którym zaczęła znowu mówić, że stawała się z powrotem taka jak kiedyś. Tam, w dalekim kraju, była wolna, tu była znowu sobą.

Potem poznała Janusza, a on stał się dla niej drugim ojcem. I w jego przypadku nie był to dla niego komplement. Choć może problem tkwił w niej, nie w nim. To ona podświadomie odtwarzała tamtą chorą relację ze swojego dzieciństwa, to ona stworzyła go na obraz i podobieństwo tamtego potwora. Być może, gdyby trafił na inną kobietę, byłby całkiem dobrym partnerem. A przynajmniej nie aż takim złym.

I jeszcze na koniec ten teraz, Marek. Biedak, który zapragnął być taki jak ona, mimo że ona nienawidziła tego, kim była. Jego też zniszczyła, przerobiła na swoją modłę, zatruliła sobą.

Naprawdę, nie zasługiwała, by dalej żyć.

ROZDZIAŁ 99

Szlag by to trafił! Teraz to ona nie miała zasięgu. Nie wyśle swojej pozycji, nie wezwie kawalerii na pomoc. Oba krzyki ucichły – tamten monotonny i ten drugi, przywołujący imię Julia. Brakowało ich jej, nawet tego drugiego. Bez nich była teraz całkiem sama w tej szaro-śnieżnej ciemności.

Wtem dostrzegła w pobliżu jakiś ruch. Czy tylko jej się wydawało? Może to powiew wiatru skrzył tumany śniegu w coś imitującego przemieszczający się kształt? Zgasła szybko ekran komórki. Oznaczał jej pozycję lepiej niż GPS.

– Julia... – Usłyszała z tej zamieci. – Julia, to ty?

Zacisnęła mocniej dłoń na rękojeści pistoletu i wyciągnęła go w stronę, skąd, jak jej się wydawało, dochodził głos. Usłyszała huk. Nagle, niespodziewanie, bardzo blisko. Dopiero po chwili zrozumiała, że błysk wychodzący z jej lufy ma z tym coś wspólnego. To ona strzeliła.

Potem był zduszony, głęboki, dobiegający z trzewi jęk. Trafiła go. Wcale nie chciała. Ktoś jej kiedyś mówił, by nie kłaść palca na spuście bez potrzeby, bo broń może wystrzelić sama, lecz oczywiście nie pamiętała o tym w tym stresie.

– Przepraszam – powiedziała bez sensu.

Ruszyła, nie myśląc, w tamtym kierunku, chcąc sprawdzić, czy Ziemia nie potrzebuje pomocy, gdy nagle kamyki, na których stała, ruszyły się i zaczęły zsuwać się w dół zbocza.

Straciła równowagę i runęła w ciemność. Na plecach wraz z lawiną kamieni. Starła się instynktownie, odruchowo hamować, rozkładając szeroko nogi i zapierając się piętami w podłoże, ale podłoże zjeżdżało razem z nią. Dobrze, że się nie wywróciła na bok, że nie zaczęła się turlać, że zachowała względną równowagę ślizgającej się na plecach żaby, bo dzięki temu tylko udało jej się ochronić głowę i resztę ciała od poważniejszych obrażeń.

* * *

Usłyszała huk, potem straszliwy rumor. Brzmiało to, jakby góra zjeżdżała wprost na nią. Zakryła głowę Jurija własnym ciałem, a swoją czaszkę osłoniła dłońmi. Choć jeszcze przed chwilą myślała o śmierci, instynkt samozachowawczy zadziałał.

Dostała raz czy dwa kamieniem, lecz nic więcej się nie wydarzyło. Potem wszystko ucichło. Lawina nie była duża, raptem niewielkie osuwisko. A sprawiała wrażenie, jakby kończył się świat.

Podniosła głowę. Buty i spodnie miała przysypane niewielkimi kamykami. Jurij wciąż żył, butelka też nie ucierpiała. Nawet wiatr zelżał, jakby przestraszony tą niewielką katastrofą.

Nagle poczuła czyjąś obecność. Niewytłumaczalne uczucie, lecz bardzo mimo to silne. Ktoś jeszcze tu był. Tu w pobliżu. Może usłyszała jego oddech, może jakiś inny dźwięk dotarł podprogowo do jej umysłu. Dość, że była tego niemal pewna.

Czyżby tamten wrócił? Odnalazł ją wreszcie? A może była już pijana i po prostu miała zwidy?

– Marek? – powiedziała w szary mrok. Nie za głośno, ale też nie szeptem.

– Nie, to nie Marek. – Usłyszała w odpowiedzi. Głos kobiety, który coś jej przypominał. Chyba wreszcie do końca zwariowała.

– Mama? – spytała.

Coś się poruszyło. Tym razem na pewno.

– Nie, nie mama – dobiegło do niej – prokurator Gabriela Seredyńska. Poznałyśmy się pod mostem.

Pod mostem? Było coś takiego. Strasznie dawno temu.

Szarawa ciemność zafalowała. Dał się z niej słyszeć chrzęst kamieni. Potem pojawiła się biała twarz. Kobieta, której sylwetkę zobaczyła po chwili w całości, ostrożnie zsuwała się ku nim, pólsiedząc. Kurtkę i spodnie miała przybrudzone pyłem, a dłonie całe we krwi.

– Ostrożnie – powiedziała. – Nie wykonujcie gwałtownych ruchów. Żebyśmy znowu nie zlecieli w dół. Cholera wie, co tam jest.

– Skąd się tu pani wzięła? – spytała zdziwiona.

– Ja? Zjechałam na plecach – odpowiedziała kobieta. – Choć raczej tego nie planowałam. A wcześniej przyleciałam helikopterem.

– Po mnie?

– Prowadzę pani sprawę. Dlatego wtedy byłam pod mostem.

No tak. Jej sprawa. Zabójstwo, drugie zabójstwo, usiłowanie zabójstwa i co tam jeszcze. W sumie pewnie jakieś sto lat więzienia.

– Niepotrzebnie się pani trudziła – odparła jej. – Nie zamierzam dać się złapać. Przyjechałam tu umrzeć.

– Znalazłam tego chłopaka na strychu. – Usłyszała zamiast odpowiedzi. – To pani ojciec go zabił, prawda? Piętnastolatka nie byłaby w stanie aż tak go pobić.

Staszek. Na imię miał Staszek. I takie zwykłe, polskie nazwisko. Wcześniej myślała, że Cyganie nazywają się jakoś

dziwniej.

– To dobrze – odpowiedziała. – Dziękuję. Chciałam zostawić jakiś list, żeby już nie musiał tam leżeć. Ale to dobrze, że go pani znalazła.

Zapomniała o tym liście tak na marginesie. Więc tym bardziej powinna jej być wdzięczna.

– Odkryłam jeszcze parę ciekawych rzeczy. Chce pani posłuchać? Skoro i tak chce się pani zabić...

Spokojny głos, lekki ton, jakby siedziały w kawiarni przy stoliku.

– A swoją drogą, jak chce pani popełnić to samobójstwo? Zawsze mnie ciekawiły takie rzeczy.

– Upiję się i umrę z wychłodzenia – odpowiedziała. – To najmniej bolesny sposób. Nie ma co prawda mrozu, ale ta temperatura i wiatr powinny wystarczyć.

Dziwna sprawa, ale gdy wypowiedziała to na głos, ten pomysł wydał jej się o wiele mniej przekonujący niż wtedy, gdy o nim wcześniej myślała. Inna rzecz, że tamte, snute od wielu lat fantazje, wyglądały nieco inaczej. Zawsze były tam dalekie, zapierające dech w piersiach widoki, słońce i pewien rodzaj szlachetnego pogodzenia się z losem. Nie było tam nigdy zadymki, ciemności, strachu, zagubienia i przede wszystkim – wątpliwości.

ROZDZIAŁ 100

– Więc jak, chce pani przed śmiercią poznać moje ustalenia?
– spytała.

Gierszewska wyglądała na niehumanie zmęczoną. W niczym nie przypominała tamtej dziewczyny z teledysków, które Seredyńska oglądała kilka dni temu u siebie w domu. Policzki jej się zapadły, oczy straciły tamten posępny, ale jednak blask. Bez makijażu sprawiała wrażenie kogoś do bólu zwyczajnego, wręcz nieinteresującego. Było jej żal tej kobiety. Wiele wycierpiała i to nie ze swojej winy.

– Gra pani na czas? – Mimo tego wyczerpania Gierszewska spojrzała na nią bystro. – Czekaj pani, aż ktoś tu po nas przyjdzie i pomoże pani mnie aresztować?

– Nikt tu po nas nie przyjdzie – odpowiedziała jej. – Nikt nie wie, gdzie jesteśmy. A w taką pogodę i przy tej widoczności nie zaryzykują akcji poszukiwawczej. Być może więc obie tu umrzemy, czy tego chcemy, czy nie.

Sama aż drgnęła na te słowa. Uświadomiła sobie nagle, że to może być prawda. Dopóki byli na ścieżce, nie było problemu. Teraz, gdy zsunęli się nie wiadomo gdzie, znaleźli się w pułapce. Pod nimi mogła być równie dobrze łąka, jak i urwisko. Pistolet, który trzymała w ręku, gdzieś zniknął. Nie mogła więc wezwać pomocy, strzelając. Nawet próba wspięcia się z powrotem do góry była w tej sytuacji bardzo ryzykowna.

Jeśli podłoże znowu straci przyczepność, mogą zjechać jeszcze niżej i zginąć.

Przełknęła ślinę. Jej „instynkt myśliwego” nie okazał się zbyt dobrym doradcą.

* * *

Patrzyła na tamtą kobietę, panią prokurator. Ile musiała mieć w sobie zaciętości, by dotrzeć za nią aż tu? Poczowała nawet pewien rodzaj zażenowania, że narobiła jej aż tyle kłopotu. Naprawdę nie chciała. Nie chciała, by ci wszyscy ludzie przez nią cierpieli.

Spojrzała na Jurija. Żył, oddychał, ale nie było z nim chyba dobrze. On też znalazł się w tym stanie przez nią. To wszystko jej wina.

– Ten policjant... ten, który z panią wtedy był... co z nim? – spytała.

– A dobrze – odpowiedziała kobieta. – Obudził się i wyjdzie z tego. Właśnie on kazał mi pani coś przekazać.

– Naprawdę? – zdziwiła się. Poczowała, jak jeden z kamieni spada jej z serca. Jeden z wielu, ale dobre i to. – Cieszę się, że nic mu nie jest.

– Ja też – odparła jej rozmówczyni i zabrzmiało to bardzo, bardzo szczerze. Jakby ten sam kamień spadł wcześniej i z jej serca.

– Jak on się nazywa? – spytała.

– Rajmund. Rajmund Nowaczyk. Jest lekkim bucem, ale dobry z niego chłop. – Słysząc było, że pani prokurator go lubi.

– Więc co pan Rajmund Nowaczyk, lekki buc, kazał mi przekazać? – spytała.

– Och, po kolei. – Pani prokurator prawie się uśmiechnęła. – Nie tylko on kazał panią pozdrowić. Wcześniej rozmawiałam z pani matką.

Na wspomnienie o matce kamień wrócił. Nawet większy i cięższy. Nie rozmawiała z nią od... od wtedy.

– Co w takim razie kazała pani przekazać moja matka? – spytała.

– Żebym panią przeprosiła.

– Za co?

– Za to, że pozwoliła pani przez tyle lat myśleć, że zamordowała pani własnego ojca.

* * *

Zastanawiała się, jak jej to powiedzieć. Bała się, że prawda, zamiast ją powstrzymać, tym bardziej popchnie ją w stronę przepaści. W końcu uznała jednak, że to nie jej sprawa. Zrobiła już wystarczająco dużo. To, że znajdowała się tu, w ciemności, na tym stoku, nie wiedząc nawet, czy dożyje świtu, było tego wystarczającym dowodem. Po prostu powie, czego się dowiedziała. Gierszewska musi sama podjąć decyzję, co z tym zrobić.

– To nie pani zabiła swojego ojca – powiedziała. – Zrobiła to pani matka.

– Jak to? – Usłyszała matowy, zduszony głos.

– Zabiła go w samoobronie. Tak mi przynajmniej powiedziała. Dusił ją, a ona chwyciła metalowy świecznik i uderzyła go nim w głowę. Zbyt długo była jednak żoną profesora prawa, by nie zdawać sobie sprawy, że system będzie przeciw niej. Że zarówno dla kolegów po fachu jej męża, jak i dla władz jego partii będzie wygodniej nie stawać po jej

stronie. Dobre imię szanowanego prawnika i jednocześnie wiceministra w rządzie będzie dla nich ważniejsze niż okoliczności mogące świadczyć na jej korzyść. Dlatego, gdy zobaczyła, że pod wpływem stresu zapadła pani w stan katatonii, zdecydowała się przekierować podejrzenia na panią. Włożyła pani do ręki narzędzie zbrodni i zadzwoniła na policję. Była pani niepełnoletnia, poza tym okoliczności mogły świadczyć, że ojciec próbował panią wykorzystać, wiedziała, że nikt nie będzie chciał takiego skandalu i wszyscy postarają się wyciszyć sprawę. Poświęciła panią, by nie pójść do więzienia.

Przerwała. Mogłaby jeszcze mówić, że jej współczuje i że na pewno niełatwo jest usłyszeć coś takiego, mogłaby dodać, że jej matka nigdy tak naprawdę nie darowała sobie tej chwili strachu i słabości i że to dlatego od lat nie chce opuścić szpitala psychiatrycznego, ale uznała, że w tym momencie nie ma to sensu.

Poza tym była zmęczona. Fizycznie i psychicznie. Chciałaby mieć to już wreszcie za sobą. Cokolwiek miałoby to znaczyć.

* * *

Niełatwo jest coś takiego usłyszeć. Że twoja własna matka cię zdradziła. Że wybrała siebie zamiast własnego dziecka. I że połowa rzeczy, którymi zadręczałaś się przez ostatnie dwadzieścia lat życia, była po prostu nieprawdą.

Te wszystkie lata w zakładzie psychiatrycznym, gdy kolejni psychoterapeuci próbowali pogodzić ją i skonfrontować z czymś, czego, jak się okazało, wcale nie zrobiła... Gdy próbowali dotrzeć do jej wspomnień, których przecież nie mogła mieć. I gdy wmawiali jej w dobrej wierze, że musi zaakceptować tę przeszłość, która była przecież kłamstwem.

Miała ochotę zwymiotować. Naprawdę. I w tym konkretnym momencie mniej istotna była ulga, że nie okazała się ojcobójczynią, że ten najgorszy z grzechów nie obciążał jednak jej sumienia. O wiele silniejsza była złość, poczucie niesprawiedliwości, żal za tymi wszystkimi latami, gdy żyła z potwornym brzemieniem winy, tylko trochę łagodnym przez świadomość, że przecież naprawdę mu się należało.

– Jak własni rodzice mogą zrobić dziecku coś takiego? – spytała bezradnie. – Myślałam, że chociaż ona była po mojej stronie...

ROZDZIAŁ 101

Chyba już całkiem zapadła noc. Przestała dostrzegać nawet twarz Gierszewskiej. Siedziały w ciemności, blisko siebie, słysząc się i czując, ale już siebie nie widząc. Tylko światła schroniska na Kasprowym Wierchu wciąż jaśniały na szczycie. Ale ich blask tu nie dochodził.

– Kim jest ten biedak obok pani? – spytała. Po pierwsze, żeby odwrócić jej uwagę od przygnębiających myśli, a po drugie, bo naprawdę była tego ciekawa.

– Jurij. – Usłyszała odpowiedź z mroku przed sobą. – Ukraińiec. Ukradliśmy mu samochód.

– Ziemba go tak załatwił?

– Kto?

– Marek Ziemba. Ten, który z panią uciekał.

– Nie wiedziałam nawet, że tak się nazywa – odpowiedziała Gierszewska. – Tak. Strzelił mu w głowę. Jakimś cudem go nie zabił. Nie pozwoliłam mu dokończyć.

– Uratowała mu pani życie.

– Nie. Sprowadziłam na niego nieszczęście. To przeze mnie jest w takim stanie.

– Nie przez panią. Przez Marka Ziembę.

– Zrobił to z mojego powodu. Dla mnie. Tak powiedział.

– Nie ponosi pani odpowiedzialności za to, co wyroliło się w jego chorej głowie. To on pociągnął za spust. Prosiła go pani o to?

– Nie.

– Więc nie jest pani temu winna. Tak jak nie jest pani winna śmierci tego chłopaka ze strychu. To pani ojciec go zabił, nie pani – powiedziała. – Tak na marginesie: podkomisarz Rajmund Nowaczyk prosił, żebym pani podziękowała.

– Za co? – zdziwienie w głosie.

– Za to, że może wciąż normalnie rozmawiać i że niedługo wyjdzie ze szpitala. Lekarze twierdzą, że jeszcze pół minuty pod wodą i zmiany w jego mózgu byłyby nieodwracalne. Pomogła mi pani go przed tym ocalić, pamięta pani?

Nie usłyszała odpowiedzi.

– Podkomisarz Nowaczyk kazał pani jeszcze jedną rzecz przekazać – powiedziała. Naprawdę chciałaby mieć to już za sobą.

– Jaką?

– Że wszystko wskazuje na to, że nie zabiła pani również Kozery.

* * *

Co ona powiedziała? Jak to? Trochę było za dużo tych wszystkich rewelacji.

– Kto w takim razie to zrobił? – spytała.

Wiatr zelżał, śnieg też już tak nie sypał. Udało jej się nawet wychwycić coś na kształt dobiegającego z mroku przed nią westchnienia.

– Nikt.

Chyba jednak źle usłyszała.

– Co? – spytała ciemność przed sobą.

– Nikt – powtórzyła niewidoczna pani prokurator.

Nie potrafiła tego zrozumieć. Tym razem jednak była pewna, że usłyszała wyraźnie. „Nikt”. A może to ta dziwna prawniczka zwariowała, nie ona.

– Podkomisarz Nowaczyk na to wpadł. Policjant, którego pomogła mi pani wyciągnąć z wody. Obrażenia na głowie Janusza Kozery są dość nietypowe. Znajdują się na samej górze czaszki. Byłoby bardzo trudno pani uderzyć go w ten sposób ciężką, metalową statuetką. To był wysoki mężczyzna. Nawet gdy siedział, był tylko niewiele niższy od pani. Gdyby to pani zadała cios, rana byłaby z boku lub z tyłu głowy.

– Może to ten kierowca go zabił? – powiedziała zdezorientowana. – Marek Ziemia? Był u mnie w mieszkaniu, przyznał mi się do tego.

– Monitoring w budynku, w którym znajduje się pani mieszkanie, nie zarejestrował go tego dnia. Nie było go u pani w momencie śmierci Kozery. Nikogo nie było, oprócz pani i jego.

– To co się stało? – zgłupiała już całkiem.

– Okno w pokoju, gdzie znaleziono zwłoki pani menadżera, było otwarte – kontynuował głos z ciemności. – Nie uchylone, ale otwarte. Mówiła o tym Oksana, pani sprzątaczką, podczas pierwszego przesłuchania. Dlatego między innymi tam weszła – bo okiennica stukała o framugę. Niestety, później ktoś to okno zamknął, pewnie któryś z policjantów albo techników, i to prawdopodobnie dokładnie z tego samego powodu. Więc kiedy ja tam dotarłam, okno było już zamknięte. To dlatego nie zwróciłam na to uwagi. Zawsze bardziej zapada nam w pamięć to, co widzimy na własne oczy, niż to, o czym tylko słyszymy. – Kobieta zamilkła na chwilę, jakby rozważała to, co przed chwilą powiedziała. – Dopiero Nowaczyk to wychwycił – zaczęła znowu. – I to zapewne to okno było prawdziwym zabójcą. Przeciąg spowodował, że jego rama uderzyła w półkę, na której

stała nagroda Fryderyka, a ta następnie spadła Januszowi Kozarze prosto na głowę, gdy siedział przy komputerze. To jedyne możliwe wytłumaczenie, choć brzmi dość dziwnie. Na statuetce nie było odcisków palców. Ani pani, ani nikogo. Były za to rozbryzgi krwi. To znaczy, że ktoś ją wytarł przed morderstwem, a nie już po nim. Zapewne Oksana Andruchowycz, kiedy była u pani poprzednim razem. Gdy zobaczyła to pani – rozbitą głowę Kozery i zakrwawioną statuetkę leżącą obok – pani umysł przypomniał sobie śmierć pani ojca i zareagował tak samo jak wtedy – wyłączył się, by uchronić się przed czymś, czego nie był w stanie znieść. Policyjny psycholog potwierdził, że jest to możliwe. Więc gdy się pani ocknęła i zobaczyła ponownie zwłoki, pomyślała pani, że to pani go zabiła, tak jak kiedyś ojca.

* * *

Wreszcie to powiedziała. I teraz, gdy to wybrzmiało, była już całkowicie pewna, że tak właśnie było. Nieszczęśliwy wypadek, który wywołał lawinę tragicznych konsekwencji. Głupie. Nawet bardzo. Lecz kto powiedział, że życie musi być mądre? To złudzenie naszego nazbyt przywiązanego do szukania wszędzie porządku umysłu, że wydarzenia zawsze muszą mieć jakiś sens. Że śmierć musi go mieć. Nie musi.

– To znaczy, że to wszystko było... niepotrzebne? – Julia Gierszewska nie potrafiła się jeszcze z tym uporać.

– Dowiedziała się pani dzięki temu prawdy – odpowiedziała.
– A pewna rodzina będzie mogła wreszcie pochować swojego syna. To dla nich na pewno bardzo ważne.

Nie była przekonana, czy cena za to nie była zbyt wysoka. Zdawała sobie jednak sprawę, że Julia Gierszewska potrzebuje

teraz takich uspokajających wyjaśnień.

– Zaś inna rodzina straci niedługo jego. – Usłyszała w odpowiedzi. – Nie jest z nim dobrze. Nie wiem, czy dożyje do świtu.

Podobnie jak my, pomyślała. Zaczynało jej być bardzo zimno. Wyobraziła sobie prosektorium szpitala w Zakopanem. I swoje nagie ciało leżące na stole sekcyjnym. Wstrząsnął nią dreszcz, jak gdyby już poczuła chłód metalowego podłoża.

– Jedyne, co możemy zrobić – powiedziała – to spróbować sprawić, by nic takiego się nie wydarzyło.

Przysunęła się ostrożnie do Gierszewskiej i położyła obok niej tak, aby ciało rannego mężczyzny znalazło się pomiędzy nimi. Potem nakryła ich ramieniem i przyciągnęła mocno. Wtulili się w siebie jak trzy leżące na mrozie psy.

ROZDZIAŁ 102

Starła się nie zasnąć, co jakiś czas potrząsała też Gierszewską. Piły wtedy po łyku whisky, żeby się nieco rozgrzać. Wiatr całe szczęście całkiem ustał, inaczej mogłoby być kiepsko. Nie rozmawiały już wcale, skupione tylko na tym, by przeżyć do rana.

O świcie otworzyła oczy. Jednak zasnęła, co nieco ją przeraziło. Skoro się jednak obudziła, to znaczy, że żyła. Spojrzała na twarz Gierszewskiej. Patrzyła przed siebie, jej wzrok był nieruchomy.

Potem jednak mrugnęła. A więc ona też żyła.

– Pięknie – powiedziała. – O takim widoku właśnie marzyłam.

Seredyńska podążyła za jej spojrzeniem. Przed nimi rozciągał się oszałamiający widok na Tatry. Słońce właśnie wstawało zza jednego ze szczytów po prawej.

– Tam są! – Usłyszała i koło jej głowy przeleciał mały kamień. Odwróciła się. Z góry schodzili ratownicy. Mieli nosze. Wyciągnęła rękę do góry, by pokazać im, że jest przytomna.

Chciała sama wstać, ale nie dała rady. Ubranie miała ciężkie, zimne i mokre. Gdy na jej twarz upadł pierwszy promień słońca, było to najprzyjemniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doświadczyła.

– Niech się pani nie rusza. – Koło jej głowy pojawił się ciężki but z kolcami na podszwach. – Zajmiemy się wami.

Potem wciągali ją przywiązaną do noszy głową w górę, a ona znowu patrzyła na góry. Skaliste, ostre szczyty zazłociły się od słońca.

– Pięknie... – szepnęła sama do siebie.

W schronisku czekał na nią Aleksanderski. Twarz miał zszarzałą i podkrążone oczy, ale uśmiechnął się na jej widok szeroko.

– Wiedziałem, że dasz sobie radę – powiedział. – Diablice nie zamarzają.

Zbadał ją lekarz, wszystko było dobrze. Stopy i ręce ją mrowiły, ale nie było odmrożeń. Dostała herbatę, nowe ubranie i koc.

– Co z resztą? – spytała Aleksanderskiego.

– W porządku – odpowiedział. – Z Gierszewską trochę gorzej, ale też nie tak źle. Helikopter TOPR-u zaraz po nią przyleci. Po nią, po tego Ukraińca i po rannego policjanta. Zuch chłopak, sam wczoraj dowlóknął się do schroniska.

– A Ziemba? – spytała.

Komisarz uniósł brwi.

– Miał trochę mniej szczęścia – powiedział. – Trafiłaś go. Bo to ty, prawda? Upływ krwi i zimno pokonały go. Leżał pięćdziesiąt metrów od was.

Pokiwała głową.

– A ten drugi policjant? – spytała.

– Zgubił się i zszedł na Słowację. Znalazła go Horská záchranná služba. Nic mu nie jest.

Rozejrzała się wokoło. Dziwnie wyglądała ta sala, gdy nie było w niej turystów.

– Głodna jestem – powiedziała. – Może by dało się tu coś zjeść?

Aleksanderski roześmiał się serdecznie.

– Ciebie naprawdę nic nie załatwi – powiedział. – Zaraz coś zorganizuję.

Zatrzymała go jeszcze ruchem dłoni.

– Nie wiesz, czy Nowaczyk zrobił to, o co prosiłam? – spytała.

– Zrobił – potwierdził. – Wszystkie stacje telewizyjne czekają na ciebie na dole. Będziesz bohaterką.

– To dobrze – powiedziała. Prokurator Kostrzewska nie będzie mogła jej ruszyć.

Wstała. Lekarz podskoczył do niej, żeby ją powstrzymać, lecz przepędziła go ze zniecierpliwieniem. Wyszła na zewnątrz.

Gierszewska czekała na śmigłowiec. Słysząc już było nawet, jak leci. Podeszła do niej. Stała przy noszach.

– Miała pani rację – powiedziała do niej. – Niezwykłe miejsce. Gdy będę chciała kiedyś umrzeć, też tu przyjadę.

Pulsujący dźwięk helikoptera przybliżał się z każdą chwilą.

– Za jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat – dodała.

Gierszewska spojrzała na nią zdziwiona. Uśmiechnęła się do niej.

– Nie jestem w stanie pani obiecać, że nie pójdzie pani do więzienia – powiedziała Seredyńska. – Ale jeśli nawet, wyrok nie powinien być zbyt duży. Wyjdzie pani i zacznie nowe życie, na nowy rachunek, bez dawnych obciążeń. Może nawet wróci pani do śpiewania. Dobrze by było, bo rodzinie tego człowieka – wskazała na leżącego na sąsiednich noszach mężczyznę – na pewno przydałyby się pani pieniądze.

– Dziękuję. – Usłyszała w odpowiedzi.

– Nie ma sprawy – odparła, patrząc na rozświetloną ostrym porannym słońcem panoramę Tatr. – I niech się pani tak na drugi raz nie spieszy do grobu. Życie może i bywa podłe, lecz świat jest naprawdę piękny. Nie żał by pani było tego widoku?

Gierszewska nie odpowiedziała. Jej wzrok błędził jednak po dalekich szczytach.

– A śmierć – dodała po chwili Seredyńska – przecież i tak nie ucieknie.

KONIEC

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

[ROZDZIAŁ 25](#)
[ROZDZIAŁ 26](#)
[ROZDZIAŁ 27](#)
[ROZDZIAŁ 28](#)
[ROZDZIAŁ 29](#)
[ROZDZIAŁ 30](#)
[ROZDZIAŁ 31](#)
[ROZDZIAŁ 32](#)
[ROZDZIAŁ 33](#)
[ROZDZIAŁ 34](#)
[ROZDZIAŁ 35](#)
[ROZDZIAŁ 36](#)
[ROZDZIAŁ 37](#)
[ROZDZIAŁ 38](#)
[ROZDZIAŁ 39](#)
[ROZDZIAŁ 40](#)
[ROZDZIAŁ 41](#)
[ROZDZIAŁ 42](#)
[ROZDZIAŁ 43](#)
[ROZDZIAŁ 44](#)
[ROZDZIAŁ 45](#)
[ROZDZIAŁ 46](#)
[ROZDZIAŁ 47](#)
[ROZDZIAŁ 48](#)
[ROZDZIAŁ 49](#)
[ROZDZIAŁ 50](#)
[ROZDZIAŁ 51](#)
[ROZDZIAŁ 52](#)
[ROZDZIAŁ 53](#)
[ROZDZIAŁ 54](#)
[ROZDZIAŁ 55](#)
[ROZDZIAŁ 56](#)

[ROZDZIAŁ 57](#)
[ROZDZIAŁ 58](#)
[ROZDZIAŁ 59](#)
[ROZDZIAŁ 60](#)
[ROZDZIAŁ 61](#)
[ROZDZIAŁ 62](#)
[ROZDZIAŁ 63](#)
[ROZDZIAŁ 64](#)
[ROZDZIAŁ 65](#)
[ROZDZIAŁ 66](#)
[ROZDZIAŁ 67](#)
[ROZDZIAŁ 68](#)
[ROZDZIAŁ 69](#)
[ROZDZIAŁ 70](#)
[ROZDZIAŁ 71](#)
[ROZDZIAŁ 72](#)
[ROZDZIAŁ 73](#)
[ROZDZIAŁ 74](#)
[ROZDZIAŁ 75](#)
[ROZDZIAŁ 76](#)
[ROZDZIAŁ 77](#)
[ROZDZIAŁ 78](#)
[ROZDZIAŁ 79](#)
[ROZDZIAŁ 80](#)
[ROZDZIAŁ 81](#)
[ROZDZIAŁ 82](#)
[ROZDZIAŁ 83](#)
[ROZDZIAŁ 84](#)
[ROZDZIAŁ 85](#)
[ROZDZIAŁ 86](#)
[ROZDZIAŁ 87](#)
[ROZDZIAŁ 88](#)

[ROZDZIAŁ 89](#)
[ROZDZIAŁ 90](#)
[ROZDZIAŁ 91](#)
[ROZDZIAŁ 92](#)
[ROZDZIAŁ 93](#)
[ROZDZIAŁ 94](#)
[ROZDZIAŁ 95](#)
[ROZDZIAŁ 96](#)
[ROZDZIAŁ 97](#)
[ROZDZIAŁ 98](#)
[ROZDZIAŁ 99](#)
[ROZDZIAŁ 100](#)
[ROZDZIAŁ 101](#)
[ROZDZIAŁ 102](#)